

A photograph of a woman from the waist down, standing in a narrow, cobblestone street in Barcelona. She is wearing a light-colored dress with a blue and green floral pattern and bright red high-heeled shoes. The background shows a stone wall on the left and a building with a balcony and archway on the right.

Barcelona na zawsze

Anna B. Kann

Pascal

Barcelona na zawsze

Anna B. Kann

Pascal

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

EWA

Tydzień po pogrzebie Jacka odszedł pies. Nie wiadomo dlaczego. Obserwował świat ze swojego miejsca w ogrodzie, nagle się położył, łep między łapami, płasko, jak zwykle. I to był koniec. Żadnego jęku, żadnego westchnienia. Nic. Po prostu zamknął oczy i zasnął. Cicho, niezauważalnie, jakby nie chciał nikomu zawracać sobą głowy.

Pochowały go w lesie obok domu, pod drzewem widzianym przez okno w kuchni, tuż przy ścieżce, którą wspólnie wydeptali przez lata spacerów. Najpierw palił się tam ogrodowy lampion, później miejsce oznaczył wielki, polny kamień. Łzy się pomieszały i nikt już nie potrafił powiedzieć, po kim płyną szerszą rzeką: po Jacku czy po psie.

Pies był jak jeszcze jedno dziecko w rodzinie, z takimi samymi prawami, tylko inaczej się z nim porozumiewali, ot i cała różnica. Dlatego płakały tak samo po obojgu. Równie gorzko, równie głośno. A może nawet po psie bardziej, bo częściej niż Jacek pocieszał je i słuchał słów niewypowiadanych przed nikim innym. Przede wszystkim jednak był. O każdej porze dnia, o każdej porze nocy, bez pretensji za samotnie spędzane godziny. Prawdę mówiąc, w jakimś sensie nawet łatwiej się go opłakiwało, bo cmentarz, na którym spoczął Jacek, znajdował się na tyle daleko od domu, że codzienne celebrowanie jego śmierci po prostu nie wchodziło w rachubę, a i sama śmierć była na tyle absurdalna, że z trudem zadomawiała się w ich świadomości. Tym trudniej, że przecież wcześniej też często znikał na długo i bez uprzedzenia. Jego stała nieobecność, siłą rzeczy, nie była więc czymś specjalnie dojmującym. Tak naprawdę odejście Jacka najmocniej odczuli klienci jego kancelarii, bo ich sprawy nagle zawisły w prawniczej próżni. Śmierć psa natomiast bolała nieustannie: codziennie przypominał o niej najpierw palący się lampion, a później głaz na grobie. A także porządnie poustawiane buty w korytarzu, których nie miał już kto roznosić po domu...

W związku z tą właśnie śmiercią zniknęło też kilku znajomych z ich najbliższego otoczenia – tych, którzy uparcie powtarzali, że „zbyt mocno przeżywana żałoba po psie umniejsza wartość ludzkiego życia” albo że „tak długo trwający płacz jest egzaltacją nieprzystającą dorosłemu człowiekowi”. Oczywiście sami w swoich domach nie trzymali ani psów, ani kotów, ani nawet chomików czy kanarków, i zupełnie nie przejmowali się losem nieszczęśliwych, maltretowanych, głodzonych bądź porzucanych zwierząt. Ewa w końcu wykasowała ich numery telefonów.

– Empatia jest empatią – tłumaczyła potem córkom. – Jeśli ktoś nie potrafi pochylić się nad zwierzakiem, nie pochyli się i nad człowiekiem. Obecność tych ludzi w naszym życiu wynikała z ciekawości, może z nakazu społecznego, bo wypada zająć się znajomymi boleśnie doświadczonymi przez los, ale nie z prawdziwej potrzeby przyjscia nam z pomocą. Zapewne uważali, że roztkliwimy się nad sobą.

Co do Jacka, łudziła się, że zakończenie śledztwa w sprawie jego śmierci przewrotnie przywróci go tak nagle pokancerowanej rzeczywistości i osadzi w niej na tyle mocno, by w efekcie pozwolić

na ostateczne zamknięcie tego rozdziału życia. Urealni łyzy dzieci i rozpacz teściów. Ciągłe nie potrafili w to wszystko uwierzyć.

Na cmentarzu była i nie była jednocześnie. Trumnę spuszczone do grobu, zakryto marmurową płytą, którą szybko zasłonił stos kwiatów, ktoś złożył kondolencje... Ale działało się to wszystko jakby za szklaną ścianą, zawieszoną w próżni, jej niedotyczące. Nie płakała, nie myślała, nie wyobrażała sobie przyszłości. Czas powrócił na swoją orbitę dopiero podczas stypy, kiedy wszyscy pochyłili się nad talerzami i zaczęli rozmawiać o swoich codziennych problemach. Był człowiek, nie ma człowieka, ze smutkiem myślała o tym, że nikt go nie wspominał, że ważniejsze okazały się ceny w sklepach i podwórkowe plotki. Ten smutek przyłgnął, przykleił się do niej, zamknął jej usta na tyle skutecznie, że odezwała się dopiero po powrocie do domu, wiele godzin później, kiedy musiała zapytać córki, czy mają ochotę na kolację, i Janusza, czy przenocuje u nich.

Janusz, stary przyjaciel z czasów studenckich, ostatnia osoba, z którą Jacek spotkał się za życia. Nie licząc mordercy, rzecz jasna. Zaoferował pomoc, zawiózł je na pogrzeb i przywiózł z powrotem, miał się zająć kancelarią, wszystko uporządkować.

Zaraz po studiach wyjechał do małej miejscowości tuż przy granicy województwa, a jakiś czas później jeszcze kilka kilometrów dalej, na wieś. W miasteczku otworzył praktykę – najpierw jako notariusz, potem jako doradca podatkowy. Kiedy owdowiał, ograniczył kontakty towarzyskie. Ewa była zdziwiona, że właśnie z nim Jacek spotkał się przed śmiercią. Oczywiście, śmierci nie planował, ale z Januszem nie widywał się od wielu lat, musiało więc wydarzyć się coś szczególnego, co skłoniło go do tych odwiedzin. I pewnie nie chodziło o sprawy zawodowe, bo w tych pomocy nigdy nie szukał. Janusz zbywał pytania Ewy opowieściami o „podróży sentymentalnej”, jakiej nagle zapragnął jej eksmąż. Nikt, kto znał Jacka, nie uwierzyłby w podobne potrzeby.

* * *

Październik skrzył się w słońcu, złocił, czerwienił; był tak gorący, jakby wyrastał ze środka lata, a nie z jesieni. Ciągłe można było zakładać cienkie sukienki, odkrywać ramiona i nosić sandały. W taki czas, wychodząc do ogrodu, Ewa przenosiła się myślami do Barcelony. Miała wrażenie, że rozpościera się nad nią tamto niebo, tak samo intensywnie niebieskie, otulające jak ciepły koc. Pod rozłożystym drzewem ustawiała fotel, na stoliku obok kładła książkę, telefon i tylko brakowało jej kota na kolanach, by poczuć się tak jak wtedy, gdy czekała, aż Paco wróci do domu z próby.

Czas płynął, ale nie leczył ran. Bolały tak samo, a może i mocniej, bo wspomnienia nie dawały im się zabiżnić. Nie potrafiła poradzić sobie z tymi wszystkimi stratami, było ich zwyczajnie za dużo. Czuła się posiniaczona, zagubiona. Tylko to świetliste niebo uspokajało na chwilę myśli, tylko to słońce wygładzało stężalą z żalu twarz. Wszystko poszło nie tak. Uwierzyła w „życie raz jeszcze”, miała wielką ochotę nauczyć się być silną i szczęśliwą dzięki sobie samej – tak jak w Lizbonie wbijała jej to do głowy Maria – ale śmierć Jacka obróciła te marzenia w perzynę. W jednej chwili stała się znowu kobietą bezradną, upadającą pod ciężarem spraw i obowiązków dotąd dzielonych z kimś, kto nawet jeśli emocjonalnie był od niej oddalony, odseparowany, to jednak nadal uczestniczył w codziennym życiu rodziny, choćby tylko przez telefon; wystarczyło przecież zadzwonić, by problemy jakoś się rozwiązały... Teraz nie wiedziała od czego zacząć, by wszystko znowu prawidłowo funkcjonowało w tym nagle zmienionym układzie. Coraz bardziej poddawała się rozpacz. I znowu nieustannie rozmyślała o własnych błędach. Obwiniła się nawet o deszcz, który padał w dniu pogrzebu.

Siedziała w ogrodzie, próbowała czytać książkę, ale niewiele z tego wynikało. Miała kłopot ze zło-

zeniem w logiczny ciąg pojedynczych słów, nie była nawet pewna, czy w ogóle je rozumie. Ciągłe przebiegała oczami jeden i ten sam akapit. Rozpraszały ją muchy, mrówki, delikatne powiewy wiatru. W końcu poddała się, odłożyła książkę na stolik. I wtedy zadzwonił jej telefon. Pospiesznie sięgnęła po niego, nacisnęła zielony przycisk, nie spoglądając nawet na wyświetlacz, by sprawdzić, kto chce z nią rozmawiać.

– Przyjadę jutro – bez żadnych wstępów zakomunikował męski głos. – Musimy zdecydować, co dalej.

– Jak długo zostaniesz?

– Tyle, ile trzeba – odpowiedział oschle. – Ile będziesz chciała – poprawił się, przyjmując nieco miłszy ton.

– Janusz, ja nie wiem... – zaczęła niepewnie – nie potrafię podjąć żadnej decyzji. Ze mną dzieje się coś dziwnego, nigdy wcześniej...

– Wiem – przerwał jej. – Dlatego mówię, że zostanę tak długo, jak będziesz chciała. Chcę ci pomóc. We wszystkim.

– Dlaczego to robisz?

– Już mnie o to pytałaś – uciął. – W imię starej przyjaźni – dopowiedział po chwili, próbując ukryć zniecierpliwienie.

– O której będziesz? – zapytała więc, kończąc rozmowę.

– Jakoś wieczorem.

Rozłączyła się bez pożegnania i zastygła nieruchomo z telefonem w wyciągniętej ręce, niczym zabawka, z której nagle wypadła bateria. Patrzyła przed siebie, ale niczego nie widziała – myśli przepływały, o nic nie zahaczając. Pustka. Całkowita pustka w środku i na zewnątrz. Jakby świat zniknął. Właściwie nic jej to wszystko nie obchodziło. Dzień toczył się i tak, wystarczyło poddać się dawno ustalonemu rytmowi. Jak robot. Pobudka, śniadanie, dzieci do szkoły, zakupy, dzieci ze szkoły, obiad, lekcje, zajęcia dodatkowe, kolacja, głośne czytanie dziewczynkom książki na dobranoc. I tak w kółko. Niezmiennie. Tydzień po tygodniu. W weekendy miała zmianę, wiadomo. To wymagało wysiłku, pomysłu, ale dawała radę – na tyle potrafiła się jeszcze zmobilizować. Ale kiedy córki zniknęły w swoich pokojach, znowu odpływała na długie godziny, zasłuchana w siebie lub niesłuchająca niczego. Martwa. Przegrana. Samotna.

Ciszę ogrodu przerwały dzieci. Jak zwykle narobiły hałasu, wracając do domu. Kiedyś do tego szaleństwa dołączał pies. Ale to było kiedyś. Ciągłe brakowało jej miękkiego futra, w którym mogłaby zatopić ręce, merdającego ogona, przed którym trzeba było pospiesznie ratować szklanki, jeśli zostawiło się je na niskim stoliku, radosnego pyska podsuwającego się do głaskania, zachęcającego do zabawy. I niemal codziennego droczenia się z resztą domowników o to, kto najpierw powinien dostać jeść: oni czy on.

Zerwała się z fotela z aktorsko przywołanym na twarzy uśmiechem. Wyczuwała obie córki, wysłuchiwała ich relacji ze szkoły, że pani od polskiego chciała wpisać Basi uwagę do dzienniczka, chociaż nie Basia przeszkadzała i wszyscy protestowali, a pani ustąpiła; że Jarek podrywał Krysię, a ona czerwieniła się jak piwonia; że Krzyś rozbił kolano na wuefie... Uśmiechała się czule na te relacje, chciałyby być znowu w szkole i mieć takie problemy... Czy przeżywała wtedy życie tak, jak dziś jej córki? Pewnie to się nie zmienia, zmieniają się tylko dekoracje, pomyślała. Emocje zawsze są takie same... Kiedy skończyły się opowieści, poszły do domu, by przygotować obiad. Szybko się uwinęły: każda miała określone zadanie do wykonania; wszystko uszykowały w kwadrans. Dziewczynki jeszcze tego wieczoru wybierały się na weekend do koleżanki, wspólne biesiadowanie skróciły więc do niezbędnego minimum, by przed wyjazdem zdążyły jeszcze odrobić lekcje.

Znowu została sama. Ze stosem naczyń do zmywania i myślami powracającymi jak namolna pio-senka, której nie sposób wyrzucić z głowy. Paco i Jacek, Jacek i Paco... Dwa życia, które się nie uda-ły. Po Jacku zostały niepozałatwiane sprawy i bałagan wokół, po Paco – pierścionek z brylantem...

Pokazał go jako dowód na swoje „poważne zamiary”, kiedy spotkali się po jej powrocie z Lizbo-ny. Chciał się oświadczyć, mimo że formalnie wciąż była mężatką. Miało ją to do niego przekonać, ona jednak nie wierzyła już w ich wspólne życie, i o tym właśnie próbowała mu powiedzieć, gdy zadzwonił telefon z informacją o śmierci Jacka. Zostawiła Paco z niedokończoną rozmową. Nim wybiegła z restauracji, w pośpiechu zgarnęła do torebki – razem z innymi drobiazgami – leżące przed nią pudełko z pierścionkiem. Odkryła to dopiero w Polsce. Wytłumaczyła się w mailu – było jej naprawdę głupio. Paco prosił, by pierścionek został u niej, ona upierała się, że odda go przy naj-bliższej okazji... Jakiej okazji? Wybiera się do Barcelony? Po co? Pierścionek leżał więc teraz na ko-modzie w sypialni i budził wspomnienia. Te dobre i te złe. W tych samych, mniej więcej, propor-cjach.

Po obiedzie nie został nawet ślad. Naczynia i garnki nie tylko pozmywała, ale nawet powycierała, czego nie miała w zwyczaju, i pochowała do szafek. Potem zabrała się za czyszczenie blatów, zmy-wanie podłogi, sprawdziła, czy dobrze spakowała córki na drogę; bała się usiąść, by znowu nie za-paść się w sobie na kolejne godziny. Chciała utrzymać jako taką formę, aż dziewczynki wyjadą, by nie domyśliły się, że coś z nią jest nie tak. Nie do końca jej się to udało, była nieuważna przy pożegnaniu, ale one – podekscytowane wyprawą – chyba niczego nie zauważyły.

Nie wiadomo kiedy dzień się skończył. Przeleciał, nie zostawiając w pamięci żadnego szczególne-go śladu. Usiadła przy stole w kuchni, twarzą zwrócona do otwartego na oścież okna, wpatrzone w pustkę nadchodzącej nocy. Z daleka słychać było szczekanie psów, szum rozmów z sąsiednich ogrodów, warkot z rzadka przejeżdżających aut. Bezgłośnie powtarzała w kółko jedno i to samo py-tanie: „Co dalej?”. Odbijało się od ścian i wracało echem. Wwiercało się w głowę. Unieruchamiało umysł i ciało... Czuła się jak sparaliżowana. Dopiero chłód, wdzierający się do środka razem z wia-trem, zmusił ją do podniesienia się z miejsca. Sięgnęła po wełniany szal i wyszła do ogrodu. W na-głym odruchu przytuliła się do brzozy rosnącej przy tarasie, pogładziła jej spękany pień.

– I co? Tak ma to teraz wyglądać? – wyrzuciła z siebie pytanie gdzieś w przestrzeń. – Mam się ciągle zastanawiać, czym zasłużyłam na taki los? Za jakie grzechy ta kara? Przecież to bez sensu! – szeptała. – Tak samo jak inni zasługuję na normalność i szacunek, chociażby na szacunek, jeśli nie na miłość. I będę szczęśliwa! – postanowiła z mocą. – Na przekór wszystkiemu! Będę brała z życia to, co chcę, nie czekając, aż skapnie mi coś z pańskiego stołu. Koniec z tym!

Przetarła twarz dłońmi, jakby zbierała z niej resztki snu, podeszła do drzewa, pod którym sie-działa w południe, wzięła ze stolika książkę i wróciła do domu. Zamknęła pootwierane okna, rozpa-liła ogień w kominku, otworzyła butelkę wina, włączyła muzykę. Zabrzmiało flamenco – z mocą, która nawet nieżywego postawiłaby na nogi.

Nie chciała wspomnień, nie po to była ta muzyka. Chciała powrócić do tego, czym flamenco było dla niej na początku, kiedy jeszcze nie planowała Barcelony i nie wiedziała, że jej małżeństwo skoń-czy się z powodu jakiejś Gośki czy Kaśki, chciała powrócić do czasu, kiedy była pewna, że znalazła przestrzeń dla siebie i równowagę w życiu, kiedy taniec uczył ją, jak się nie poddawać, jak walczyć, jak śmiało patrzeć światu w oczy.

Zadzwonił telefon. Siostra. Starsza siostra, zawsze opiekunka, zastępcza matka. Teraz niemal każdy weekend spędzały razem. Skoro Jacka już nie było, wybaczyła Ewie to zamążpójście i odbu-dowywała dawne relacje między nimi. Urządzały z dziewczynkami wycieczki, chodziły do kina i na lody, bawiły się jak normalna rodzina, z ciotką zamiast ojca, ale to powoli przestawało prze-

szkadzać; dzięki obecności Marii córki szybciej zapominały o tragedii. Bo dla nich była to jednak prawdziwa trauma. Musiały nauczyć się myśleć o ojcu w czasie przeszłym. Inaczej niż wiele koleżanek ze szkoły, którym przyszło żyć w niepełnych rodzinach: te były córeczkami tatusiów chociaż w soboty, jej dziewczynki wiedziały natomiast, że żadnych wspólnych dni już nie będzie. Tym razem Maria zawiadamiała, że nie przyjedzie. Rano Ewa może by się tym zmartwiła, ale teraz już nie. Miała tyle spraw do omówienia z Januszem – lepiej, by nie musiała zajmować się dwiema osobami równocześnie; mogłaby sobie z tym nie poradzić. Tak, przed chwilą postanowiła, że koniec z pławieniem się we własnym nieszczęściu, ale czy od razu uda jej się to zmienić? Czy stan poprzedni nie wróci z byle jakiego, błahego nawet powodu? Wystarczy przecież głupia rozmowa, niewinne pytanie o przeszłość i całą tę chybotliwą konstrukcję diabli wezmą! Wewnętrzne koło napędowe ledwo się kręciło – miała tego pełną świadomość.

Po pogrzebie Jacka nie wróciła do pracy. Wzięła bezpłatny urlop. Nigdzie nie wychodziła, jeśli nie musiała. Odwoziła dzieci do szkoły i wracała do łóżka. Nie po to bynajmniej, by poczytać jakąś książkę! Te piętrzyły się na nocnym stoliku i zbierały kurz. Po prostu leżała. Czasami zasypiała. Po godzinie czy dwóch budziła się spocona, wystraszona. Było w niej tyle smutku, że dosłownie w nim tonęła; łapczywie łykała wtedy powietrze – jak niezdarny pływak, który chce utrzymać się na powierzchni wody – a kiedy to nie przynosiło ulgi, zalewała się łzami. Płynęły, nie dając się powstrzymać, aż do wyczerpania.

Za każdym razem nastawiała budzik, by zdążyć doprowadzić się do ładu przed powrotem córek. W zamrażalniku zawsze trzymała kostki lodu, którymi okładała twarz, by opuchlizna zniknęła, krople łagodziły zaczerwienienie oczu, resztę robiło słońce, makijaż, okulary. To był dobry kamuflaż – dzieci nigdy niczego nie zauważyły. Ale też nie pytały, co robiła przez cały dzień i jak jej się żyje...

Wcześniej nie wiedziała, że tyle łąz mieści się w człowieku. Kiedy zdarzało się coś złego, zaciskała zęby i walczyła, zawsze szukała rozwiązań. Kłopoty mobilizowały ją do działania. Teraz czuła się jak szmaciana lalka rzucona w kąat pokoju. I tak mijał dzień za dniem, każdy tak samo beznadziejny. Gdyby nie dzieci... Nie, nigdy nie mówiła tego na głos, ale myślała o tym niemal każdego poranka. Tak bardzo bolały ją mijające godziny. Fizycznie też. Bywało, że nie mogła dotknąć ramion, nóg, brzucha, jakby bez wcześniejszego treningu nagle obiegiła cały świat. A przecież tylko leżała lub siedziała. Całymi godzinami.

Teraz wszystko miała zmienić, odciąć się wreszcie od przeszłości. Poszukać dawnej siebie.

Słuchała flamenco, rozkoszowała się nim, poddawała się rytmowi. W końcu sięgnęła po kastaniety i zaczęła grać. Cofała utwór, powtarzała frazy – wciąż i wciąż, bez końca, jak w transie, ciągle to samo, aż poczuła, że ramiona jej drętwieją. Chwilę odpoczęła, wypła kieliszek wina, wyciągnęła spod sofy deskę do ćwiczeń, założyła swoje wysłużone gwoździkowane buty¹ i wkrótce ciszę przeciął stukot obcasów. Najpierw pojedyncze uderzenia, nierówne, stopniowo jednak coraz bardziej zrytmizowane, narastające, gęstniejące, a wreszcie układające się w melodię. Wystukiwała całą swoją złość, na siebie i na życie. To, co zebrało się w niej w ciągu bezpowrotnie zmarnowanych gorzkich dni i apatycznych godzin. Nogi bolały, ciało zwilgotniało od potu. Poczowała ulgę. Wyczerpana mogła nareszcie iść odpocząć, z nadzieją na przespaną noc.

¹ Buty do flamenco z mocnym, szerokim obcasem; czubek buta i jego obcas ponabijane są oszlifowanymi gwoździami, dzięki czemu wyraźnie slychać każde stuknięcie.

Następnego dnia, z energią, której się nie spodziewała, zabrała się za porządki. Przygotowała pokój gościnny, zmieniła pościel w swojej sypialni, wstawiła pranie, odkurzyła wykładziny. Po kilku godzinach wszystko lśniło i pachniało, a ona podlewała winem dochodzące w garnku mięso. Boeuf

Strogonow, jej popisowe danie. Kolacja na zapowiedziany wieczór.

Kiedy Janusz stanął w drzwiach, wszystko było gotowe, a ona sama uśmiechnięta. Bardzo się pilnowała, by kąciki jej ust nie opadały. Nie zostali jednak w domu – Janusz zaproponował kino. Tak dawno nie była na filmie innym niż dla dzieci, że natychmiast się zgodziła. I od razu pojechali, nie patrząc nawet na zegarki. Mieli czas, by wstąpić jeszcze gdzieś na kawę. A potem był stary, dobry Woody Allen, którego kochała niezmiennie od czasu studiów, choć po *Annie Hall* czy *Manhattanie* nie dawał już zbyt często powodów do długich dyskusji. Nadal jednak można było zachwycać się jego rzemiosłem, świetnymi dialogami, dowcipem, inteligentną narracją, nawet w komediach romantycznych, które ostatnio zupełnie zdominowały jego twórczość. Choć jego kino stawało się coraz lżejsze, a miejsca akcji coraz bardziej zachwycające, to jednak – jak pomyślała, rozsiadając się w fotelu – czas mistrza wyraźnie przemijał: na widowni, wcale niezapełnionej po brzegi, zasiadali niemal wyłącznie ludzie z ich pokolenia lub starsi. Janusz też zwrócił na to uwagę.

– Trudno się dziwić – skonstatował – skoro nieustannie odwołuje się do kanonu nieznanego młodym. My dostrzegamy różne poziomy jego dywagacji i ukrytą pod żartem myśl, ale młodzi mogą mieć z tym spory kłopot. Mamy tu więc problem komunikacyjny, zupełnie jak między rodzicami a dziećmi – oświadczył.

– A może za szybko lecą z tekstem? – zażartowała.

– Eee, chyba nie – zaśmiał się cicho. – Tempo jak w hip-hopie. No, chyba że słowa za trudne...

Akcja filmu toczyła się w Rzymie. Z dziecięcą radością rozpoznawali miejsca znane im jeśli nie z innych filmów, to z własnych wояży. Po seansie postanowili zjeść włoską kolację, by przedłużyć magiczny klimat wieczoru. Ale w pizzerii rozmowa zeszła na Jacka, bo Włochy były krajem, który Ewa razem z nim zwiedzała, więc znowu się popłakała, a ręce nie mogły się uspokoić, choć bardzo się starała. Składała i rozkładała serwetki, darła je na strzępy, skręcała w kuleczki – bolały ją od tego palce, ale ten ból był jakoś kojący, bo konkretny, z określonej przyczyny. Podświadomie czuła, że jej ratunkiem jest Janusz. Spokojny, opiekuńczy, czuły i delikatny. Jak kiedyś Paco... Nie zadawał zbędnych pytań. Był, tulił, wycierał jej oczy, podtrzymywał, gdy szli. Czy dlatego po powrocie do domu poprosiła, by został z nią na noc? Tak, bała się. Dygotała ze strachu. Była pewna, że łyż ją uduszą, jeśli nie będzie obok niej kogoś, kto mógłby je powstrzymać.

I Janusz został. Uspokoił jej strach, to całe drżenie. Nawet nie wiedziała, kiedy zaczęli się kochać, ale robili to z taką mocą, jakby los nagle zwrócił ich sobie po latach upartego trzymania na odległość. Zasnęli nad ranem, wtuleni w siebie tak, by nie dzieliła ich nawet najmniejsza szczelina. Oddechy się mieszały, dłonie zaplątywały. Było bezpiecznie.

A jednak po przebudzeniu czuła się zażenowana. Nie była w stanie ani się uśmiechnąć, ani przywitać go miłym słowem. Unikała jego spojrzenia, umykała przed dotykiem. Od pierwszej chwili wiedziała, że wczoraj popełniła błąd. Janusz był po prostu kolegą z przeszłości, mężczyzną jakoś bliskim, ale w którym nie umiałaby się zakochać. Ani wtedy, lata temu, ani teraz. Zwłaszcza teraz. Może gdyby tej nocy nie było? Może gdyby powoli budowali tę nową relację między sobą? A tak – wiedziała to, choć przecież sama sprowokowała wszystko – ich historia skończyła się, nim zaczęła się naprawdę... Było jej przykro. Janusz zasługiwał na wiele dobrego, ale w niej wzbudzał wyłącznie wyrzuty sumienia i litość...

Pospiesznie zarzuciła na siebie koszulę leżącą obok łóżka, pobiegła do łazienki. Kiedy wróciła, Janusza już nie było w sypialni. Z kuchni dochodziły dźwięki rozstawianych talerzy. Udając, że nic się nie stało, zjedli późne śniadanie. Niewiele rozmawiali, ciszę zapełniali nerwowym popijaniem herbaty. Jedna filiżanka, druga, trzecia... Z kolejną wyszli do ogrodu, po którym kręcili się bez sen-

su, rozmawiając o drzewach i kwiatach. Zmarnowali mnóstwo czasu, czekając, aż pierwszy głód zapędzi ich z powrotem do domu. Udawali wielką ekscytację przygotowywanym obiadem, z ogromnym skupieniem obierali ziemniaki, szykowali surówkę i wpadali w wyraźny popłoch, gdy niechcący zdarzyło im się dotknąć swoich dłoni. Przy stole uparcie wpatrywali się w talerze lub w ściany naprzeciwko, rozmowa się nie kleiła. Nie umieli nic z tym zrobić. Po obiedzie zaczęli na wyścigi przerzucać się pomysłami na resztę dnia. Jeszcze raz kino? Lody? Spacer? Może praca w ogrodzie? Nagle poczuła się zmęczona, postanowiła więc zostawić go na chwilę samego. Zamknęła się w sypialni, gdzie bezwiednie sięgnęła po leżące na komodzie pudełeczko. Otworzyła je i wyjęła pierścionek. Przez moment obracała go w dłoni, jakby nie wiedziała, skąd się tu wziął.

– Paco, jak ja za tobą tęsknię... – wyszeptała w końcu i przytuliła kamień do ust.

Wsunęła brylant na serdeczny palec, położyła się na niezastanym łóżku, w skotłowanej pościeli. Odsunęła kołdrę jak najdalej od siebie, wtuliła się w poduszkę, pod policzkiem układając dłoń z pierścionkiem, i zasnęła.

Kiedy otworzyła oczy, zastanowiła ją zalegająca w domu cisza. Pomyślała, że Janusz też postanowił odpocząć. Podeszła pod drzwi jego pokoju, ale nie usłyszała żadnego dźwięku, który dowodziłby czyjejkolwiek obecności. Zajrzała do środka. Pościel na łóżku leżała nietknięta. Zeszła na dół. Tu też nikogo nie zastała. Na stole w kuchni zauważyła kartkę.

– Mój Boże! – Oblał ją zimny pot. – Jak ja u Paco...

Zaczęła czytać:

Ewo!

Nie wiem, dlaczego wczoraj stało się to, co się stało... Przecież całe życie ukrywałem swoje uczucia do Ciebie. I to tak starannie, że nigdy nawet się ich nie domyśliłaś (choć, jak wczoraj przyznałaś, raz nabrałaś podejrzeń). Przez moment myślałem, że może ta noc wszystko zmieni, że może mogłoby się nam udać, że może trzeba było tych wszystkich doświadczeń, byśmy znaleźli drogę do siebie, ale po wczoraj nadeszło dziś. A dziś było zimne jak kubek lodowatej wody. I niezręczne dla nas obojga. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli wrócę do siebie, bo przecież w tej sytuacji niczego nie załatwimy ze spraw zawodowych. Z jednego się cieszę: wreszcie wiesz, co nadal do Ciebie czuję.

Nie chcę pamiętać o przebudzeniu i tych kilku późniejszych godzinach. Chcę zachować wspomnienie naszej nocy. Dziękuję Ci za nią.

Pozostaję Twoim oddanym przyjacielem. Obiecuję, że nigdy – nawet najmniejszym gestem – nie przypomnę o wczoraj.

Możesz mi zaufać.

Janusz

PS. Nie martw się, nie zostawię Cię samej z kancelarią. Odezwę się za parę dni.

Złożyła kartkę i schowała ją do kieszeni swetra. Spojrzała na zegar stojący w rogu kuchni, zabrała się za zmywanie naczyń po obiedzie. Wkrótce dzieci miały wrócić ze swojego weekendu. Nie chciała prowokować jakichkolwiek pytań.

Jak zwykle wpadły niczym huragan i od razu wypełniły sobą całą przestrzeń. Opowieści o tym, co robiły, gdzie były, zajęły czas aż do wieczora. Słuchała ich, z radością zapominając o sobie. Kiedy dziewczynki poszły do łóżek i wszystko w końcu ucichło, usiadła z kubkiem herbaty w salonie. W kominku trzaskał ogień, przyglądała się tańczącym płomieniom. Ten widok zawsze ją uspokajał.

Wyciągnęła dłonie do ognia, by poczuć jego ciepło. Brylant w pierścionku zamigotał.

„Może to rzeczywiście nie miało żadnego znaczenia? – Pomyślała o zdradach Paco. – Tak jak moje wczorajsze szaleństwo? Po prostu się zdarzyło. Jak jeden kieliszek wina za dużo... – Uśmiechnęła się smutno. – Nawet przez chwilę nie pomyślałam o Januszu, odkąd wyjechał. Czy mogłabym pójść z nim do łóżka, gdybym była z Jackiem lub z Paco? Czy hamulce mogłyby i wtedy puścić? No tak, ale ja jestem sama, a to wszystko zmienia – ucięła rodzące się w niej wątpliwości. – Swoją drogą... co jest zdradą? – Zamyśliła się. – Przespanie się z kimś?”.

Nazajutrz, wracając do domu po odwiezieniu dzieci do szkoły i wizycie w pobliskim sklepie, zobaczyła na podjeździe samochód Janusza. Zdziwiła się. „Czyżby czegoś zapomniał?” – pomyślała, parkując. Wsiadła, nie dając po sobie znać, że go zauważyła, otworzyła bagażnik i zaczęła wypakowywać siatki. Janusz błyskawicznie znalazł się obok niej, chwycił torby i zaniósł je pod drzwi domu. Bez słowa weszli do środka. Przez jakiś czas krzatali się po kuchni, aż w końcu zapytała, dlaczego przyjechał.

– Ewuniu... – usiadł przy stole – chciałem cię przeprosić.

– Za co? – Szczerze się zdziwiła. – Przecież nic się nie stało.

– Za list.

– Nie rozumiem.

– Zachowałem się jak dureń...

– Obydwoje zachowaliśmy się bez sensu – przerwała mu łagodnie. – Ja też powinnam cię przeprosić.

– Ty nie masz za co. A ja zamiast ci pomóc...

– Pomogłeś – ucięła. – Dzięki tobie tamten dzień był inny niż wszystkie od dłuższego czasu.

– Słuchaj, no właśnie... Jestem twoim przyjacielem...

– Wiem.

– Ewo... – Nie wiedział, jak powiedzieć to, co zamierzał. – Uważam, że powinnaś pójść do lekarza – wyrzucił w końcu z siebie. – Nie musisz udawać baby z żelazobetonu – tłumaczył – bo nią nie jesteś. Zresztą, nie wiadomo, kogo to dopada i dlaczego. Przechodziłem przez to samo. Według mnie masz depresję.

– Co ty pleciesz?! – obruszyła się.

– Rozmawialiśmy kilka razy, a wczoraj... – zająknął się. – Ty tego nie kontrolujesz, tak mi się wydaje. Czy wiesz, co się wczoraj z tobą działo? – zapytał. – Te skoki emocji, łzy, ręce... Ewo, uważam, że potrzebujesz pomocy. To nie jest żaden wstyd! Mogę ci polecić znajomą lekarkę. Stąd. Młoda, fajna, kontaktowa. Nie wypisuje recept bez potrzeby. Rozmawia...

Patrzyła przez kuchenne okno na głaz na grobie psa, coraz mniej słuchając Janusza. Sama dobrze wiedziała, że nie jest z nią najlepiej. Bała się powrotu tego, z czym kiedyś walczyła.

„Moja kochana Luna! – pomyślała. – Jestem pewna, że gdybyś żyła, nie potrzebowałabym żadnej pomocy. Poszłybyśmy na długi spacer do lasu i wszystko jakoś by się ułożyło. A tak? Znowu rozpadłam się na kawałki. Jeszcze bardziej. I on ma rację... Chyba nie dam rady”.

Spojrzała uważnie na Janusza. Czuła, że oczy jej wilgotnieją.

– Dobrze – odezwała się cicho. – Pójdę. Zapisz mi telefon na kartce.

Natychmiast sięgnął po swoją komórkę i na leżącym na stole paragonie zapisał numer.

– Zadzwoń tam jak najszybciej – poprosił. – Nie będziesz miała wizyty wyznaczonej od razu. Jest kolejka, trzeba czekać. Ale warto. To dobry fachowiec. I nie bój się – uspokajał. – Te leki nie ingerują w osobowość, jedynie poprawiają jakość życia. Znowu będziesz taka, jak wcześniej... Będzie ci ła-

twiej, zobaczysz.

– Dziękuję – wyszeptwała. – Muszę się brać za obiad. – Rozejrzała się po kuchni. – Kupiłam mnóstwo rzeczy, ale nie wiem, co ugotować, a dziewczynki niedługo wracają ze szkoły.

– Pomogę ci – zaoferował. – Nie najgorszy ze mnie kucharz. – Otworzył lodówkę. – To co my tu mamy? – Zajrzał do poustawianych na półkach misek. – Może przerobimy strogonowa na sos do makaronu? Co ty na to?

– Jeśli wystarczy dla czterech osób...

– Wystarczy, jeśli dodamy warzywa. – Uśmiechnął się i zabrał do roboty.

Ewa nie ruszała się ze swojego miejsca. Początkowo obserwowała jego krzątanie, ale wkrótce poszybowała myślami do Barcelony, która w jej wyobrażeniach z każdym upływającym dniem stawała się doskonalsza niż w rzeczywistości. Wierzyła, że tam nie dopadłaby jej żadna depresja, żadne „tego typu bzdury”, jak lekceważąco nazywała swój stan. Przypomniła sobie ostatnie dni spędzone z lizbońskimi przyjaciółmi, Marią i Pedrem. Dawno nie miała od nich wieści, nie wiedziała, gdzie teraz uczą tanga, czy wrócili do Portugalii, czy polecili gdzieś dalej w świat. Zaniedbała tę znajomość. A przecież była dla niej ważna. Nagle zapragnęła znaleźć się w ramionach mężczyzny, z którym tańczyła na barcelońskiej milondze². Tak pięknie mówił o tym, dlaczego chce trzymać ją w ramionach.

² Milonga – tu: wieczór, podczas którego tańczy się wyłącznie tango.

– Wiesz co... – Janusz postawił przed nią kieliszek wina. – Lepiej idź stąd. Odpocznij ode mnie. Sam sobie tutaj poradzę.

– Na pewno? – upewniła się, wstając od stołu.

– Na pewno – potwierdził. – Najwyżej cię zawołam. – Delikatnie popchnął ją w kierunku drzwi.

Przez chwilę zastanawiała się, dokąd iść, aż w końcu wybrała salon. Spojrzała na półkę z płytami, sięgnęła po jedną z nich i włączyła odtwarzacz. Śpiewak załkał. Wspominał dawną miłość... Usiadła w fotelu, podkurczyła nogi. Kieliszek został na obudowie kominka. Nie miała ochoty po niego wstawać. Nie chciała pić. Przypomniła sobie koncert sprzed Barcelony. Szkoła, w której uczyła się tańca, regularnie, raz na pół roku, występowała w teatrze. To zawsze był wielki dzień. Dzień ich triumfu. Wszyscy im gratulowali, wszyscy zazdrościli, że tak tańczą, że te spódnice takie piękne, takie fruujące, że kwiaty we włosach, kolczyki, wielkie *mantony*³, które poddają się ruchowi jak ptasie skrzydła. Jej popisowym numerem była *soleá*⁴... Tylko że wtedy przeżywała nie utraconą miłość, a nieobecność Jacka. Nigdy nie przyszedł, by zobaczyć jej flamenco. Ostentacyjnie je ignorował. Na fiestach zawsze była sama jak palec. Jak żadna z jej koleżanek.

³ *Mantón* – chusta; jedwabna, dwustronnie ręcznie haftowana jedwabnymi nićmi i wykończona długimi, jedwabnymi, ręcznie wiązanymi frędzlami; rekwizyt do flamenco.

⁴ *Soleá* (od hiszp. *soledad* – „osamotnienie, samotność”) – jeden z podstawowych stylów flamenco, nazywany „królową andaluzyjskich pieśni”; oparty na rytmie dwunastkowym, ze skomplikowanym rozliczeniem akcentów; niesie ze sobą nastrój podniosły, melancholijny; wymaga wielkiej wprawy zarówno od śpiewaka, jak i od tancerza/tancerki.

„Na co mi to wszystko? – myślała, wpatrując się w popiół w kominku. – Nie mam już siły. Ani szukać, ani walczyć. Ani wierzyć. Nie robi się tego czterdziestoletnim kobietom! Powinna być za to jakaś kara... Już nic się nie zmieni. Jestem coraz starsza. Nikt nie kocha starych kobiet. Są bez szans”. Poczula, że w kącikach oczu znowu zbierają jej się łzy. Gwałtownie potrząsnęła głową, jakby chciała strącić je ze swojej twarzy. Wstała i przerywając w połowie frazy skargę śpiewaka, wyłączyła płytę.

– Za chwilę wrócą dzieci! – upomniała się głośno i wylała wino na spalone szczapy. – Muszę się

wziąć w garść, jeszcze przez chwilę trzymać fason.

Wróciła do kuchni, by sprawdzić, jak Janusz radzi sobie z obiadem. Wszystko było już gotowe. Po chwili otworzyły się drzwi wejściowe i do domu, jak torpedy, wpadły jej córki. Dostrzegłszy wujka, z piskiem rzuciły się w jego stronę. Matka przestała być ważna. Tym razem to Januszowi opowiadały o swoim dniu w szkole, to jemu pokazywały oceny w zeszytach. A on, dopytując o szczegóły, rozstawiał talerze, rozkładał sztuczce, nakładał jedzenie.

Ewa obserwowała tę scenę z pewnym zdziwieniem. Nigdy nie myślała o Januszu w kategoriach ojca, ani o tym, jak mógłby być w tej roli wspaniały. Nie miał dzieci, ale jakoś nikt nie zastanawiał się dlaczego, i dopiero teraz przyszło jej do głowy, że może niekoniecznie była to świadoma decyzja, jak o tym po cichu czasami mówili w gronie znajomych, że może jednak za rzekomym wygodnictwem kryła się tragedia, o której nikt nic nie wiedział.

Z wdzięcznością przyjęła tę nieoczekiwaną zamianę ról: że to nie ona, ale wreszcie ktoś inny znalazł się w centrum ich rodzinnego świata. Nie tylko obiad upłynął na rozmowach wyłącznie z wujkiem – wykluczono ją także ze zmywania naczyń. Obowiązek, którego nikt nie lubił, zamienił się w pełną śmiechu zabawę. Przez chwilę przyglądała się całej trójce, a potem wycofała się do ogrodu, pod swoje ulubione drzewo.

„A gdyby to on był na miejscu Jacka? – przemknęło jej przez głowę. – Dlaczego nie zwróciłam na niego uwagi? Przecież kiedy na studiach chorowałam, to on przynosił mi jedzenie, nie Jacek... – rozmyślała. – Kochał mnie, a ja nic o tym nie wiedziałam! Przez tyle lat nie miałam o niczym pojęcia! Jakie my, kobiety, jesteśmy głupie – zawyrokowała. – Wystarczy, żeby facet dobrze wyglądał, a już myślimy, że chwyciliśmy Pana Boga za nogi... Przez cały rok nikt nie wiedział, że ja i Jacek jesteśmy parą! – Dopiero teraz dotarło do niej to, o czym niedawno rozmawiali z Januszem. – Faktycznie – przypominała sobie – nie było żadnego przytulania, żadnych publicznych pocałunków, wszystko na odległość. Dlaczego mi to nie przeszkadzało? – Zastanowiła się. – Dlaczego nie słuchałam, kiedy mówiono mi, że kiepski z niego człowiek? Dlaczego udawałam, że jego flirty są bez znaczenia? – Dziwiła się samej sobie. – Broniłam go. Zawsze i wszędzie. I cieszyłam się, że ożenił się ze mną taki przystojny mężczyzna. Co za idiotka! – Nakręcała się coraz bardziej. – A ten przystojny mężczyzna nigdy nie skalał sobie rąk pomocą w domu. Nawet kiedy urodziły się nasze dzieci. Zawsze byłam sama... Janusz... Spojrzała na drzwi, przez które córki wybiegały właśnie do ogrodu. Jaka szkoda, że to nie on był na miejscu Jacka...”.

Janusz stanął w progu z raketkami do badmintonu w rękach.

– Chodź, zagramy! – zawołał do Ewy. – Dziewczynki mają ochotę na mecz. One kontra my.

Nim zdążyła odpowiedzieć, córki już ciągnęły ją za ręce, śmiejąc się i odgrażając, że sprawią im lanie. Ustawili się na trawniku. Ewa szepnęła do Janusza, że całe wieki nie miała paletki w ręce. On puścił do niej oko. Wiadomo, że dziewczynki muszą wygrać, a oni powinni jedynie odegrać rolę mistrzów, którym forma nie dopisuje. Ale początek rzeczywiście był trudny. Miała problem z celowaniem i odbijaniem, o ścinaniu w ogóle nie było mowy. Rozgrzewała się powoli. Janusz za to wygłupiał się jak mały chłopiec. Sapał, krzyczał w uniesieniu, przewracał się, potykając się o własne nogi. Wszyscy zaśmiewali się do łez. Dawno nie było im tak dobrze.

Po skończonym meczu przygotowała lemoniadę, wypili ją na stojąco, na trawie, w zachodzącym już słońcu. W końcu dziewczynki poszły odrabiać lekcje, a ona z Januszem przysiadła na schodach tarasu.

– Ewuniu, czas pogadać o kancelarii. – Janusz odezwał się po chwili.

– Chyba tak... – Spojrzała na niego lekko wystraszonym wzrokiem. – Jakoś trudno mi o tym myśleć – przyznała.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale coś trzeba zrobić. – Zaczął przyglądać się drzewom rosnącym przy płocie. – Jest kilka możliwości: albo ty ją przejmujesz, albo bierzesz kogoś do spółki, albo ją likwidujemy. Osobiście doradzałbym rozwiązanie drugie.

– Ale przecież widzisz – zaproponowała – że do niczego się nie nadaję. Od powrotu z Barcelony nie pracuję i nie potrafię się do tego zmusić.

– Między innymi dlatego zaproponowałem ci lekarza – powiedział spokojnie. – Po to, żebyś wróciła do normalnego funkcjonowania. Pieniądze, które zostawił Jacek, kiedyś się skończą. I co wtedy? Poza tym, chcesz tak właśnie spędzić całe życie? Siedząc w domu i gotując obiady?

– No... nie – przyznała. – Wiadomo, że nie – dodała nieco pewniej.

– Widzisz więc, że trzeba zrobić pierwszy krok. Sprzedanie kancelarii byłoby najprostszym rozwiązaniem, ale trzeba by mieć plan B i gdzieś później zainwestować te pieniądze. Masz jakiś pomysł?

– Nie, nie myślałam o tym – stwierdziła.

– W porządku. Sprzedać zawsze można – uspokoił ją. – Chcesz sama prowadzić kancelarię?

– Absolutnie nie! – Przeraziła się. – Wypadłam z obiegu. Nie, to nie wchodzi w grę! – uznała. – Jest mi dobrze tam, gdzie jestem.

– Tak myślałem. Dlatego proponuję poszukać wspólnika. Miałabyś profity płynące z prestiżu kancelarii, mogłabyś też ewentualnie nią administrować. Nazwisko Jacka pozostałoby w nazwie.

– Tak, to dobry pomysł – przytaknęła. – Jest tylko jeden kłopot: nie znam nikogo, kto chciałby wejść w ten interes.

– Dlatego ja się tym zajmę – oświadczył. – Na pewno znajdzie się ktoś, kto uzna taką propozycję za uśmiech losu.

– Trzeba zrobić remont – postanowiła nagle. – Gust Jacka był koszmarny... Jutro tam zajrzymy, dobrze? – poprosiła.

– Jasne – zgodził się. – A teraz, póki jeszcze nie jest zbyt późno, zadzwoń do lekarza i umów się na wizytę – zaproponował. – Dobrze? – Pocałował ją w czoło, zebrał z trawy paletki i wszedł do domu.

– Tak, tak, jasne – powtórzyła niemal automatycznie. – Remont... – Zamyśliła się. – Ciekawe, jakie niespodzianki czekają tam na mnie... – Rozejrzała się uważnie wokół, jakby to do ogrodu trzeba było umawiać ekipę.

– Co to? Spadł śnieg? – zza pleców usłyszała głos Janusza.

Spojrzała na trawę. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że siedząc tu, darła na kawałki chusteczki higieniczne. Jedną po drugiej. Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w ten sposób. Godzinę? Poczuli się zawstydzona.

– Zarejestrowałem cię – ponownie odezwał się Janusz. – Wizytę masz pojutrze.

– Co? Dlaczego to zrobiłeś?! – Zdenerwowała się. – Prosił cię ktoś? – syknęła.

– Pomyślałem, że tak będzie lepiej – odpowiedział spokojnie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?! – Zagotowało się w niej.

– Uspokój się. Daj sobie po prostu pomóc – poprosił.

– Odczep się! – krzyknęła. – Wynoś się! Wyjedź stąd natychmiast!! – rozkazała.

– Uspokój się, proszę. – Próbował przytrzymać ją za ramiona, ale wyrwała mu się. – To nic nie da – oznajmił. – Doprowadzę wszystko do końca. Tak jak obiecałem. Możesz wściekać się do woli. Na mnie nie robi to już wrażenia.

– Ale ja nie chcę! Rozumiesz?! – krzyknęła ponownie. – Mam dość facetów, którzy urządzają mi życie! Potrafię sama o siebie zadbać! – Nie patrząc już na niego, odwróciła się i wbiegła

do domu, trzaskając mocno drzwiami.

Ochłonęła dopiero w sypialni. Spojrzała w lustro i omiotła wzrokiem swoją twarz, zupełnie jakby widziała ją po raz pierwszy.

– Boże drogi, co się ze mną dzieje? – wyszeptała wystraszona. – Ja wariuję! – Zaczęła płakać. Ci-cho, żeby nikt nie usłyszał, jak skrzywdzone dziecko.

Usiadła w kącie pokoju, na podłodze, podkurczyła nogi, kolana objęła ramionami, na których oparła głowę i pozwoliła, by to nagłe przerażenie wypłynęło z niej niczym niepowstrzymywane. Łkanie ją kołysało. Kilka razy zmieniła pozycję, szukając najwygodniejszej, a może najbezpieczniejszej. Tak, chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo, o bycie jak najdalej od wszystkich i wszystkiego, co mogło zranić. Oparła się o ścianę, po chwili położyła na wykładzinie. Zwinięta w kłębek, w sobie samej szukając pocieszenia. I tylko łzy płynęły niezmiennie, małymi strużkami – po policzkach, po brodzie, powiększając mokrą plamę na bluzce. Smutek spowijał ją i otulał. Nie potrafiła krzyczeć, nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Tłumiona cisza rozsadzała jej skronie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie chciała nikogo widzieć. Pokręciła przecząco głową, jakby można było zobaczyć jej gest. Zasłoniła dłońmi uszy. Pukanie rozległo się ponownie. Delikatne, prawie nieśmiałe.

– Ewo! – Zza drzwi odezwał się Janusz. – Czy wszystko w porządku? Chciałem cię przeprosić – powiedział miękko. – Masz rację, nie powinienem podejmować za ciebie decyzji. Odwołałem lekarza. Pójdiesz, kiedy sama będziesz tego chciała.

„A jednak... – pomyślała rozczarowana. – Jak łatwo się wycofał! Znowu pod moje dyktando”.

– W kuchni czeka na ciebie kolacja – mówił dalej, nie próbując nawet wejść do pokoju. – Dziewczynki już zjadły, teraz poszły się myć. Wszystko pod kontrolą.

– Trzeba im przeczytać książkę – odezwała się mimo woli.

– Dobrze, przeczytam. Nie martw się. I... wyśpij się – zaproponował. – Jutro wyprawię je do szkoły. Dobranoc.

– Dobranoc. Dziękuję – wyszeptała, choć jego już nie było; słyszała, jak odchodził. – Szkoda, że jednak odpuściłeś – dodała z żalem. – Nie wiem, czy sama zadzwonię...

Podniosła się, starła resztki łez z twarzy. Czuła się zmęczona. Zaczęła ściągać z siebie ubranie. Odruchowo spojrzała w lustro.

„Jaka jestem brzydka! – pomyślała zdziwiona. – Jak bardzo się postarzałam... Tak szybko! – Przyglądała się sobie uważnie, analizując każdy widoczny kawałek ciała. – Czy ktoś może jeszcze takie coś pokochać? – Zatrzymała wzrok na piersiach. – Jeszcze kilka miesięcy temu wyglądały inaczej. – Uniosła je dłońmi, stanęła profilem do lustra. – A teraz? – Odwróciła wzrok. – Gdzie ja się podziałam? – Ciężko usiadła na fotelu przy komodzie. – Jacek miał rację, że stąd uciekał – pomyślała. – Ani ciało, ani głowa. Nawet gotować nie umiem za dobrze. – Spojrzała na pierścionek na serdecznym palcu. – I straciłam Paco! – stwierdziła z żalem. – Zamiast cieszyć się z tego, że chciał ze mną być, odstawiałam jakieś głupie pretensje i fochy. Ech – zrezygnowana machnęła ręką – i tak prędzej czy później by mnie zostawił. Janusz... – Zamyśliła się. – On chyba widzi we mnie przeszłość, swoje dawne zakochanie. Bo przecież dziś w kimś takim zakochać by się nie mógł. Co za beznadzieja... I taki uległy! – przypomniała sobie. – Zawsze taki był. Zawsze robił dokładnie to, co chciałam. A przecież to nie na tym polega... Tak, z Jackiem było inaczej, wieczne przepychanki. Nigdy nie mogłam być pewna tego, jak się zachowa. I to do niego przyciągało. Tym wygrywał”.

Podniosła się gwałtownie i pomaszerowała do łazienki, wzięła prysznic i, nie patrząc w lustro, zmyła resztki makijażu. Założyła piżamę, położyła się do łóżka. Zasnęła niemal natychmiast, ale po godzinie obudziła się mokra, zlaną potem. Śnił jej się Jacek. Pijany, szarpał się z nią, mówił ja-

kies okropne, wulgarne słowa. Chciał ją zgwałcić! Bała się, ale nie mogła uciec. Kiedy otworzyła oczy, przerażenie powoli zaczęło ją opuszczać. Długo jednak nie mogła ruszyć się z miejsca... To było takie realne! Zmieniła podkoszulek, przewróciła koldrę na drugą stronę, otworzyła szeroko okno. Nocny chłód podziałał niczym zimny kompres. Trochę się uspokoiła, ale nie zdołała już zasnąć ponownie.

Rano nie była nawet w stanie wstać z łóżka, a co dopiero wyjść z pokoju czy zrobić cokolwiek, ale nie widziała też sensu w przymuszaniu się do najmniejszego choćby wysiłku – jakby pojawienie się Janusza w domu zdjęło z niej wszelkie obowiązki. Jego pomoc pozbawiała ją motywacji do „brania się w garść”. Zapadała się w sobie i nikt jej w tym nie przeszkadzał. Dzieci były w szkole, a Janusz tylko raz zapytał, nie wchodząc do pokoju, czy czegoś nie potrzebuje i zostawił pod drzwiami tacę z jedzeniem. Nie czuła głodu. Leżała. Chciała zniknąć. Kiedy nie zapadała w sen, pojawiały się złe myśli – była bliska znienawidzenia samej siebie. Zamykała więc oczy i próbowała niczego nie zatrzymywać w sobie: żadnego słowa, żadnego obrazu, żadnego wspomnienia. Przespała powrót córek. Słyszała, jak Janusz powstrzymywał je przed wtargnięciem do sypialni, tłumacząc, że boli ją głowa. Była mu za to wdzięczna, nie potrafiłaby wykrzesać z siebie choćby minimalnego zainteresowania ich problemami. Obojętność – to słowo, które ją teraz najlepiej określało.

Kolejna noc była podobna do poprzedniej: koszmary, mokre od potu ciało i zmęczenie zamiast odpoczynku. Janusz nadal zajmował się wszystkim, bez wyrzutów sumienia pozostawiała więc za zamkniętymi drzwiami. Jednak wieczorem, nieoczekiwanie, kiedy dzieci poszły już spać, stanął w progu.

- Co zamierzasz? – Postawił tacę z jedzeniem na komodzie i przysiadł na brzegu łóżka.
- O co ci chodzi? – Udała, że nie rozumie.
- Nie mogę siedzieć tu w nieskończoność – zaczął wyjaśniać.
- Przecież nie musisz! – odburknęła, nagle poirytowana.
- A jesteś w stanie zająć się domem i córkami? – zapytał, patrząc jej w oczy. – Od dwóch dni kłamie, że chorujesz, od dwóch dni nie wychodzisz z pokoju, od dwóch dni nie jesz...
- Nie jestem głodna – przerwała mu. – Boli mnie głowa.
- Mieliśmy pojechać do kancelarii – kontynuował, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała. – Miałem poszukać kogoś, kto by ją poprowadził, a tymczasem gotuję, odwożę i odbieram ze szkoły twoje dzieci, i wystaję pod drzwiami twojej sypialni, nasłuchując, czy jeszcze żyjesz. Nie szanujesz nie tylko siebie, ale i nas.
- Naprawdę źle się czuję... – próbowała się usprawiedliwiać.
- Gdybyś szanowała, poszłabyś do lekarza – ciągnął, nadal jej nie słuchając. – Twoje dzieci potrzebują matki. Nie wujka, tylko matki – tłumaczył. – Twojego czytania książek na dobranoc, twojego przytulania, twojego zainteresowania. Ola ma jakiś problem, o którym nie chce mi powiedzieć.
- Ola?! – zareagowała gwałtownie. – Co się stało?!
- No właśnie nie wiem. A nie mogę zbyt mocno naciskać.

Przez chwilę siedziała wyprostowana, pocierając dłonią czoło, przeczesując palcami włosy i omiatając wzrokiem przestrzeń wokół siebie. Jakby z któregoś kąta pokoju miał nadejść ratunek.

- Chyba jestem chora – odezwała się w końcu. – To nie brak szacunku, tylko strach. Myślę, że to depresja. Leczyłam się już na nią. Rozpadłam się, kiedy podpisaliśmy z Jackiem rozdzielenie majątkową. To on jej chciał. Taka była cena za separację zamiast rozwodu. Ja upierałam się przy separacji, on chciał wszystko zniszczyć... Miałam nadzieję, że dam sobie radę. Jeszcze dwa dni temu

byłam tego pewna... Wiem, że muszę iść do lekarza – tłumaczyła dalej wyzuta z emocji – ale boję się i nie mam siły. Nie mam siły sięgnąć po telefon i zadzwonić. Nie mam siły zwlec się z łóżka, wyjść stąd. Boję się lekarza. Rozumiesz? Pomóż mi... – wyszeptała.

W nagłym odruchu przygarnął ją do siebie. Była taka biedna, taka krucha, że bał się ją mocniej przytulić. Pozwolił, by swobodnie oparła się na jego torsie. Po chwili poczuł, że koszula na jego piersi robi się mokra. Ewa znowu płakała. Jednak inaczej niż poprzednio. To nie było już bolesne łkanie, ale ciche, spokojne łzy człowieka bezradnego, kogoś, kto nie chce już o nic walczyć.

– Pomogę ci – odezwał się cicho. – Nie martw się, nie zostaniesz sama... – Czule gładził ją po plecach. – A teraz chodź, pójdziemy się umyć – zaproponował, kiedy płacz już prawie ustał. – Dobrze ci to zrobi.

Zaprowadził ją do łazienki, rozebrał, umył pod prysznicem jak małe dziecko, tak delikatnie opłukując wodą jej ciało, jakby mięśnięcia gąbki mogły boleć. Poszukał czystej piżamy, a potem nakłonił ją, by zjadła choć odrobinę z przygotowanej kolacji. Został z nią, aż zasypiając, rozluźniła uścisk dłoni na jego ręce.

W środku nocy obudziła się wystraszona. Przypomniały jej się słowa Janusza, że Ola ma jakieś zmartwienie. Jak ma jej pomóc, skoro sama nie radzi sobie ze swoimi kłopotami? Jak temu wszystkiemu sprostać? Siedziała na łóżku i nerwowo zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Z każdą upływającą minutą problem zdawał się jej coraz większy i bardziej przytłaczający; nie znajdowała żadnego rozwiązania. Zaczęła krążyć po pokoju, jakby ruch mógł pomóc ułożyć wszystko w głowie w należyty porządku. W końcu zmęczona położyła się i zamknęła oczy, a kiedy je ponownie otworzyła, pokój zalewało słońce. Obok niej, z tacą na kolanach, siedział Janusz. Wzrokiem zapraszał ją do jedzenia. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, sięgając po tost i kawę.

– Umówiłem cię ponownie do lekarza – odezwał się, gdy przełknęła kilka pierwszych kęsów. – Masz wizytę za dwie godziny.

– Już dzisiaj?! – zdziwiła się.

– A jest na co czekać? – zapytał.

– Nie dam rady. Boję się. – Czują, że ogarnia ją panika.

– Czego? – Uśmiechnął się życzliwie. – Rozmowy?

– Nie... – Wzięła głęboki oddech. – Tabletek... Poprzednio przez pierwsze dni bardzo źle się po nich czułam. Nie chcę znowu przez to przechodzić.

– Poproś o inne. I nie martw się na zapas. Poza tym nie zostawię cię samej – uspokajał. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

– Musi być. – Pokiwała głową bez przekonania. – Nie jest mi dobrze z taką mną...

Znowu miała zadanie do wykonania. Musiała zebrać się w sobie. Wstała i wyszykowała się do wyjścia. Umyła włosy, założyła sukienkę, zrobiła lekki makijaż. Kto by się domyślił, że coś jej dolega? Zresztą, niejeden wzgardliwie wzruszyłby na to wszystko ramionami i stwierdził, że to z braku roboty przewróciło jej się w głowie, że gdyby musiała codziennie ciężko pracować fizycznie, najlepiej od rana do nocy, nie miałaby czasu na roztkliwianie się nad sobą... Z żalem pomyślała o tym, że Jacek w ogóle nie zauważał jej choroby. Mimo że w pierwszym tygodniu zażywania tabletek w ogóle nie wstawała z łóżka, nawet nie zapytał, czy nie potrzebuje pomocy... Dobrze, że tym razem miała przy sobie kogoś innego.

Kiedy wsiadła do samochodu, poczuła, że ze zdenerwowania zasycha jej w gardle. Będzie musiała o wszystkim opowiedzieć... Od czego ma zacząć? Przecież to nie jedno konkretne wydarzenie sprawia, że przestaje nam zależeć na życiu. Przecież to nie jest tak, że ktoś nakłuwa nas szpilką

i przez tę jedną jedyną dziurkę, jak z balonika, wylatuje całe powietrze. Tych dziurek jest tyle, że człowiek czuje się jak wylęgarnia moli. Jedne większe, drugie mniejsze – ale która z nich jest tą najważniejszą? Bo wcale niekoniecznie ta największa. Taką łatwo zakleić. Najbardziej podstępne są te mikroskopijne. Nie rzucają się w oczy, a sączy się przez nie nieustająco ta resztką energii, która nam została. I nagle nie masz siły podnieść ręki, zrobić kolejnego kroku. Mimo że plastry na największych dziurach mocno trzymają. Tak, wbrew pozorom najbardziej bolesne nie musiały być wcale kataklizmy przetaczające się przez świat z siłą tsunami; to mogła być uroniona łza, głupie słowo, pozornie nic nieznaczący gest. I jak to wszystko uporządkować? Jak nazwać? Dwa miesiące staczania się w nicość. Od powrotu z Barcelony. A może wszystko zaczęło się już wcześniej? Może pierwsza kuracja była właśnie tylko plastrem, podczas gdy należało wszystkie rany mocno pozszywać? Może nie zabiłszy się, bo były głębsze, niż się wydawało?

Zjawiała się sporo przed czasem, usiadła więc w pustej poczekalni. Na stoliku leżały ulotki dotyczące różnych psychoterapii. Nie było tu żadnych kolorowych pism, które pozwoliłyby choć na chwilę oderwać się od własnych problemów. Za biurkiem młoda dziewczyna uparcie wpatrywała się w ekran komputera i w regularnych odstępach czasu klikała myszką. Może układała pasjansa? W każdym razie to, co robiła, pochłaniało ją bez reszty. Z dużą niechęcią podniosła się ze swojego miejsca, by spełnić prośbę Ewy i podać jej wodę. Bez słowa postawiła ją na stoliku i wróciła do przerwanej czynności. Ewa, sięgając po szklanke, zauważyła, że ma do krwi podrapaną lewą rękę, nieco powyżej nadgarstka. Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy to zrobiła. Zdziwiła się nieco i wystraszyła. Pierwszy raz coś działo się całkowicie poza jej kontrolą.

W gabinecie przywitała ją elegancka kobieta, dość młoda, mniej więcej w jej wieku. Usiadły na fotelach przy małym stoliku. Przed Ewą natychmiast pojawiła się filiżanka kawy. Pokój był ciepły, przytulny, urządzone tak, by sprzyjał rozmowom. Żadnej kozetki, żadnego wielkiego biurka i starych mebli. Ot, spotkanie przyjaciółek. Kobieta położyła na swoich kolanach podkładkę z czystymi kartkami, wzięła do ręki ołówek. Nie przestawała się uśmiechać. Rozmawiały o tym, czym Ewa zajmuje się zawodowo i czym poza godzinami pracy, ile ma lat, czy jest matką, jak trafiła do tego gabinetu. Dopiero po kilkunastu minutach padło pytanie o powód wizyty.

Nie obyło się bez łez. Same napływały jej do oczu. Mówiła. O wszystkim. O Jacku, o Paco, o flamenco, o Barcelonie i Lizbonie, o Januszu, o psie, o sensie i bezsensie. Bez oporów. Przed obcymi łatwiej się otworzyć. Kobieta z rzadka zadawała pytania. Słuchała. Intensywnie i życzliwie. Tak, jakby sama przeszła podobną drogę i doskonale rozumiała, co Ewa czuje. Nie mówiła: „Jakoś to będzie”, powiedziała tylko: „Potrzebujemy czasu i cierpliwości”.

– Pani już raz się leczyła, więc sama najlepiej potrafi ocenić własne siły – powiedziała. – Wydaje mi się, że powinniśmy wrócić do tabletek, ale to pani zadecyduje, kiedy zacząć je zażywać – stwierdziła. – Przepiszę inne, skoro po tamtych źle się pani czuła. Działają podobnie. Podnoszą poziom serotoniny. A to pozwoli pani szybciej dostrzec dobre strony życia, ułatwi konfrontację z bieżącymi problemami. Bo nie radzimy sobie z nimi głównie dlatego, że skupiamy się przede wszystkim na trudnościach w ich rozwiązywaniu. Sami jakby „programujemy” się na wyszukiwanie przeszkód. Tabletki, o czym wie pani już z poprzedniego doświadczenia – tłumaczyła nadal – nie będą działać na zasadzie „różowych okularów”, one po prostu pozwolą szybciej wrócić do siebie sprzed choroby. Pani jest z natury optymistką, więc będzie nieco łatwiej... Zaczną działać – kontynuowała, wypisując przy tym receptę – po trzech, może czterech tygodniach. Proszę nie odmawiać sobie przyjemności, niech pani wróci do tańca. To świetna terapia. Też podnosi poziom serotoniny – uśmiechnęła się. – No i taniec jest dla pani ważny.

– A terapia? – zapytała cicho Ewa.

– Na razie musi pani zacząć racjonalnie myśleć i wyciszyć złe emocje. Wrócimy do tego tematu przy kolejnym spotkaniu, za miesiąc, kiedy zacznie już pani brać leki. Gdyby coś się działo, proszę dzwonić. O każdej porze dnia i nocy. To mój numer prywatny – podała Ewie wizytówkę. – Namawiam jednak – kontynuowała – aby zaczęła pani od tańca. Tabletki będzie pani miała pod ręką. Przy nawrocie choroby leczenie trwa zazwyczaj około dwóch lat. Pani jest dopiero na początku tej drogi, warto więc sprawdzić, czy można pomóc sobie inaczej. Depresja niejedno ma imię – dodała – i bardzo trudno jednoznacznie ją zdiagnozować. Pani wiele przeszła i ma prawo czuć się tak, jak się czuje. Proszę siebie obserwować.

Ewa wyszła z gabinetu znacznie spokojniejsza. Jakby już samo spotkanie ją uzdrowiło. Natychmiast uwierzyła, że może być tylko lepiej. Ledwo wsiadła do samochodu, na jej kolanach wylądował bukiet róż. Żółtych. Dokładnie takich, jakie dostawała kiedyś od Paco. Wstrząsnęło nią to skojarzenie, ale przecież Janusz nie mógł wiedzieć, że właśnie rozdrapał największą, ciągle niezagojoną ranę. Uśmiechnęła się, dziękując mu za prezent. Przyglądał się jej, milcząc; czekał na wieści. Raz zerknął na jej pokiereszowaną rękę i nie udało mu się ukryć zdziwienia, ale o nic nie zapytał.

– Będzie dobrze – powiedziała w końcu spokojnie. – To wspaniała kobieta. Dziękuję ci. A to – wskazała na nadgarstek – nic takiego. Nerwy.

– Cieszę się – odparł z ulgą. – To dokąd teraz? Do kawiarni, żeby to uczcić?

– Nie, uczcimy w domu. Jedźmy do sklepu, bo w lodówce pewnie pustki – zaproponowała. – A potem po dziewczynki. No i do apteki – dodała.

Zrobili jak chciała i już godzinę później czekali na szkolnym parkingu na koniec lekcji. Dziewczynki niespiesznie szły w ich kierunku otoczone koleżankami. Olę rzeczywiście coś gnębiło. Przez całą drogę, poza zdawkowym „cześć”, nie odezwała się ani słowem. Za to Ani buzia prawie się nie zamykała. Trajkotała bez przerwy, aż do obiadu. Ewę drażniło to coraz bardziej, ale z uśmiechem słuchała szkolnych opowieści, czasami tylko tracąc wątek.

Do obiadu Janusz otworzył butelkę *cavy*⁵, by uczcić – jak powiedział – powrót Ewy do zdrowia. Ania nadal szczebiotała radośnie, Ola natomiast siedziała zatopiona we własnych myślach. Owszem, odpowiadała na pytania, ale poza tym nie włączała się do rozmowy. Pozostali zgodnie udawali, że niczego nie zauważają, kiedy jednak Ania i Janusz pojechali na lody, Ewa miała wreszcie szansę, by dowiedzieć się, co się dzieje. Najpierw usłyszała, że nic, że coś się jej przewidziało, ale w końcu tama pękła.

⁵ *Cava* (czyt. caba) – wino musujące produkowane w Katalonii, wytwarzane metodą wielokrotnej fermentacji, jak tradycyjny szampan, i z tego powodu nazywane „katalońskim szampanem”.

– Czy to prawda, że nie chciałaś wracać z Barcelony? – zapytała Ola ze łzami w oczach.

– Kto ci to powiedział? Skąd ten pomysł? – zdziwiła się.

– Ale czy to prawda?! – powtórzyła z naciskiem dziewczynka.

– Nie! – odpowiedziała stanowczo. – Jak w ogóle coś takiego mogło ci przyjść do głowy?!

– To dlaczego ciągle przekładałaś powrót?

– Kto ci to powiedział? – zapytała Ewa, próbując opanować zdenerwowanie. – Sabina? Takie bzdury usłyszała na pewno w domu... Olu – zwróciła się do córki najspokojniej, jak tylko potrafiła – siedziałam w Hiszpanii tak długo, bo były po temu warunki. Korzystałam z okazji. Pisałam wam, że poznane w Barcelonie małżeństwo zaprosiło mnie do siebie, do Andaluzji. Twój tata się zgodził. Miałam wracać mniej więcej w tym czasie, kiedy... wróciłam. Zaledwie kilka dni później... Jak mogłabym was porzucić?

– Nie wiem – odparła Ola, płacząc.

– Przytul się do mnie, chodź, wytrzyj oczy – zaproponowała. – Kochanie, kiedy ludzie mówią coś

złego o innych, najczęściej mają w tym jakiś interes – zaczęła wyjaśniać. – Rodziców Sabiny wykreśliłam z listy znajomych po odejściu Luny. Pamiętasz? Mówiłam wam wtedy, że warto patrzeć, jak ludzie zachowują się wobec zwierząt, jeśli chce się wiedzieć, z kim naprawdę ma się do czynienia. Widocznie rodzice Sabiny czują się bardzo urażeni. Kilka razy próbowali kontaktować się ze mną telefonicznie, ale nie odbierałam i nigdy nie oddzwoniłam. No to zaczęli snuć bzdurne opowieści... Czy tylko z tego powodu nie odzywałaś się od kilku dni?

– Skąd wiesz, że od kilku dni? Przecież nie wychodziłaś z pokoju! – Ola była szczerze zdziwiona.

– Kochanie – przytuliła córkę mocno – to, że nie wychodziłam, nie znaczy, że mnie nie było. Nigdy bym was nie opuściła – powtórzyła z mocą. – I to się nigdy nie zdarzy. Za bardzo was kocham. – Pocałowała ją w policzek.

Przez kilka minut po prostu siedziały wtulone w siebie. Każda po swojemu próbowała przetrwać dopiero co skończoną rozmowę. Ewa rozmyślała o kłamstwie, do którego się uciekła, by uratować więź z dzieckiem, Ola o tym, że usłyszane słowa równie dobrze mogły być lub nie być prawdą. Nie do końca ufała matce, ale postanowiła jej uwierzyć, i nie zajmować się tym więcej. Ewa czuła się zmęczona i przybita.

„Przyjaciele... – myślała. – Niech to szlag! Wystarczy spotkać się kilka razy na imprezie, wypić trochę wódki i już się nam wydaje, że jesteśmy sobie bliscy, że znamy kogoś na wylot i mamy prawo do wystawiania mu ocen. I to chlapanie jęzorem bez myślenia o konsekwencjach! Pewnie Jacek zastanawiał się przy nich, czy wróć... Też myślał, że to przyjaciele...”

Poszła do swojej sypialni. Spojrzała na leżący na komodzie telefon: kilka nieodebranych połączeń od siostry. Zadzwoiła.

– Przepraszam cię – zaczęła się usprawiedliwiać – ale źle się ostatnio czułam i miałam wyciszoną komórkę...

– Co się dzieje? Coś poważnego? – zaniepokoiła się Maria.

– Wszystko jest już pod kontrolą – próbowała zajątkować. – Czy coś się stało, że dzwoniłaś?

– Nie, tylko byłam ciekawa, jak wizyta Janusza... – wyjaśniła siostra.

– W porządku – skwitowała Ewa. – Pogadamy, jak przyjedziesz. No właśnie, przyjeżdżasz w ten weekend?

– Tak, chciałam cię właśnie uprzedzić. Będę jutro wieczorem. Pasuje?

– Świetnie. – Ewa lekko się przestraszyła. – Już nie mogę się doczekać – skłamała. – Mam wyjechać po ciebie na dworzec?

– Nie, nie trzeba. Dam sobie radę. To do jutra! – Rozłączyła się.

– Jeszcze tylko jej tutaj brakowało – zmartwiła się Ewa. – Ona, Janusz, dziewczynki, i ja w tym wszystkim. Boże! – jęknęła.

Zeszła na dół. Janusz walczył w ogrodzie z kosiarką, próbując ją odpalić.

– Nie wiesz, co się z nią stało? – zapytał, gdy stanęła obok niego. – Kiedy ostatni raz jej używałaś?

– Nie pamiętam – przyznała szczerze. – Chyba ty to robiłeś? Jakoś po pogrzebie...

– No to musiało się coś zapchać. Może się uda... – Przewrócił kosiarkę na bok i zaczął czyścić spód z zaschniętej trawy.

– Wiesz, właśnie rozmawiałam z Marią, moją siostrą – odezwała się po chwili.

– Tak? – zainteresował się. – Co u niej?

– Nie wiem – stwierdziła. – Chyba wszystko dobrze. Będziesz mógł sam ją o to zapytać. Przyjeżdża jutro.

– Jutro? – spojrzał na Ewę. – I do kiedy zostanie?

– Chyba jak zawsze, cały weekend.

– To dobrze się składa. – Uśmiechnął się. – W takim razie jutro wracam do siebie.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Ewuniu – uśmiechnął się ponownie uradowany jej reakcją – muszę sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku, czy pan Franek nie umarł z głodu, pilnując mojej chałupy, czy klienci nie dobijają się do mnie zbyt natarczywie – tłumaczył. – Nie wyjeżdżałbym, gdybyś miała zostać sama, ale skoro będziesz z siostrą, mogę jechać bez obaw. Będę z powrotem w poniedziałek. Jak ona wyjedzie. A teraz – machnął ręką, jakby chciał ją przegonić – uciekaj stąd, bo muszę zrobić wam porządek w ogrodzie. – Wrócił do majstrowania przy kosiarce.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się, jak pracuje. Kiedy rozległ się warkot silnika, wróciła do domu. Ola i Ania zamknęły się w swoich pokojach. Nie miała już nic do roboty.

Rozdział II

JANUSZ

Piądziernik skrzył się w słońcu, złocił i czerwienił; był tak gorący, jakby wyrastał ze środka lata, a nie z jesieni. Janusz podwinął rękawy koszuli, wierzchem dłoni przetarł spocone czoło i mocno napinając mięśnie ramion, zaczął wiosłami popychać łódkę w kierunku pomostu. Kiedyś, lata temu, postanowił, że tak właśnie będzie wyglądał jego codzienny trening: najpierw przeprawa przez jezioro, a potem jeszcze jazda rowerem po piaszczystej drodze po zakupy w wiejskim sklepie. Choćby to miała być tylko butelka wody gazowanej. Wszystko jedno. Potrzebował celu, by nadać jakiś dodatkowy sens temu wysiłkowi. Bez niego miałby poczucie marnowanego czasu, nawet gdyby do znudzenia powtarzał sobie, że to niezbędne dla zdrowia.

Dziś był bardziej zmęczony niż zwykle. Upał go wykańczał. Nie mógł się już doczekać pory deszczowej: wyciągnie łódkę na piach i będzie miał spokój ze wszystkim przez kilka miesięcy, bez szukania usprawiedliwień dla fizycznego lenistwa. Zdecydowanie nie lubił takiego katowania samego siebie. Odwrócił głowę, by sprawdzić, ile musi jeszcze przepłynąć.

– Panie Franku – krzyknął, zobaczywszy na brzegu sąsiada – niech pan zaczeka!

Pan Franek odwrócił się w jego stronę, zdjął z głowy kapelusz i pomachał nim na znak, że usłyszał. Chwilę jeszcze stał na swoim miejscu, a potem powoli ruszył w kierunku pomostu. Janusz tymczasem dopłynął, przywiązał łódkę do palika i wyciągnął rower.

– Dzień dobry, panie Franku – przywitał się, zarzucając na ramię sakwę z zakupami. – Jak tam ryby? Udało się coś złowić? – Uścisnął rękę sąsiadowi.

– Sama drobnica! – Pan Franek był szczerze zmartwiony. – Uwierzy pan? Z całego dnia tylko dwa okonie na patelnię. Resztę wrzuciłem z powrotem do wody. Uciekły od nas ryby, panie Januszu. I ja nie wiem dlaczego.

– No, jak pan nie wie, to chyba nikt nie wie... A już myślałem, że odsprzeda mi pan dzisiaj parę sztuk. Nie trudno! – Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, poczęstował pana Franka, sam też zapalił. – Mam do pana prośbę – odezwał się po chwili. – Nie spojrzalby pan na moją chałupę? Muszę wyjechać na kilka dni. Niby alarm podłączony, ale nie ma to jak oko sąsiada.

– Jasne. – Pan Franek się uśmiechnął. – To przecież nic nie kosztuje. Numeru komórki pan nie zmienił? Pytam na wszelki wypadek.

– Nie, wszystko po staremu. Wejdzie pan na kieliszeczek?

– No, nie odmówię. – Pan Franek zgodził się z ochotą.

Od domu dzieliło ich zaledwie parę kroków. Nie odzywając się do siebie, zaciągali się dymem papierosowym, zupełnie jak dzieciaki kryjące się przed rodzicami – pospiesznie i zachłannie. Niedopałki rzucili pod nogi, przydeptali. Janusz oparł rower o ścianę budynku, otworzył drzwi, przepuścił gościa przodem. Usiedli w kuchni przy dużym stole przykrytym starą ceratą. Pan Franek ro-

zejrzał się po izbie, potarł kolana dłońmi. Wyraźnie czuł się skrępowany. Janusz rozstawił talerze, kieliszki, szybko uszykował kanapki z kiełbasą, z salonu przyniósł butelkę koniaku.

– Koniak? – zdziwił się pan Franek. – A nie ma pan czegoś bardziej dla ludzi?

– No, nie mam. – Janusz zaczął się śmiać. – A co, nie lubi pan?

– Nie no, lubię. Tylko to drogie – westchnął ciężko. – Szkoda marnować – dodał.

– Panie Franku – Janusz wyrównał ilość alkoholu w obu kieliszkach – a z kim mam pić takie rzeczy, jak nie z sąsiadem? Pana zdrowie! – Wzniósł toast.

– I pana! – dopowiedział pan Franek i wypił wszystko na raz. – A pan tu jak pustelnik – zaczął, wytarłszy usta wierzchem dłoni i ponownie rozglądając się wokół siebie. – Nieraz tak rozmawiamy z moją Ołą, że przydałaby się panu kobieta jakaś. Wiemy, pani Halinka była superbabka, ciężko pewnie znaleźć taką drugą, ale... Ile to już lat, panie Januszu? Człowiek nie może żyć tak sam. Bo dziczeje.

– Ma pan rację, ale jakoś nie trafiłem na właściwą.

– Och, bo szuka pan nie wiadomo kogo – zachnął się pan Franek. – Moja Ola też nie była tą, o której marzyłem, ale wiedziałem, że dobra jest, robotna... Wiem, że wy, miastowi, w kółko o miłości gadacie. Ale to są jakieś dyrdymały. Miłość jest i mija. A żyć trzeba. Najważniejsze, to mieć do kogo gębę otworzyć. – Zadumał się. – I przytulić się... to też – dodał po chwili.

– No i właśnie z tą gębą najtrudniej... – Janusz sięgnął po kieliszek. – Miałem kilka kobiet, ale jakoś z gadaniem nam nie szło...

– Panie Januszu, jest gadanie i gadanie – stwierdził poważnie pan Franek. – Filozofować to pan może z kumplami, a jak pan chce więcej mądrości, to książkę przeczytać, pójść na spotkanie z jakim pisarzem, a z kobietą gadać trzeba o życiu. Też jest tu wiele do mówienia. Na spacer pójść, film obejrzeć w telewizorze... Za dużo pan chce. Dlatego nie wychodzi – podsumował i znów wypił koniak jednym haustem.

Janusz sięgnął po butelkę, ale pan Franek zakrył dłonią kieliszek i pokręcił głową.

– Wie pan co... – zwrócił się do Janusza, po raz kolejny wodząc oczyma po kuchni – ja się tu przeniosę, jak pana nie będzie. Ma pan łóżko polowe? Ustawi się je przy oknie i już. A ciemna chałupa nie będzie nikogo kusiła. Nawet jak alarm zadziała, to nim tu ktoś przyjedzie, wszystko zdążą wynieść.

– Może pan spać w pokoju gościnnym – zaproponował Janusz. – Ale co powie na to żona? – zre-flektował się po chwili.

– A co ma mówić? – Pan Franek nie krył zdziwienia. – My już w tym wieku, że nie musimy codziennie iść razem do łóżka. Będzie miała wakacje ode mnie. Jeszcze panu podziękuje – dodał, uśmiechając się porozumiewawczo.

– No dobrze, skoro pan tak mówi! – Janusz podniósł się z miejsca. – Wyjeżdżam jutro po południu, przedtem zapełnię lodówkę, żeby miał pan co jeść. Niestety nie wiem, czy wrócę za trzy dni, czy za tydzień... Jakby pan czegoś potrzebował, proszę się nie krępować. Zostawię trochę pieniędzy. Później się rozliczymy, dobrze? – Podszedł do narożnej szafki, wysunął jedną szufladę, poszperał w niej chwilę i wrócił do stołu z kluczami. – To dla pana. Zamykam na górny i dolny zamek. Alarmu w takim razie nie będę włączał.

Pan Franek wstał, schował klucze do kieszeni i sięgnął po kapelusz leżący na krześle obok.

– Nie, nie trzeba, bo jeszcze mnie wezmą za złodzieja – skwitował. – Będę jakoś o trzeciej, zostanę aż do pana powrotu... Dziękuję za koniak. To rzeczywiście dobra rzecz. Pewnie trzeba go pić powoli, po łyeczku, jak pan, ale ja tak nie umiem – dodał usprawiedliwiająco i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Janusz sięgnął po kieliszek, podniósł go na wysokość oczu i przyjrzał mu się uważnie. Przez chwilę przechylał go w każdą stronę, obserwując, jak załamuje się w nim światło. W końcu przystawił naczynie do ust i po krótkim wahaniu wypił, jak pan Franek, na raz.

– Nie, tak nie należy obchodzić się z koniakiem – stwierdził, krzywiąc się i wydmuchując z ust palące powietrze. – Nie ma w tym żadnej przyjemności.

Ugryzł kawałek chleba, poczuł ulgę. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się druga.

– Trzeba zadzwonić do Ewy – westchnął ciężko. – Minęło tyle lat, a ja nadal jak gówniarz, ciągle z drzeniem rąk... Nawet Halinka tego nie zmieniła.

Chwilę pochodził od ściany do ściany, przysiadł na stołku, wstał, znowu usiadł. W końcu sięgnął po telefon, wybrał numer. Ewa odezwała się niemal natychmiast. Nie był na to przygotowany – wystraszył się i bez zwyczajowego „dzień dobry” od razu zakomunikował, że przyjedzie nazajutrz, bo trzeba w końcu zrobić coś z kancelarią, i że zostanie tak długo, jak będzie trzeba. Ale wtedy Ewie głos zaczął się łamać, musiał jej ostro przerwać, by się nie rozplakała. Zrozumiał, że potrzebuje go nie tylko jako kolegi. Tylko po co pytała, dlaczego chce jej pomóc? Kompletnie go tym zmroziła. Czy o wszystkim trzeba mówić wprost? Czy wszystko trzeba nazywać po imieniu? Przez moment miał ochotę wycofać się, ale oczywiście pojedzie, nie ma innego wyjścia. W imię starej przyjaźni. Trudno. Tak widać musi być. Ona nie dla niego. Jak kiedyś. Jak zawsze.

– Ciekawe, czy Halinka wiedziała? – Zamyślił się po rozmowie z Ewą. – Nigdy o nic nie pytała, nigdy się nie skarżyła... Chyba nie było nam ze sobą źle? – Przeczesał nerwowo dłońmi włosy. – Dobrze, nie ma co dumać nad przeszłością – zakończył. – Nie da się już zmienić tu niczego.

Wypił z kieliszka ostatnie krople koniaku i wyszedł na dwór. Słońce na chwilę go oślepiło. Ciągle utrzymujący się upał odbierał ochotę do pracy, ale skoro planował wyjechać na nie wiadomo jak długo, musiał wyciągnąć łódkę na brzeg, przykryć plandeką na wypadek, gdyby pogoda się zmieniła i nagle przyszedł czas jesiennych deszczy. Kiedy skończył, koszulę mógł wykręcać jak świeżo wyjętą z prania. Ściągnął ją, rzucił na ławkę przy domu, a potem pochował wszystko, co mogło kusić ewentualnych amatorów cudzego mienia. Począł, aż zaczęło zmierzchać, i dopiero wtedy pojechał do miasteczka po zakupy, żeby pan Franek nie umierał z głodu. Dzień dobiegł końca.

Od śmierci Jacka nie przestawał myśleć o ich ostatnim spotkaniu – tutaj, na tym odludziu. Nie, nie chodziło o Agatę – młodą dziewczynę, z którą tamten przyjechał. Dziwił się jego wyborowi, ale rozumiał, że fascynacja potrafi zmienić optykę. Wady stają się zaletami, a to, co u poprzedniej partnerki irytowało, u nowej nie przeszkadza ani trochę. Rozmawiali o tym. Miał wrażenie, że Jackowi powoli zaczął mijać zachwyty nad młodością dziewczyny i poważnie zastanawiał się nad powrotem do Ewy. Ale nie zdążył tego zrobić, bo wdał się w jakąś awanturę albo przypadkiem znalazł się na linii ciosu, tak czy inaczej, odszedł, nim udało mu się uporządkować swoje sprawy rodzinne.

Od tamtego czasu Janusz nie miał żadnego kontaktu z Agatą, ale też nie martwił się o nią. Była młoda i nawet jeśli kochała Jacka, szybko ułoży sobie życie na nowo, tego był pewien. Co do jej uczuć żywił spore wątpliwości – jakoś nie potrafił uwierzyć w ich szczerą przy tak dużej różnicy wieku i statusu majątkowego. Co prawda miał wśród znajomych podobną parę, nawet szczęśliwą, ale to był wyjątek od reguły, jak powtarzał, nic więcej. A Ewa? Nie umiał wyobrazić sobie jej życia z kimś nowym u boku. Zwłaszcza że wiedział, jak kochała Jacka. Świata poza nim nie widziała. Mimo że nigdy nie był wobec niej w pełni lojalny. Przyjaciele informowali ją o tym, ale ona za każdym razem znajdowała wytłumaczenie i szybko przebaczała każde świństwo. Wyrazem miłości miał być fakt, że Jacek wracał... O ich rozstaniu dowiedział się przypadkiem, bo kontakty między

nimi wtedy mocno już się poluzowały. Po prostu po śmierci Halinki zmienił krąg znajomych, odciął się od wspomnień, próbował ułożyć sobie wszystko od nowa, ale – jak się okazało – nie odizolował się od przeszłości zbyt szczelnie i czasem coś do niego docierało, chociażby ta wiadomość o separacji dawnych przyjaciół.

Kiedy przeczytał w gazecie o śmierci Jacka, natychmiast zadzwonił do Ewy i zaoferował pomoc. Było to naturalne. Mimo że nie widzieli się od ładnych paru lat. Zawiózł ją razem z córkami na pogrzeb, przywiózł z powrotem, zajął się papierami w kancelarii, poprosił o pomoc zaufanych prawników. Przegadał z Ewą kilka nocy. Czuł się jak za dawnych lat, bo ta kobieta umiała – jak zwykle – powtarzać – łątać „czasowe dziury”. Bez wysiłku zaczęli więc tę część swojej historii w punkcie, w którym zakończyli ją kiedyś. Zamrożone uczucia odtajały. Ale prawda była też i taka, że potem nie dzwoniła, nie szukała z nim kontaktu. To on czuł się w obowiązku dowiadywać się, jak sobie radzi. Pisał maile, esemesował, dzwonił...

O tym wszystkim myślał teraz, jadąc do niej. Bał się tego spotkania. Mogło się wydarzyć wszystko. Albo nic. Niczego nie umiał przewidzieć. Ewa była zmienna w swoich emocjach: miła, a po chwili rozdrażniona, opryskliwa, nieprzyjemna. Nie wiedział, na czym stoi, czego ona od niego oczekuje, co powinien zrobić, do kogo należy kolejny krok, czy porozumienie, jakie między nimi wyczuwał, było jedynie wytworem jego rojeń, czy też istniało naprawdę. No i, jeśli było prawdziwe, czy można było coś na nim zbudować? Nie chciał niczego przyspieszać, ale musiał w końcu wiedzieć, na czym stoi. Niepewność go męczyła. Tym bardziej że wyobraźnia mimowolnie podpowiadała, jak mogłoby być, gdyby byli razem. Uznał, że najbliższe dni zadecydują o wszystkim. Albo spuści swoje uczucia ze smyczy, albo całkowicie się wycofa. Dłużej trwać w niepewności już nie chce. I nie może.

Zatrzymał samochód na podjeździe. Przyjechał wcześniej, niż zakładał, niebo dopiero zaczynało szarzeć. Rozejrzał się wokół. Trawnik wymagał przycięcia. Postanowił się tym zająć. Lubił pracę w ogrodzie. Wziął głęboki oddech, nacisnął dzwonek.

– Dawno nie byłem w kinie. Może byśmy poszli? – zapytał, jak tylko Ewa ukazała się w drzwiach. – A potem gdzieś na kolację? – ciągnął. – Co ty na to?

– Dobrze – zgodziła się od razu. – Co prawda przygotowałam kolację...

– Zjemy jutro – przerwał jej. – Wszystkiego przecież nie załatwimy dzisiaj. Myślę, że dzisiaj w ogóle niczego nie powinniśmy załatwiać, tylko fajnie spędzić wieczór. Kiedy ostatni raz byłaś w kinie?

– Na filmie dla dorosłych? Dawno. – Uśmiechnęła się. – Może rok temu?

– No widzisz. Ja też nie pamiętam kiedy. To dzwonię po taksówkę! – Wyjął komórkę i wstawił swoją torbę do przedpokoju.

Postanowili, że wybiorą film na chybił trafił, bez sprawdzania repertuaru. Zatrzymali się w centrum miasta. Było jeszcze dosyć wcześnie, usiedli więc w knajpce w pobliżu kina, do którego chcieli pójść. Zнали je jeszcze z czasów studiów. Zawsze tu było. Małe, ukryte w podwórku, przy głównej ulicy.

– Prawie nic się tutaj nie zmieniło! – Janusz rozejrzał po wnętrzu kawiarni. – „Kociak” taki sam, jak za naszych czasów.

– Tylko lody inne. I koktajle też – zwróciła uwagę Ewa.

– Były najlepsze w całym mieście. A *cassate*... – westchnął. – To przez nie dzisiaj tak wyglądam – żartował.

– Nic za darmo, jak mówią... Ale musiałbyś zjeść ich tonę, a to przekraczało możliwości naszych portfeli, więc nie koloryzuj. Brzuch urósł ci później i z innego powodu.

– No tak – zgodził się. – Pamiętasz, jak odbieraliśmy stypendia i szliśmy na obiad do „Andriusza” przy Jackowskiego? De volaill’e, frytki, smażone pieczarki, piwo... Barszcz z ogromną ilością majeranku i nadmiarem octu...

– Pamiętam! – Uśmiechnęła się. – Czasami wpadałam tam na same frytki. Nigdzie takich nie dawali. A ten de volaille? Do dziś za nim tęsknię...

– Kiedy z Jackiem zaczęliście być parą? – Janusz zmienił temat. – Nigdy was o to nie pytałem.

– Tak na poważnie? – Ewa upewniła się, czy dobrze zrozumiała.

– Tak – potwierdził. – Wszędzie zawsze chodziliśmy całą paczką i nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to się zmieniło – wyjaśnił.

– Bo właściwie do końca studiów to się wcale nie zmieniło – odpowiedziała i się zamyśliła. – Czasami szliśmy gdzieś tylko we dwójkę – odezwała się po chwili. – Do kina albo na piwo. Z tobą też czasami tak chodziłam, pamiętasz? – dodała. – Wiesz, przez te wszystkie lata nie myślałam, że Jacek mógłby być moim chłopakiem. Wydawał mi się nieosiągalny. Zbyt idealny jak dla mnie. Przez jakiś czas podejrzewałam, że ty się we mnie podkochujesz – zaśmiała się – ale szybko wytłumaczyłam sobie, że to niemożliwe. Ja chyba w ogóle nie wierzyłam, że można się we mnie zakochać. – Podniosła filiżankę do ust, ręka nieznacznie jej zadrżała. – Byliśmy grupą i to było fajne. I nagle, na ostatnim roku, na samym początku, Jacek zaprosił mnie na obiad do „Smakosza”...

– Do „Smakosza”? – Janusz był naprawdę zdziwiony. – Ho, ho... drogo.

– No właśnie. – Ewa przytaknęła, sięgając po łyżeczkę, którą zaraz zaczęła obracać w palcach. – To wzbudziło moje podejrzenia. To znaczy pomyślałam, że ma mi do powiedzenia coś ważnego, na przykład, że się żeni z jakąś dziewczyną poznaną na wakacjach albo że wyjeżdża do innego miasta... Pamiętasz, często narzekał na Poznań. A on zapytał – łyżeczka z pewnym hałasem opadła na spodek – czy po studiach wyjdę za niego za męża. Nie, czy go kocham, nie, że on mnie kocha, tylko czy wyjdę za niego! Dopiero całkiem niedawno dotarło to do mnie tak wyraźnie! – Ewa zatrzymała wzrok na Januszu. – Rozumiesz? W ogóle nie było mowy o miłości! Po prostu kolega zaproponował koleżance związek. Jakby chodziło o założenie kancelarii adwokackiej. Zresztą – zaczęła się bawić filiżanką, przechylając ją to w prawo, to w lewo – na początku tak właśnie sobie to wyobrażał, myślał, że będziemy też partnerami biznesowymi. Małżonkami i partnerami. Dwa w jednym. *Wash and go*. Ale ja od razu wybiłam mu to z głowy. Uważałam, że jedno z nas musi być na państwowej, bezpiecznej posadzie... No i tak to się zaczęło. – Odrobina kawy wylała się jej na spodek. – Tyle tylko, że chyba nikt nie był w stanie zorientować się w tej zmianie relacji między nami. Nawet nie trzymaliśmy się za ręce. – Przyłożyła serwetkę do ubrudzonego talerzyka.

– Dlatego o to zapytałem. – Janusz obserwował ręce Ewy. – Pamiętam, że wasz ślub był dla nas dużym zaskoczeniem.

– Tak. – Zaczęła się śmiać i nerwowo zwijać poplamioną bibułkę w rulonik. – Kiedy dostaliście zaproszenia, telefon po prostu się urywał. Każde z was chyba po sto razy pytało, czy to nie żart!

– Chyba już czas na nas. – Janusz spojrział na zegarek. – Jeśli nadal chcemy iść do kina.

Ewa zdecydowanym ruchem wrzuciła zgniecione skrawki do filiżanki i wstała.

Zaskoczyła ich kolejka przed kasą. Wyświetlano *Zakochanych w Rzymie* Woody’ego Allena. Ucieszyli się. Od czasu studiów kochali Allena i oglądali wszystko, co nakręcił. Nawet jeśli czasami czuli się rozczarowani jego pomysłami, wiernie mu kibicowali, cierpliwie czekając na przełamanie twórczego impasu. A że wierzyli w jego szybki powrót do dawnej formy, to może nieco na wyrost odnajdywali jej przejawy w każdym nowym dziele, krytykę zostawiając innym. Teraz było podobnie: po se-

ansie, idąc powoli w stronę Starego Rynku, rozmawiali o zaletach filmu, porównując go z poprzednimi, przypominając sobie co zabawniejsze sceny. I tak dotarli do pizzerii, bo gdzie, jeśli nie tam, należało zjeść kolację po wirtualnym spacerze po Rzymie?

– Nabrałam ochoty na wyjazd do Włoch – zwierzyła się Ewa, kiedy zamówili już jedzenie. – Odkąd zwariowałam na punkcie flamenco, interesował mnie tylko jeden kierunek podróży: Hiszpania. Wcześniej byliśmy kilka razy we Włoszech. I bardzo mi się tam podobało. Wiesz – ożywiła się – fajnie byłoby powłóczyć się po małych miasteczkach, spać w kamiennych domach, siedzieć pod oliwkowymi drzewami, popijając prosecco, wpaść w powolny rytm prowincji i nigdzie się nie spieszyć. Być tam tak długo, aż się znudzi.

– To nie jest marzenie z gatunku niemożliwych do spełnienia – stwierdził.

– W pewnym sensie jest. – Ewa posmutniała. – Na taką wyprawę nie wybiorę się sama. Bo to nie tyle zwiedzanie, co... smakowanie świata. A to trzeba z kimś dzielić. Trzeba mieć komu powiedzieć, że te winogrona są inne od tych, które znamy, że niebo jest tutaj inaczej błękitne, a powietrze pachnie mimozami... Rozumiesz? Może tak myślę ze względu na przeszłość? – Zadumała się. – Może chodzi o jakieś „wdrukowanie”? Sama nie wiem. Ale z Jackiem tak właśnie spędzaliśmy wakacje: samochód, namiot i gdzie oczy poniosą. Czasami jak dzieci! Kiedyś, na pustkowiu, zabrakło nam benzyny... – Uśmiechnęła się do wspomnień. – W każdym razie miasto jestem w stanie penetrować sama, ale taka wyprawa musiałaby być z kimś. I tu jest pies pogrzebany – podsumowała.

Janusz nie spuszczał z niej wzroku. Słuchał i jednocześnie zastanawiał się, co powinien zrobić. Właściwie okazja sama pchała mu się w ręce. Włochy. Mógłby jej to zaproponować. Coś go jednak wstrzymywało. Chyba ta wcześniejsza rozmowa przy kawie, przed filmem, bo na nowo zabolalo to, że kiedy byli młodzi, nie brała na poważnie jego zakochania, zabolalo, że tak po prostu wyszła za męża za Jacka – za faceta, który nawet nie zabiegał o jej względy. Nic więc nie mówił. Milczał.

Nagle Ewa się rozplakała. Bezgłośnie. Łzy popłynęły jej po policzkach, a ręce zaczęły nerwowo składać i rozkładać serwetkę. Tak, jak w „Kociaku”. Przytrzymał na chwilę jej dłonie swoimi, podał chusteczkę.

– Przepraszam. – Cicho wytarła nos. – Ale tak mi żal samej siebie! – zaczęła się usprawiedliwiać. – Bo taka byłam głupia i niczego nie widziałam. On mnie nigdy nie kochał, wiesz? – Spojrzała na Janusza. – Nie wiem, dlaczego się ze mną ożenił.

– Ewuniu – Janusz delikatnie zamknął jej dłonie w swoich – to nie tak! Przecież byliście szczęśliwi. Macie córki. Coś może przeoczyliście, nie wiem. A może po prostu ta wasza miłość miała trwać tyle, ile trwała? Wiesz... – zawiesił na moment głos. – On chciał wrócić do ciebie. Mówił mi o tym, kiedy się spotkaliśmy – skłamał. – Przyjechał do mnie pogadać, jak to zrobić – brnął dalej. – Sama wiesz, że nie był z tych, którzy przyznają się do błędu.

Ewa patrzyła na Janusza szeroko otwartymi oczyma. Kilka razy otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć i zamykała je ponownie, nie wydobywszy z siebie głosu. Krew uderzała do głowy, brakowało powietrza. Jej ręce nadal spoczywały w jego dłoniach i czuła, że gdyby ich nie trzymał, osunęłyby się na podłogę.

– Ja nie oczekiwałam przeprosin! – odezwała się w końcu. – Czekałam na jakikolwiek gest, który świadczyłby o tym, że to nadal ma sens. Rozumiesz? Nawet nie oczekiwałam już miłości czy seksu, niczego. Wierzyłam, że nasz związek, ponieważ wyrastał z przyjaźni, na tej przyjaźni może się dalej opierać. Że to najtrwalszy fundament. – Wysunęła dłonie z rąk Janusza. – Pożądanie dawno umarło, a jednak ciągle byliśmy razem. Dawałam mu wiele swobody, pilnowałam, aby nie pakować się zbyt natarczywie w jego przestrzeń. Wiesz, układ był jak w matematyce: każde z nas to osobny

zbiór – palcami zaczęła rysować koła na stole – ale przecinający się z drugim, i ta wspólna część stanowiła podstawę naszego trwania, nasz dom. Obydwoje to akceptowaliśmy, wydawało się to idealnym pomysłem. Nikt nikogo nie ograniczał, było miejsce na samorealizację, na swobodne oddychanie.

– I nie brałaś nigdy pod uwagę, że może się zakochać w kimś innym, kogo spotka, korzystając z tej swobody?

– Widzisz – tłumaczyła dalej, emocjonując się coraz bardziej – dla mnie zakochanie to rodzaj oszołomienia. Nic więcej. Rzecz jasna, nie mamy na to wpływu. Może się zdarzyć niezależnie od przyjętego modelu. Zakładałam jednak, że jesteśmy dorośli i skoro mamy jakieś zobowiązania wobec siebie, wobec dzieci – zaczynała mówić coraz głośniejszym głosem – to bierzemy odpowiedzialność przede wszystkim za tych, z którymi żyjemy, którzy od nas zależą, i nie wolno nam traktować ich jak, nie wiem, zabawki, które się nagle znudziły. Rozumiesz?! – krzyknęła.

Parę osób przy sąsiednich stolikach odwróciło głowy w ich stronę. Janusz poprosił ją gestem, by się uspokoiła. Ewa rozejrzała się dokoła, pokiwała głową ze zrozumieniem, sięgnęła po wino, które zamówili do pizzy. Wypiła kilka łyków.

– Przepraszam, ale widzisz – na nowo podjęła przerwany wątek, tym razem znacznie ciszej – prawdziwym problemem jest nie tyle sama zdrada, co decyzje, jakie z niej wynikają. A Jacek w którymś momencie postanowił przemodelować życie trzem osobom: naszym córkom i mnie. Gdyby powiedział: „Zakochałem się i chcę to przeżyć, bo to fajne”, może bym zrozumiała, nie wiem, może nawet jakoś pomogłabym mu przez to przejść. Ale on powiedział: „Zakochałem się”, a zaraz potem, na tym samym oddechu, oświadczył, że życie ze mną było jednym wielkim koszmarem! Ot tak, jednym pstryknięciem, unieważnił całą naszą historię, unieważnił mnie, by mieć dla siebie usprawiedliwienie. Bez litości. Bez znieczulenia. – Zamilkła, całą uwagę skupiając nagle na własnych paznokciach. – A mimo to – po chwili podniosła wzrok na Janusza – byłam gotowa o wszystkim zapomnieć. Wrócić – dodała. – Coś ze mną jest nie tak...

Zapadła cisza. Ewa dopiła swoje wino i zamówiła kolejną lampkę. Na zmianę to sięgała po kieliszek, to bawiła się serwetką – najpierw poskładała ją chyba na tysiąc sposobów, a potem zaczęła drzeć na drobne kawałki, skręcając każdy strzęp w kulkę wielkości śrutu. Janusz przyglądał się temu z rosnącym niepokojem. Nie wiedział, co powiedzieć. Żałował, że temat Jacka w ogóle wypłynął. Poprosił kelnera o butelkę riojy. Miał ochotę utopić w alkoholu to, co przed chwilą usłyszał. Próbował jeszcze wciągnąć Ewę w rozmowę o kinie, przypominał inne podobne filmy, byle tylko odciągnąć jej uwagę od przeszłości, ale ciągle wracały wspomnienia związane z Jackiem – wywoływało je niemal wszystko. Ewa nie umiała też powstrzymać płaczu. Z każdą minutą stawali się więc coraz większą sensacją, ludzie przyglądali im się podejrzliwie, niektórzy komentowali, nie zawsze ścisząc przy tym głos. W końcu nie było innego wyjścia, jak tylko uregulować rachunek i zadzwonić po taksówkę.

W samochodzie usiadł obok niej i spokojnie wycierał łzy, jak ojciec córce. Milczał. W domu pomógł jej się rozebrać, zaprowadził do łóżka, opatulił kołdrą.

– Posiedź ze mną – poprosiła, kiedy zamierzał wyjść z sypialni. – Boję się, że jak zostanę sama, uduszę się rozpaczą.

– Dobrze – zgodził się i położył obok, podpierając głowę ręką.

Odgarnął z jej czoła spadające kosmyki włosów, delikatnie pogłaskał ją po policzku. Wyglądała jak skrzywdzone dziecko. Błada i umęczona. Nagle znowu wstrząsnął nią szloch. Przygarnął ją do siebie, zamknął w ramionach, cierpliwie czekał, aż płacz ustanie. I wtedy Ewa go pocałowała.

Nie jak przyjaciel przyjaciela, ale zachłannie, mocno, jakby od tego zależało życie. Odpowiedział. Tak bardzo jej pragnął. Wyłączył myślenie. Po prostu był. Tuląc ją i pieszcząc, bez słów opowiadał jej o swojej miłości, o latach tęsknoty. A Ewa odwzajemniała każdy dotyk, każdy pocałunek, jakby na tę chwilę czekała równie długo. Zasnęli, kiedy niebo się rozjaśniało. Uspokojeni, splątani niczym jedno ciało. Spełnieni.

Obudził się jako pierwszy. Był szczęśliwy i przerażony. Spełniło się to, o czym marzył, ale z każdą minutą coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że był tutaj, obok niej, nie z powodu uczucia, które nagle dało o sobie znać, tylko z powodu bólu, z którym sama sobie nie radziła. Początek stał się końcem – wiedział to na pewno. Jeszcze przez chwilę pozwolił tlić się nadziei, patrzył na leżącą obok Ewę i modlił się, by spała jak najdłużej. Ale w końcu otworzyła oczy, czar prysł. Była przerażona, widział to. Próbował dotknąć jej ramienia, uśmiechnąć się, lecz natrafił na opór. Pospiesznie sięgnęła po leżącą na podłodze koszulę, okryła się nią i pobiegła do łazienki. Nie czekał, aż wróci. Wstał, ubrał się, zszedł do kuchni. Przygotował herbatę, wyjął z lodówki nabiał, pokroił chleb, rozstawił talerze i czekał, aż zejdzie na dół.

Siedząc już przy zastawionym stole, ani razu na niego nie spojrzała. Rozmawiali o nieważnych sprawach, pilnując się, by ani słowem nie napomknąć o wczorajszym wieczorze. Dzień już zdążył się rozpędzić, słońce docierało do swojego najwyższego punktu na niebie, Ewa parzyła kolejną herbatę, choć ledwo skończyli poprzednią. Ostatnią wypili w ogrodzie, maskując skrzępowanie opowieściami o roślinach. Obydwoje wiedzieli o nich sporo, tyle że tym razem były to słowa-wydmuszki, bez żadnego znaczenia, ot, wypełniacze czasu. Kiedy poczuli głód, z ulgą zabrali się za szykowanie obiadu. Zajęli czymś ręce, myśli. A potem Ewa postanowiła się położyć i poszła do siebie.

Posiedział chwilę tam, gdzie go zostawiła, po czym przeszedł do salonu. Przemaszerował po nim wzdłuż i wszerz, przeczytał tytuły płyt ustawionych na półkach przy kominku, a w końcu sięgnął po stojącą od wczoraj w przedpokoju torbę, wyjął z niej notes, długopis i usiadłszy przy kuchennym stole, zaczął pisać. O tym, że kochał ją całe życie, a teraz nie wie, co z tym zrobić, ale nigdy nie uczyni najmniejszej nawet aluzji do ostatnich wydarzeń ani nie robi niczego, co mogłoby ją wprowadzić w zakłopotanie, i że odezwie się za kilka dni, kiedy będą mogli spokojnie wrócić do spraw zawodowych... Wyrwał kartkę, rozejrzał się wokół, jakby chciał wszystko dobrze zapamiętać i wyszedł, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Kiedy dotarł do siebie, było już ciemno. W oknie widocznym od strony drogi paliło się światło. „Mój dom jest jak latarnia morska” – pomyślał. Zatrzymał samochód niemal przed samymi drzwiami. Ledwo przekroczył próg, pan Franek zerwał się na nogi.

- Pan już z powrotem? – zdziwił się.
- Tak wyszło. – Zmęczonym głosem odpowiedział Janusz.
- No, to ja się szybko zbieram – zakomunikował pan Franek.
- Nie ma pośpiechu. Po nocy będzie pan szedł? Proszę zostać do jutra – zaproponował Janusz. – Napijemy się wódeczki, pogadamy.
- Znowu koniak? – Pan Franek nie wyglądał na zachwyconego.
- A, nie. – Janusz się uśmiechnął. – Po drodze kupiłem normalną wódkę. Dla ludzi. – Sięgnął do torby i postawił na stole butelkę smirnoffa. – Tylko trzeba go na chwilę wrzucić do zamrażarki – dodał. – Może pan to zrobić? To ja bym poszedł szybko się wykąpać. Mam długą drogę za sobą – wyjaśnił, rozpinając koszulę.
- Niech się pan nie spieszy – zawołał pan Franek za odchodzącym już Januszem. – Pan się pluska

do woli, a ja uszykuję coś do jedzenia. Bo samej przecież pić nie będziemy!

Wesoło pogwizdując, zaczął krzętać się po kuchni, jakby mieszkał tutaj od zawsze. Doskonale wiedział, gdzie czego szukać. Sprawnie wszystko przygotował, przyglądał włosy, poprawił koszulę i usiadł przy stole, czekając na ciąg dalszy.

– Coś markotnie pan wygląda – zagaił, kiedy Janusz wrócił z łazienki.

Posmarowane masłem kawałki chleba piętrzyły się na wielkim talerzu, obok na półmisku leżała pokrojona w grube plastry podsuszana kiełbasa, w miseczkach kiszone ogórki, czerwona papryka. Miejsca biesiadników wyznaczały kieliszki i rozłożone widelce. „Po żołniersku” – jak wyjaśnił pan Franek. Janusz wyciągnął z lodówki lekko zmrożoną butelkę, odkręcił korek i rozlał wódkę.

– Za pana zdrowie, panie Franku! – wzniósł toast i natychmiast wypił. – A markotnie wyglądam, bo znowu życie dało mi kopa – wyjaśnił, sięgając po kiełbasę.

Pan Franek z niejakim ociąganiem podniósł swój kieliszek do ust. Uważnie przyglądał się Januszowi.

– Wie pan – zaczął, kiedy już przegryzł alkohol chlebem – gdyby życie nie kopało, nie wiedzieliśmy, jaką ma wagę. Im mocniej kopie, tym bardziej się je ceni – dodał z miną znawcy.

– Może i racja. – Janusz napełnił ponownie kieliszki. – Ale dlaczego to ja ciągle dostaję te kopy? Chyba dość już oberwałem?

– Każdy dostaje tyle, ile może unieść. Czasami wydaje się nam, że za dużo, i się poddajemy, padamy, ale niech mi pan wierzy, że ciężar jest dobrze dobrany. A dlaczego pan? Kiedyś się wyjaśni. Musi być pan cierpliwy.

– Dobrze się panu tutaj spało? – Janusz nie chciał dłużej ciągnąć tego wątku. – Żona nie miała pretensji?

– Już panu mówiłem, że będzie zadowolona, że może ode mnie odpocząć. No i kazała pana pozdrowić. – Pan Franek nabił na widelec kawałek ogórka. – Aha – przypomniał sobie, wpychając jedzenie do ust – przysłała dla pana jajka od naszych kur. Zostawiłem je tam. – Palcem wskazał na szafkę pod oknem.

– Ta pańska Ola to prawdziwy anioł – skomplementował sąsiadkę Janusz. – Proszę jej ode mnie podziękować. Że też ja na taką kobietę nie trafiłem! – Westchnął nieco teatralnie.

– Bo za wysoko pan poprzeczkę ustawił, już to panu mówiłem – stwierdził pan Franek. – Sądząc po minie, znowu uderzył pan nie do tej kobiety, co trzeba – kontynuował, bawiąc się pustym kieliszkiem. – A czy pan wie, do czego ma być panu potrzebna kobieta?

– Do czego ma być potrzebna? – zdziwił się Janusz. – Do niczego! Ma być. Po prostu być.

– Te miastowe teorie – mruknął pan Franek niezadowolony. – W radiu też dziś o tym mówili. Że człowiek z człowiekiem ma po prostu żyć i nie traktować go jak podpórki, czy... zaraz, zaraz, jak to było? – Próbował sobie przypomnieć. – O, jak stacji benzynowej! Tak powiedzieli. Że niby jak paliwa zabraknie, to zatankuje... Ale jeśli tak, to na jakiej zasadzie mamy się dobierać, pytam? Co znaczy „po prostu żyć”? Jakies dyrdymały! – Pan Franek był coraz bardziej poirytowany. Sięgnął po butelkę, nalał sobie wódki i szybko wypił. – Ja panu już mówiłem – po chwili wrócił do tematu – że swoją wziąłem, bo dobra kobieta z niej była. I robotna. Kombinowałem tak, że jak ja idę w pole, to w domu też ktoś musi o wszystko zadbać. I myśmy zawsze się uzupełniali. Ona szyła, ja zbijałem półki, ona piekła chleb, ja prowadziłem krowy na łąkę. Jak chorowała, to przywoziłem lekarza, jak mnie coś dolegało, to ona mnie zastępowała w robocie. Tak to działa. Wspólne gospodarstwo.

– Może i tak – przytaknął Janusz, nieco zmęczony już mądrościami pana Franka. – A wie pan... – Zastanowił się przez chwilę. – W gruncie rzeczy z Halinką działaliśmy podobnie – przyznał. – A Ewa? Ewa była takim marzeniem, motylem, którego nie mogłem złapać. Źródłem, z którego

woda miała przywrócić mnie życiu... Przez moment łudziłem się, że mi się udało. Zaczerpnąłem nawet z tego źródła, ale woda okazała się gorzka. – Zamyślił się ponownie. – No, trzeba tę gorycz w końcu splukać – nagle lekceważąco wzruszył ramionami i po raz kolejny napełnił kieliszki.

– Wódka to nie jest dobre lekarstwo, niech pan pamięta – ostrzegł pan Franek.

Janusz nie miał już ochoty na poważne rozmowy, pogadali więc jeszcze chwilę o rybach, które przestały brać w jeziorze, o grzybach, których ciągle w lesie nie było, o globalnym ociepleniu, które wywracało cały cykl w przyrodzie... Zjedli, co było do zjedzenia, wypili, co było do wypicia i postanowili położyć się spać.

Sen jednak nie przychodził. Powracały w pamięci sceny z ostatnich kilkudziesięciu godzin. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie własny egoizm, przez który nie zauważył, jak bardzo Ewa potrzebowała pomocy. Zamiast zaprowadzić ją do lekarza, cieszył się bliskością, jaka nagle pojawiła się między nimi; potem się obraził, że była to tylko chwila słabości, nic więcej, żadna miłość, którą sobie wymarzył. A przecież Ewa wyraźnie nie radziła sobie z emocjami. I domyślał się tego już wcześniej, kiedy rozmawiali przez telefon.

– Niech to szlag! – Zezłościł się. – Przecież ona jest kompletnie sama! Co za dupek ze mnie.

Rano zostawił panu Frankowi kartkę z prośbą, by jednak popilnował domu jeszcze dzień lub dwa, wrzucił do samochodu torbę, której nie zdążył rozpakować i pojechał z powrotem do Ewy.

Drzwi zastał zamknięte. Nie spodziewał się tego. Wyciągnął telefon, wybrał jej numer. Cisza.

„Poniedziałek – pomyślał – nie mogła więc wyjechać. Dzieci przecież mają dziś szkołę. Tylko dlaczego nie odbiera telefonu?”

Zapalił papierosa, wsiadł do auta i opuścił szybę w drzwiach. Włączył radio – jacyś dziennikarze dyskutowali o polityce. Nic go to nie obchodziło, przyciszył rozmowę. Szum wydobywający się z radia działał usypiająco. Zamknął oczy. Myśli kłębiły mu się w głowie. Zastanawiał się, jak wytłumaczy swój powrót, czy będzie umiał udawać, że nic się nie stało... Spojrzał w lusterko. Za kierownicą nadjeżdżającego samochodu rozpoznał Ewę. Wysiadł, kiedy otworzyła bagażnik i zaczęła wypakowywać zakupy. Bez słowa zabrał siatki i wniósł do środka, gdy otworzyła drzwi. Dopiero wtedy się odezwał. Przeprosił, że zachował się jak gówniarz.

– Ewo, ty potrzebujesz pomocy – dodał po chwili. – Dam ci telefon do lekarki, która kiedyś mnie uratowała. Po śmierci Halinki rozsypałem się tak, jak ty teraz.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale ty nic nie rozumiesz. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Nic o mnie nie wiesz.

– Nie muszę wiedzieć, by widzieć, co się z tobą dzieje – stwierdził. – Wiem tyle, ile mi mówisz i więcej nie chcę – dodał. – O nic nie pytam.

Poszukał w komórce numeru i zapisał go na leżącym na stole paragonie.

– Zadzwoń – poprosił. – Im szybciej, tym lepiej.

– Dobrze – obiecała.

Nie wierzył jej. Nie chciał jednak naciskać. I tak zamierzał spędzić z nią cały kolejny dzień, więc dopilnuje, by zrobiła, co trzeba. Otworzył lodówkę, wyjął napoczętą butelkę białego wina, wzrokiem zapytał, czy ma ochotę się napić. zaproponował, że sam zajmie się obiadem. Ewa wyszła do salonu. Po chwili usłyszał muzykę. Ktoś zawodził smętnie, powtarzając coś jakby „i ja, i ja, i jaaaaa”, a potem śpiewał po hiszpańsku, ostatnie sylaby wymawiając tak, że zawsze słychać było „a!” na końcu, jak wzmocniony płacz. Flamenco...

Przypomniał sobie rozmowę z Jackiem. Dowiedział się wtedy o pasji Ewy. Dziwił się, że Jacka wcale to nie obchodziło. Mało tego, kiedy o tym opowiadał, wyczuwało się w jego głosie jakąś złość... Żałował, że nie pociągnął tego tematu. Co Jacka mogło tak denerwować? Nie, to nie była zwykła irytacja, to była zazdrość – zrozumiał nagle. Tylko o co? Przecież nie o faceta, bo w Polsce mężczyzn związanych z flamenco można było policzyć na palcach jednej ręki. Więc może o emocje? O muzykę? O świat, który ona otwiera i do którego nie każdy jest w stanie wejść? Tak, oczywiście, uprzytomnił sobie: flamenco go wykluczyło, Ewa miała kolejną przestrzeń tylko dla siebie, a Jacek należał do facetów „patriarchalnych” – na pozór nowoczesnych, rozumiejących, jak ważne jest partnerstwo i pewna niezależność, ale w gruncie rzeczy ukształtowanych na wzór i podobieństwo swojego ojca, dziadka i pradziadka, lubiących być „posiadaczami”, decydentami dla swoich żon czy kochanek. Typowy problem: archetyp i zmieniająca się cywilizacja, władza absolutna i władza ograniczona...

Muzyka dochodząca z salonu unieruchomiła go. Zamknął oczy, zasłuchał się. Zobaczył posągowo zastygłą Ewę, z uniesioną głową, wpatrzoną gdzieś w dal, w napięciu czekającą aż ustanie płacz śpiewaka. A potem powoli jej ramiona wędrują w górę, dłonie rytmicznie zakreślają koła, jedno, drugie, trzecie, w tył i w przód, aż znajdują się wysoko, wyprostowane, kumulujące w tym geście całą energię świata, i wreszcie spadają nagłym ruchem w dół, poniżej bioder, jak sztylety przecinające ciszę, jak znak kończący udrękę. Dopiero teraz dołączają nogi. Dopiero teraz rozpoczyna się droga, którą wraca się do życia. Jedno uderzenie, drugie... Jak trzask zamykanych furtek. A potem szybki bieg ku nowemu, tak szybki, by pozwalał zagłuszyć przeszłość, pozbyć się płaczu i żalu. I nagle w ciało wdziera się miękkość, ulga, wytchnienie. Ręce kreślą linie, które są czułością. Przez mrok przedziera się słońce. Rodzi się nadzieja. Twarz powoli pogodnieje, pojawia się uśmiech. Stuknięcia obcasów przemieniają się w melodię. Koniec w niczym nie przypomina początku... Tak widział tańczącą Ewę. Na pewno tak wyglądałoby jej flamenco... Pieśń się skończyła, a on nadal stał z zamkniętymi oczyma, próbując zatrzymać ten obraz pod powiekami jak najdłużej.

Muzyka została w nim przez całe popołudnie: nie pozwalała o sobie zapomnieć ani podczas obiadu, ani podczas zabaw z córkami Ewy, ani podczas rozmów z nią samą. Obserwował, jak siedziała na tarasie, mechanicznie drąc na strzępy chusteczki higieniczne, i cały czas widział ją zatopioną we flamenco, na scenie, w rzewnej pieśni o minionych uczuciach. Chciałby móc podziwiać ją właśnie taką.

Sięgnął po telefon i wybrał numer lekarza. Potem spokojnie przekazał jej informacje o umówionej wizycie. Ewa wpadła w furję. Spodziewał się podobnej reakcji. Pozwolił, by wyładowała na nim swoją złość. Pozwolił też, by zamknęła się pokoju, odcinając się nawet od dzieci. W końcu uznał, że przekroczył dozwoloną granicę i przeprosił ją za samowolnie podjętą decyzję, odwołał też wizytę. Myślał, że w ten sposób wszystko wróci do stanu poprzedniego, ale coś się zacięło w mechanizmie: Ewa nie chciała nikogo widzieć, nie chciała rozmawiać, nie chciała jeść. Wtedy naprawdę się przestraszył. Nie potrafił przewidzieć, do czego to wszystko zmierza. Po dwóch dniach otworzył drzwi do jej pokoju, nie pytając nawet o pozwolenie.

Zobaczył umęczoną kobietę, z posklejanymi od potu włosami, bezradną, potrzebującą pomocy. Wiedziała, co się z nią dzieje, w końcu już kiedyś przechodziła depresję. Na nic nie miała siły. Przytuliła się do niego jak ktoś, kto szuka ratunku. Delikatnie głaskał ją po głowie, plecach, czekał, aż się uspokoi. Zaprowadził do łazienki, umył, ułożył do snu. Na jego oczach – jak mu się zdawało – rozsypywało się życie. Musiał działać. Nie było na co czekać. Rano ponownie zadzwonił do znajomej lekarki, uprosił ją o znalezienie wolnej godziny jeszcze tego samego dnia. Tym razem Ewa spokojnie przyjęła wiadomość o umówionym spotkaniu. Chyba nawet z pewną ulgą.

Pojechali razem. Czekaając na jej powrót, zastanawiał się, co dalej. Także dlatego, że zauważył na serdecznym palcu Ewy pierścionek z brylantem. Nie miał pewności, czy wcześniej też tam był. To chyba ten od Jacka? Opowiadał mu przecież, że kupił na przeprosiny. Może zostawił gdzieś na wierzchu i Ewa go znalazła? „Jeśli go założyła – myślał – to znaczy, że mimo wszystko nie przestała kochać, bo przecież nie nosiłaby takiego prezentu od kogoś zupełnie jej obojętnego!”. Przegrał. Właściwie nigdy nie miał szans. Powinien się z tym nareszcie pogodzić; wyjechać, zapomnieć, zniknąć – jak po śmierci żony... Ale musi zostać jeszcze przynajmniej tydzień, dopóki organizm Ewy nie przyzwyczai się do leków. Dał słowo... Obdzwonił więc klientów, odwołując zaplanowane spotkania. Poprosił też pana Franka o dalsze pilnowanie domu. W końcu kupił kwiaty w pobliskiej kwiaciarni. Wybrał róże – żółte jak słońce. „Trzeba być w tym wszystkim człowiekiem” – pomyślał.

Po prawie dwóch godzinach Ewa wróciła wyraźnie odmieniona. Jakby sama rozmowa z lekarzem była remedium na całe zło. Twarz jej się wypogodziła, zniknęło napięcie, oczy zaczęły znowu błyszczeć, nawet kąciki ust lekko uniosły się ku górze. Bez słowa położył jej kwiaty na kolanach. Uśmiechnęła się. Poprosiła, by razem pojechali po dziewczynki do szkoły.

Z radością patrzył, jak dzielnie walczy ze zmęczeniem, jak stara się interesować wszystkim, co dotyczyło jej córek. Starszą, Olę, od kilku dni wyraźnie coś martwiło, nie chciała jednak z nim o tym rozmawiać. Teraz była szansa, że zwierzy się Ewie. By ich nie krępować, po obiedzie zabrał młodszą dziewczynkę na lody. Lubił obie, Anię jednak szczególnie – miała wyjątkowy dar upraszczania życia, co nieustannie wprawiało go w zdumienie i dobry nastrój; albo wszystkie przeszkody intuicyjnie umniejszała, albo rozbrajała śmiechem. A ten był zaraźliwy. Teraz też wyglądali się jak dzieci, przerabiając otaczającą ich rzeczywistość w komedię. Miała w sobie coś z Woody’ego Allena. Pomyślał, że jak dorośnie, mogłaby pisać niezłe scenariusze. Ale to przecież bardzo odległa perspektywa. Lepiej nie projektować przyszłości kilkuletniej pannie.

Wrócili w doskonałych humorach i zastali zupełnie odmieniony świat. Ola wreszcie się odprężyła – widać rozmowa z matką dobrze jej zrobiła. Ewa nadal niezłe się trzymała. Dzień można było uznać za udany. Jakby nastąpił wyczekiwany przełom. Późnym popołudniem usłyszał, że nazajutrz ma przyjechać siostra Ewy, Maria.

– Świetnie się składa – stwierdził. – To ja jutro wracam do siebie.

– Jak to? – zdziwiła się Ewa.

– Nie będziesz przecież sama. Nie martw się, wrócę, jak Maria wyjedzie.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła.

– Ewuniu, nie zostawiam – zapewnił. – I tobie, i mnie przyda się jednak chwila odpoczynku.

To był trudny tydzień. Moje sprawy zawodowe odłożyłem na bok, wykorzystam więc okazję, by trochę nadgonić. Pan Franek też pewnie chętnie spędzi weekend z żoną. – Uśmiechnął się. – W poniedziałek wrócę. Beze mnie będziecie się czuły swobodniej – dodał. – A teraz daj mi spokojnie skosić trawę. – Odwrócił się od niej.

Przez chwilę walczył z dawno nieużywaną kosiarką, próbując ją uruchomić, a później krążył po ogrodzie, dopóki się nie ściemniło.

Naprawdę był zadowolony z przyjazdu Marii, bo oznaczało to, że przez cały weekend uda mu się nareszcie pobyć w ciszy, bez nasłuchiwania, czy za drzwiami sypialni Ewy nie dzieje się nic złego. Odwykł od tak intensywnego opiekowania się innymi. No i musiał wszystko od nowa poukładać sobie w głowie. Ostatecznie. Nieodwołalnie.

Następnego dnia pomógł posprzątać dom, upichcił coś na obiad i pojechał. Po drodze uprzedził te-

lefonicznie pana Franka, że wraca, kiedy więc podjeżdżał pod dom, zobaczył go na podwórku, gotowego do drogi. Na ławce pod drzewem leżała torba, obok niej kapelusz i klucze. Pomyślał, że sąsiad jest zdenerwowany.

– O, jak dobrze, że już pan jest – głośno ucieszył się pan Franek, kiedy tylko otworzył drzwi samochodu.

– Coś się stało? – Janusz się zaniepokoił.

– Ołę złapał jakiś heksenszus.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Trzeba było zadzwonić! – Zdenerwował się. – Przyjechałbym wcześniej.

– Wiedziałem, że wróci pan, jak tylko będzie to możliwe. W ciągu dnia byłem w domu. Tu tylko w nocy.

– Niech pan wsiada – powiedział rozkazująco. – Odwiozę pana. A nie trzeba lekarza albo czegoś z apteki? – zapytał.

– Nie, nie, dziękuję. Wszystko mamy.

Panu Frankowi tak trzęsły się ręce, że nie mógł zapiąć pasa, udało mu się dopiero przy trzeciej próbie. Widać było, że martwił się o żonę. Milcząc, wpatrywał się w krajobraz za oknem. Janusz przyglądał mu się ukradkiem.

„I co to jest, jeśli nie miłość? – pomyślał. – Pewnie sam tak by tego nie nazwał; zacząłby mówić o obowiązku, przywiązaniu... Daj Boże takie przywiązanie! – Westchnął. – W takich momentach człowiek zaczyna się bać samotności – stwierdził. – Kiedy nie ma kto podać choćby filiżanki herbaty, potrzymać za rękę... Tak, samodzielność, niezależność, osobność, piękne hasła... Póki jest zdrowie i młodość. Samotna starość to tragedia”.

Pani Ola leżała lekko przekręcona na bok, twarzą do ściany. Zwinięta poduszka podpierała jej plecy. Odwróciła głowę, by zobaczyć, kto wchodzi, spróbowała się uśmiechnąć na powitanie. Pan Franek natychmiast zajął się żoną. Poprawił jej poślanie, przyniósł szklanek wody, podgrzał obiad. Pomógł jej się podnieść, nakarmił, podał lekarstwa. Janusz posiedział z nimi przez chwilę, zapatrzonej w tę troskliwość.

Przypomniawszy sobie czas dzielony z Halinką. Poukładane życie, w którym zawsze ktoś był obok niego. Halinka odeszła tak nagle, jakby wybierała się na zakupy do miasteczka. Udar. W jednej chwili wszystko się skończyło. Nic dziwnego, że się pogubił. Długo nie mógł przywyknąć do jej nieobecności. Ta samotnia, to miejsce, które wybrali na dom, miało sens tylko dlatego, że byli w nim razem. Rozmawiali, czytali książki, oglądali filmy, sprzeczcali się, uprawiali ogródek warzywny, pływali, chodzili na grzyby, od czasu do czasu zapraszali przyjaciół... Na odludziu, jeśli nie jest się pustelnikiem, trudno wytrzymać w pojedynkę. Dlatego po jej śmierci próbował zbliżyć się do jakiejś kobiety. Halinka jednak nie dawała się zastąpić. Może za szybko zacząć rozglądać się za kimś na jej miejsce, może właśnie nie trzeba było szukać „zastępstwa” tylko po prostu człowieka? Ale zniechęcił się, zrezygnował, za dużo go to kosztowało. Nieświadomie porównywał, a wtedy wspomnienia wracały i może nawet za bardzo idealizowały zmarłą żonę. Teraz jednak, po wizycie u pana Franka, boleśnie uświadomił sobie bezsens swojej obecnej sytuacji, z każdym dniem coraz trudniejszą do zniesienia samotność. Przestraszył się. Przecież nawet nie miałby kogo poprosić o pomoc, gdyby coś się stało. Z nikim nie był na tyle blisko. Pan Franek pewnie by przyszedł, pani Ola też, ale jeśli ich zabraknie?

Wyszedł przed dom, by zapalić papierosa. Zaciągnął się, usiadł na pomoście. Tafla jeziora deli-

katnie falowała. Zanurzył rękę w wodzie – ciągle była ciepła, zapraszała do kąpeli. Rosnące po prawej stronie szuwary cicho szemrały; ważki co chwilę podrywały się do lotu, zataczały koło i znowu przysiadły na lekko pochylonych brązowych pałkach. Przeniósł wzrok dalej. Jezioro z trzech stron otaczał las, który w ciągu kilku zaledwie dni zmienił kolor. Jesienna intensywność barw nadawała mu nierzeczywisty wygląd. Jakby jakiś malarz postanowił upiększyć świat. Dzieńcioły pracowicie obstukiwały pnie, kukulka liczyła lata żyjącym w pobliżu.

„Jaka szkoda, że trzeba będzie się stąd wynieść – pomyślał z żalem. – Ale jeśli coś mi się stanie, nikt nawet nie zauważy. Pan Franek nie przyjdzie bez zaproszenia. Listonosz, jeśli mu nie otworzę, zostawi awizo w skrzynce przy furtce i tyle – analizował. – Pani Hania uzna, że kupuję w innym sklepie. Złodzieje? Kto by się tutaj zapuszczał... Nawet psa nie mam! Trzeba sprzedać – stwierdził. – Nie ma innego wyjścia. I to jak najprędzej. Tak, jutro zgłoszę się do biura nieruchomości – postanowił. – Sprzedaż lub zamiana. Może powinienem wrócić do Poznania? – Zamyślił się. – Nie, bez sensu – uznał. – Wszystko musiałbym zaczynać od nowa. I Ewa zbyt blisko. Muszę znaleźć coś na miejscu – zdecydował. – Najlepiej blisko kancelarii”.

Rozdział III

MARIA

Piądziernik skrzył się w słońcu, złocił i czerwienił; był tak gorący, jakby wyrastał ze środka lata, a nie z jesieni. Maria siedziała na ławce w ogrodzie. Podwinęła rękawy bluzki, podciągnęła wysoko spódnicę, ciemne okulary przesunęła na włosy. Promienie rozgrzewały jej skórę, czas płynął leniwie. Jej myśli zaprzętały wyłącznie wspomnienia niegdysiejszej podróży do Boliwii; dla zaprzyjaźnionego tygodnika miała napisać artykuł o redukcjach jezuickich w Chiquitanii. Właśnie skończyła przeglądać zdjęcia w komputerze i teraz zastanawiała się, z jakiej perspektywy na to wszystko spojrzeć. Pozostawiono jej wolną rękę, nie lubiła tego. Inna rzecz, że kiedy rozmawiano z nią o tekście, nie była w stanie zaproponować konkretów – Boliwia zdarzyła się zbyt dawno temu, musiała ją sobie przypomnieć... Poza tym nic nie zakłócało spokoju, nigdzie nie musiała się spieszyć.

Jana nie widziała od dwóch miesięcy. Wyjechał na kilka dni w interesach do Nowego Jorku, tuż przed powrotem Ewy z Barcelony. Przy okazji miał uporządkować swoje sprawy rodzinne – wszystko to, co zostawił rozgrzebane, wracając do Polski zaraz po rozwodzie. Na miejscu okazało się jednak, że nie ma kto pomóc jego byłej żonie przejść przez chemioterapię, postanowił więc zostać dłużej. Jak powiedział, był jej to winien. Maria nie wnikała w szczegóły, o nic nie pytała i nie kwestionowała tej decyzji, z czasem nawet dostrzegła jej pozytywne strony – znowu mogła myśleć wyłącznie o sobie. No, prawie wyłącznie, bo weekendy spędzała u siostry, próbując jej pomóc uporać się z życiem, które wywróciło się do góry nogami po śmierci męża. Tym razem jednak miała zostać u siebie. Powód był jeden, ale za to istotny: w tygodniu nie znalazła czasu na pisanie, a artykuł musiał być gotowy na poniedziałek.

– Taka z tego korzyść – zwróciła się do psa leżącego przy jej nogach – że sobotę i niedzielę spędzimy razem. I nawet pójdziemy na daleki spacer. – Bor, jakby rozumiejąc złożoną właśnie obietnicę, radośnie pomachał ogonem. – Skoro tak – westchnęła, podnosząc się z ławki – to trzeba powiadomić o tym Ewę.

Zerwała kilka astrów z rabaty i wróciła do domu. Najpierw wstawiła kwiaty do wazonu, potem zaparzyła kawę, odruchowo sięgnęła po odłożoną na fotelu książkę. Tak się zaczytała, że o telefonie do siostry przypomniała sobie dopiero, kiedy pokój pogrążył się w ciemności i musiała wstać, by włączyć światło. Wtedy dopiero wyjęła komórkę z torebki.

– Cześć, Ewuniu! Kochanie – zaczęła, nie czekając na reakcję siostry – nie przyjadę tym razem, nie dam rady. Poradzisz sobie?

– Tak, oczywiście – odparła spokojnie Ewa.

– Dziewczynki grzeczne?

– Właśnie wyjechały na weekend do koleżanki.

– To będziesz sama?! – Maria się zaniepokoiła. – Jak się czujesz?

– Nie, nie będę – Ewa zaczęła wyjaśniać. – Przyjeżdża Janusz. Musimy rozwiązać problem z kancelarią. Albo ją zamknąć, albo poszukać kogoś na współnika. Ja... tak, jak ci mówiłam, nie chcę się nią zajmować. Zdania nie zmieniałam.

– Zatrzyma się u ciebie?

– Janusz? Tak, oczywiście. – Ewa zaczęła się śmiać. – Nie, nic mi nie grozi. Nie martw się. Jedynie, co może się zdarzyć, to że wstawię się przy kolacji.

– Chyba dobrze by ci to zrobiło.

– A dlaczego nie przyjeżdżasz? – zainteresowała się nagle Ewa. – Jan wraca?

– Nie, nie wraca. I tak coś czuję, że jeszcze długo nie wróci. Z rakiem walczy się miesiącami.

– Ma raka? – zapytała zaskoczona.

– Nie on. Jego była żona. A on się nią opiekuje, bo jest zupełnie sama.

– Pięknie! – pochwaliła. – To dlaczego nie przyjedziesz? – ponowiła pytanie.

– Bo muszę na poniedziałek napisać tekst o Boliwii. – Maria oznajmiła.

– O Boliwii?! Byłaś w Boliwii? Kiedy? Nic nie mówiłaś.

– Byłam. Jakiś czas temu. Wtedy, kiedy miałyśmy ze sobą ograniczony kontakt – wyjaśniła. – No dobrze... – Uznała, że najwyższy czas kończyć tę rozmowę. – To ja się biorę za robotę, a ty uważaj na siebie przy tym Januszu, dobrze? To typ, który lubi się kimś opiekować, więc możesz stać się... jak by to powiedzieć... ofiarą. – Zaśmiała się serdecznie. – Żartuję. A mówiąc serio, może właśnie taki ktoś przydałby ci teraz najbardziej?

Rozłączając się, pomyślała, że jeśli coś nie udawało się w życiu Ewy, to właśnie miłości. Jacek miał draństwo wypisane na twarzy, ale ona nie słuchała ostrzeżeń, na krytykę reagowała złością. A u niego trudno było dostrzec jakiegokolwiek uczucia, traktował ją byle jak, obojętnie. Decyzją o ślubie zaskoczyli wszystkich, przypominała sobie, a pobierali się w takim pośpiechu, jakby się paliło. Nawet normalnego wesela nie chciał, tylko rodzinny obiad i dyskotekę z przyjaciółmi... Pewnie lepiej uczciłby kontrakt biznesowy, ale Ewa była zachwycona. Bo takie to inne niż u wszystkich, jak mówiła, takie oryginalne. A prawda jest banalna – jaki ślub, takie dalsze życie. Ewa nie zyskała partnera, tylko dołożyła sobie obowiązków: domową obsługę dorosłego faceta. Łudziła się, że coś się zmieni, kiedy pojawią się dzieci, i owszem, zmieniło się, tylko inaczej niż sobie wyobrażała: jej czas jeszcze bardziej się skurczył. Pamięta ją z tamtego okresu, była u granic wytrzymałości, zasypiała przy stole, a ambicje zawodowe – jeśli kiedykolwiek je miała – zakopała głęboko w ogródku, który dostała w prezencie tuż po urodzeniu drugiej córki, wraz ze świeżo wybudowanym domem. Jacek pękał z dumy, Ewa umierała ze zmęczenia. Nie widział tego. Jakby wszystkiego było mało, obdarował ją jeszcze cotygodniowymi biznesowymi kolacjami, które musiała przygotowywać dla jego klientów. Kiedy próbowała protestować, słyszała, że skoro sama zarabia wyłącznie „na waciki”, to chociaż w ten sposób powinna się dokładać do urządzania kolejnych pokoi. Wiele razy opowiadała o tym, płacząc do słuchawki... Wcześniej, przed Jackiem, też nie trafiała lepiej. Każdy chłopak jakoś ją krzywdził. A Janusz wydawał się być zwyczajnie dobry. I chyba czuł coś do Ewy. Wodził za nią oczami, opiekował się podczas pogrzebu i później, kiedy wrócili do domu. Był taki po ludzku serdeczny, uważny. Może przy nim jej życie stałoby się wreszcie normalne?

„A moje? – Zamyśliła się. – Co musiałyby się stać, żeby moje było normalne? Im dłużej Jana nie ma, tym częściej myślę, że nie jest mi do szczęścia niezbędny, niestety – zawyrokowała. – Może powinnam być sama?”

Zapaliła papierosa. Wyjęła go, jak zawsze, z szafki przy kanapie. Tam właśnie je trzymała, łudząc się, że w ten sposób – na zasadzie „co z oczu, to z serca” – wyjdzie bezboleśnie z nałogu, ale co tydzień uzupełniała zapasy i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miało się coś zmienić w tej

sprawie. Przy papierosie po prostu dobrze jej się myślało, uspokajał ją, wołała go nawet od czekolady, którą też lubiła ponad miarę, było więc trochę oszukiwania siebie w tym postanowieniu, że chce rzucić palenie. Miała jeszcze jedną słabość: dobry koniak do popołudniowej kawy. Jedna lampka, czasami dwie, ale nie więcej. Koniak i papieros pasowały do siebie. Jedno podkreślało smak drugiego. Właściwie więc, jeśli rzeczywiście chciała pozbyć się nałogu, powinna zrezygnować z obu tych rzeczy jednocześnie. Tylko po co? Jakie przyjemności by jej wtedy zostały? Życie nie polega przecież na samoumartwianiu, szkoda go na to, jest zbyt cenne. Chyba że aspiruje się do bycia świętą. Ale nie aspirowała, wręcz przeciwnie, z Kościołem od dłuższego czasu jakoś nie mogła się dogadać. Nie chodziło o wiarę jako taką czy o jej brak, ale o politykę uprawianą przy ołtarzu, co mierziło ją na tyle mocno, że ostatecznie wykreśliła msze ze swojego życia. Powtarzała odtąd, że Kościół to nie budynek, a jej modlitewnym rozmyślaniom nie sprzyjają tłumy. Zresztą, tłum odrzucał ją nie tylko w kościele. Niemal fizycznie cierpiała w każdej większej grupie – nieważne, czy w pochodzie, czy na plaży, czy na plenerowym koncercie. Tłum nie przeszkadzał jej tylko w trzech przypadkach: kiedy zdarzał się w teatrze, w filharmonii lub w kinie – może dlatego, że sztuka wymagała specjalnego skupienia, a może dlatego, że krzesło skutecznie odgradzało ją od innych.

Jeśli chodzi o papierosy, tak naprawdę konsekwentnie dbała jedynie o to, by niedopałków nie trzymać w popielniczce. Nigdy nie przyzwyczaiła się do ich zapachu. Oczyszczanie popielniczki zaliczało się do ceremonii palenia. Zwieńczało rytuał, było jak kropka na końcu zdania. Teraz też starannie ją umyła i wytarła, schowała do szafki, poprawiła leżący na wierzchu stos książek, odkładając na bok właśnie przeczytaną, i dopiero wtedy usiadła do komputera.

W Santa Cruz de la Sierra – zaczęła pisać – znalazłam się około czwartej rano czasu miejscowego. Potwornie zmęczona trwającą ponad trzydzieści godzin podróżą, bo lot odbywał się etapami: z Warszawy do Berlina, potem do Madrytu, i dopiero stamtąd na drugi kontynent. Ładując w stolicy Chiquitanii, nie zdawałam sobie sprawy, że to również moje miejsce przesiadkowe, z przerwą na szybką kąpiel i jeszcze szybsze śniadanie. Cóż, w końcu cała ta wyprawa była jedną wielką niespodzianką, nieomal zabawą w podchody, z czytaniem znaków, odgadywaniem zagadek, biegami na orientację.

Czekając na umówionego kierowcę, przyglądałam się ludziom na lotnisku. Moją uwagę przykuwali jednak nie ciemnoskórzy Boliwijczycy – piękni w swej egzotyczności i barwni niczym żywe reklamy z turystycznych folderów – ale przeraźliwie bladzi mennonici. Wszyscy jak spod jednej matrycy: mężczyźni w dżinsowych ogrodniczkach, kobiety w burych, workowatych sukniach i słomkowych kapeluszach zasłaniających jasne włosy. Wyglądali jak aktorzy przywiezieni z planu filmu Domek na prerii.

Mennonici do Ameryki Południowej przywędrowali z Holandii oraz Niemiec, zajmowali odludne miejsca, poświęcali się pracy na roli. Dziś żyją w tworzonych przez siebie koloniach. W Boliwii mają ich około sześćdziesięciu, największa liczy blisko pięć tysięcy osób. Nie integrują się z lokalną ludnością. Po hiszpańsku mówią jedynie mężczyźni, ale tylko na tyle, by móc handlować lub porozumieć się z lekarzem. Między sobą rozmawiają w archaicznej odmianie języka dolnoniemieckiego. Nie tańczą, nie słuchają muzyki, śpiewają wyłącznie pieśni religijne. Nie używają telefonów, nie mają telewizorów, radioodbiorników, pieniądze najchętniej wydają na maszyny rolnicze. Edukację kończą po czterech latach nauki. Od świtu do nocy pracują, przez tubylców są szanowani.

Zastanawiałam się, czy integracja mogłaby być możliwa w tej specyficznej konfiguracji choćby teoretycznie. Z jednej strony Boliwijczycy, dla których w zasadzie nie istnieje pojęcie czasu, ważne jest tylko „tu i teraz”, z drugiej zaś mennonici, pozostający mentalnie w wieku XVII, mający bardzo niewielkie pojęcie o współczesnym świecie i w sumie też żyjący poza czasem, tylko inaczej zdefiniowanym.

„Gdzie mieliby się spotkać? – pytałam samą siebie, przyglądając się siedzącym obok Indianom. – Gdzie miały-

by się przecinać ich ścieżki?”. Obie społeczności są jednakowo mocno wyalienowane. To linie równoległe, bez szans na zbliżenie. Indianie mają słabo rozwiniętą potrzebę edukacji, ale przynajmniej potencjalną możliwość jej podjęcia, mennonici natomiast wiedzę wykraczającą poza umiejętność prostego liczenia, czytania i pisania uważają po prostu za balast...

Nadjechał samochód. Kierowca wrzucił na pakę pikapa moją walizkę i ruszyliśmy na drugi kraniec miasta. Świtało. Na ulicach przybywało ludzi. Tu dzień zaczyna się wcześniej, ale też i wcześniej zamiera w bezruchu sjeisty; w południe słońce unieruchamia wszystko, trzeba poszukać cienia, przeczekać spiekotę, życie powraca do normalnego rytmu dopiero około godziny osiemnastej.

Teraz, w szarości budzącego się dnia, wszyscy poruszali się jak w wielkim mrowisku. Niby bezładnie, a przecież mając wyznaczony cel. Między nimi psy. Całe stada. Współtworzące tę ludzko-zwierzęcą, symbiotyczną społeczność. Jedne z zielonymi wstążeczkami na szyjach, inne bez. Taki prosty sposób na oznaczenie psów zaszczepionych przeciwko wściekliznie. Wszystkie należące do wszystkich. Nie wiadomo: pańskie czy bezpańskie. Zamieszkujące miasto na takich samych prawach jak ludzie. Miasto z blachy falistej i poszczerbionych desek. Miasto z willami z marmuru i szkła w ekskluzywnych dzielnicach.

Gdzieś tam otwierały się już uliczne bary, z jeszcze czystą wodą w wiadrach, przygotowaną do mycia talerzy. Za kilka godzin będzie to breja, w której tłuszcz utworzy gruby kożuch. Motory pędzą ulicami, wznosząc tuman kurzu. Rozwożą ludzi do pracy, towary do sklepów. Szósta rano jest tutaj jak środek dnia. Za chwilę dzieci zaczną swoją wędrówkę do szkoły. Nie ma przymusu uczenia się, ale jest zwyczaj, by ukończyć choć kilka klas. Taki spadek po jezuitach, którzy ewangelizując przed wiekami Boliwię, przywieźli tu europejską cywilizację z hiszpańskim alfabetem. I muzykę.

Trudno w to uwierzyć, ale na ulicy słychać albo salsę, albo muzykę klasyczną. Teraz, kiedy tu jestem, przede wszystkim siedemnastowieczną, bo akurat zaczyna się festiwal baroku misyjnego, miejscowej odmiany muzyki sprowadzonej ongiś ze Starego Kontynentu. Lokalni kompozytorzy wzbogacili ją o własne instrumentarium i tutejszą wrażliwość...

Pisanie jej nie szło. Po trzech godzinach miała zaledwie wstęp do reportażu. Nie mogła się skupić, choć czas spędzony w Boliwii był jednym z najpiękniejszych okresów w jej życiu i chętnie opowiadała o nim przyjacielom. Spotkała tam naprawdę szczęśliwych ludzi. Może szczęśliwych dlatego, że oderwanych od dyscyplinującego nas czasu? I w związku z tym niezamartwiających się ani jego wpływem, ani tym, co może przynieść? Proste zasady regulujące wszystko: trzeba zaspokajać głód, mieć dzieci, wierzyć w Boga. I tyle. Nie rozmyślać za wiele, nie dzielić włosa na czworo. Co ma być, to będzie. Nic dwa razy się nie zdarza. Raj nie będzie powtórką ziemskiego żywota, więc trzeba żyć dobrze i pięknie...

Zajrzała do skrzynki mailowej: Jan informował ją o kolejnym przedłużeniu pobytu. Tym razem o miesiąc. Wzruszyła ramionami. Coraz mniej ją to obchodziło. Nie zdążyła uzależnić się od niego ani włączyć na stałe do swojego świata. Wszystko trwało zbyt krótko. Owszem, rozmowy z nim wspominała jako coś ożywczego, zwłaszcza te o sztuce, ale z wieloma osobami mogła prowadzić podobne dyskusje, zawodowo lub prywatnie, nie był to więc jakiś szczególny atut tej znajomości. Jak się nad tym głębiej zastanowić, nic jej jakoś specjalnie nie wyróżniało. No, może niecodzienne godziny spotkań, bo Jan często stawał w progu jej domu w porze śniadaniowej, no i fakt, że poznali się, kiedy straciła przytomność na ulicy, niemal pod kołami jego samochodu... Prawda była taka, że gdyby nie upór Jana, pewnie w ogóle nie zamieniliby ani słowa. To nie ona zabiegała o niego, ona tylko zgodziła się na to, by razem spędzali część swojego wolnego czasu. Teraz, też nie z jej inicjatywy, zniknął – decyzję podjął on, samodzielnie. Czy rzeczywiście musiał siedzieć tak długo w Stanach? Czy nie mógł dogadać się z synem, by ten zaopiekował się chorą matką? Nie mógł zała-

twić jej jakiejś płatnej pomocy? Jak to możliwe, że po kilkunastu latach życia w Nowym Jorku jego ekszona nie miała tam żadnych przyjaciół, żadnych znajomych, nawet jednej bliskiej sąsiadki? Jakoś nie chciało się jej w to wierzyć. I nie chciało jej się też dłużej tego roztrząsać.

Powoli wracał dawny spokój, życie znowu toczyło się swoim rytmem, po staremu, bez żadnych przyspieszeń, bez rewolucji, bez zaprzątania sobie głowy tym, co on robi i kiedy będą mogli się zobaczyć – było takie, do jakiego przywykła, jakie lubiła: albo praca nad kolejnymi filmami, albo nad książką, nic więcej. Rozrywki sama sobie organizowała wedle własnych potrzeb. Czy chciałaby raz jeszcze wyrzucić to wszystko do góry nogami? Znosić czyjaś stałą obecność, tłumaczyć się z każdego ruchu, dopasowywać się do kogoś, zastanawiać się nad czyimiś upodobaniami? Nie, nawet seks nie byłby wystarczającym zadośćuczynieniem za ciągle naginanie się do cudzej woli, choćby najlepszy, bo z czasem po prostu przestał być ważny w jej życiu. A przynajmniej nie aż tak ważny jak dla innych.

Na maila odpowiedziała krótko, że dziękuje za informację, i że co prawda nie wiązała swojego urlopu z jego obecnością, ale teraz przynajmniej wie, że nie musi w ogóle brać go pod uwagę. Zatem – skłamała – za tydzień wyjeżdża na cały miesiąc. Będzie przez ten czas bez dostępu do Internetu, może też – uprzedza – bez telefonu, a żonie życzy jak najszybszego powrotu do zdrowia... Poczula ulgę. Przez miesiąc zdąży zapomnieć o zamieszaniu, jakie Jan wprowadził w jej życie.

„Nie ma co siedzieć i dumać – stwierdziła. – Trzeba cały czas iść do przodu. Poznawać, doświadczać, uczyć się. Bez niepotrzebnej martyrologii. Liczy się droga. Ona jest najważniejsza. Codziennie choćby mały krok. Stoisz – umierasz. Tak to działa. To survival. – Zamknęła komputer, wyłączyła światło. – A teraz książka i spać” – zdecydowała.

Miała ochotę zadzwonić jeszcze do siostry, ale przypomniała sobie, że przyjechał do niej Janusz, nie będzie im więc przeszkadzać. „Facet z tajemnicą”, jak nazwała go po pogrzebie Jacka. Niewiele mówił, starał się być przydatny. Wyręczał Ewę we wszystkim, opiekował się nią jak małym dzieckiem. Podawał herbatę, nim zdążyła pomyśleć, że miałyby ochotę jej się napić...

„Szkoda, raczej jest bez szans – zawyrokowała. – Zbyt dużo w nim dobroci. Ewka to torreador... – Przypomniała sobie, że takie właśnie wrażenie siostra zrobiła na niej, kiedy odbierała ją z lotniska po pobycie w Barcelonie. W pierwszym odruchu pomyślała wtedy, że Ewa jest kobietą, którą trudności motywują do działania, że lubi, jak to się mówi, brać byka za rogi. – Ona musi być przez faceta trochę psychicznie poturbowana, musi walczyć – analizowała – a Janusz kładzie się na tacy i aż prosi, by go kroić. Jak ktoś znał samych drani, to tylko tacy go interesują. Dobrego nie doceni, dobrym szybko się znudzi. Dobry nie ekscytuje, bo jest zbyt przewidywalny... Jan, co prawda, nie jest przewidywalny tak jak Janusz – zauważyła – ale mnie walka już nie interesuje, za długo byłam sama. I tym się różnię od Ewy” – podsumowała.

Następnego dnia ponownie przeczytała tekst o Boliwii i nadal nie wiedziała, jak ruszyć z dalszym pisaniem. Wczorajsze zablokowanie nie minęło. Myśli uciekały ku Ewie, Januszowi, Janowi, nie mogła się od nich uwolnić. W nadziei na jakieś olśnienie, zaczęła ponownie przeglądać zdjęcia. Zwykle ta metoda się sprawdzała – po prostu nagle wzrok zatrzymywał się na jakimś pomijanym dotąd szczególe i w głowie automatycznie układała się cała historia, albo otwierał się jakiś nowy wątek. Podróż do Boliwii była tak bogata w wydarzenia, że we wspomnieniach łączyły się one w ciągle nowe konfiguracje, tworząc dziesiątki różnych opowieści, największy więc problem stanowiła ich selekcja.

Poleciała do Santa Cruz z powodu Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Renesansu i Baroku w Ameryce „Misiones de Chiquitos”⁶. Przede wszystkim chciała się przyjrzeć pracy księdza Piotra

Nawrota, od blisko trzydziestu lat mieszkającego w Boliwii, profesora muzykologii, który całe życie poświęcił badaniu i przywracaniu światowej kulturze indiańskich manuskryptów muzycznych. Na jego festiwal zjeżdżali melomani z całego świata i najznamienitsi wykonawcy specjalizujący się w muzyce dawnej, w Polsce jednak hasło „barok misyjny” wywoływało niewielkie zainteresowanie, nawet w kręgach osób związanych z akademiami muzycznymi. To właśnie chciała zmienić realizowanym filmem.

⁶ Festiwal ten organizowany jest co dwa lata od 1996 roku; wymyślił go i dyktuje mu polski misjonarz, ks. prof. Piotr Nawrot, który od początku lat 90. XX wieku zajmuje się odczytywaniem i rekonstrukcją pochodzących z XVI, XVII i XVIII wieku muzycznych manuskryptów Indian Chiquitos i Moxos. Festiwal służy między innymi propagowaniu tej muzyki, nazywanej barokiem misyjnym.

Lecząc, zastanawiała się, jak bardzo zaskoczy ją to miejsce. Wiedziała, że będzie musiała zanurzyć się w historii. Ciekawa była, na ile prawdziwie opowiadała o niej *Misja*⁷, której scenariusz rzekomo opierał się na faktach i która dla wielu pozostaje podstawowym źródłem wiedzy o tamtych czasach oraz o tamtym miejscu.

⁷ *Misja* – film prod. brytyjskiej z roku 1986, reż. Roland Joffé. Opowiada historię misji jezuickiej w Ameryce Południowej założonej w okresie natężonej walki o wpływy na tym terenie pomiędzy Hiszpanią i Portugalią, w wyniku której jezuici zostali zmuszeni do opuszczenia terenów dzisiejszej Boliwii.

Festiwal odbywał się w całej niemal Chiquitanii, czyli na terenie wokół Santa Cruz de la Sierra. Jeżdżąc z koncertu na koncert, mogła oglądać dawne wioski redukcyjne, poczynając od najsłynniejszych Concepción czy San Xavier, a na San Ignacio kończąc. We wszystkich tych miejscach kościoły stanowiły centralny punkt założenia urbanistycznego. Wybudowane przez jezuitów w XVII i XVIII wieku, starannie odbudowane w wieku XX dzięki szwajcarskiemu architektowi Hansowi Rothowi. Tylko jeden z nich był całkowicie autentyczny, jeden, w którym niczego nie trzeba było rekonstruować – kościół w Santa Ana. Jego historia wywracała też do góry nogami obiegującą, pełną przemocy i krwi, pamięć o ewangelizacji Indian.

Jezuici założyli tę redukcję w 1755 roku. Zaczęli od stworzenia społeczności; jej najważniejszymi elementami były orkiestra i szkoła muzyczna. Zakładali je zresztą w każdej wiosce, bo szybko zauważyli, że muzyka jest najprostszym sposobem komunikacji. To ona pomagała zdobywać zaufanie Indian, stawała się czymś w rodzaju rozjemczej flagi – kto grał, nie mógł mieć złych zamiarów, nie mógł być wrogiem.

Jest taka scena w *Misji*, kiedy ojciec Gabriel, w którego wcielił się Jeremy Irons, siada na kamieniu i zaczyna grać na małym flecie wyciągniętym zza pazuchy. Muzyka przyciąga Indian, ich wrogość powoli topnieje, coraz śmieiej do niego podchodzą, zatrzymują się i słuchają...

Jak potwierdzają znawcy tematu, pierwsi jezuici, zaraz po przybyciu na te ziemie, rzeczywiście zauważyli u tubylców wielką wrażliwość na dźwięki i odpowiednio ją wykorzystali – ułatwiała kontakt, uzupełniała porozumienie werbalne, co było tym ważniejsze, że przecież języka autochtonicznego mogli uczyć się, dopiero osiadłszy na miejscu. Misjonarze nie narzucali nikomu swojej muzyki, tej przywiezionej – czynili z niej coś w rodzaju prezentu i obserwowali, co Indianie z nią robią. A ci początkowo jedynie ją odwzorowywali, potem dokładali do niej swoje własne, lokalne brzmienie, a w końcu sami zaczęli tworzyć. Potrafili ją też zapisać. Powstawały utwory przypominające te europejskie, ale o zupełnie innym wymiarze duchowym, innym nastroju, jakby bardziej radosne. Połączyły się dwie tradycje, tworząc to, co dziś nazywa się barokiem misyjnym – muzykę odrębną, specyficzną, poszerzającą definicję baroku i każącą myśleć o ludziach skupionych w redukcjach jako o głęboko zanurzonych w niezwykle bogatej, wieloaspektowej kulturze, ciągle jednak wspólnie słabo rozpoznanej.

Indianom, oczywiście, czas mijał nie tylko na graniu. Uczyli się agronomii, budownictwa, czytania i pisania. Jezuici opowiadali im także o swoim Bogu, znajdując przy tym sposób na to, by kato-

licyzm nie wykluczał wierzeń zastanych, ale raczej adaptował to, co możliwe; w ten sposób, na przykład, tutejsze duchy opiekuńcze przemieniły się w anioły, których dzisiaj wszędzie pełno... Nade wszystko jednak misjonarze chronili tubylczą ludność przed tymi, którzy do Ameryki Południowej przybyli po tanią siłę roboczą. W misyjnych osadach żyło w sumie ponad dwadzieścia cztery tysiące Indian, księży – mniej niż trzydziestu. Dwadzieścia cztery tysiące ludzi, na których nie polowali handlarze niewolników.

Serce wioski zawsze stanowił kościół. Budowano go z miejscowych materiałów, stąd najczęściej był drewniany. Jedyny murowany postawiono w San José de Chiquitos, bo akurat w tamtej okolicy znajdowało się więcej kamieni niż drzew. Historia kościoła w Santa Ana jest inna niż wszystkich pozostałych. Kiedy nadszedł czas, rozrysowano plany, zaczęto gromadzić materiały na budowę i postawiono fundamenty, ale wtedy król Hiszpanii, Carlos III, nakazał jezuitom opuścić Chiquitanię⁸. Zgodnie z zawartym porozumieniem miała ona przejść we władanie Portugalii. Wydawało się, że redukcja Santa Ana zniknie z powierzchni ziemi, a Indianie wrócą do puszczy. Tak się jednak nie stało. Nie tylko dali skuteczny odpór konkwistadorom, ale i dokończyli budowę swojej świątyni. A potem odprawiali w niej liturgie tak, jak ich wcześniej uczono.

⁸ Jezuita opuścili Chiquitanię w roku 1767; zdążyli ustanowić 10 wiosek misyjnych, tzw. redukcji; w roku 1990 zostały one wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO.

Jakimś zrzędzeniem losu kościół w Santa Ana przetrwał, nie popadł w ruinę; po latach wymagał tylko odświeżenia. Nadal też sprawnie działają zainstalowane na chórze osiemnastowieczne organy – jeden z recitali festiwalu zorganizowano tutaj właśnie ze względu na zachowany instrument...

„Tak, powinnam pisać o muzyce – pomyślała, przyglądając się zdjęciom z koncertów. – W jej historii zawierają się dzieje tego kraju, ona zapisuje tożsamość narodu. Te manuskrypty mają wartość porównywalną z Torą. Przekazywali je sobie z pokolenia na pokolenie jak największy skarb. – Zatrzymała wzrok na fotografii z muzeum w Concepción przedstawiającej człowieka pochylonego nad strzępami partytury leżącymi na podświetlanym stole. – One nigdy nie zginęły, jak kiedyś przypuszczano, były tylko skrzętnie ukrywane, by nie trafiły w obce ręce. – Zamyśliła się. – No i z tym przecież wiąże się też jedno z moich największych zaskoczeń, kiedy zobaczyłam, jak Boliwijczycy słuchają muzyki! Nigdzie indziej nie widziałam takiej intensywności odbioru... – Na ekranie komputera wyświetliły się skupione twarze, a potem zdjęcia z warsztatu tkackiego. – I te małe tranzystory przy krosnach, sącząca się z nich muzyka skrzypcowa... – myślała dalej. – I to nie tylko z okazji festiwalu. – Z ekranu uśmiechała się do niej starowinka z głową przechyloną w stronę radia. – Ona rzeczywiście jest z nimi na co dzień, niezależnie od tego, co robią: jedzą, sprzątają czy lepią garnki. Tak, to musi być o tym – zadecydowała.

Sięgnęła po kartkę i szybko spisała w punktach plan reportażu. Trudno było nazwać to konspektem, raczej zbiorem haseł; zawsze tak robiła, jeśli bała się, że może zapomnieć o czymś ważnym. A potem przywołała psa, musiała się przejść, by poukładać myśli. Postanowiła pojechać do lasu. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą koszyk – co prawda dawno nie padało, ale nigdy nie wiadomo, jak powtarzała przy takich okazjach, co przyniesie los. Może kanie? Kanie w panierce, przysmak z dzieciństwa. Takie, jak robił tata, rozmarzyła się.

To ojciec nauczył ją, w jaki sposób odróżniać grzyby jadalne od trujących. Gdyby miała opowiedzieć, jak to robić, nie umiałaby, ale wiedziała z całą pewnością, które można bezpiecznie zbierać. Kanie nie były popularne wśród amatorów leśnych wycieczek, zbyt łatwo można je pomylić z muchomorem sromotnikowym, istniała więc szansa, że uda jej się przygotować ten nagle wymyślony obiad. Byle dojść do łąki.

Samochód zaparkowała przy wjeździe do lasu. Często bywała tutaj z Borem. Żabi skok od domu,

a świat jakby z innej rzeczywistości, aż dziwne, że nikt tu jeszcze nie wyciął drzew, niczego nie wybudował, nie postawił budy z kebabem. Cicho i dziko. Dzień był piękny, słoneczny, bez nadziei na choćby chwilową zmianę pogody. Sucho. Igliwie chrzęściło pod butami. Ptaki prawie się nie odzywały, zmęczone temperaturą. Pies grzecznie maszerował obok, a jeśli odbiegał, to tylko na parę metrów, po czym szybko wracał, radośnie merdając ogonem. Co jakiś czas wpatrywała się w poszycie, mając nadzieję, że jednak znajdzie jakieś podgrzybki czy gaśki. Nie było ani jednych, ani drugich. Nie było też kań na łące. Wróciła do domu z pustym koszykiem. Ale obiad już nie zaprzętał jej głowy. Dała jeść Borowi, sobie przygotowała kanapki z serem oraz termos z kawą i siadła do komputera. Tekst ułożył się sam podczas spaceru. Tak to jest, kiedy uwolni się myśli – nieblokowane wracają gotowe do natychmiastowego użycia.

Wstała od biurka dopiero późnym wieczorem. Zadowolona, że nic nie odrywało jej od pisania. Zajrzała do skrzynki mailowej, od kilku godzin na przeczytanie czekała wiadomość od Jana. Przez chwilę przyglądała się słowom w temacie: „Wybacz mi, proszę”. Już miała otworzyć, ale w ostatniej chwili cofnęła myszkę. Musiałaby odpowiedzieć, a nie chciała teraz myśleć o niczym, co nie było związane z Boliwią. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest specjalnie ciekawa treści.

Następnego dnia rano dopisała jeszcze parę zdań do artykułu i pojechała na zakupy. Lodówka świeciła pustkami, psia karma też się skończyła. Postanowiła zrobić sobie prezent i kupić jakąś bluzkę lub koszulę, która nie byłaby czarna. Od jakiegoś czasu miała wielką ochotę na zmiany w swojej szafie. Niech czarne rzeczy wiszą, leżą i tak dalej, ale niech coś je przełamie – jakaś czerwień, żółć, pomarańcz, zieleń, nawet granatowy, za którym nie przepadała, byle zmienić dotychczasową monochromatyczność. Ciągle jej się to nie udawało, mimo częstych postanowień, ale może tym razem coś ją zachwyci?

Po kilku godzinach wróciła do domu, taszcząc kilka ciężkich siatek i papierową torbę z logo markowego sklepu. Na żadnej półce nie znalazła niczego, co zauroczyłoby ją w takim stopniu jak czarna, muślinowa tunika, luźna i powiewna, w sam raz do wąskich spodni lub ołówkowej spódnicy. Przyglądała się kolorowym bluzkom, ale żadna, dosłownie żadna – jak przekonywała później samą siebie – nie wyglądała wystarczająco dobrze.

Siatki zostawiła w kuchni i od razu przymierzyła nowy zakup. Kręciła się przed lustrem w korytarzu, z zadowoleniem stwierdzając, że ukrywa to, co ukrywać powinien, jednocześnie eksponując to, co eksponować należy. Czuła się atrakcyjnie. Warto było uszczuplić rachunek bankowy. Nakarmiła psa i, nie zmieniając stroju, usiadła przy komputerze. Nadal na przeczytanie czekał list od Jana. Zostawiła go w spokoju, właściwie wiedziała, czego się spodziewać, teraz ważniejsza była korekta reportażu.

Poprawki, jak zwykle, zajęły jej sporo czasu, bo przecież zawsze przychodzą do głowy słowa lepsze od wcześniej użytych, zdanie zawsze można zbudować inaczej, albo zmienić układ przynajmniej dwóch akapitów. W sumie jednak nie było najgorzej. Wysłała. I dopiero wtedy otworzyła maila od Jana.

Zgodnie z przewidywaniami, tłumaczył trudną sytuację ekszony. Choroba bardzo ją zmieniła, mieli teraz szansę na pokojowe – jak to określił – rozwiązanie spraw spornych, które to notorycznie przyprawiały go o ból głowy, może nie dosłownie, ale jednak nie pozwalały mu spokojnie żyć. Największym jednak problemem był ich syn, który najpierw nie mógł mu wybaczyć odejścia, a potem, kiedy dorósł i zaczął więcej rozumieć, oskarżał matkę o rozbitcie rodziny, w końcu zaś wyprowadził się z domu, nie pozostawiając adresu. Teraz więc – pisał Jan – najważniejsze było odnalezienie go i poskładanie wszystkiego do kupy, na ile – oczywiście – było to możliwe. Bardzo żałuje,

że nie może być z Marią, że nie pojedą gdzieś razem, ale jak teraz tych spraw nie uporządkuje, to zawsze już ten bałagan będzie się za nim ciągnął. Bardzo za nią tęskni i prosi, by wybaczyła mu jego nieobecność, obiecuje, że nadrobi wszystko po powrocie...

Zaczęła się śmiać. List wydał jej się absurdalny. Oczywiście było dla niej, że dawna małżonka Jana sprytnie wykorzystywała sytuację, by odbudować ich związek. Choroba widocznie uświadomiła jej własne błędy, czas zaś pokazał, że Jan jest mężczyzną odpowiedzialnym, zaradnym, a jego sytuacja finansowa może gwarantować spokojne życie wszystkim. I on dał się na to złapać. Na jej chorobową bezradność. Poczł się w obowiązku, by ponownie zaopiekować się i chorą kobietą, i ich biednym, dorosłym już, synem. Być może miał coś wcześniej na sumieniu, może nie traktował jej zbyt dobrze, może zdradzał, lichy wie, i teraz jego poczucie winy zwyczajnie się wzmagalo. W każdym razie, robił więcej, niż powinien i nawet nie zauważał, że to pułapka, że za chwilę utknie tam po wsze czasy.

Nie wiedziała, co odpisać. Powinna krzyczeć: „Ratuj się, człowieku, przejrzyj na oczy, uciekaj! Widziałeś tysiące takich historii w kinie, czytałeś o takich w książkach!”. Ale... może nie był tak bezwolny, jak sądziła? Może tego właśnie chciał? Może miotał się, bo nie wiedział jak zakończyć sprawę, ale wcale nie z żoną, tylko z nią?

„Cóż, z tamtą kobietą spędził kawał życia, razem emigrowali, mieli syna, wspólnie przeszli przez najgorsze. Ze mną – rozmyślała – przeżył zaledwie kilka tygodni. Rozmowy, tańce, kolacje. Żadnych konfrontacji, żadnych sprzeczek, idylla. Nie ma porównania. Sam mówił – przypomniła sobie nagle – że wynajmuje mieszkanie zamiast kupić jakieś na własność, bo ciągle nie wie, gdzie chciałby żyć, a interesy może prowadzić z każdego miejsca na ziemi. Faktycznie, co go tu trzyma?” – zastanawiała się.

Zaczęła pisać:

Janie, rozumiem, sprawa jest skomplikowana. Skoro syn nie zostawił adresu i się nie odzywa, zlokalizowanie go będzie trudne i może potrwać długo. Wiem, że to dla Ciebie ważne. Jak dla każdego rodzica, tak myślę. Mam nadzieję, że uda się wszystko załatwić szybciej, niż dziś się wydaje. Mam nadzieję, że ten wspólnie spędzany czas pozwoli zasypać przepaść, która powstała, kiedy się rozstawaliście. Nie prosz, żebym wybaczyła Ci Twoją nieobecność. Jeszcze siebie do tego nie upoważniam. Spotkaliśmy się, chwilę byliśmy razem, jeśli los pozwoli, nastąpi jakiś ciąg dalszy. Na razie najważniejsze jest, abys odzyskał spokój. Skup się więc na tym, co masz tam do zrobienia. Trzymam za Ciebie kciuki. Tak, jak ostatnio pisałam, za kilka dni znikam na dłużej. Niestety nie będę miała możliwości czytania Twoich listów ani pisanie do Ciebie. Całuję. Maria

„No to teraz zobaczymy, co z tego wyniknie – pomyślała, uśmiechając się smutno. – Nie ma co budować zamków z piasku. Trzeba żyć tak, jakby ten epizod nigdy się nie zdarzył. Biedny facet – westchnęła. – A może... biedna ja?” – zastanowiła się.

Wyłączyła komputer. Bolały ją oczy i plecy. Sięgnęła po papierosa, otworzyła na oścież okno w salonie. Wieczór przynosił ulgę po upalnym dniu. Nagrzane powietrze stygło, przechodząc w jesienny chłód nocy. Syciła się nim tak, jak z rana słońcem.

Mówienie sobie, że coś nas nie obchodzi, to jedno, ale faktyczne uwolnienie się od myśli o tym, jest zupełnie czymś innym. Wcale nie było łatwo pozbyć się obrazu Jana spod powiek. Zaciągała się dymem, patrzyła na ogród i przypominała sobie, jak obserwowała go, kiedy pierwszy raz wychodził z tego domu, przyglądał się murom i drzewom, stawiał kołnierz od marynarki, powoli odjeżdżał. A potem, jak zaprosił ją do siebie, by pokazać obrazy art brut⁹ – sztuki, którą się pasjonował, i jak

podarował jej pejzaż Marii Wnęk¹⁰.

⁹ Sztuka stworzona nieprofesjonalnie i spontanicznie przez osoby niepełnosprawne intelektualnie, podziwana za emocjonalizm, pewien rodzaj pierwotności, negację wzorców kulturowych; w Polsce reprezentują ją m.in. Henryk Żarski, Stanisław Zagajewski, Maria Wnęk.

¹⁰ Maria Wnęk (1922–2005) – jedna z najważniejszych postaci nurtu art brut w Polsce. Zaczęła tworzyć w wieku 40 lat, szybko zwracając uwagę krytyków sztuki, kolekcjonerów i innych artystów. Jej prace pokazywane były na wielu wystawach, m.in. w Paryżu, Baltimore, Bratysławie; znajdują się też w kolekcji Muzeum Art Brut w Łozannie (Collection de l'Art Brut). W Polsce największe zbiory jej malarstwa i rysunków pozostają w rękach Leszka Macaka (Kraków).

Jeszcze go nie oprawiła, nadal leżał na komodzie w salonie. Za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, miała ochotę dotykać drzew. Obraz przedstawiał las. Był bardzo nietypowy dla Wnęk, bo rysowała i malowała głównie Maryje, Jezusów oraz aniołki, dziesiątki aniołków z charakterystycznie przekrzywionymi głowami, ogromnymi oczami, które wdzierały się w pamięć i trudno było potem od nich się uwolnić. Las natomiast był tylko lasem. Ale tak nasączonym słońcem i rosą, że miało się ochotę natychmiast w nim zanurzyć. Zdjąć buty i na bosaka biegać po mchu, a potem bawić się w chowanego z promieniami poranka. Bo to na pewno był las o świcie, jeszcze niedotknięty czasem mijającego dnia.

Chociaż więc chciała wyrzucić Jana z pamięci, nie było to możliwe. Obrazy powracały. Miała tylko dobre wspomnienia. Nie zdążyli się pokłócić, nie zdążyli się rozstać i zejść ponownie. Ich związek był jak podróż w nieznane, atrakcyjna pod każdym względem; albo jak gra w Czarnego Piotrusia, gdzie trzeba zebrać jak najwięcej kart pasujących do siebie, a inne odrzucić, by nie zawadzały. Nie zdążyła jeszcze wyobrazić sobie przyszłości z Janem, ale tych kilka tygodni było pięknych. Wywołujących uśmiech. To ważne.

„Widocznie tak miało być: chwila i tylko chwila. – Zgasiła papierosa, oczyściła, jak zawsze, popielniczkę i zamknęła okno. – Nie, nie mogę pograć się we wspomnieniach, bo przestanę żyć – zdecydowała. – Widać nie było nam sądzone”.

Zmęczenie dało o sobie znać. Było jeszcze stosunkowo wcześnie, ale te dwa dni ją wykończyły. Rano miała mieć montaż filmu, którego emisję zapowiedziano na koniec tygodnia. Wypiła słabą herbatę, połknęła tabletkę nasenną; zawsze je zażywała, kiedy emocji było zbyt wiele – inaczej nie przespałaby nocy. Nim zamknęła oczy, pomyślała, że może jednak powinna wyjechać na urlop. I to właśnie gdzieś, gdzie nie ma zasięgu i gdzie komputery rzeczywiście nie działają. Co prawda, miała pisać książkę, ale przecież nie musi robić tego tutaj, w tym domu.

Kolejne dni mijały jej pracowicie i w takim tempie, że z trudem znajdowała chwilę na spacer z psem. Nie było czasu na rozmyślanie. Film jakoś się nie kleił; w trybie awaryjnym musiała jechać na dokrętki¹¹. Coś takiego zdarzyło jej się po raz pierwszy – uznała, że to z przemęczenia, dawno tak nie tęskniła za czasem wolnym. W domu, wieczorami, w kółko przeglądała nakręcony materiał, nanosiła poprawki na drabinkę montażową¹². Każde ujęcie¹³ знаła już na pamięć, każdą setkę¹⁴. W końcu przyznała się do tego, że błąd popełniła na samym początku, kiedy pojechała na zdjęcia bez dopracowanego scenariusza, w efekcie czego nakręciła za dużo materiału. I teraz głównym problemem była selekcja. „Jak przy pisaniu o Boliwii” – pomyślała.

¹¹ Dodatkowe zdjęcia, sceny.

¹² Drabinka montażowa (układka) – jeden z etapów produkcyjnych; dokładny opis filmu, jego kolejnych scen i sekwencji, z podziałem na obraz i dźwięk; przygotowywany po zakończonych zdjęciach, wskazany przy montażu.

¹³ Ujęcie – najmniejsza jednostka filmowa, mierzona od włączenia do wyłączenia kamery.

¹⁴ Setka – w języku telewizyjnym rodzaj wypowiedzi bohatera, którego jednocześnie widać i słycać.

– Pycha, to zwyczajna pycha! – Złościła się teraz na siebie. – Za brak pokory płaci się, przegrywając. Zawsze tak jest. Jak mogłam do tego dopuścić?! Ja, która tyle mówię o szacunku dla siebie i innych! – Odsunęła się raptownie od komputera, coraz bardziej poirytowana. – A przecież to jest właśnie brak szacunku! Marnuję czas swój i innych. – Sięgnęła po koniak stojący na półce z książkami. – Coś, co mogłam skończyć w jeden dzień, gdybym przygotowała się jak należy, ciągnę trze-

cią dobę! Kiedy tak mi się powywracało we łbie?! – Przeszła z kieliszkiem do salonu, zapaliła papierosa, nastawiła kawiarkę. – Może to sygnał, by w ogóle skończyć z tą robotą? – Zapytała samą siebie. – Pojechałam na zdjęcia, myśląc, że po tylu filmach mogę ten jeden reportaż zrobić z marszu. Zlekceważyłam temat. Pierwszy raz... – Zamyśliła się. – Boliwia była nieprzewidywalna, nie miałam kiedy solidnie przygotować się na ten wyjazd, ale tu? Poleciałam rutyną. Tak, może czas to zakończyć? – ponownie zadała sobie pytanie.

Narzuciła na ramiona sweter i wyszła do ogrodu z koniakiem, kawą oraz papierosem. Nic nie smakowało. Wieczór natychmiast przyłgnał do niej wilgocią. Było ponuro, nieprzyjemnie. Księżyc zasłaniały chmury; przesuwwały się po niebie tak szybko, jakby chciały przyciągnąć deszcz. Korony drzew szumiały ponuro. Wzdrygnęła się. Zawołała Bora, który – ledwo otworzyła drzwi – skorzystał z okazji, by podnieść swoje wielkie cielsko z posłania i wybiec na trawę, i wróciła do domu, zostawiając filiżankę na dworze, na stole oplecionym bluszczem. Czasami nazywała ten stół katafalkiem. W takich chwilach jak ta miała wrażenie, że jej dom jest częścią opustoszałego cmentarza. Jednym z zapomnianych grobowców. Pewnie przez tę pnącą się i wijącą roślinność, która powoli wszystko porastała. Owijała nie tylko meble, ale wspinała się też po ścianach, jedną niemal dokładnie zakrywając, łącznie z oknem.

Złość nieco jej przeszła, ale smutne myśli na własny temat nie mijały. Wiedziała, że musi dokończyć to, co zaczęła, a potem zniknąć z pracy na tyle, na ile to możliwe i wtedy spokojnie zastanowić się nad – na przykład – ewentualnym rozstaniem z firmą; była to myśl, która od roku regularnie do niej wracała. Zawsze mówiła, że pierwsze oznaki rutyny są sygnałem, by uciekać albo zmienić coś w sobie.

– Zrobiłam to, przed czym przestrzegałam młodych – nie szczydziła sobie krytyki. – Żeby nigdy nie myśleli, że skoro na montażu komputerowym można bezkarnie wszystko w nieskończoność zmieniać, przestawiać, skracać, wydłużać, to nie trzeba wcześniej wykonać pracy w postaci ułożenia filmu na papierze i w głowie. Uległam pokusie. Teraz muszę jakoś z tego wybrnąć. Masakra... – westchnęła ciężko.

Sięgnęła po telefon. Pomyślała, że musi sprawdzić, co u Ewy. Nie odzywała się do niej od kilku dni. Ciekawa była, jak sobie radzi, no i co wynikło z przyjazdu Janusza. Wybrała numer. Nic. Jeszcze raz. Znowu nic. Siostra była „abonentem chwilowo niedostępnym”, jak informował głos automatycznej sekretarki.

Wzięła prysznic, gorąca woda przyniosła odprężenie – jej strumienie rozluźniły napięte mięśnie. Otulona ciepłym szlafrokiem wróciła do komputera. Czekala ją długa noc. Zastanawiała się, czy uda jej się uratować cokolwiek z tego, co dotąd skleila¹⁵. Jeszcze raz przejrzała gotowy materiał, po czym wzięła się do pracy. Rozpisała wszystkie nakręcone sceny na osobnych kartkach i zaczęła układać je na podłodze. Przekładała, usuwała i dokładała tak długo, aż uznała, że historia toczy się płynnie, ma w odpowiednich miejscach punkty zwrotne, może utrzymać uwagę widza. Dopiero wtedy zaczęła wypełniać sceny detalami: wybierać poszczególne ujęcia, wypowiedzi bohaterów. Okazało się, że film musi złożyć od nowa. Trudno. Przeprosi montażystę, zaprosi go na obiad, kupi mu butelkę dobrego wina, ale teraz na pewno szybko uporają się z całym tym bałaganem. Teraz nareszcie wie, czego chce, a to jest najważniejsze. Świtało, kiedy skończyła.

¹⁵ Kleić – tu: montować; termin nawiązuje do czasów taśmy celuloidowej, którą rzeczywiście się cięło i kleiło, montując film.

I faktycznie, wystarczył jeden dzień, od rana do nocy, by poukładać to, co wcześniej pozostawało chaosem. Wieczorem zadzwoniła do siostry, by uprzedzić ją o swoim przyjeździe i poszła z psem

na długi spacer. Należało się to im obojgu.

Październik nadal zaskakiwał pogodą. Nie pamiętała, kiedy wcześniej jesienią swobodniej dawało się oddychać dopiero po zachodzie słońca. Od dawna nie spadła ani jedna kropla deszczu, mimo że czasami się chmurzyło i nawet gdzieś na horyzoncie błyskało. Powietrze było ciężkie, jakby dźwigało tony kurzu. Znowu przypomniła się jej Boliwia, pewnie przez to obezwładniające ciepło, pewien wieczór w Concepción¹⁶...

¹⁶ Concepción – miasto położone ponad 250 km na północny wschód od Santa Cruz de la Sierra; dawna wioska misyjna, założona przez jezuitów w 1699 roku; niegdyś zamieszkiwane głównie przez Indian Guarani. Dziś liczy blisko 9000 mieszkańców. Zabytkową katedrę zbudowano w latach 1753–1756; uchodzi ona za jedną z najpiękniejszych świątyń w Boliwii; w jej pobliżu powstało muzeum, w którym przechowywane są między innymi oryginalne manuskrypty utworów stworzonych przez Indian (barok misyjny).

Było jak zwykle gorąco, bezwietrznie. Sjesta trwała w najlepsze, ale tym razem miasto nie odpoczywało: wokół kościoła kręcili się ludzie związani z organizacją koncertu, jaki miał się tu odbyć za kilka godzin. Siedziała na ławce i przyglądała się ich wysiłkom zmierzającym do rozwieszenia afiszy i banerów. Temperatura sprawiała, że szło im to dosyć opornie, ciągle coś trzeba było poprawiać, wyrównywać. Zastanawiała się, dlaczego tę robotę zostawili na teraz, na ostatnią chwilę, dlaczego nie zrobili tego rano? Żyjąc w Boliwii, doskonale wie się przecież o tym, że sjesta to najgorszy czas do jakichkolwiek działań. A tego dnia było wyjątkowo paskudnie, powietrze wręcz parzyło...

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zaczęły spadać wielkie krople wody. Jak z dziurawego wiadra. Ci, którzy byli na ulicy, szybko rozbiegli się w kierunku krużganków otaczających budynki przy placu. Przestrzeń opustoszała w jednej chwili. Została sama, nie rozumiejąc tego, co widzi. „Pojedyncze krople to przecież nic takiego!” – myślała. Ale niebo błyskawicznie pociemniało, a minutę, może dwie, później, krople zamieniły się w ulewę, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Jakby ktoś nagle odkręcił kurki w gigantycznych kranach. Woda przestała wsiąkać w ziemię, w okamgnieniu stworzyła ogromne kałuże i strumyki. Deszcz przemoczył ją do suchej nitki, nim zdążyła się schować. Zacinał, nasilał się, przechodził falami przez miasto. I... tak jak raptownie się zaczął, równie nagle ustąpił. Wyczerpał się, jakby zabrakło wody w zbiorniku. Trwało to może pięć minut, może dziesięć, ale nie dłużej. Zaraz potem znowu wyszło słońce. Miało się wrażenie, że z jeszcze większą mocą niż dotychczas zabrało się za wysuszanie nasiąkniętej wodą okolicy. Po kilkunastu minutach tylko świeża, błyszcząca zieleń drzew przypominała o tym, co się zdarzyło. Ludzie z uśmiechem wrócili do przerwanej pracy...

Nawałnica przyszła jak na zawołanie, jakby chciała pomóc w przygotowaniach do festiwalu: lepiej od miejskich polewaczek zmyła wszelki brud z ulic, pozwoliła odetchnąć czystym powietrzem. Teraz można było świętować, można było grać i śpiewać, a nawet tańczyć, gdyby kogoś naszła ochota...

„Pewnie swój udział miały w tym wszędobylskie, opiekuńcze duchy” – pomyślała teraz ze śmiechem, jednocześnie wyciągając z kieszeni spódnicy wyrzeźbioną w drewnie maleńką główkę puciołowego aniołka otoczoną skrzydłami jak wieńcem. Od powrotu z Boliwii zawsze miała ją przy sobie, bo – jak mówiła – może to jednak skuteczny talizman, a szczęściu trzeba pomagać na wszystkie sposoby.

Następnego dnia odstawiła psa do przyjaciółki, u której zawsze zostawał, kiedy ona wyjeżdżała do siostry. Jak każdy labrador, Bor nie przeżywał tych rozstań zbyt mocno. Piłeczka, smakołyki i głaskanie po łbie sprawiały, że szybko zmieniał obiekt swych miłosnych spojrzeń. Taka rasa – nieprzywiązująca się do jednego pana, albo raczej ze stoickim spokojem reagująca na wszelkie zmiany

w życiu. Były te zmiany nie krzywdziły.

Wyciągając karmę z samochodu, przypomniała sobie, jak pierwszy raz się z nim rozstawała: odwiozła go wtedy do znajomych, by wyjechać na miesiąc do Prowansji. Nie tylko zatargła do niego posłanie, ale dorzuciła też sweter, który pies często jej podkradał, i na którym potem sypiał. Przeczytała w jakimś poradniku, że takie osobiste przedmioty, pachnące bliskim człowiekiem, pomagają zwierzętom radzić sobie z tęsknotą. Zwierzętom może tak, ale nie labradorom, jak później się śmiała. Bor był na tyle podekscytowany podróżą, a potem ilością rąk wyciągniętych do głaskania i bułek do pogryzania, że nawet nie zauważył jej zniknięcia. Spał wszędzie, tylko nie na swoim materacu, do swetra nawet nie podchodził – jak jej potem relacjonowano – a kiedy przyjechała po niego po zakończonym urlopie, przez moment wahał się, czy w ogóle do niej podejść. Tęskniła więc głównie ona. Z czasem nauczyła się jakoś sobie z tym radzić. Zmieniały się domy, powiększało się grono wakacyjnych opiekunów, jedno pozostawało jednak niezmiennie: pies albo lądował u przyjaciół, albo ona rezygnowała z wyjazdu. Hotele dla zwierząt nie wchodziły w grę. Doświadczenia znajomych skutecznie od nich odstręczały. Na pewno istniały gdzieś świetne miejsca tego typu, może tylko oni mieli takiego pecha, że psa odebrali wychudzonego, ze śladami pogryzień i bojącego się spacerów na smyczy. Wolą jednak nie ryzykować. Poza tym, jak by na to nie patrzeć, hotel, nawet najlepszy, pozostaje przechowalnią, a pies nie rozumie, dlaczego nagle jest zostawiony sam sobie, bez człowieka na wyłączność, za to z gromadą innych czworonogów, z którymi musi jakoś się dogadać. I w kwestii spania, i w kwestii jedzenia, i w sprawie zabaw. Nie ma też poczucia czasu, więc nie wie, że jest to sytuacja chwilowa. Jego świat w tym momencie się rozpada.

Bez stresu pożegnała się z Borem – tu nie mógł czuć się porzucony. Spakowała się i wsiadła do pociągu, z zamiarem popracowania podczas podróży nad książką, do której nie zaglądała od dawna. W przedziale było jednak tak tłoczno, że nawet nie mogła wyjąć laptopa z walizki. Próbowowała więc czytać, ale i to szybko okazało się przedsięwzięciem ponad jej siły, bo siedząca obok młoda kobieta niemal przez całą drogę, bez najmniejszego skrępowania, głośno rozmawiała przez telefon. Nie wyszła na korytarz, po prostu, bez pytania o zgodę, zagarnęła wszystkich pasażerów do własnego życia, informując bez jakiegokolwiek zawstydzenia o szczegółach swojego pożycia z niejakim Grzegorzem.

Starła się nie słuchać tych opowieści, co jakiś czas udawało jej się to nawet, kiedy uciekała do świata własnych myśli. Powracał, rzecz jasna, Jan. Może przez tego nieszczęsnego Grzegorza?

Do Jana nie odezwała się już więcej, ale i on przestał przysyłać maile. Trochę ją to zdziwiło, choć potwierdzało przypuszczenia o jego coraz większym angażowaniu się w nowojorskie życie i malejącej szansie na powrót do Polski. Bardzo chciała się mylić, tylko... Jak to inaczej wytłumaczyć? Popsutym komputerem? Dlaczego nie pisał wprost o tym, co się dzieje, skoro zmienił plany?

Wydawał się mężczyzną, który nie rzuca słów na wiatr, uczciwym. Czy ktoś taki uległby pokusie zakończenia niewygodnej znajomości bez wyłożenia kart na stół? Mógłby tak stchórzyć? Gdyby miał powiedzieć jej to w cztery oczy – tłumaczyła sobie – jakoś można by zrozumieć ewentualną rejteradę, ale mailowo? Przecież to najbezpieczniejsze pożegnanie! Nikt nie przerywa, nie widać reakcji, spokojnie da się wszystko wytłumaczyć. Zresztą, można i to pominąć, bo wystarczy: „Przepraszam, tak wyszło, wybacz”.

Przypomniała sobie, jaką troską otoczył ją po wypadku. Nie zawinił, ale i tak czuł się odpowiedzialny. To, że jej omdlenie zatrzymało właśnie jego auto, było czystym przypadkiem. I nikomu nic się nie stało. Nie tylko odwiozł ją wtedy do domu i nalegał na wizytę u lekarza, ale nazajutrz wrócił z kwiatami, by przeprosić za nie swoje grzechy. A potem zaprosił na kolację... Mój Boże, jak cudownie wtedy mijał im czas! Cały wieczór, ku jej własnemu zaskoczeniu, przegadali o sztuce. Nie

o żadnych damsko-męskich sprawach, nie o sobie i własnych doświadczeniach, tylko o czymś, co ich rzeczywiście interesowało. Dawno nie czuła się tak dobrze. Nie była w tej rozmowie dziennikarką, była po prostu „uczestnikiem dyskusji”, któremu zbyt łatwo nie przyznawano racji. Uwielbiała takie spotkania. Szukanie argumentów, odpowiednich słów, stawianie tez... Tak rzadko to się zdarzało! I właściwie wtedy wszystko się zaczęło, bo to po tym wieczorze przestała opędyć się od niego jak od natrętnej muchy, przestała złośliwie komentować jego poczynania, przez moment myślała nawet, że nadszedł czas na zmiany, że wystarczy już tego bycia samą...

Nie, nie żałowała swojej przeszłości, okresu między rozwodem a Janem. Wiele się wtedy nauczyła. Przede wszystkim zrozumiała, czym jest dorosłość, co znaczy odpowiedzialność. Nauczyła się być samowystarczalna. To najważniejsze. Żaden mężczyzna nie był jej potrzebny po to, by się na nim uwiesić – materialnie czy mentalnie. Umiała sama o siebie zadbać. Jeśli myślała o jakimś związku poważnie, to tylko w kategoriach wspólnoty: że razem idą przez życie, bo tego chcą, a nie dlatego, że ktoś coś załatwia drugiej stronie. Nikogo nie krzywdziła i nie pozwalała krzywdzić siebie. Ćwiczyła intuicję. Reszta była pochodną.

Panna z przedziału ciągle opowiadała o swoich relacjach z mężczyzną, który zapewne nie był przypadkowym znajomym, tylko jej życiowym partnerem. Na coraz mocniej poirytowane spojrzenia współpasażerów reagowała nierozumnym uśmiechem. Zapewne uważała, że nie ma niczego niestosownego w jej zachowaniu.

„W sumie, gdyby się nad tym głębiej zastanowić – pomyślała Maria – w momencie, kiedy w naszym życiu pojawiły się telefony komórkowe, intymność stała się pojęciem z gatunku tych archaicznych. Zresztą, skoro informujemy o szczegółach z życia na portalach społecznościowych, stawiając znak równości między przyjaciółmi a grupą przypadkowych znajomych, to właściwie rozmowa telefoniczna w pociągu jest prostą konsekwencją owego powszechnego ekshibicjonizmu. Może nie ma co się oburzać? – Zastanawiała się. – Może sama też uległabym pokusie rozmowy, gdyby ktoś teraz do mnie zadzwonił? Kiedy ostatni raz usłyszałam: «Przepraszam, jestem w miejscu publicznym, nie mogę rozmawiać?»”.

Panna skarżyła się na niechęć Grzegorza do tańca. Że ona chciałaby chodzić do klubu na salsę, a on nie potrafi nauczyć się podstawowych kroków, że na dyskotekach buja się tylko z nogi na nogę, i to po kilku drinkach. I przez to ona nie może liczyć na innych partnerów, bo on nie daje jej szansy, by pokazała, co umie...

Maria przypominała sobie, jak na krótko przed wyjazdem Jana poszli na pierwszą w życiu mi-longę. Kolejny niezwykle wieczór. Oczywiście, nie umieli zatańczyć tanga, pili więc wino i obserwowali innych. Zazdrościli im. Piękna muzyka, do tego emocje, jakie towarzyszyły każdej figurze wykonywanej na parkiecie. Idealne zgranie mężczyzny i kobiety. Takie, o jakim zazwyczaj tylko się marzy. Postanowili wtedy, że pójdą na kurs... Nie widział w tym żadnego problemu. Uprzedzał tylko, że nauka może im zająć dużo czasu, bo nie wie, czy sobie poradzi, ale skoro jej na tym zależy, mogą – rzecz jasna – spróbować... Nieoczekiwanie zatęskniła za nim, zapomniała o poprzednim rozżaleniu, spowodowanym jego milczeniem. Dobrze jej z nim było. Jakoś tak... naturalnie dobrze. Bez wysiłku. To nie ona – wbrew temu, co wcześniej myślała – dopasowywała się do niego, ale on do niej.

W Poznaniu wzięła taksówkę, nie zniosłaby kolejnych ludzi obok siebie. Potrzebowała niezakłócającej gadulstwem przestrzeni, choćby ograniczonej do tylnego siedzenia w samochodzie. Podała adres i już się nie odzywała. Przyglądała się miastu. Taksówkarz, jakby wyczuwając jej potrzeby, nie włączył radia, docierał więc do niej wyłącznie szum ulicy.

Miasto ciągle było rozkopane: od kilku lat trwał remont głównego ronda, a jeszcze doszły

do tego kolejne drogowe naprawy i teraz, żeby wyjechać z centrum, musieli kluczyć i korzystać z objazdów. Siłą rzeczy więcej stali w korkach, niż jechali. A mimo to, za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do Poznania, czuła jakby z wielkiego bałaganu panującego w jej mieście i w miastach, w których bywała, nagle wpadała w jakiś cudownie uregulowany porządek. Pruski, jak czasami mawiano z lekką pogardą. Bo niby bez polotu, niby nakazowo-zakazowy. Może i tak, ale dobrze się tutaj czuła. Wszystko było na swoim miejscu. I nawet jakoś posprzątane, mimo tu i ówdzie rozwalonego kosza na śmieci. W każdym razie czystsze niż gdzie indziej.

Ewa przywitała ją obiadem, który przygotował – jak uprzedziła – Janusz, nim wyjechał do siebie, by nie krępować ich swoją obecnością. Maria jednak najpierw chciała wziąć szybki prysznic, by zmyć z siebie drogę, jak zwykła to nazywać; po podróży pociągiem musiała na chwilę stanąć pod ciepłym strumieniem, pozwolić zmęczeniu spłynąć razem z wodą. Kiedy wróciła do kuchni, zasypały ją słowa, zalały gesty – Ewa zagadywała ciszę... Pomyślała, że coś musiało się wydarzyć.

Na razie jednak musiała powściągnąć ciekawość, bo ze szkoły wróciły Ola i Ania, a ledwo przekroczyły próg domu, zasypały ją opowieściami o sobie, zmusiły do śmiechu i zabawy. Obiad przeciągnął się do wieczora. Niewiele wskazywało na to, że będzie mogła pogadać z siostrą bez asysty. Dopiero obietnica wyjścia nazajutrz na lody sprawiła, że dziewczynki przeniosły się do swoich sypialni.

Ewa poszła przeczytać im fragment książki, jak to miały w zwyczaju, a ona posprzątała w kuchni, po czym wyjęła z walizki przywieziony przez siebie koniak, rozlała go do dwóch lampek i wyszła do ogrodu. Zauważyła świeżo przyciętą trawę, ciągle jeszcze unosił się charakterystyczny zapach koszenia. Brakowało tylko płonącego ogniska, by poczuć się jak kiedyś, w dzieciństwie, na wsi. Coraz częściej wspominała wakacje, na które zabierali je rodzice – daleko od miasta, blisko wschodniej granicy. Dotąd wracał do niej smak pieczonych w ogniu ziemniaków. Żaden grill nie był w stanie tego zastąpić.

Wynajmowali poddasze w domu zaprzyjaźnionej rodziny. Czasami głośno marzyli o kupnie własnej chałupy, nawet oglądali w okolicy jakieś przeznaczone na sprzedaż, ale nigdy nic z tego nie wychodziło, zawsze były ważniejsze wydatki. A potem one dorosły i nie chciały już spędzać lata z rodzicami, wołały obozy, namioty, przyjaciół. Ale zapach dymu i wspomnienia tamtych wakacji pozostały, jak jedna z najcenniejszych pamiątek. Własnoręcznie robiony twaróg, chleb wypiekany przez panią Krysię raz w tygodniu w specjalnym piecu, jajka prosto z kurnika, mleko z wieczornego udoju, spienione, jeszcze ciepłe... To wszystko z latami coraz częściej do niej wracało, ciągle obudowywane nowymi szczegółami, które wydawały się już bezpowrotnie zapomniane. Pamięć przeszłości...

„Czy to nie ciekawe – pomyślała, wróciwszy do kuchni – że ta pamięć czasu przeszłego jest tym wyraźniejsza, im dłużej żyjemy? Tak jakby chciała podpowiadać, że właśnie to dawne, to, co było na początku, co lekceważyliśmy w sposób bardziej lub mniej otwarty, miało największy wpływ na to, kim się później staliśmy? – Sięgnęła po kieliszek koniaku i upiła łyk. – Te niechciane wspomnienia – zastanawiała się dalej – dopadające nas znienacka, w najdziwniejszych momentach, na przykład tutaj, na tym trawniku, w tym zapachu jesieni, i tak bardzo wyraźne, jakby działo się to wczoraj... Zgubione i cudownie odnalezione. Czy tak wygląda starość?”

– Coś ty taka zamyślona? – Ewa usiadła obok niej przy stole.

– Przypomniałam sobie wakacje na wsi z rodzicami. To przez ten zapach w powietrzu. – Uśmiechnęła się, wskazując wzrokiem na ogród. – Dziewczynki śpią? – Zmieniła temat.

– Pewnie nie, ale poprosiłam, żeby dały nam już spokój. – Ewa sięgnęła po swój kieliszek. – Dawno tego nie piłam – stwierdziła. – Ciągle tylko wino...

– Ale nie w ilościach hurtowych? – zażartowała Maria. – A jak sprawy z Januszem? – zapytała.

– A czego się spodziewałaś?

– Wyjścia poza przyjaźń – odpowiedziała szczerze.

– Zdarzyło się – Ewa cicho przyznała. – Ale to była pomyłka. – Wstała, by włączyć czajnik elektryczny. – To znaczy... – zaczęła tłumaczyć – było pięknie, ale ja nic do niego nie czuję...

– Bo za wcześnie na to! – Maria jej przerwała. – Minęły dopiero dwa miesiące od śmierci Jacka! Nawet jeśli go nie kochałaś, to i tak za wcześnie.

– Nie, nie chodzi o Jacka. – Ewa zaczęła głośno ustawiać kubki na herbatę.

– Intrygujesz mnie, siostrzyczko. A o kogo?

– Wiesz, dlaczego tak długo siedziałam w Hiszpanii? – Ewa odwróciła się w kierunku stołu.

– Oficjalna wersja była taka, że zostałam zaproszona do Andaluzji przez poznane w Barcelonie małżeństwo. Ale pewnie jest jakaś nieoficjalna? I to ciekawsza?

– Nie byłam w Andaluzji – Ewa ściszyła głos. – Nie wyjechałam poza Barcelonę. Planowałam tam zostać.

– Sama? – Maria zapytała naiwnie.

– Oczywiście, że nie... – Ewa zalała liście herbaty wodą i postawiła kubki na stole. – Pamiętasz, pojechałam tam z grupą dziewczyn na warsztaty flamenco... – Usiadła na swoim miejscu.

– No tak. – Maria w jednej chwili zrozumiała. – Paco. Wszystko jasne.

– To zaczęło się znacznie wcześniej. – Ewa nie zwróciła uwagi na reakcję siostry. – Tu, w Polsce. Nie pytaj, jak to się stało. Nie wiem. Ale potem pisaliśmy do siebie, rozmawialiśmy. Jadąc do Barcelony, nie wiedziałam jeszcze, czy tam zostanę. Brałam to pod uwagę, ale nic więcej. Potem niemal co tydzień kupowałam bilety na powrotny samolot i...

– Jacek wiedział o Paco? – Maria jej przerwała.

– Moje życie go nie interesowało – oświadczyła Ewa.

– Mówiłam ci, że kiedy tam byłaś, rozmawialiśmy o was – Maria przypominała. – Jacek podejrzewał, że masz kogoś w Hiszpanii – stwierdziła – i że nie wrócisz... Bał się tego.

– A ja ci mówiłam – zdenerwowała się Ewa – że przez te wszystkie miesiące od ustanowionej separacji ani razu, nawet najmniejszym gestem, nie dał mi do zrozumienia, że mu na mnie jeszcze choćby odrobinę zależy, że chciałby, byśmy spróbowali od nowa. Był doskonale obojętny.

– Ale sama mówisz, że nie byłaś zdecydowana, czy zostać z Paco. Czyli wtedy Jacka jeszcze całkiem nie skreśliłaś...

– Oczywiście, że nie. Bo trudno tak jednym ruchem przekreślić wszystko! – Emocje brały górę. – Nie wiedziałam, co stałoby się z dziećmi! Masz rację, w sumie to cały czas, jak idiotka, czekałam na znak od Jacka. I byłam gotowa poświęcić Paco – przyznała po chwili.

– Wybacz, siostrzyczko, ale kiepsko to brzmi. To którego w końcu kochałaś?

– Jak widzisz, wróciłam do domu. – Ewa wykręciła się od odpowiedzi.

– Tak, ale to nie ty zdecydowałaś o tym, tylko zmusiła cię do tego sytuacja. – Maria porządkowała rzeczywistość. – Ale teraz jesteś wolna – przypominała. – Możesz wybierać od nowa.

– Inaczej miało to wyglądać... – Ewa popadła w zadumę.

– Chyba nie mówisz mi wszystkiego... Widocznie nie chcesz. Albo nie możesz... Zresztą, wszystko jedno! – ucięła. – A jak się ma do tego Janusz? – zmieniła temat.

– Nie iskrzy.

– U niego iskrzy na pewno! – Maria zaśmiała się cicho. – Wiesz, rzadko dwie osoby kochają z jednakową mocą. Poza tym przekonałaś się już chyba, że miłość niekoniecznie jest najtrwalszym fundamentem związku. Jacka kochałaś jak wariatka, nikomu nie pozwalałaś nic powiedzieć na jego

temat, jeśli nie były to same ochy i achy. Skończyło się, jak się skończyło... Janusz nosiłby cię na rękach.

– Może właśnie to jest problemem? – zapytała spokojnie Ewa.

– No, tak. Ty musisz walczyć... – Maria sięgnęła po koniak.

– Sama nie wiem. – Zamilkła na moment. – Ale na razie – odezwała się po chwili – nie chcę mężczyzn obok siebie.

– Nawet Paco? – zdziwiła się Maria.

– Pogubiłam się. – Ewa zaczęła się bawić łyżeczką od herbaty. – Źle myślę o sobie i nie wiem, czego chcę. Niedawno dwa dni przesiedziałam w pokoju. Nikogo nie chciałam widzieć... Ciągle za dużo we mnie łez, za dużo żalu – przyznała. – Nie chodzę do pracy, nie czytam. Nic nie robię. Tylko to, co konieczne. Janusz był tu przez tydzień. Wyręczał mnie we wszystkim, a ja się rozsypałam. Może dlatego, że był, że mogłam sobie na to pozwolić?... Pierwszego dnia poszliśmy do łóżka, chyba wypiliśmy za dużo wina – mówiła dalej, jej ręce zaczęły skręcać papierową serwetkę. – Potem nie mogłam na niego patrzeć. On pewnie też nie czuł się z tym najlepiej, bo nazajutrz wyjechał, właściwie uciekł. Ale wrócił. Możemy być tylko przyjaciółmi. Taka prawda. Kiedyś kochał się we mnie. Nawet o tym nie wiedziałam. To było na studiach. Ale ja marzyłam tylko o Jacku! – Zamilkła. – Janusz to wspaniały facet. – Sięgnęła po kolejną serwetkę i zaczęła skręcać ją w rulonik, podobnie jak kilka dni wcześniej w „Kociaku”. – Byłby świetnym ojcem, ale nie byłby ze mną szczęśliwy. Bo ja nie byłabym szczęśliwa z nim. Rozumiesz? – Spojrzała smutno na Marię. – Kiedy mnie przytulał, myślałam o Paco... Ale potem wracał Jacek. Jacek, który – co ostatnio uświadamiam sobie coraz wyraźniej – nigdy mnie nie kochał – stwierdziła bez emocji. – W naszym związku nie było nic romantycznego, ożenił się ze mną, jakby dokonywał transakcji biznesowej. Tak dziś to widzę... – Do kubka po herbacie wrzuciła kulkę z papieru. – Popatrz! – Podniosła rękę z pierścionkiem na palcu. – To pierścionek od Paco. Pokazał mi go tuż przed telefonem o śmierci Jacka. – Upiła łyk koniaku. – Chciał mi się oświadczyć. Wiedział, że nie mam rozwodu. Rozumiesz? Chciał, bym miała pewność, że ten związek jest na serio, jak mówił. A ja wtedy próbowałam z nim zerwać. Tłumaczyłam mu, że nie możemy być razem. Pierścionek został u mnie przez przypadek. A może nie? Nie wiem... Strasznie się to wszystko pokomplikowało... Późno już – Nagle urwała, gwałtownie podniosła się ze swojego miejsca, odstawiła do zlewu kubki i puste kieliszki. – Może wrócimy do tego kiedy indziej? – zaproponowała. – Jestem zmęczona. Jutro też jest dzień. Dobranoc. – Nie czekając na odpowiedź, poszła do siebie.

Maria sięgnęła po papierosa. U siostry starała się nie palić, ale teraz musiała. Nie wiedziała, co zrobić z natłokiem informacji. Najbardziej zastanowiło ją to, że pojawienie się Janusza było dla Ewy przyzwoleniem na „rozsypanie się”, jak to nazwała. Może więc nie powinna do niej przyjeżdżać? Może nie powinna pomagać? Może właśnie tak wygląda przysłowiowe „zagłaskiwanie kota na śmierć”? Chcesz dobrze, a robisz źle... No i te międlone serwetki. Przy obiedzie i teraz. „Z kim o tym pogadać, kogo zapytać o radę?” – zastanawiała się.

Rano pojechała z dziewczynkami na obiecane lody, a potem namówiła je na pracę w ogrodzie. Trawa była skoszona i już podeschła na słońcu, trzeba ją więc zebrać, powinny też powycinać suche gałęzie i zgrabić pierwsze opadające liście. Zaproponowała im na obiad ziemniaki pieczone w ognisku. Takie, jakie przypomniały jej się wczoraj. Cały czas dyskretnie obserwowała Ewę. Nie wyglądała na osobę, której specjalną trudność sprawia zajmowanie się domem, ale widać było, że często ucieka gdzieś myślami i nie umie uspokoić rąk; ciągle nerwowo czymś się bawiła – patykami, chusteczkami, serwetkami. Przekładała je, zwijała, składała, i tak w kółko.

Przez cały dzień nie wracała do wczorajszej rozmowy. Pilnowała się, by o nic nie pytać, ale

i by niczego za Ewę nie robić. Była gościem. I tej roli trzymała się jak nigdy dotąd. Jedynym odstępstwem był ogród. Po ognisku rozmyślnie jednak zapomniała, gdzie co znajduje się w tym domu i pozwalała się obsługiwać. Ewa czuła się tym trochę zaskoczona, ale po pierwszej nieudanej próbie przypomnienia, że Maria jest przecież u siebie, dała spokój. Podjęła grę. Dopiero po kolacji zapytała, czy wszystko w porządku. Maria wyłgała się zmęczeniem, nawet szczegółowo opowiedziała o filmie, który zajmował ją przez ostatni tydzień w pracy i rzekomo odpowiadał za jej obecny stan. Po kilku godzinach odgrywania swojej roli, była absolutnie pewna, że Ewa całkiem nieźle radzi sobie ze wszystkim, jeśli tylko nie ma za dużo czasu na rozmyślanie. Nie pomyliła się więc co do diagnozy: czasami krzywdzimy kogoś nadmiarem dobroci. Miłość potrafi być utrapieniem.

„Na przykład w małżeństwie – przyszło jej na myśl – kiedy z nadmiaru miłości facetów zmieniamy w kaleki, które nie potrafią nawet wstawić prania, mimo że w stanie kawalerskim całkiem dobrze radzili sobie z pralką. Albo z żelazkiem”. Zaczęła się śmiać, przypominając sobie minę własnego męża, kiedy po latach bycia wyręczanym we wszystkim, stanął wobec konieczności wyprasowania sobie koszuli...

– Co się stało? – Ewa zareagowała na rozbawienie siostry.

– Nic, nic. – Maria wzruszyła ramionami. – Przypomniało mi się coś z czasów, kiedy byłam żoną. Taka tam głupota pod tytułem „Jak faceta zapakować w pieluchy”. Nieważne. Może posłuchamy muzyki? – wykręciła się.

– Flamenco? – Ewa nie chciała zmuszać siostry do rozmowy. – Nic innego nie mam. – Spojrzała na nią wyczekująco.

– Świetnie! – Maria szczerze się ucieszyła. – Może łatwiej uda mi się wrócić do pracy nad książką.

– A co ma z tym wspólnego twoja książka?

– Oj, Ewa, Ewa! – Maria ciężko westchnęła. – Jak ty nic o mnie nie wiesz... – Spojrzała na siostrę z udawanym wyrzutem. – Piszę książkę o flamenco. O tancerce, która zginęła w wypadku samochodowym. Pewnego dnia roztrzaskała się na drzewie. Popełniła samobójstwo. Teoretycznie były po temu powody, bo syn ćpał i nie miał zamiaru z tym skończyć, a mąż zdradzał ją na prawo i lewo. Jej przyjaciele nie wierzyli jednak, że mogłaby się targnąć na własne życie, i do tego w taki sposób. Mąż i syn od dawna tak się zachowywali, wszyscy do tego przywykli, a ona sama, jeszcze w przeddzień wypadku, nie wyglądała na specjalnie przygnębioną, planowała nawet kolejne koncerty. No i nigdy nie wsiadała za kierownicę po wypiciu choćby kieliszka wina, a tymczasem kiedy ją znaleziono, miała we krwi prawie dwa promile alkoholu... No i tak sobie snuję tę historię, a przy okazji piszę o Hiszpanii i trochę o flamenco.

– Faktycznie nic o tobie nie wiem – przyznała jej rację Ewa. – O Boliwii też nie miałam pojęcia. To jeszcze jeden powód – zażartowała – by odpuścić sobie facetów. Za bardzo nas izolują. *À propos* – przypomniała sobie – co z Janem?

– Kiedy indziej, dobrze? – Maria uśmiechnęła się przepraszająco. – Lepiej puść muzykę. Może masz coś Camaróna¹⁷? Przydałby się, żeby wczuć się na nowo w klimat...

¹⁷ Camarón de la Isla (1950–1992) – właśc. José Monge Cruz; jeden z najznamienszych śpiewaków w historii flamenco. Występował od 8. roku życia. Mając 16 lat, przeprowadził się z rodzinnego San Fernando do Madrytu. Tu poznał Paco de Lucię, z którym w 1968 roku nagrał swoją pierwszą płytę – stała się początkiem jego kariery. Razem wydali 10 albumów. W roku 1979 ukazała się *La Leyenda del Tiempo* – pierwsza solowa płyta Camaróna, dziś uznawana za jedno z przełomowych wydarzeń w rozwoju flamenco; Camarón połączył na niej klasyczny śpiew flamenco m.in. z elementami jazzu. W latach 80. związał się muzycznie z Tomatito – to dzięki nim flamenco zaczęło robić karierę międzynarodową. Camarón wydał 20 albumów.

Zabrzmiała *bulerías*¹⁸, *La Leyenda del Tiempo* – *Legenda o czasie*. Najśłynniejsza, rozpoznawalna od pierwszego akordu zagranego przez Tomatito¹⁹. I tak inna od większości, zwykle lekkich, żartobliwych! Ta opowiadała o przemijaniu, o ludzkim losie. Brzmiała, jakby była jednocześnie pociesze-

niem i skargą, że czas, upływając, zmniejsza ból, ale niczego nie usuwa ze wspomnień...

¹⁸ *Bulerías* (czyt. bulerijas) – jeden z najpopularniejszych stylów we flamenco, zaliczający się do grupy pieśni *festero* (radosnych, zabawowych); zazwyczaj kończy fiestę, często też stanowi końcową część soleá, z którego zresztą się wywodzi (*bulerías* usamodzielniała się pod koniec XIX wieku). Kolebkami tego stylu są Jerez oraz Kadyks (w odmianie z Kadyksu daje się dostrzec wyraźniejsze powiązania z soleá). Zazwyczaj są to utwory żartobliwe, lekkie, bardzo żywe, improwizowane, z charakterystycznymi *jaleo* (czyt. haleo), czyli okrzykami zachęcającymi do tańca. Rytm rozliczany jest na 12.

¹⁹ Tomatito – wł. José Fernández Torres (ur. 1958), jeden z najlepszych współczesnych gitarzystów flamenco. Odkrył go gitarzysta Paco de Lucía; przez pewien czas razem występowali. Od 1979 roku współpracował z Camarónem de la Isla (aż do jego śmierci w 1992 roku). To Tomatito napisał muzykę do *La Leyenda del Tiempo*. Jest także autorem muzyki do filmu Tony'ego Gatlifa pt. *Vengo*. Tomatito łączy klasyczne flamenco z jazzem. 11 marca 2012 roku po raz pierwszy wystąpił w Polsce, na koncercie z okazji ponownego otwarcia Teatru Starego w Lublinie (transmisja w TVP Kultura).

*El sueño va sobre el tiempo
Flotando como un velero
Nadie puede abrir semillas
En el corazón del sueño...*

Sen przesuwają się po czasie
Na rozpiętych płynąc żaglach
I nikt rozbić już nie zdoła
W sercu snu spadłego ziarna²⁰...

²⁰ *La Leyenda del Tiempo* – tytułowa pieśń z płyty pod tym samym tytułem z roku 1979; tekst pochodzi z napisanego w 1931 roku dramatu Federica Garcíi Lorki *Así que pasen cinco años* (*Kiedy minie pięć lat*); Federico García Lorca, *Dramaty*, tłum. Zofia Szleyen, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968.

Spojrzała na Ewę, która ukradkiem wycierała łzy. Nie chciała zakłócać jej smutku. W niej samej ta pieśń również uruchomiła myśli, które najlepiej czują się w samotności. Wstała i wyszła z pokoju, nie odzywając się ani słowem. Dopiero nazajutrz, kiedy wieczorem znowu zostały same, wróciła do tego, co zobaczyła.

– Co się dzieje? – zwróciła się do siostry, siadając obok niej na schodach tarasu.

– Nie wiem. – Ewa domyśliła się, o co Maria pyta. – Nie panuję nad tym – wyznała. – I tyle. Łzy pojawiają się, kiedy chcą.

– Powiedz... – Maria przez moment zastanawiała się, jakich użyć słów – jak ważny był dla ciebie ten Paco? To się już skończyło, tak? To on zadzwonił, kiedy odebrałam cię z lotniska?

– Tak, on – potwierdziła Ewa. – Czy się skończyło? – Zamyśliła się na chwilę. – Nie wiem. Chyba w tej chwili to ode mnie zależy.

– Czyli on ciągle czeka? – chciała się upewnić.

– Na to wygląda... – przytaknęła Ewa. – Co jakiś czas dzwoni, pisze maile, esemesy... Przypomina o sobie. Nie mówi o miłości, nie wraca do tej naszej niedokończonej rozmowy...

– Dlaczego chciałaś z nim zerwać?

– Bo mnie zdradził – odpowiedziała krótko.

– W sensie?

– Dosłownym – stwierdziła. – Przespał się z inną, kiedy byliśmy już razem.

– I jak się tłumaczył? – Maria była zaskoczona.

– Że to nie miało znaczenia. I że o tym od razu zapomniał.

– No to jak się dowiedziałaś?

– To dłuższa opowieść... – Ewa zamilkła. – No, dobrze – zaczęła po chwili. – W Barcelonie, w czasie warsztatów, złamałam wachlarz. Paco podarował mi nowy. Żółty. Żółtych są tysiące, ale ten był szczególnie, bo miał autograf Sary Baras, mojej ulubionej tancerki. No i właśnie ten wachlarz później gdzieś się zapodział. Nie mogłam go znaleźć. Paco też go szukał. Mógł się zawieruszyć tylko w mieszkaniu, które wynajmował. Diabeł ogonem nakrył, bywa. – Przerwała na moment. – Pewne-

go dnia – kontynuowała, patrząc gdzieś przed siebie – kiedy byłam sama w domu, a mieszkaliśmy wtedy na przedmieściach Barcelony, przyszedł list. Gruba koperta. Z Polski. Nie czytam cudzej korespondencji, nie mam takiego zwyczaju, do tej pory się zastanawiam, co mnie podkusiło, by tę kopertę otworzyć. Może nazwisko nadawcy? Bo list był od Ani, dziewczyny z grupy, z którą przyleciałam do Paco. Wiedziałam – odwróciła się do Marii – że po warsztatach spotkali się, bo ona chciała wrócić do Polski z ułożoną przez niego rumbą, by zatańczyć ją na weselu brata. No więc spotkali się, popracowali. A potem poszli do jego mieszkania, by przegrać muzykę. Ania była po szkole baletowej, Paco wpadł na pomysł, żeby zrealizować z nią projekt spektaklu łączącego flamenco z klasyką. Zaczęli tańczyć, było wino, pewnie za dużo wina... – Odwróciła wzrok. – Tego dowiedziałam się później... – Ściszyła głos. – W każdym razie coś mnie zaniepokoiło w tym liście. Kilka razy brałam go do ręki i odkładałam na miejsce. W końcu otworzyłam. W środku była kartka. I wachlarz. Mój wachlarz. Na kartce Ania napisała, że... – zawahała się – seks z Paco był wspaniały, że gdyby chciał powtórki, to ona jest chętna. O wachlarzu napisała, że nie wie, jak znalazł się w jej torbie, więc odsyła i przeprasza, że dopiero teraz. – Zakończenie wyrzuciła na jednym oddechu, po czym wstała i zrobiła parę kroków, by się uspokoić.

– No i co on na to? – Maria zapytała, kiedy Ewa ponownie usiadła obok niej.

– Nie wiem. Nie zczekałam, aż wróci. Spakowałam się, napisałam, że odchodzę i poleciałam do Lizbony.

– Jak to?! Tak bez wyjaśnienia? Nie byłaś ciekawa? – Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Skupiłam się wyłącznie na swoim bólu – tłumaczyła Ewa. – Kiedy ochłonęłam, stwierdziłam, że wrócę i pozwolę mu się wytłumaczyć, ale najpierw muszę nabrać trochę dystansu. I odpowiedzieć sobie na kilka pytań.

– Jakich?

– Na przykład, co zraniło mnie bardziej: to, że przespał się z Anią, czy to, że nie powiedział mi o tym? I czy mogę coś takiego przełknąć po raz kolejny. Pamiętaj, że Jacek mnie zdradzał... – zaznaczyła. – A w Lizbonie, jakby tego wszystkiego było mało, dowiedziałam się, że Paco przespał się z jeszcze jedną dziewczyną. Też z grupy. I też wtedy, kiedy byliśmy razem. Niby to ona polowała na niego, i to od dawna, ale jednak stało się, fakt jest faktem.

– No tak... – Maria zamilkła. – I o tym też później rozmawialiście? – zapytała po chwili.

– Tak... – potwierdziła Ewa. – Ale nie zdążył nic sensownego powiedzieć, bo zadzwonił teść... Resztę znasz. Historię z tą drugą – ciągnęła – opowiedziała mi Gośka, moja przyjaciółka; poznałaś ją poprzednio. Wcześniej dbała o to, żeby nic do mnie nie dotarło – tłumaczyła. – Uwierzyła Paco, że to była sprytnie zaaranżowana przez Martę intryga. Właśnie owo „polowanie”, które zaczęło się dawno temu, jeszcze w Polsce, na co ja zupełnie nie zwróciłam uwagi. Paco zapewniał Gośkę, że tylko mnie kocha, że nie może sobie darować nocy z tamtą, takie tam dyrdymały. – Wzruszyła lekceważąco ramionami. – Chociaż faktycznie – przyznała – zerwał z Martą, tak jak obiecał Gośce, i na tyle skutecznie, że przestała nie tylko zabiegać o niego, ale i przychodzić na zajęcia. Martwiłam się o nią, myślałam – uśmiechnęła się – że była chora. W jakimś sensie to była prawda – dodała.

– To dlaczego Gośka ci o tym powiedziała? – Maria się obruszyła.

– Bo usłyszała ode mnie o Ance.

– Ale to i tak nie za bardzo w porządku...

– Lepiej byłoby, gdybym nie wiedziała? – zdziwiła się Ewa.

– Sama nie wiem... – Maria się zawahała. – Chyba wszystko zależy od intencji... – Zaczęła się nad tym zastanawiać.

– Gośka bardzo nam kibicowała. – Ewa tłumaczyła przyjaciółkę. – Była takim naszym aniołem stróżem. Pewnie nie pisnęłaby ani słowa, gdyby nie ta druga zdrada.

– Jesteś pewna, że to właściwe słowo? – zapytała Maria.

– Które? Zdrada? – Ewa spojrzała zdumiona na siostrę.

– No tak! Czy łóżko to zawsze zdrada? – sprecyzowała swoje pytanie. – Chodzi w tym wszystkim tylko o ciało? Jesteś pewna?

– Wiesz... – Ewa zamyśliła się na chwilę. – Jeszcze tydzień temu byłam bardzo radykalna w ocenach podobnych sytuacji – zaczęła tłumaczyć. – Może dlatego, że nie miałam innego mężczyzny poza Jackiem? Wydawało mi się, że albo się z kimś jest, albo nie, że nie można być z kimś na pięćdziesiąt procent. Nie wyobrażałam sobie, że sama mogłabym się przespaciać z innym mężczyzną...

– A miałaś jakieś propozycje? – przerwała jej Maria.

– No, nie...

– Widzisz, bardzo łatwo oceniać sytuacje wyimaginowane – stwierdziła. – Takie wzorcowe. Tyle tylko, że życie rzadko kiedy układa się zgodnie z przyjętym przez nas scenariuszem. Wiele razy wyobrazasz sobie konkretną sytuację i doskonale wiesz, jak byś się zachowała, a potem to dzieje się naprawdę: jakiś on, kompletnie inny od męża, zauważa w tobie to wszystko, czego inni nie widzą. Mówi ci, jaka jesteś wspaniała, dba, abysz czuła się jak królowa, dolewa ci wina, wspaniale tańczy, jest szarmancki, czujesz się dowartościowana jak nigdy wcześniej... I całą tak zwaną przyzwoitość w jednej chwili szlag trafia. Może jeszcze się wahasz, ale on umie znaleźć przekonujące argumenty... Właśnie tak bywa w realnym życiu – oświadczyła.

– Wiem – Ewa wyszeptała.

– Wiesz?! – Maria otworzyła szerzej oczy.

– Tak wyglądał mój pierwszy raz z Paco. Tutaj, na długo przed Barceloną.

– Żartujesz? – roześmiała się. – A ja ci tu jakieś historie opowiadam!

– Tylko że ja wtedy byłam już w separacji – dodała usprawiedliwiająco Ewa.

– Jakiej separacji? O czym ty mówisz?! – Maria się zdenerwowała. – Separacja nieformalna! – zachnęła się. – Czyli zawarta w domu, między tobą i Jackiem. Umowa, którą w każdej chwili, bez konsekwencji, można unieważnić. Tak naprawdę nawet nie trzeba jej spisywać, więc – jak by co – to i nie ma czego podreć.

– Ale my naszą mieliśmy spisana. – Ewa spokojnie zwróciła jej uwagę. – I w niej było zaznaczone, że pojęcie zdrady przestaje nas obowiązywać.

– No dobra. – Poddawała się, nie chcąc dalej tego roztrząsać. – Nie to jest teraz najważniejsze. Ważne – znów mówiła spokojnie – że wiesz... że przekonałaś się – poprawiła się – jak niewiele czasami potrzeba, by wylądować z facetem w łóżku – stwierdziła.

– Ale ja byłam wolna – przypomniała Ewa. – Nie miałam – dodała z naciskiem – żadnych zobowiązań wobec Jacka, nie byliśmy już parą.

– Dobrze, zostawmy to, niech będzie, jak mówisz – Maria przytaknęła. – Skup się na tym, jak czasami okoliczności sprzyjają sytuacjom łóżkowym i że jednak nie jesteśmy w stanie do końca przewidzieć własnego zachowania, dopóki sami w takiej sytuacji się nie znajdziemy – zaproponowała. – Ja myślę – mówiła dalej – że w tym całym ludzkim galimatiasie marzeń i realności, snów o nieskalanym uczuciu i pogmatwanego życia, najważniejsze jest to, co dalej robimy z tym łóżkiem: czy było ono wyłącznie jednorazową emocją, przypadkiem, czy ma swoją kontynuację. Wszystko jedno jaką – mentalną, fizyczną, prawną... Jacek cię zdradzał – ciągnęła – czego konsekwencją miał być wasz rozwód, bo przecież, z tego, co pamiętam, najpierw o tym była mowa; na pomysł separacji wpadliście później. Ty, w jakimś sensie, też zdradziłaś Jacka...

– Nie zdradziłam! – Ewa niemal krzyknęła. – Byłam wtedy już sama, zrozum to wreszcie!

– Dobrze, masz rację – Maria się zgodziła. – Uspokój się – poprosiła. – Ujmę to inaczej: zdradziłaś siebie. Bo wcześniej wierność była twoją cechą konstytutywną, określającą ciebie. Byłaś chodzącą wiernością. Jacek był twoim pierwszym i jedynym facetem – dodała. – Konsekwencją twojej zdrady – wróciła do przerwane wątku – stało się myślenie o nowym związku, z Paco. Zgadza się? – Ewa pokiwała głową. – Paco cię zdradził – kontynuowała – ale nie wynikły z tego żadne konsekwencje w stosunku do ciebie. Jego uczucia pozostały bez zmian i jego plany na życie pozostały bez zmian. Tak twierdził. Zgadza się? – Ewa ponownie przytaknęła. – Wiesz z własnego doświadczenia, że okazja czyni złodzieja. Znasz okoliczności jego zdrady. One zdecydowanie sprzyjały temu, co się stało – podsumowała.

– Tak, wiem. – Ewa przyznała siostrze rację. – Teraz widzę to inaczej. Wtedy bolało – stwierdziła. – Bo w głowie mi się nie mieściło, że deklarując wolę spędzenia życia z kimś, jednocześnie można mieć romans na boku.

– Romans? – Maria się zdziwiła. – To były przecież jednorazowe sytuacje. – Zamilkła na chwilę. – Słyszałaś o... łózkowych przyjaźniach? – zapytała niespodziewanie.

– O czym?

– O związkach, w których pójdzie do łóżka nie ma żadnego znaczenia emocjonalnego, nie jest dopełnieniem uczucia, a tylko taką samą przyjemnością jak, bo ja wiem, zjedzenie ciastka z kremem, na przykład. Poza tym takie związki oferują wszystko to, co zwyczajna przyjaźń: rozmowy, zwierzenia, wspólne chodzenie na imprezy, do kina i tak dalej.

– Niewiele wiem o życiu... – Ewa nie kryła zaskoczenia.

– Nie o to chodzi. – Maria uspokoiła siostrę. – Pomyślałam sobie, że być może nasze pokolenie przywiązuje po prostu zbyt wielką wagę do ciała, do fizycznych aspektów życia.

– Miłość to jedność ciała i uczuć... – zaoponowała Ewa.

– Jasne! Dorzuc jeszcze świętą przysięgę składaną przy ołtarzu, że nikt nikogo nie opuści, że do śmierci będziemy razem – zakpiła Maria. – Naprawdę wierzysz, że zawsze chcemy tego samego w tym samym czasie, że mamy wyłącznie wspólne cele, żadnych osobnych? I wyłącznie wspólne pragnienia?

– Nie... – Ewa nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wierność, ta rozumiana fizycznie, to bajka dla grzecznych dziewczynek – stwierdziła Maria. – Ludzie nigdy nie byli wolni od pokusy zdrady. Niewielu jest takich, którzy jej nie ulegli. Im dłużej żyję, tym częściej się zastanawiam, czy tacy w ogóle istnieją... Tylko kto by otwarcie się przyznał? – Zaczęła się śmiać. – Niektórzy mieli jedynie szczęście „wyszumieć się” przed ślubem... – dodała. – I ci właśnie stają się zazwyczaj najgorliwszymi tropicielami zła czającego się wokół.

– Wiesz – Ewa odezwała się, jakby w ogóle nie słuchała siostry – ja chyba się przestraszyłam, że skończy się tak, jak z Jackiem, że zostanę w końcu porzucona, sama. Paco jest młodszy ode mnie. To też jest problem.

– Ten problem sama tworzysz – Maria zareagowała ostro. – Jak i wszystkie pozostałe – oznajmiła.

– Może i tak – zgodziła się Ewa. – Ale jeśli jego zdrady były moją winą, to...

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – Maria weszła jej w słowo. – Jaką winą?! Ewo, ty nie jesteś do karania, ani do nagradzania! Jeśli twój facet idzie do łóżka z inną kobietą – tłumaczyła – to nie myśli wtedy o tobie! Myśli wyłącznie o sobie i swoich emocjach. Nie robi tego ze względu na ciebie, ale dla siebie.

– A co z wolną wolą? – zapytała cicho Ewa. – Mówisz, że kochasz, a potem idziesz z inną? Więc

co właściwie znaczy to słowo?

– Jak pokazuje historia, z wolną wolą, czy może raczej z silną wolą, u nas nie najlepiej, bo ludzie nie lubią odmawiać sobie szczęścia – stwierdziła Maria. – Nawet trwającego tak krótko jak jedna noc. Inna rzecz, że naiwnie sądzą, że skoro wszystko się dzieje w wielkiej tajemnicy, to nikt się o tym nie dowie. Kiedyś – popadła w ton mentorski – zdrada była wpisana w małżeństwo. On stary, ona młoda, interesy rodzinne postawiły ich na ślubnym kobiercu – ciągnęła. – Co jakiś czas spotykali się w sypialni, a o resztę nie pytali. Ona spędzała czas po swojemu, on zgodnie z własnymi upodobaniami. Nikt nie robił z tego problemu. A nawet dostrzegano w tym pewne korzyści – dowodziła. – Pamiętasz historię pani Walewskiej i Bonapartego? – zapytała. – Jej najbliżsi, łącznie ze starym mężem, wręcz naciskali, by w imię „racji stanu” uległa Napoleonowi, i prosili tylko, by w decydującym momencie zapytała: „A Polska?”, słusznie przypuszczając, że w takich ekstatycznych chwilach niczego się nie odmawia. A „kocham cię”? – zastanawiała się dalej. – W gruncie rzeczy to tylko słowa, które mają przynieść konkretne korzyści – podsumowała. – I mają tyle znaczeń, ilu jest ludzi. Pamiętasz, co znaczy *te quiero*²¹? Jak wielu ludzi się przy nim myli? – zapytała na koniec.

²¹ *Te quiero* (czyt. te kiero) – hiszp. „kocham cię”; zwrot ten powinno się tłumaczyć raczej jako „pożądaj cię”, „chcę ciebie”, „podobasz mi się”.

– Nie poznaję cię, Mario. Jesteś cyniczna – stwierdziła ze smutkiem Ewa.
– Skoro tak uważasz... – Wzruszyła ramionami. – Ale wiesz, wolę ten mój cynizm, jak to nazwałś, niż hipokryzję i naiwność, którymi karmi się nas od dziecka – oświadczyła. – Bo to one sprawiają, że nie mamy odwagi, by żyć.
– Życie polega na zdradzaniu? – Ewa nie dawała za wygraną.
– Nie, ale na wybaczeniu, między innymi. Miłości nie służy nadmiar własnej dumy.
– Wybaczeniu wszystkiego?
– Oczywiście, że nie! – obruszyła się. – Ale popatrz: w tej chwili karzesz siebie i Paco, a mogłabyś być szczęśliwa. Pomyślałaś o tym? Uważasz, że cię zdradził? – zapytała zniecierpliwiona. – Czy może jednak myślisz, że powinnaś uważać to za zdradę? To istotna różnica. Zastanów się nad nią. A teraz idę już spać. – niespodziewanie zakończyła rozmowę i wyszła.

Ale w sypialni jeszcze długo rozmyślała o tym, dlaczego wypowiedziała właśnie takie, a nie inne słowa, i czego właściwie próbowała dowieść. Sama przecież też nie akceptowała zdrady, nawet najmniejszej. W ogóle nie brała pod uwagę, że mogłaby się jej przydarzyć. Inna rzecz, że miała sporo szczęścia. Swoje małżeństwo zakończyła, nim w ogóle któreś z nich mogłoby wpaść na podobny pomysł. Powodem rozstania nie było nowe uczucie, tylko autentyczny brak możliwości porozumienia. Dość szybko ich ścieżki się rozeszły, namiętność wygasła, własna wygodą zaczęła być ważniejsza od ciągłego dopasowywania się i uwzględniania potrzeb drugiej strony. Może gdyby mieli dzieci, doszliby do jakiegoś kompromisu, ale taki przymus nie zaistniał. Podobnie jak Ewa, należała do pokolenia, dla którego „przyjaźnie łóżkowe”, o których opowiadała siostrze, albo przespanie się z kimś przypadkowym były absolutnie nie do zaakceptowania. Seks bez uczuć trudno sobie wyobrazić, a co dopiero uprawiać! Owszem, niekoniecznie od razu musi się trafić miłość do grobowej deski, ale niech by był chociaż rodzaj jakiegoś oszołomienia, fascynacji... Żyła jednak wystarczająco długo, by wiedzieć, że nic nie układa się wedle recepty z harlequina i że zdrada jest w jakiś sposób wpisana w związek, choć jeśli się zdarza, to na ogół nie na jego początku, bo to niemożliwe, by będąc świeżo zakochanym, myśleć o innym czy innej. Ale z drugiej strony, czy warto przekreślać wszystko, jeśli już to się przytrafi, a winowajca żałuje? Czy warto stawiać życie na ostrzu takiego noża? Tak, chciała przekonać Ewę do wielkoduszności. Dla jej własnego dobra. Bo była pewna,

że Paco jest dla niej ważny, a intuicja podpowiadała jej, że i ona dla niego również. Głupio postąpił, jak smarkacz. Jeśli jednak jest z pokolenia „przyjaźni łózkowych”, mógł zwyczajnie nie zdawać sobie sprawy, że podobne historie nie muszą być dla innych ludzi, na przykład dla Ewy, tak bez znaczenia jak dla niego.

„No, właśnie – przypomniała sobie – Ewa mówiła, że Paco jest od niej młodszy... Skoro był to dla niej problem, to różnica musiała wynosić co najmniej pięć lat! Tu jest pies pogrzebany!”

Usłyszała sygnał przychodzącego esemesa. Sięgnęła po telefon.

Seks nie jest dla ciebie ważny? – pytała Ewa.

Nigdy nie był najważniejszy. Ważniejsze jest dla mnie to, co dzieje się poza łóżkiem – odpisała.

„A to ciekawe... – zastanawiała się. – Dopiero kiedy zostałam sama, stwierdziłam, że to mnie wcale aż tak bardzo nie kręci. Spotykałam się z facetami, bo lubiłam z nimi rozmawiać, ale często kończyłam znajomość właśnie wtedy, kiedy zaczynała dryfować w stronę łóżka. Może coś ze mną nie tak? Ale przynajmniej wiem jedno: taką zdradę jak u Paco, wybaczyłabym bez problemu. Znacznie gorzej byłoby ze stratą uwagi...”

W nagłym odruchu włączyła laptopa i zajrzała do skrzynki mailowej. Nie znalazła żadnej nowej wiadomości od Jana.

„I stało się. – Pokiwała głową z niedowierzaniem. – To jest właśnie zdrada. Prawdziwa. Nawet jeśli niczego sobie wprost nie obiecywaliśmy, to przecież wyjeżdżał jako mój partner. Nie obchodzi mnie, czy z kimś tam wylądował w łóżku, tylko czy zajmuję jakieś miejsce w jego myślach. Najwyraźniej już nie”.

Znowu dźwięk esemesa. Przez myśl jej przemknęło, że to Jan. Serce zakołatało nerwowo. Spojrzała na wyświetlacz: Ewa.

Co byś mi radziła? – pytała.

Nie traktować wszystkiego tak poważnie. Więcej dystansu. Szkoda życia – odpowiedziała po namyśle.

Znowu mam depresję – napisała po chwili Ewa.

A może to po prostu żaloba? Masz prawo do smutku.

Lekarz przepisał mi tabletki.

Bierzesz?

Jeszcze nie.

Chcesz pogadać?

Nie.

Wyślę ci maila. Przeczytasz, kiedy będziesz chciała. Może pomóc. Jutro wracam do domu.

Dobrze.

Usiadła do komputera. Zaczęła przeglądać pliki. Pamiętała, że kiedyś skopiowała tekst Tomasza Stawiszyńskiego o depresji²², a raczej o jej złym rozpoznawaniu, między innymi przez pośpiech w diagnozowaniu, i o zbyt częstym traktowaniu stanu tak zwanej żaloby jako jednostki chorobowej. Człowiek przestał mieć prawo do smutku, melancholii, zniechęcenia, zmęczenia psychicznego. Na wszystko wynaleziono tabletki i terapie. Na lęki, na miłość, na brak snu, na łzy, pomyślała gorzko. To, co kiedyś było naturalne, dziś stało się dysfunkcją i nie ma już prawa istnieć i trwać tyle, ile rzeczywiście powinno... Nie pamiętała tytułu. Chwilę zajęło jej przejrzanie archiwum, ale w końcu odnalazła i przeczytała jeszcze raz artykuł. A potem zaczęła pisać do Ewy:

22 Tomasz Stawiszyński – (ur. 1978) filozof, publicysta, eseista; zajmuje się problemami z pogranicza filozofii, psychologii i psychoterapii; obecnie związany z radiem TOK FM. W artykule *Ładne dziewczyny nie umierają*, który ukazał się w „Dzienniku Opinii. Krytyka Polityczna”, 7.10.2014, autor, opierając się na eseju prof. psychiatrii z Uniwersytetu Harvarda, Arthura Kleinmana, pt. *Culture, bereavement and psychiatry*, zwraca uwagę na pogłębiającą się medykalizację życia, która prowadzi do traktowania śmierci, starości, choroby jako tabu; wsparcie farmakologiczne w przypadku pojawienia się negatywnych emocji zdejmuje z nas obowiązek radzenia sobie z nimi i każe traktować je jako nieuzasadniony dyskomfort; współczesna medycyna uważa żałobę trwającą dłużej niż dwa tygodnie za jednostkę diagnostyczną.

Nie wiem, od czego zacząć. Czy od tego, że powinnaś dać sobie i Paco jeszcze jedną szansę? Albo sobie i Januszowi? Każdy z tych związków, tak uważam, ma sens, choć każdy inaczej. Który większy? Będziesz wiedzieć, jeśli odpowiesz sobie na pytanie, czego oczekujesz. Może się okazać, że akurat nie bliskich relacji z jakimkolwiek mężczyzną. Dotąd nie wychodziłaś na nich za dobrze... Nie, nie – nie będę rozliczać Twojego życia. Ale pytanie o to, jak ma ono wyglądać, jest ważne. Tak jak i ustalenie priorytetów.

Powiedziałaś, że „się rozsypałaś”, kiedy pojawił się Janusz. Przed chwilą napisałaś, że powróciła depresja... Nie jestem lekarzem, ale obserwowałam Cię przez ten weekend i wydaje mi się, że całkiem nieźle radziłaś sobie ze wszystkim. Owszem, raz popłynęły łzy, kilka razy uciekłaś gdzieś myślami, ale ogólnie nie było okej! Może to nie depresja, tylko po prostu smutek, przygnębienie, żal? Dużo niedobrego zdarzyło się w Twoim życiu w ostatnim czasie. Masz prawo czuć się nie najlepiej, masz prawo płakać.

Tabletki pomagają, oczywiście, ale dobrze wiesz, że nie zastąpią pracy nad sobą. Świat się zawalił, masz tu teraz bałagan, którego wielkość przeraża – to zrozumiałe. Trzeba posprzątać, dosłownie i w przenośni – to oczywiste.

Jacek, niezależnie od tego, jak postępował w ostatnim okresie swojego życia, był najbliższą Ci osobą; spędziliście ze sobą szmat czasu.

Kiedyś lekarze twierdzili, że po śmierci kogoś takiego roczna żałoba jest czymś normalnym. Nagle jednak, parę lat temu, doszli do wniosku, że jeśli trwa dłużej niż dwa tygodnie, to trzeba ją leczyć. Rozumiesz? Uznali, że bezkarnie możemy płakać tylko przez dwa tygodnie! Po tych, którzy byli dla nas ważni czy najważniejsi! Absurd, prawda? Przeżywanie jest sprawą tak indywidualną, że ograniczanie go jakimikolwiek ramami zakrawa na kpinę. Płacz i poczucie straty są strukturalnie wpisane w ludzkie życie. Żałoba nie jest chorobą. Jest negatywną emocją, ale tak samo potrzebną jak emocje pozytywne.

Oczywiście, to Ty wiesz najlepiej, czy „rozsypałaś się” naprawdę. Jeśli depresja wróciła, tak jak podejrzewasz, trzeba ją leczyć i nie ma co odsuwać tego w czasie. Ale... proszę Cię: przemyśl to, przeanalizuj wszystko jeszcze raz. Lekarz opiera się na Twoim przekazie, a przekaz zależy od wielu okoliczności. Być może dziś poradziłby Ci terapię bez leków.

„Biedna ta moja siostra – pomyślała. – Ciągłe dziecko. Chyba jest zbyt słaba na samodzielność, o jakiej przebąkuje. Ona musi mieć kogoś, kto się nią mądrze zaopiekuje. Raczej mobilizując do działań, niż wykonując je za nią. Chyba najlepsza byłaby dla niej terapia. – Zaczęła przekonywać się do tego pomysłu. – Może pomogłaby jej uwierzyć w siebie? Bo to samoocena legła w gruzach... Może powinnam przenieść się tutaj, sprzedać dom albo przynajmniej komuś wynająć – myślała. – Ewa ciągle ulega tym samym typom mężczyzn... Gdyby przez jakiś czas pobyła sama, może wyrwałaby się z tego zakłętą kręgu? Może przestałaby szukać «klonów» Jacka? A ja miałabym wreszcie istotny pretekst, by odejść z firmy – rozważała. – Pisać mogę wszędzie. Pieniądze z wynajmu wystarczyłyby na utrzymanie...”

Rano obudził ją głośny stukot, jakby ktoś rozwaliał podłogę. Domyśliła się, że to ćwiczenia Ewy. Cicho zeszła na dół, gdzie przez uchylone drzwi do salonu zobaczyła siostrę w skupieniu powtarzającą stepy. Jedną, ciągle tę samą, sekwencję. Przyspieszała i zwalniała, wzmacniała i osłabiała dźwięki w tylko sobie znanym rytmie. Musiała robić to już od dłuższego czasu, bo na koszulce widać było

wielkie plamy potu, a włosy poprzyklejały się jej do czoła. Nie przeszkadzając siostrze, wróciła do sypialni, wzięła prysznic i spakowała walizkę. W kuchni zauważyła przygotowane śniadanie. Zrozumiała, że Ewa chce być sama.

Rozdział IV

PACO

Piądziernik skrzył się w słońcu, złocił i czerwienił, był tak gorący, jakby wyrastał ze środka lata, a nie z jesieni. Sprzyjał bardziej leżeniu na plaży niż targaniu mebli po schodach, ale ponieważ trudno było w nieskończoność czekać na zmianę pogody, zaprzestał w końcu śledzenia prognoz i, nie patrząc już nawet na termometr, opuścił wygodny dom na przedmieściu, by przeprowadzić się do centrum Barcelony, zamieszkać w samym środku Dzielnicy Gotyckiej²³, przy Plaça de George Orwell²⁴, na ostatnim piętrze narożnej kamienicy. Nie było to El Born²⁵, o którym marzyła Ewa, ale Ewy też nie było. Właściwie to nie wiedział nawet, czy ich historia skończyła się już na dobre, czy też może jeszcze mieć jakiś ciąg dalszy.

²³ Dzielnica Gotycka, czyli Barri Gòtic – centrum Starego Miasta (Ciutat Vella) w Barcelonie; zabudowa dzielnicy jest zasadniczo średniowieczna, z obiektami pochodzącymi z czasów rzymskich; w jej obrębie mieści się dawna dzielnica żydowska El Call.

²⁴ Plaça de George Orwell – nazwę zawdzięcza autorowi futurystycznej powieści *Rok 1984*, który w 1936 roku przybył do Hiszpanii, by wziąć udział w wojnie domowej po stronie republiki; wydarzenia te opisał w książce *W holdzie Katalonii*. Plac nazwano jego imieniem w 1996 roku; wcześniej nieformalnie określano to miejsce mianem plaça del tripi (od *tropichear* – „handlować czymś nielegalnym”), stanowiło ono swoiste centrum zaopatrywania w narkotyki; to na tym placu, jako pierwszym w Barcelonie, zamontowano system ochrony monitoringowej.

²⁵ El Born – część La Ribery, dzielnicy Starego Miasta; należy do najmłodniejszych miejsc w Barcelonie.

Nagle zniknęła z jego życia, zostawiając dwa listy – jeden od siebie, drugi od Ani. I wachlarz. Żółty wachlarz z autografem Sary Baras²⁶, który nieoczekiwanie wrócił z Polski, choć nie powinien był w ogóle opuszczać Barcelony. Przez wiele dni leżał na kanapie w salonie, kłując oczy kolorem i przypominając o tym, co się stało, oraz o wszystkich innych nieszczęściach, których był mimowolnym świadkiem.

²⁶ Sara Baras – jedna z największych gwiazd współczesnego flamenco.

Pierwotnie należał on do dziewczyny, którą wiele lat temu spotkał na koncercie właśnie Sary Baras. Siedział obok niej na widowni i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie wiedział, jak ją zagadnąć, jak zatrzymać, jak zwrócić na siebie jej uwagę. Przez cały występ myślał tylko o tym, że nie może pozwolić, by zniknęła z jego życia wraz z końcem spektaklu. Kiedy przebrzmiały ostatnie oklaski, wpadł na pomysł, by zaproponować jej wizytę w garderobie gwiazdy, którą zresztą dobrze znał z czasów, gdy obydwójce zaczynali dopiero swoje kariery. Z tym się jednak nie zdradził. Dziewczyna, zgodnie z przewidywaniami, nie uwierzyła, że wejście za kulisy jest w ogóle możliwe, on zaś spokojnie, i nieco bezczelnie, zaproponował układ: jeśli spełni to, co obiecał, ona umówi się z nim na kolację. Właśnie tego wieczoru, w garderobie, kiedy Sara Baras podpisała się na wachlarzu, rozpoczął się najpiękniejszy okres w jego życiu – przez parę ładnych lat czuł się najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Anna... Ruda i zielonooka jak kot. Jak kot chodziła też własnymi ścieżkami, ale to jeszcze bardziej przywiązywało go do niej. Była, zagadką, której nie umiał do końca rozwiązać.

Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy wracała z Malagi. Jechała, by mu powiedzieć, że jest w ciąży. Spieszyła się, skróciła swój pobyt na południu, chciała wyprzedzić list, jaki mu stamtąd

wysłała. Kopertę otworzył dopiero po pogrzebie. Leżała wśród rachunków, kartek z wakacji, ulotek reklamowych – przez długi czas poczta zupełnie go nie obchodziła... Wachlarz zamknął w pudle, razem z innymi pamiątkami – jakimiś kamykami, zasuszonymi liśćmi, jakie jej przywoził z podróży, recenzjami tłumaczonych przez nią książek, zdjęciami. Leżał tam do czasu, aż Ewa złamała swój na zajęciach. To był pierwszy prezent od niego, poza różami, które przynosił jej na każde spotkanie. Żółtymi, bo takie lubiła najbardziej. Któregoś dnia wachlarz zniknął. Przepadł jak kamień w wodę. Szukali go wszędzie. Odnalazł się w liście od Ani.

Ania zjawiała się z grupą, z którą Ewa przyleciała do Barcelony. Uczyły się flamenco, zwiedzały miasto. Kiedy skończyły warsztaty, poprosiła, by ułożył jej choreografię do rumbi²⁷. Chciała ją zatańczyć na weselu brata. Spotkali się w szkole, popracowali, a potem poszli do mieszkania, które wynajmował w El Raval²⁸, by skopiować muzykę. Okazało się, że skończyła szkołę baletową; uznał to za zrzęcenie losu, bo od dawna marzył mu się spektakl łączący klasykę z flamenco. Przy obiedzie zaczęli o tym rozmawiać, słuchać nagrań, szkicować pierwsze kroki. Do tej pory nie potrafił wytłumaczyć, jak to się stało, że znaleźli się w łóżku. Było to jednak na tyle bez znaczenia, że szybko o wszystkim zapomniał. Naprawdę, jakkolwiek to teraz brzmiało, liczyła się tylko Ewa. Mimo różnych obiekcji, wahań, zwątpień, właśnie z nią chciał dzielić życie. Wiedział, że tylko przy niej przestanie go boleć nieobecność Anny, tej rudej jak kot.

²⁷ Rumba – właśc. *rumba flamenca*; styl tańca we flamenco pochodzenia kubańskiego, z gatunku *ida y vuelta*, czyli pierwotnie hiszpański, na Kubie zaadaptowany i wzbogacony i ponownie przyjęty w Hiszpanii.

²⁸ El Raval – dawniej dzielnica kabaretów i spelunek, dziś najbardziej multikulturowa część Barcelony; od Dzielnicy Gotyckiej oddziela ją La Rambla.

Wcześniej miał wiele okazji, by związać się z jakąś kobietą, ale właśnie – to były zawsze „jakieś kobiety” i szybko zdawał sobie sprawę, że nie mogą być na całe życie. Mimo to zachłannie rzucał się w kolejne znajomości – samotność mocno mu doskwierała, zupełnie sobie z nią nie radził. W końcu jednak doszedł do wniosku, że to do niczego nie prowadzi, że zamiast ukojenia przynosi jedynie ból, bo każdą kobietę podświadomie porównywał z Anną i żadna tego porównania nie wytrzymywała.

Ewa pojawiła się przypadkiem. Przestał wtedy szukać. Tak to zwykle bywa. Dobrze pamiętał ten moment, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. To były warsztaty w Polsce, kolejne z rzędu. Przed zajęciami zagadały go poznane wcześniej dziewczyny, nie zdążył więc przyjrzeć się grupie. Pospiesznie się przywitał i zaczął rozgrzewkę – jak zwykle była nią choreografia z flamenco-jazzu. Po paru minutach spojrzął w lustro, by sprawdzić, jak wszyscy sobie radzą i właśnie wtedy zwrócił uwagę na Ewę. Tańczyła z wyczuciem, jakiego innym brakowało, była ogromnie skoncentrowana, jej oczy skrzyły radością. Miała, co od razu zauważył, aurę taką samą jak Anna, ten sam też rodzaj zachwytu nad światem, ten sam rodzaj niewinności. Różniła się od niej, oczywiście. Jak później odkrył, była bardziej zaborcza i bardziej zasadnicza. Od samego początku coś z tyłu głowy podpowiadało mu, że to nie przypadek, że to pewnie Anna postawiła Ewę na jego drodze. Irracjonalne. Wiedział, że głupio brzmiało, sam się z tego śmiał, ale jednak nabrał przekonania, że to prawda. Dlatego walczył o nią. Nawet wtedy, kiedy nie pozwalała mu wierzyć, że ich związek ma jakikolwiek sens, ciągle przypominając o różnicach między nimi, o swojej sytuacji rodzinnej, że ma i nie ma męża, bo są osobno, ale bez rozwodu, że jest starsza, że ma dzieci. Długo się wymykała, długo trzymała go w niepewności i zmieniała zdanie. Nie chciała dać sobie zgody na miłość, nie chciała pozwolić, by on ją kochał. Nawet w Barcelonie. Przez cały czas utrzymywała ich związek w tajemnicy, a on sam niemal do ostatniego dnia nie wiedział, czy zostanie z nim, czy wróci do Polski z grupą, z którą przyleciała...

Tego dnia, kiedy odeszła, jechał do domu z pierścionkiem w kieszeni, z bukietem kwiatów i szampanem. Chciał się oświadczyć. Oczywiście, pamiętał, że formalnie nic się w jej życiu nie zmieniło, nadal była czyjąś żoną, ale to nie miało znaczenia, bo chodziło o symboliczne przypieczętowanie ich związku, o deklarację, o pewność, której dotąd brakowało.

Zastał pusty dom i dwa listy. Leżały na widocznym miejscu, starannie ułożone, jeden obok drugiego. List od Ani przypominał o ich ostatnim spotkaniu, razem z jego intymnym finałem, i wyjaśniał, w jaki sposób wachlarz znalazł się w Polsce. List od Ewy podawał powód jej odejścia. Napisała krótko, że już nie potrafi z nim żyć, choć kocha... Nazajutrz przysłała esemesa z informacją, że jest w Lizbonie i odezwie się za kilka dni, kiedy wróci do Barcelony. Wbrew wszystkiemu odżyła w nim nadzieja, pomyślał, że to daje mu szansę, by wszystko naprawić, wytłumaczyć, by przekonać ją, że chwilowe zamroczenie nie powinno przekreślać ich planów, niszczyć ich uczuć.

Faktycznie, odezwała się i umówili się na spotkanie. Celowo wybrał lokal, w którym jedli pierwszą wspólną kolację. Liczył na to, że tam Ewa łatwiej przypomni sobie dobre dni, jakie potem nastąpiły. Przepraszał, wyjaśniał, pokazał pierścionek. Był pewien, że jej uparte milczenie jest dobrym znakiem. Ale wtedy okazało się, że Gośka, ich przyjaciółka, zdradziła go, opowiadając to, co obiecała zachować w tajemnicy. Bo w czasie warsztatów zdarzyła się też noc z Martą – pijana noc, bezsensowna. Jeszcze jeden błąd w życiu.

Dał się złapać jak zając we wnyki. A przecież było do przewidzenia, jak może skończyć się spotkanie z Martą, bo od początku, mimo braku jakichkolwiek zachęt z jego strony, angażowała się w tę znajomość ponad miarę i ciągle próbowała zmieniać ustalone między nimi relacje. Dlaczego więc stracił czujność? Dlaczego tak łatwo uwierzył w rzekomo przypadkowy telefon do niego, kiedy zagubiła się w okolicach Tibidabo? Dlaczego, zamiast odprowadzić ją do hotelu, zaprosił na kolację, a potem do siebie? Nazajutrz znajomość z nią definitywnie zakończył, ale teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Kiepsko to wszystko razem wyglądało, żeby nie powiedzieć fatalnie – zdawał sobie z tego sprawę. Wierzył jednak uparcie, że każde z tych zdarzeń dałoby się wymazać z pamięci. Potrzeba do tego tylko czasu i woli. A wola chyba była – powtarzał sobie – skoro siedzieli przy jednym stole i rozmawiali. Nagle jednak zadzwonił telefon, a po chwili Ewa oznajmiła, że musi natychmiast wracać do Polski, bo jej mąż został zamordowany. Rozmowy nie dokończyli. Nie chciała też, by ją odprowadził, rozumiał to, nie nalegał. Ucieszył się tylko, że w pośpiechu, razem z chusteczkami, wrzuciła do torebki pierścionek. Pomyślał, że może kiedyś, patrząc na to właśnie pudełeczko, przypomni sobie o nim. Może też, w końcu, inaczej spojrzy na całą tę historię. Łagodniej...

Po kilku dniach się odezwała, przepraszając za nieuwagę. Poprosił, by pierścionek został u niej. Nie pytał, kiedy się spotkają.

Mijający czas upewniał go w przeświadczeniu, że to właśnie z nią chce być i że musi znaleźć jakiś sposób, by wytłumaczyć swoje błędy, te emocjonalne zakręty bez znaczenia. Kochał ją. I to było najważniejsze. No tak, nie zapanował nad ciałem, choć powinien, przyznawał jej w tym rację. Ale wtedy nie rozumiał, że dla niej to ma zasadnicze znaczenie. Teraz mógł z całą odpowiedzialnością obiecać, że coś takiego nie zdarzy się nigdy więcej. Byle tylko dała mu szansę. Byle nie zapomniała o nim.

Kiedy postawił na podłodze ostatni karton, napisał jej w mailu o przeprowadzce, przesłał zdjęcia. Regularnie informował ją o wydarzeniach ze swojego życia, o koncertach, o pracy, o znajomych. Nie przejmował się tym, że nie odpisuje. Myślał o niej tak, jakby nadal byli razem, jakby

po prostu wyjechała na chwilę. To nowe mieszkanie – tak założył – w przyszłości miało służyć im obojgu. Dla niego samego było za duże, nie potrzebował takiego. Dwie sypialnie, salon, wielki taras. Salon zamienił na salę prób, na jednej ścianie zamontował lustro, na drugiej drążki do ćwiczeń, ale wystarczyło kupić stół, kanapę i fotele, powiesić obrazy, by znowu przyjmować gości. No i było stąd blisko do La Ribery²⁹, tej ukochanej przez Ewę części Barcelony. Za ledwie pięć minut drogi.

²⁹ La Ribera – jedna z dzielnic wchodząca w skład Starego Miasta; jej nazwa po katalońsku oznacza „brzeg morski” i nawiązuje do dawnego usytuowania bezpośrednio na wybrzeżu. W XVI wieku częściowo wyburzona i zamieniona w cytadłę; dziś znajduje się tam Parc de la Ciutadela. Jej częścią jest El Born, jedno z najmodniejszych miejsc w Barcelonie.

Wszędzie było niedaleko. Wszędzie można było dostać się na piechotę. Samochód zostawił więc na parkingu przy szkole, potrzebował go tylko wtedy, kiedy jechał za miasto lub do Marizy, dawnej sąsiadki. Miejsce było naprawdę niezłe jak na Barcelonę. I nawet odrobinę mniej hałaśliwe od innych. Szybko się przyzwyczaił. Gorzej było z kotem, który przeprowadzkę potraktował jak katastrofę. Długo nie mógł zrozumieć, dlaczego taras ma mu zastąpić ogród, nie akceptował go nawet po ustawieniu donic z roślinami. Przez pierwsze dni był obrażony, nic nie jadł, fukał i nie pozwalał się dotknąć, jednak w końcu, nie mając innego wyjścia, znalazł kąt dla siebie; teraz tam się kładł, zamykał oczy, świat zniknął, a on – grzejąc się w słońcu – spokojnie mógł udawać, że nic się nie zmieniło.

Paco wracał akurat od Marizy. Zaprosiła go na obiad. Dawno się nie widzieli. Seria koncertów, przeprowadzka, urządzenie nowego mieszkania, lekcje w szkole, z nikim się nie spotykał, nie miał kiedy. Ale dzisiaj czas musiał się znaleźć – świętowali pracę Marizy: po długich poszukiwaniach, wysłaniu setek CV, wreszcie została zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną i za kilka dni miała zacząć nowe życie. Powinni iść do pubu, zjeść coś na mieście, potańczyć, zaszaleć, ale nie udało się, wieczory mieli zbyt zajęte. Był więc obiad. A zaraz potem powrót do pracy. Próba przed kolejnym koncertem.

Gwałtownie zahamował przed przejściem dla pieszych. Po pasach maszerował gołąb, charakterystycznie wyciągając przed siebie łepkę, rozglądał się wokół, jakby sprawdzał, czy wszyscy go zauważyli... Patrzył na to z uśmiechem i choć bardzo mu się spieszyło, mógłby ominąć przeszkodę bokiem, cierpliwie czekał, aż ptak dojdzie do celu. Obok zatrzymało się drugie auto. Potraktował to jako dobrą wróżbę. Że wszystko się jakoś ułoży, że życie go nie rozjedzie.

Od jakiegoś czasu „kolekcjonował” tego typu zdarzenia, a każde służyło mu do układania na nowo mapy marzeń. Pytany przez przyjaciół, co zamierza dalej, odpowiadał, że nic nie dzieje się przypadkiem, tylko trzeba cierpliwie czekać, by się wyjaśniło, po co były nam potrzebne wcześniejsze doświadczenia. Na razie analizował samego siebie, wszedł w czas dorastania, jak często żartował. A całą swoją przeszłość określał jednym dosadnym słowem: gówniarstwo. I mieściły się w tym określeniu nawet niektóre historie związane z Anną. Oczywiście, wtedy oceniali to inaczej, obydwójce byli bardzo młodzi. Dawali sobie dużo swobody, nigdy nie pytali o czas spędzany osobno. To wtedy nabrał przekonania, że drobiazgi są jak dopływy wielkiej rzeki – wzbogacają ją, ale nie zmieniają jej natury, nie warto się więc nimi nadmiernie przejmować. Ewa zmusiła go do zweryfikowania tej tezy. Sprawy małej wagi zaczęły być ciężkie i ważne.

Zostawił samochód na parkingu i wszedł na dziedziniec budynku, w którym mieściła się szkoła. Zdziwił się, że jeszcze nikogo nie ma. Spojrzał na zegarek i dopiero teraz się zorientował, że pomylił godzinę, zjawił się o wiele za wcześnie. Postanowił poczekać w knajpce obok. Coraz bardziej cenił sobie dobrą kawę i własne towarzystwo. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie usiąść – przy stole na ulicy czy w sali. Wszedł do środka. Przy barze zauważył Ángela, najbliższego kolegę, gita-

rzystę z zespołu. Patrzył gdzieś przed siebie, przed nim stał kielich z piwem. Nie zwracał uwagi na wchodzących. Paco, niezauważony, przysiadł się do niego.

– *Hola! Cómo estás?* – odezwał się, kiedy kelner postawił przed nim *café solo*³⁰.

³⁰ *Café solo* – mała, mocna kawa, odpowiednik espresso.

– *Gracias, muy bien.* – Ángel zdziwił się, widząc obok siebie przyjaciela. – *Y tú?*

– *Bien, también. Como siempre*³¹... Co się stało, że jesteś tak wcześniej? – zainteresował się Paco.

³¹ *Hola! Cómo estás?* – *Gracias, muy bien. Y tú?* – *Bien, también. Como siempre* (czyt. Ola! Komo estas? – Gracias, muj bien. I tu? – Bien, tambien. Komo siempre) w polskim przekładzie: Cześć! Jak się masz? – Dziękuję, bardzo dobrze. A ty? – Również dobrze. Jak zawsze. Zwyczajowy początek rozmowy.

– Nic takiego. Miałem coś do załatwienia w pobliżu, i nie chciało mi się już wracać do domu – odpowiedział szybko.

– Ale piwo przed próbą? – Paco nie krył zdziwienia. – To do ciebie niepodobne...

– Gorąco. – Ángel wyraźnie migał się od odpowiedzi. – Jak mieszkanie? – zmienił temat.

– Już dobrze, już się przyzwyczaiłem. Nawet śpię przy otwartych oknach.

– Wrzaski ci nie przeszkadzają?

– Chyba przestałem je słyszeć. Wiesz, to nie jest jakiś superatrakcyjny plac dla turystów. Łażą gdzie indziej. Prawdę mówiąc, bardziej przeszkadza mi pustka w domu niż ludzie na ulicy.

– Do tej pory też mieszkałeś sam – zauważył Ángel.

– No, nie cały czas... – Paco sięgnął po kawę.

– Właśnie: co z Ewą?

– Nic. Bez zmian.

– Ciągle milczy?

– Ano, milczy... Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej ją rozumiem.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyś był na jej miejscu, też nie byłbyś ciekawy, co mogłaby mieć do powiedzenia?

– Nie! Na pewno dałbym jej szansę... – Paco zamilkł na chwilę. – Wierzę, że się spotkamy – stwierdził. – Teraz ma za dużo na głowie.

– Czyli... co? Czekasz? – dopytywał przyjaciel.

– Tak, czekam. A jak twoje sprawy? – Paco definitywnie zakończył rozmowę o sobie. – Nadal spotykasz się z Mercè?

– Za daleko to zabrnęło – stwierdził z mało radosną miną.

– Zakochałeś się? – Paco zaczął się śmiać. – Niemożliwe!

– Nie o to chodzi. – Ángel go uspokoił.

– No to w czym problem?

– Mercè jest w ciąży – wyjaśnił. Zapadło milczenie.

– I co postanowiliście? – zapytał po chwili Paco.

– Rzecz w tym, że to bez sensu – zdenerwował się Ángel. – Widziałeś, jak mieszkam. Dwie osoby jeszcze jakoś się zmieszczą, ale trzy?!

– A u niej się nie da? – podsunął Paco.

– Z jej rodzicami? – Ángel się zdziwił. – No coś ty!

– To musisz wynająć coś większego.

– Dzięki za radę. Myślisz, że tego nie wiem? – zirytował się. – Tylko że ja nie chciałem zakładać rodziny – wyjaśnił. – Wiesz, co o tym myślę...

– Więc co? Zostawisz ją?

– Jasne, że nie... Tylko to spadło na mnie jak grom z jasnego nieba.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Dzisiaj mi o tym powiedziała.

– No, tak... – Paco nie wiedział, jak powinien zareagować. – Dasz radę grać? – zapytał. – Może wolałbyś odwołać próbę?

– Z powodu ciąży Mercè? – Ángel się roześmiał. – Daj spokój! Jasne, że dam radę – uspokoił przyjaciela. – Idziemy. Tylko nie trąb o tym naokoło. Muszę to wszystko przetrwać – poprosił.

Kiedy wrócili na dziedziniec, reszta zespołu siedziała już na schodach i paliła papierosy. Nie chciało im się podnosić, upał wszystkim dawał się mocno we znaki. Przeszklony dach zamieniał zarówno patio, jak i salę prób w szklarnię. Koszule w jednej chwili poprzyklejały się do skóry, energia wyparowała. Trudno było zmobilizować się do pracy.

Przy takiej pogodzie próbę zaczynali zawsze w ten sam sposób: Paco biegł na salę i włączał wszystkie wentylatory, oni parzyli kawę. Dziś jednak nic nie było w stanie pomóc. Na myśl o pracy odechciewało im się żyć. Nie rozumieli, po co ich wezwał. Od dawna wszystko było gotowe, przećwiczone, nawet parę razy zagrane z sukcesem przed publicznością.

Paco jednak cały czas zastanawiał się nad tymi koncertami. Ciągle coś go w nich uwierało. Pomyślał, że dobrze byłoby przetestować inną kolejność utworów. Może chodziło właśnie o ich układ, o historię, którą budowali, a która w jego odczuciu ciągle pobrzmiwała fałszem? W każdym razie czuł, że nie do końca była ona prawdziwa.

Zaproponował, by tym razem rozpoczęli od *seguiriyas*³². Chciał sprawdzić, co się stanie, jeśli koncert otworzą utworem wyrazistym, mocnym emocjonalnie, chwytającym za gardło, jednoznacznym. Miało być mrocznie, niemal groźnie. Jak w thrillerze. Długie serie stepów postanowił przedzielić sekwencjami kastanietów. Koniec spektaklu też wymyślił inny: wyrzucił *bulerię*, a w jej miejsce wstawił *soleę*, smutną, ale niosącą nadzieję. Nowy pomysł na *seguiriyas* miał już przećwiczony, poświęcił mu kilka ostatnich wieczorów w domu.

³² *Seguiriyas* (czyt. *segirijas*) – styl flamenco, należący do najtrudniejszych ze względu na komplikacje rytmiczne i akcentowe; liczony na 12; poważny w nastroju, czasami dość agresywny.

Spróbowali. Już po pierwszym utworze wiedzieli, że miał rację. Na plecach czuli ciarki. Niby niewielkie ingerencje, a zmieniły spektakl o sto osiemdziesiąt stopni. Stał się zupełnie inną opowieścią. Jak im się wydawało – ciekawszą dramaturgicznie. Nabral nowego koloru, zmienił się rytm i temperatura. Był teraz nie tylko widowiskiem mistrzowskim, ale i zmuszającym do refleksji wychodzącej poza sztukę. Od początku o to im właśnie chodziło, tylko nie umieli sobie z tym poradzić, nie wiedzieli, gdzie popełnili błąd. Za każdym więc razem, kiedy wychodzili na scenę, nie byli pewni, czy ludzie biją brawo, bo zostali oszołomieni tym, co zobaczyli, czy dlatego, że poruszyli też ich dusze. Na duszach zależało im najbardziej, to oczywiste. Teraz nareszcie wszystko się ułożyło w odpowiednich proporcjach.

Paco był zadowolony. Ten spektakl miał dla niego ogromne znaczenie. Powstawał dla Ewy i z myślą o niej. W sumie nie chodziło o to, że wersja poprzednia była zła, ale skoro zmieniła się sytuacja, musiała zmienić się też treść. Gdyby Ewa była teraz z nim, wiedziałaby, co przeżywa, jak bardzo żałuje tego, co się stało, jak cierpi z powodu rozstania.

Do domu wracał niespiesznie. Najpierw, jak zawsze, minął Plac Uniwersytecki, potem po lewej zostawił Plac Kataloński i dalej szedł bocznym pasem La Rambla aż do Opery³³. Tu przechodził na drugą stronę. Jak zwykle, zatrzymał się na chwilę tuż za pasami, przy krawężniku, by poszukać wzrokiem mężczyzny w złotym garniturze. Przez całe wakacje, ilekroć znalazł się na deptaku, wła-

śnie jego wypatrywał. Wszędzie pełno było „żywych obrazów”, zastygłych postaci, które na dźwięk monety wrzucanej do puszek zaczynały się poruszać w sobie tylko wiadomym rytmie, ale jego interesował wyłącznie mężczyzna ze złota. Perfekcyjny w każdym calu. Nie mógł się napatrzeć na jego strój, na jego pantomimiczne wyczyny. Za każdym razem siadał gdzieś w pobliżu na piwo lub kawę i przyglądał się, jak nagle zastyga w bezruchu, czasami wbrew prawom grawitacji, jakby kpił sobie z natury, a potem zostawiał mu w kapeluszu dziesięć lub dwadzieścia euro, zawsze w jednym banknocie. Tym razem jednak nigdzie nie mógł go dostrzec. Zatrzymał się więc niedaleko pary tańczącej tango. W ciszy wykonywali kilka kroków i zamierali w charakterystycznej pozie, na ogół kobieta z nogą wyciągniętą daleko w tył, w półprzykłęku, podtrzymywana przez pochylonego w jej stronę partnera. Ludziom się to podobało, nagradzali ich gromkimi brawami. Jego nie za bardzo zachwycało – nie miało w sobie tych emocji, które wzbudzał w nim całkowicie nieprzewidywalny mężczyzna ze złota. Taniec to taniec, powtarzał sobie, nawet jeśli tak marionetkowy jak ten na ulicy; wiadomo, że każdy fragment odpowiada określonej sekwencji kroków, rzadko jest tu miejsce na niespodzianki... Mimo to wrzucił pieniądze do puszek, a potem ponownie rozejrzał się wokół i dopiero upewniwszy się ostatecznie, że nie ma tu tego, którego szukał, ruszył dalej.

33 Opera, czyli Gran Teatre del Liceu – jeden z najważniejszych i największych tego typu teatrów w Europie; zajmuje powierzchnię 32 tys. metrów kwadratowych (blisko 2300 krzeseł na sali głównej). Otwarty w 1847 roku; dwukrotnie zniszczony przez pożary; ostatni wybuchł w 1994 roku, a odbudowa gmachu zajęła 5 lat.

Z coraz większym trudem przeciskał się przez gęstniejącą ludzką rzekę, przez masę szemrzącą we wszystkich możliwych językach. Niezależnie od pory roku trwał zmasowany atak turystów na stolicę Katalonii. Rozdeptywali miasto, rozpychali się wszędzie, zachowując się tak, jak pewnie u siebie nigdy nie mieliby odwagi. Nie dziwił się, że miejscowi urzędnicy coraz częściej zastanawiali się, jak ograniczyć ten ruch. Rodowici mieszkańcy uciekali z centrum na obrzeża, Barcelona z katalońskiej powoli stawała się kosmopolityczna, ale nie oznaczało to wcale mieszania się kultur czy otwarcia miasta na świat, tylko oddawanie jej we władanie hordom różnorodnych wandalów. Nie pomagało zwiększanie liczby policyjnych patroli i brygad sprzątających. Za dużo małych uliczek, za dużo zaułków, placyków i podwórek, by objąć to wszystko kontrolą. Sam nieraz był zaczepiany przez ulicznych dilerów i grupy skorych do bójek smarkaczy. Często też potykał się o odpoczywających na chodnikach pijanych miłośników zwiedzania i o śmieci zostawiane przez nich na ulicy. Co prawda rano nie było po tym najmniejszego śladu, ale wieczorami trzeba było lawirować między workami, pudłami, kontenerami pełnymi odpadków i pustymi puszkami po piwie. To już nie było to miasto, które pokochał lata temu, kiedy przeniósł się tutaj z Madrytu. Wtedy Barcelona tańczyła, bawiła się całymi nocami, fascynowała samoodnawialną energią, teraz – wrzeszczała i męczyła. Kochało się ją jedynie z przyzwyczajenia.

Z czasem nauczył się być głuchym i ślepym na wszystko, czego widzieć i słyszeć nie chciał. Nie pozwalał, by ludzie rozpraszały go, kiedy potrzebował skupienia. Cieszył się, że Barcelony uczył się powoli, stopniowo przenosząc się do rozhukanego centrum. El Raval, gdzie początkowo mieszkał, w porównaniu z Barri Gòtic był krainą łagodności. Owszem, była to dzielnica prawdziwie – i z założenia – multikulturowa, ale jakoś wyciszona w swej naturalnej kakofonii. Wtedy, jeśli chciał znaleźć się w centrum turystycznego szaleństwa, musiał specjalnie wybierać się na La Ramblę. Nie był na nie skazany jak dziś. Dawkował je sobie zgodnie z własnymi potrzebami.

Teraz wyćwiczone umiejętności odcinania się od wszystkiego przydawały się jak nigdy dotąd: po opuszczeniu deptaka po prostu przestał zauważać, co dzieje się wokół niego. Myślami wrócił do próby. Słyszał ją i widział w swojej głowie. Cieszył się ze zmian, które wprowadził i z uzyskanego efektu, ze smutkiem pomyślał jednak o tym, że trzeba było dać się nieźle poobijać życiu, by uzyskać taki efekt.

W domu, jak zwykle, włączył komputer zaraz po zamknięciu za sobą drzwi. Nadal nie było żadnej wiadomości od Ewy. Nasypał kotu jedzenia, wziął prysznic i napisał do niej kolejny list. Krótki. O próbie i o zmianach. Bez nadziei, że odpisze. Otworzył butelkę wina, wyciągnął z szafy kieliszek. Wzniósł toast za samego siebie. Z kuchni dobiegł go dźwięk dzwoniącego telefonu. Zerwał się na równe nogi, przeleciało mu przez głowę, że to Ewa. Może dzwoni do niego tak, jak kiedyś, po powrocie do Polski. Tłumaczyła się wtedy, że miała zły sen, w którym Paco zginął, i że się wystraszyła, więc chciała sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Uspokoił ją, nie zdradził ani słowem, jak bardzo poczuł się szczęśliwy, gdy usłyszał jej głos. Pomyślał wtedy, że skoro się niepokoiła, to jeszcze coś do niego czuje. Tym razem jednak to nie była Ewa, a Ángel.

– Sorry, stary, że dzwonię tak późno – odezwał się – ale chciałem ci powiedzieć, że się żenię.

– Co?! Kiedy? – Paco zakrztusił się winem, którego łyk właśnie upił z kieliszka.

– Jeszcze nie wiem, zobaczymy, może teraz, a może dopiero, jak urodzi się dziecko, ale tak postanowiłem, bo wiesz, może to znak, może czas już się uspokoić – mówił na jednym oddechu – w sumie rodzina to fajna sprawa, a jak będę ojcem, to już w ogóle, wyobraź sobie, córeczka albo synek na kolanach, a potem za rękę na spacer, wreszcie człowiek ma po co żyć, chce się wracać do domu, a nie tak jak teraz, nie? – Zamilkł jakby zabrakło mu powietrza.

– Chyba tak – odpowiedział niewyraźnie Paco. – Tak, masz absolutną rację – potwierdził. – Gratuluję. Mercè już wie o twojej decyzji?

– Nie, jutro jej powiem. Dziś chciałem powiedzieć tobie.

– Aha, no tak. Dziękuję. Zaproś mnie na ślub.

– No pewnie! – Ángel zaczął się śmiać. – Kogo jak kogo, ale ciebie przecież bym nie pominął!

– Ángel ojcem, Ángel mężem... – Paco westchnął po zakończonej rozmowie. – Facet, który nigdy nie chciał o tym słyszeć.

Przypomniała mu się Anna. Nawet nie zdążył oswoić się z myślą, że mógł zostać ojcem. Chcieli mieć dziecko. Ale mieli też żyć długo i szczęśliwie... Potem nigdy już o tym nie myślał. Aż do czasu pojawienia się Ewy. Dlaczego tak to wszystko zepsuł?

Wyszedł na taras. Kot ciągle wylegiwał się na poduszce i zupełnie nie zwracał na niego uwagi, nawet nie uniósł powieki, kiedy przy nim stanął. Żywa pamiątka po Annie, bo to był jej kot, do tego rudy jak ona. Kiedy zostali sami, nie akceptował żadnej innej kobiety. Poza Marizą i Ewą. Do Ewy łąsił się tak, jak kiedyś do Anny. Ciągle był blisko, gotowy w każdej chwili wskoczyć jej na kolana.

Niebo obsypały gwiazdy, księżyc spoglądał na świat półprofilem, przy stolikach knajpek usytuowanych wokół placu siedzieli młodzi ludzie i popijając piwo, o czymś zawzięcie dyskutowali. Słowa nakładały się na siebie, odbijały od ścian kamienic, zamieniając się w hałaśliwy szum. Na środku, w pobliżu kosmicznej rzeźby, przysiadła grupka z gitarą. Młody chłopak zaczął grać rumbę, po chwili dołączyli do niego inni z *palmasami*³⁴ i śpiewem, a potem kilka osób ruszyło w tany. Całkiem niezłe im to wychodziło. Patrzył na nich z przyjemnością. Chętnie przyłączyłby się do zabawy – brakowało mu takiej radości, jaka od nich biła. Właściwie gotów był już zejść na dół, ale znowu zadzwonił telefon. Niechętnie wrócił do mieszkania, myśląc, że Ángel chce mu jeszcze o czymś powiedzieć. Rzucił okiem na wyświetlacz: prefiks czterdzieści osiem, z Polski, spojrzął na kolejne cyfry, ale nie skojarzył numeru.

³⁴ *Palmas* – rytm wyklaskiwany dłońmi.

– *Hola*, Paco! – usłyszał głos Goški. – *Qué tal?*

– *Hola! Así así*³⁵ – przywitał się zdumiony. – Po co dzwonisz? – zapytał ozięble.

– Przepraszam, że dopiero teraz – odpowiedziała niepewnym głosem. – Tylko się nie rozłączaj, proszę, pozwól mi wszystko powiedzieć – dodała pospiesznie.

– Nie ma sprawy – uspokoił ją. – Nawet nie będę ci przerywał – zapewnił. – Słucham, o co chodzi?

– Wiem, że powinnam była zadzwonić dwa miesiące temu – zaczęła. – Domyślam się, co o mnie myślisz. Ale nie daleś mi wyboru.

– Słucham? – zdziwił się. – Dobrze rozumiem? Musiałaś mnie zdradzić, tak? I o tym chcesz teraz rozmawiać? W środku nocy? – zdenerwował się.

– Gdybyś nie zaciągnął Anki do łóżka, o Marcie Ewa nigdy by się nie dowiedziała – stwierdziła lodowatym tonem.

– A twoja obietnica? – zapytał. – Pamiętasz ją jeszcze?

– Ewa jest mi bliższa niż ty – odpowiedziała ostro. – O tobie nigdy nie miałam najlepszego zdania, a znam cię długo – oświadczyła. – Przez moment sądziłam, że potrafisz nad sobą panować – ciągnęła. – W imię miłości. Bo uwierzyłam, że ją kochasz.

– Skoro tak źle o mnie myślisz – zirytował się jeszcze bardziej – to po co dzwonisz?

– Bo martwię się o Ewę – wyjaśniła.

– Nie rozumiem – przyznał szczerze.

– Ona cię ciągle kocha.

– I poprosiła, żebyś mi o tym powiedziała? – zakpił.

– Nie wygłupiaj się! – zachnęła się. – Kilka razy widziałyśmy się od jej powrotu – zaczęła tłumaczyć. – Nie wyglądała dobrze. Najpierw myślałam, że tak przeżywa śmierć Jacka, ale potem stało się dla mnie jasne, że ciągle myśli o tobie. Rzecz w tym – ciągnęła – że sama niczego nie przedsięwzięmie. Opowiedziała mi o waszym ostatnim spotkaniu, o pierścionku... Zresztą, nosi go na palcu. To coś znaczy, prawda? Ale... widzisz... – Zamilkła na chwilę. – W niej coś się zablokowało. Wiem, że piszesz do niej, a czasem nawet dzwonisz. Niby prosta sprawa, wystarczyłoby, gdyby ci odpisała albo pogadała z tobą przez telefon. Nie wiem, czy to urażona ambicja, czy coś innego, ale chyba nie potrafi ani zrobić pierwszego kroku w twoją stronę, ani odpowiedzieć na twój, gdybyś to ty go wykonał. Sytuacja patowa – podsumowała.

– I jaką rolę tym razem sobie wyznaczyłaś? – zainteresował się. – Chcesz się dowiedzieć, czy dałem sobie pokutę? Wyciągnąć mnie na zwierzenia i potem zrobić z tego użytek? – nie przestawał z niej kpić.

– Nie – odpowiedziała krótko. – Nic z tych rzeczy. Chyba pomyliłam się, oceniając ciebie – przyznała. – Myślę, że zależy ci jednak na niej, tylko wszystko zapętlilo się tak, że nie wiadomo, co z tym zrobić.

– No i...? – zniecierpliwił się.

– Chciałam cię poprosić, byś pozwolił mi trochę namieszać... – oświadczyła.

– Co?! – Poczul się zaskoczony. – Już raz to zrobiłaś! – przypomniał. – Mam ci pozwolić na to po raz drugi? Chyba zwariowałaś! – krzyknął.

– Posłuchaj – odpowiedziała spokojnie. – Nie chodzi mi o twoje zwierzenia, nie chcę wiedzieć, czy sypiasz z kimś, czy nie. W ogóle nigdy więcej nie musimy się widzieć. Po prostu chcę wam umożliwić dokończenie tej przerwanej rozmowy – wytłumaczyła. – Jeszcze nie wiem jak... Spotkacie się i reszta w waszych rękach. Chodzi tylko o to, żebyś pozwolił mi to spotkanie zorganizować. Nic więcej. Pytanie brzmi, czy tego chcesz?

– Muszę to przemyśleć – stwierdził. – Nie ze względu na Ewę, tylko na ciebie – wyjaśnił.

– Jasne, oczywiście – zgodziła się. – Może tak odkupię swoje winy? – zażartowała. – Daj znać, jeśli się zdecydujesz. Im szybciej, tym lepiej.

Sięgnął po wino. Był oszołomiony. Zarówno bezczelnością Goški, jak i samą propozycją. Zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji i że być może oszukuje samego siebie, wmawiając sobie codziennie, że samemu uda mu się coś wskórać. Ale z drugiej strony, jak uwierzyć w dobre intencje tej dziewczyny?

Wrócił na taras. Grupa wokół pomnika bawiła się w najlepsze, nie zważając na upływ czasu. Zmieniali się gitarzyści, zmieniały się *palos*³⁶, ale ciągle to było flamenco. Po rumbie zabrzmiało *tangos*, a potem *bulerías*, i to na całkiem znośnym poziomie. Próbował zapomnieć o rozmowie, wsłuchiwał się w muzykę dochodzącą z dołu. Pił wino i głaskał kota, który ułożył się na jego kolanach, gdy usiadł na tarasowej ławce. Nie chciało mu się spać. Przesiedział tak pół nocy. Następnego dnia zadzwonił do Goški, by powiedzieć, że zgadza się na jej pomoc.

³⁶ *Palo* – (lm.: *palos*) styl.

A potem skupił się na sprawach tak banalnych, jak rozpakowywanie kartonów, które wrzucił do nieużywanego pokoju. Musiał zająć czymś myśli, okiełznać wyobraźnię, bo chociaż propozycja Goški dotyczyła bliżej nieokreślonej przyszłości, to jednak w głowie już zaczęły mu się układać obrazy. Nie mógł pozwolić im za bardzo urosnąć, bo znowu miałby problem z rzeczywistością, z normalnym w niej funkcjonowaniem. Wystarczająco dużo czasu zmarnował dotąd na marzenia. Za wszelką cenę chciał teraz zachować zdrowy rozsądek. Musiał robić swoje. Ewa będzie w jego życiu lub nie – nie mógł wszystkiego uzależniać od wyroków losu. Kochał ją, zrobiłby wszystko, by wróciła, ale też zdawał sobie sprawę z tego, że ta miłość na zawsze już może pozostać w sferze fikcji, jako uczucie, które go psychicznie buduje lub niszczy, nic więcej. Bez szans na realne rozwiązanie.

Przez kilka godzin wyciągał z paczek to, co w nie zapakował: książki, płyty, garnki, miski, ubrania... Przenosił, układał, poprawiał, selekcionował. I tak aż do obiadu. Nie chciało mu się gotować, więc zszedł na plac do greckiej knajpki – w „Dionisiosie” serwowano świetny gyros. Po południu musiał iść do szkoły. Nie tylko uczył w niej flamenco, ale i nią administrował, co oznaczało, że parę godzin dziennie poświęcał na sprawy biurowe: umowy, kontrakty, grafiki, a także uzupełnianie zapasów kawy czy papieru toaletowego.

Lata temu, kiedy po śmierci Anny uciekł z Madrytu, Luis Duarte, właściciel Estudio del Danza, był pierwszym, który dał mu pracę. Powierzył mu uczniów, a potem zmobilizował do powrotu na scenę. Z czasem przekazał też zarządzanie szkołą. Sam był już dość wiekowym panem i, jak sam mówił, nie nadążał za zmianami, jakie wymuszało współczesne życie, a życie domagało się, by ta jego *escuela*³⁷ nie tylko oferowała naukę tańca, ale w ogóle zajmowała się kulturą hiszpańską, i to w jej różnych jej aspektach. Paco miał pomysły, wiedział, jak je realizować i sprawił, że miejsce odżyło, przestało być wyłącznie barcelońską legendą. Dziś przychodziło się tam nie tylko po to, by spotkać Luisa, jednego z najważniejszych tancerzy w historii flamenco, czy kupić książkę z jego autografem i posłuchać opowieści o dawnych mistrzach, ale też, by spędzić czas rozmawiając o literaturze, słuchając muzyki, oglądając filmy, biorąc udział w wernisażach i dziesiątkach innych wydarzeń. W soboty, nieodpłatnie, uczono *sevillanas*³⁸. Dziś właśnie rozpoczynał się nowy kurs.

³⁷ *Escuela* (czyt. *eskuela*) – szkoła.

³⁸ *Sevillanas* (czyt. *sewijananas*) – styl tańca o prostym *compasie* (rytmie), wywodzący się z folkloru hiszpańskiego. Przez wielu nie jest zaliczany do flamenco, niemniej jest on na tyle zrośnięty kulturą flamenco, że dziś trudno wyobrazić sobie jakiekolwiek święto bez tego tańca. Jedyny wykonywany w parach i wedle określonej choreografii, złożonej z czterech części, odpowiadających czterem zwrotkom.

Zgłosiło się dziesięć osób, wśród nich Angielka, Japonka, Rosjanka. Przyjechały do Barcelony na studia, chciały dogłębnie poznać Hiszpanię, zapisały się więc na zajęcia z flamenco. Naukę zaczynały od podstaw. Zrobił małe wprowadzenie, opowiedział o najsłynniejszych *cantaorach*³⁹ i zespołach grających *sevillanas*, włączył muzykę. Najpierw zatańczył sam, pokazując im, czego będą się uczyć, a potem zaczął rozkładać na czynniki pierwsze krok podstawowy, *paso de sevillanas*.

³⁹ *Cantaor* (czyt. kantaor) – śpiewak.

– Prawa noga do przodu – komenderował – lewą przesunąć w kierunku pięty, lekko pukając czubkiem palców w podłogę, cofnij lewą nogę, palcami prawej puknij z przodu lewej stopy i natychmiast przenieś ją w tył, postaw za piętą, opierając się na niej całym ciężarem ciała. I krok powtarzamy wszystko, zaczynając tym razem od lewej nogi...

Lubił te lekcje, lubił patrzeć na stopniowo znikającą nieporadność. Jego uczniowie chcieli jak najszybciej wszystkiego się nauczyć, ćwiczyli z wielkim oddaniem, nie marnując czasu. *Sevillanas* nie była trudna, więc radość związana z przyjemnością tańczenia pojawiała się już pod koniec pierwszych zajęć. Zwykle wtedy właśnie ludzie też połykali bakcyła i rozpoczynali swoją prawdziwą przygodę z flamenco. Czuł się trochę jak zarzucający dobrą przynętę wędkarz. Kurs wieńczyło zawsze wspólne wyjście do zaprzyjaźnionego klubu „Los Juanele”, w którym słuchano i tańczono wyłącznie *sevillanas* – tego samego, do którego kiedyś zabrał dziewczyny z Polski.

Przypomniawszy sobie ten wieczór i Gośkę, która wprowadziła wszystkich w osłupienie, kiedy zaczęła tańczyć „sevillana polaca”, jak ją nazwała... Zawsze powtarzał swoim uczniom, że nawet w tym tańcu, tak mocno ujętym w ramy choreograficzne, warto pokusić się o improwizację, bo przecież ma być on rozmową dwojga ludzi – z założenia więc powinni być elastyczni, gotowi do zmian. No i Gośka zastosowała się do tych jego rad, sprawiając, że nie umiał zareagować na to, co działo się na parkiecie. „Inkrustowała *sevillanas* krakowiakiem” – jak potem uczenie wyjaśniła – co oznaczało, między innymi, wprowadzenie hołubców, dla niego niemożliwych do powtórzenia. Świetnie się wtedy bawił, mimo rozmowy z Martą – trudnej, bolesnej, odbierającej jej nadzieje na jakikolwiek z nim związek. Myślał, że ostatecznie zamknał tę sprawę i może na zawsze o wszystkim zapomnieć.

Grupa skończyła zajęcia, szkoła opustoszała. Pozbierał z szatni zapomniane rzeczy, przetarł podłogi mopem, powyłłączał światła. Ot, zwyczajny finał dnia. Nauczyciel, artysta, dyrektor szkoły w codziennej robocie. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie miny tych wszystkich dziewczyn, które na kursach śledziły go rozmarzonym wzrokiem – ciekawe, co by pomyślały, widząc go myjącego toalety...

Nie chciało mu się wychodzić. Otworzył butelkę piwa i wrócił na salę. Włożył do odtwarzacza płytę z nagraniem wczoraj próbą. Włączył, usiadł wygodnie na kanapie, zamknął oczy i wysłuchał całej w wielkim skupieniu, zapominając o piwie. Utwierdził się w przekonaniu, że wprowadził dobre zmiany. „Przynajmniej tu wszystko działa jak trzeba” – pomyślał. *Seguiriyas* zabrzmiała nareszcie wyraźnie, przekazywał nią to, co uważał za najważniejsze: że trzeba żyć niezależnie od ilości siników zbieranych po drodze. Bez płaczu, bez roztkliwiania się nad sobą, skupiając się wyłącznie na tym, co przynosi dzień dzisiejszy, i co może przynieść nam jutro – rzecz jasna, jeśli w ogóle nadejdzie jakieś jutro. Ten spektakl miał przede wszystkim dodać siłę jemu samemu, być jak kopniak potrzebny do podjęcia działania. I chyba właśnie spełniał swoje zadanie. Wyzwalał w nim dobrą energię.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział V

GOŚKA

—No dobrze. To sobie pogadaliśmy – westchnęła po zakończonej rozmowie z Paco. – Czy go zdradziłam? – Zastanawiała się nad tym, co usłyszała. – Przecież słowa bym nie pisnęła o Marcie, gdyby nie wylądował w łóżku z Anką! – przekonywała samą siebie. – Jak on to sobie wyobrażał?! Że dopuszczę do tego, by Ewa związała się z kimś, kto ordynarnie zalicza panienki?! – Nie potrafiła opanować irytacji. – Jak wtedy mogłabym spojrzeć jej w oczy? Ani on mi brat, ani swat! Ewka była ważniejsza – zawyrokowała. – Czy w Poznaniu też się tak zachowywał? Dziewczyny wariowały na jego punkcie, Marta od zawsze polowała... – przypominała sobie. – Ale on nie wyglądał na specjalnie nią zainteresowanego. Aż do tamtego wieczoru, po koncercie finałowym, na którym miała solówkę. Tak, wtedy razem wyszli z imprezy – uprzytomniła sobie. – Ale był tak pijany, że chyba nie wiedział, co robi. No i pewnie za wiele też nie zrobił. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Nie, ja nie umiałabym mu zaufać – stwierdziła po namyśle. – Może to przez Agustino?

Poznała go rok wcześniej, podczas swoich hiszpańskich wakacji. W klubie nad morzem, w tańcu. Ciągnęło ich do siebie od pierwszej chwili, odnajdywali siebie bez umawiania się. Dni, które spędzili razem, były jak z filmowego romansu. Roześmiane, spontaniczne, zwariowane, piękne. Ciągłe słyszała: „*Te quiero!*”⁴⁰, i sama też co chwila powtarzała to samo. Czego więc mogła się spodziewać, jeśli nie wspólnego życia „do końca świata i jeden dzień dłużej”? Myślała, że wraca do Polski po to jedynie, by pozamykać wszystkie sprawy i się spakować. Ale kilka dni później przysłał jej mała, a w nim informację, że wkrótce zostanie ojcem i że się żeni. I lepiej, by się więcej nie kontaktowali.

⁴⁰ *Te quiero* (czyt. te kiero) – kocham cię.

Wcześniej nawet słowem nie wspomniał o narzeczonej. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nigdy nie usłyszała od niego *te amo*⁴¹, zawsze tylko i wyłącznie *te quiero*. Dlaczego nie zwróciła na to uwagi? Ona, hispanistka! Wyczulona na wszelkie niuanse językowe i kulturowe! Przestrzegająca innych przed konsekwencjami złego zrozumienia słów...

⁴¹ *Te amo* – kocham cię; niesie ze sobą nieco inny wydźwięk niż „*te quiero*”: lubię cię, pożądam cię, podobasz mi się.

Może ta znajomość i dla niego była w jakiś sposób ważna, nie miała jednak najmniejszego wpływu na zaplanowane już życie, na wcześniej podjęte decyzje. Wierzyła, że ją kochał, ale... pewnie tylko wtedy, kiedy byli razem, przez tych kilka dni. Uczucie przyszło nagle i równie nagle odeszło. Najtrudniej jednak przychodziło jej pogodzić się z tym, że koniec znajomości był tak raptowny i ostateczny. Nie chciał się z nią spotkać, by się pożegnać. Proponowała, że przyleci. Nie zgodził się. Po roku ponownie spróbowała nawiązać z nim kontakt, pisząc, że wybiera się do Barcelony. Nie zareagował. Ani słowem... To było „fatalne zauroczenie”, jak potem opowiadała. Przez rok do-

chodziła do siebie.

Często zastanawiała się nad tym, co ją w nim uwiodło? Taniec czy seks? Bo przecież niewiele rozmawiali. Agustino nie był też najwspanialszym facetem, jakiego w życiu spotkała. A jednak to dla niego straciła głowę, to przy nim zapomniała o ostrożności, z której była tak dumna i która dotychczas zawsze chroniła ją przed niepotrzebnymi kłopotami. „*Te quiero – te amo*”, stary numer, jak żartowała po czasie, parafrazując przy tym znaną reklamę piwa: „Prawie to samo, ale prawie robi wielką różnicę...”.

Długo nie mogła zrozumieć, dlaczego Ewa, znając jej doświadczenia, wpakowała się w podobną historię. Owszem, przyznawała, Paco to inna liga, mógł – obiektywnie rzecz biorąc – oczarować. Gyby nie Agustino, może nawet i ona nie byłaby do końca odporna na ten jego urok... Dzięki tańcowi postrzegano się go jako mężczyznę niezwykle wrażliwego, delikatnego, czulego. I jeszcze do tego dobrze z nim się rozmawiało. W sumie trudno było się dziwić dziewczynom. Zwłaszcza młodym. Ale Ewa? Ewa nie pasowała do tej układanki – miała ponad czterdzieści lat! Na takie uroki powinna być impregnowana już dawno. Zwłaszcza po swoich doświadczeniach małżeńskich... No tak – uprzytomniła sobie – ale to Paco ją uwodził, a nie ona jego. To on nie odpuszczał. Polował jak Marta. Nawet po warsztatach, bo systematycznie do niej pisał. A mogło się przecież wydawać, że osiągnął już to, co chciał: przespał się z Ewą. Widocznie jednak nie o to mu chodziło.

Trzeba przyznać, że był bardzo dyskretny. Gdyby nie zwierzenia Ewy, niczego by się nie domyśliła. To właśnie od niej dowiedziała się, że potem jeszcze raz się spotkali, na chwilę, podczas festiwalu flamenco w Łodzi. A przecież była tam razem z nimi! Pamiętała też, że Ewa próbowała tę znajomość zakończyć. Chyba wtedy miała jeszcze nadzieję, że Jacek, jej mąż, do niej wróci. Zresztą, tak naprawdę cały czas na to czekała. Nawet w Barcelonie. Rozmawiały o tym. Ale Paco nie dawał za wygraną i był bardzo cierpliwy.

Skoro Ewa jednak mu uległa i zaplątała się w ten związek, Gośka postanowiła czuwać nad nimi. Obserwowała, jak rozwija się ich relacja, czy nic jej nie grozi ze strony innych dziewczyn i w końcu nawet zaczęła namawiać Ewę, by zaryzykowała, by poszła na całość i w pełni otworzyła się na tę miłość. Bo ciągle robiła krok do przodu i trzy wstecz, trzymała swoje uczucia na wodzy, nawet przed samą sobą nie chciała się do nich głośno przyznać. I dlatego też to, co ich łączyło, pozostawało tajemnicą. A ponieważ nikt nic nie wiedział, Marta nie odpuszczała, mając nadzieję, że właśnie w Barcelonie uda jej się dopiąć swego. Pewnie do niczego by nie doszło – ani w przypadku Marty, ani w przypadku Anki – gdyby nie sekrety. Mężczyźni być może należy ufać w stopniu ograniczonym, ale dziewczyny – wierzyła w to głęboko – opanowałyby swoje namiętności, gdyby znały prawdę.

Marta była poważnym zagrożeniem, mimo iż Gośka jeszcze w Polsce uprzedzała ją, że Paco jest zajęty. Nie miało to dla niej większego znaczenia, czuła to. Starła się więc wszystkie jej akcje przewidywać i zawczasu im zapobiegać. Raz jeden jej nie upilnowała, nie sądziła, że może coś może się wtedy zdarzyć, bo teoretycznie było to niemożliwe – Paco miał spotkanie biznesowe gdzieś daleko poza turystycznym szlakiem, ich ścieżki nie miały szans się przeciąć. Ale właśnie wtedy Marcie pomógł przypadek i polowanie zakończyło się sukcesem: zgubiła się w okolicach Tibidabo, zadzwoniła do Paco, noc spędzili razem. Następnego dnia, na zajęciach, promieniowała. Paco, przyparty do muru, wszystko potwierdził. Kiedy o tym mówił, widziała w jego oczach rozpacz. Zrobiło jej się go żal. I jego, i Ewy. Ewy bardziej, oczywiście. Bo ona, powoli, ale z każdym dniem coraz bardziej, przybliżała się do decyzji o pozostaniu w Barcelonie. Choćby na jakiś czas, by w normalnych, codziennych warunkach sprawdzić, czy ten związek ma sens.

Postanowiła wtedy mu pomóc, nie chciała, żeby z powodu głupoty, zamroczenia czy jakkolwiek

by tego nie nazwać, zakończyło się to, co dopiero się zaczynało. Paco obiecał zerwać z Martą i zrobił to, ona sama dołożyła jej od siebie parę cierpkich słów, Ewa pozostała w nieświadomości. I nie wróciła do Polski...

Mogło być pięknie. Trzymała za nich kciuki. Ale Paco widać nie umiał nad sobą panować. Bo jak to wytłumaczyć? W tydzień po Marcie poszedł do łóżka z kolejną dziewczyną! Na co liczył? Że się nie wyda? Czy można być aż tak naiwnym? Pomyślała, że może rzeczywiście nic by się nie wydało, gdyby nie wachlarz. Gdyby Anka postanowiła zostawić go sobie na pamiątkę zamiast odesłać. Ona też nie wiedziała, że Paco jest w związku, pewnie nawet nie przyszło jej do głowy, że co wieczór opowiada Ewie o swojej miłości.

„Gdyby Ewa nie trzymała wszystkiego w tajemnicy – ponownie pomyślała z coraz większą złością – pewnie żadna z tych sytuacji by się nie wydarzyła”. A Paco? On chyba nie zdawał sobie sprawy, że zachowuje się paskudnie. Nie sądziła, żeby myślał o tym w kategoriach krzywdy czy zdrady. Pewnie w ogóle nie zastanawiał się nad tym za wiele. Nad Martą może tak, bo zbyt wyraźnie dawała do zrozumienia, że chciałaby trwalszej relacji, ale Ania potraktowała to tak samo lekko jak on, nie było więc do czego wracać. I dlatego odesłała wachlarz. A przy okazji pojawił się list... Parę słów za dużo. Te jego sprawy łóżkowe, myślała coraz częściej, były jak kieliszek dobrego wina: smakowały i zachwycaly w momencie picia, a potem wzruszało się ramionami i szło dalej.

Do siebie miała pretensje głównie o to, że uległa emocjom, bo kiedy Ewa mówiła jej o Ani, nie powinna była od razu opowiadać jej o Marcie. Mogła przeczekać, pozwolić, by wszystko ostygło i ułożyło się jej w głowie. Gdyby Ewa po jakimś czasie nadal utrzymywała, że to zdarzenie przekreśla jej związek z Paco, wtedy owszem – dla dopełnienia obrazu i utwierdzenia w podjętej decyzji – można było powiedzieć o Marcie. Ale ona się pospieszyła – dziś przyznawała to ze wstydem. Była zła na Paco, jakby to dotyczyło jej osobiście. Dała temu wyraz i dołała oliwy do ognia.

Kiedy po powrocie Ewy do Polski próbowała racjonalizować tę sytuację, jej argumenty okazały się już za słabe. Wyrok został wydany. Ale to wcale nie oznaczało, że uczucia Ewy umarły. Widziała, jak cierpi. Do tego dołączyły problemy związane z pogrzebem, śmierć psa i tysiące spraw do załatwienia – wyraźnie nie dawała sobie z tym rady. Nic dziwnego, że zaczęła podejrzewać u siebie depresję. A pewnie wystarczyłoby, gdyby Paco był obok, gdyby miała czego się uchwycić... Ewa unikała tego tematu. Pewnego dnia Gośka zauważyła na jej palcu pierścionek, którego nigdy wcześniej nie widziała. Na stwierdzenie „Jaki ładny!” stwierdziła najpierw krótko: „To od Paco”, a potem opowiedziała o okolicznościach, w jakich znalazł się u niej. Czy jeśli kogoś wykreśla się z życia, zakłada się pierścionek zaręczynowy od niego?

Ewa twierdziła, oczywiście, że zrobiła to tylko dlatego, żeby mieć widome ostrzeżenie przed „głupimi miłościami”. Zarejestrowała się także na portalu randkowym, rzecz jasna także „tylko i wyłącznie po to, żeby ostatecznie wyleczyć się z Paco”, jak mówiła, i umówiła się z kilkoma facetami. Z jednym nawet spotkała się parę razy, wmawiając sobie, że to prawdziwy ideał, istny „książę z bajki”. Pamiętała jej entuzjazm! Wszystko było cudowne, wszystko ją w nim podniecało, łącznie z głosem! Co prawda, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy, miała ochotę natychmiast uciekać, tak bardzo nic się jej w nim nie podobało, ale potem do kolacji wypili całą butelkę wina i rzeczywistość zaczęła wyglądać zupełnie inaczej. Nie bez znaczenia był też fakt, że nie zaciągnął jej od razu do łóżka. Trzeba przyznać: od samego początku umiejętnie nią manipulował. Znał wszystkie damsko-męskie sztuczki. Następnym razem leciała już do niego jak na skrzydłach, ciekawa tego, czym ją zaskoczy i mając nadzieję na spełnienie niewypowiedzianej obietnicy. Ale on posuwał się bardzo powoli, po mistrzowsku sterując jej emocjami. Muzyka, wiersze, intensywne słuchanie tego, co ona

ma do powiedzenia, rozbieranie wzrokiem, głośne i ciche zachwyty. Czula się kimś wyjątkowym, jak potem opowiadała. Doceniona w każdym calu. Rozkwitała.

Do łóżka poszli po dwóch tygodniach. Pierwszy orgazm przeżyła, nim ją rozebrał. Potem nie musiał się już za bardzo starać. Ale się starał. Spokojnie, metodycznie uzależniał ją od siebie, od seksu. Bo rozmowy przestały być ciekawe. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Zauważyła to, jak wyznała, dopiero po czasie. Tak jak i to, że ten wspaniały seks w sumie oparty był na kilku trikach – powtarzalny, przewidywalny, bez fantazji i polotu. Na szczęście szybko przyszło otrzeźwienie. Uciekała od niego, jakby ratowała życie. I być może naprawdę tak było – oczywiście nie w sensie dosłownym. Ewa przyznała później, że ta ostatnia refleksja była dla niej jak cios w sam żołądek; w końcu zrozumiała, że wcale nie ona była przedmiotem jego westchnień, ale to, co mogła mu materialnie zapewnić – szybko wyciągnął od niej informacje o kancelarii Jacka i z pewnością domyślał się, jakie przynosiła dochody...

No więc próba zapomnienia o Barcelonie okazała się dość żałosna. Ewa długo czuła do siebie niesmak i o tym też Gośce mówiła. Ale to wszystko chyba pozwoliło jej nieco łagodniej patrzeć na winy Paco. Oczywiście, trudno było porównywać te doświadczenia: Paco ją zdradził, kiedy między nimi było dobrze, tak przynajmniej wynikało z jej relacji.

Po facecie z portalu randkowego, jak potem opowiadała, raz jeszcze zdarzyło jej się pójść z kimś do łóżka. Z kimś kompletnie nieważnym. Przypadkowym. Szukała potwierdzenia, że może się podobać. Ona jako ona, nie jako wdowa po prawniku. Tym razem pilnowała się, by nie opowiadać o sobie zbyt wiele, słuchała, co mężczyzna miał do powiedzenia. Podobał się jej, uległa impulsowi. Nie żałowała. Seks dla samego seksu, i to z nieznanym, jak później się zwierzała, był jak sztuka dla sztuki: spontaniczny, mocny, bez wstydu, aż do wyczerpania. Wiedzieli, że więcej się nie zobaczą.

Chwilę potem pojawił się Janusz, przyjaciel ze studiów. Wcześniej pomógł jej uporać się z pogrzebem, a potem uporządkować sprawy kancelarii. Nie wypadało jej chodzić na randki, kiedy on pomieszkiwał w jej domu. Zresztą, i tak już ich nie chciała.

Facet z portalu miał być lekarstwem, stało się jednak inaczej: sprawił, że rozpacz ogarnęła ją ponownie, łzy płynęły w sposób niepohamowany, a myśli o sobie jako o człowieku niewiele wartym powróciły z całą mocą. W końcu ponownie założyła pierścionek od Paco. Jako talizman. I już nie zdjęła. Nie potrafiła wyrzucić Paco ze swoich wspomnień. Zresztą, on sam nie zamierzał jej tego ułatwiać: pisał, czasami dzwonił, by dowiedzieć się, jak sobie radzi. Rozmawiała z nim zdawkowo, a na maile nie reagowała. On z kolei nie nalegał na odpowiedzi, nie obrażał się za marne rozmowy. Trwał. Tak jak kiedyś. Mogła wszystko zakończyć jedną prośbą, ale nie zrobiła tego. Po dawnej serdeczności nie zostało jednak ani śladu. Jej głos zobojętniał, słowa więzły w gardle.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Z czasem wyolbrzymiała niczym góra – już by się nie dało samemu podejść na jej szczyt. Trzeba było coś wymyślić. Bo to wcale nie depresja wykańczała Ewę – o ile w ogóle była to depresja, nad czym Gośka coraz częściej się zastanawiała – tylko przekreślona miłość. I duma, głupia duma, która nie pozwalała powiedzieć: „Zacznijmy od nowa, nie mogę bez ciebie żyć”.

To było zadanie dla Gośki. Miała się przypiąć do Ewy niczym partner wspinaczkowy i pomóc jej zdobyć tę górę. Niestety, najprostsze rozwiązanie nie wchodziło w grę, bo jeśli zaprosi Paco do siebie, Ewa po prostu ucieknie – za dobrze ją znała, by mieć co do tego wątpliwości. Najlepiej byłoby pozbawić ją szansy odwrotu, czyli zaciągnąć do Barcelony. Tam musiałyby spędzić przynajmniej kilka dni, nawet gdyby tego nic chciała, bo samoloty do Poznania nie latają codziennie. Rzecz w tym, że jeśli kupi jej bilet, przyjaciółka domyśli się, o co chodzi i odmówi. Potrzebny był jakiś fortel. I,

oczywiście, najpierw zgoda, a później współuczestnictwo Paco. Dlatego do niego zadzwoniła. A teraz czekała, co postanowi.

Następnego dnia rano Paco oznajmił, że przyjmuje jej propozycję i że we wszystkim jej pomoże. Ucieszyła się. Powtórzyła raz jeszcze to, co powiedziała mu już wczoraj: że chce jedynie doprowadzić do ich spotkania i więcej wtrącać się nie będzie. Potem zadzwoniła do Ewy, by sprawdzić, w jakim jest nastroju. Była u niej Maria, jej siostra, nie musiała się więc martwić. Nie zaczęła jeszcze zażywać leków na depresję i – jak mówiła – na razie nie będzie tego robić, poczeka, może złe samopoczucie samo minie.

Gośka zaczęła intensywnie myśleć o swojej intrydze. Postanowiła włączyć w nią Artura. Potrzebowała jego chłodnego spojrzenia na całą sprawę, męskiego punktu widzenia. Jedną z zalet Artura była powściągliwość emocjonalna, nawet mecze piłki nożnej oglądał ze stoickim spokojem i bez większych uniesień analizował sytuację na boisku, na pewno więc będzie umiał – mocno w to wierzyła – wychwycić wszystkie słabe strony pomysłu.

Artura poznała w samolocie. Siedzieli obok siebie w drodze do Barcelony. Z właściwym sobie wdziękiem oblała mu spodnie kawą. Nie wyglądało to najlepiej. I nie pomogły chusteczki. Zresztą, miała kłopot z ich użyciem, czerwieniła się ze wstydu. A on tylko się śmiał. I kiedy się okazało, że wracać będą do Poznania tym samym samolotem, obiecał zarezerwować dla niej miejsce obok siebie. Podczas wakacji od czasu do czasu myślała o nim. Ale raczej na zasadzie, czy rzeczywiście jeszcze kiedyś się spotkają. To chyba jednak ta właśnie znajomość uświadomiła jej, że nie chce już wiązać się z żadnym mężczyzną spoza Polski, że ma dosyć Hiszpanów, choć mają wiele zalet i znacznie większy urok osobisty. Dlatego też szybko zakończyła znajomość z José, poznanym po przylocie do Barcelony.

Kiedy w drodze powrotnej zobaczyła Artura na lotnisku, natychmiast do niego podeszła. A on dał jej prezent, zupełnie jakby to było coś oczywistego: szklaną kulę z mozaikowym bykiem w stylu Gaudiego i unoszącymi się nad nim złotymi drobinkami. Stała teraz na parapecie okna w jej sypialni, obok doniczki z lawendą. Rano przeglądało się w niej słońce.

– Rozmawiałam wczoraj z Paco – zaczęła, kiedy Artur pojawił się wieczorem w jej mieszkaniu.
– Z tym macho? – Zdziwił się. – Zadzwonił do ciebie? Czego chciał?
– Ja zadzwoniłam do niego – wyjaśniła. – Zaproponowałam, że pomogę mu spotkać się z Ewą.
– Znowu chcesz się w to mieszać? Z tego, co mówiłaś, facet na nią nie zasługuje.
– Myślę, że powinni dokończyć rozmowę, którą przerwali – oświadczyła.
– I ty jesteś im do tego potrzebna? – Nie bardzo rozumiał jej tok myślenia.
– Znam ją, znam jego – zaczęła tłumaczyć – i wiem, że żadne nic w tym kierunku nie zrobi, choć oboje bardzo by tego chcieli. Ewa nie pozwoli na to ani jemu, ani sobie. Duma, obrażona miłość własna, nazywaj to jak chcesz. W każdym razie – podsumowała – trzeba doprowadzić do ich spotkania. I tyle.

– Ale on ją przecież zdradzał – przypomniał Artur.
– Może to nie do końca odpowiednie słowo – stwierdziła.
– To jakie słowo byłoby odpowiednie? – zapytał zaciekawiony.
– Tam trochę inaczej się do tego podchodzi. Seks nie musi być wyrazem miłości. Jest taką samą przyjemnością jak piwo z przyjaciółmi. Pamiętasz różnicę między *te amo* a *te quiero*? Oba wyrażenia znaczą niby to samo, ale jednak nieco inaczej. – Uśmiechnęła się. – Paco chyba nie przywiązywał wagi do tych zdarzeń, nie sądził, że mogą mieć dla kogoś znaczenie. Poza tym historię z Martą trochę sprowokowała sama Ewa – oświadczyła.

– Żartujesz? – Artur był szczerze zdumiony.

– Nie żartuję – odpowiedziała spokojnie. – Dużo o tym myślałam. On w Barcelonie przez cały czas nie wiedział, czy Ewa traktuje go serio. Przeciągała strunę.

– Ale podobno ją kochał!

– Słuchaj. – Gośka zaczęła się irytować. – Nie ja mam być przekonana, że to były „wypadki przy pracy”, tylko Ewa – ucieła. – I nie ja mam żyć z Paco. Ja wiem tylko, że rozmowa przerwana w pół zdania nikomu nie służy. Buduje tylko legendę o tym, co mogłoby być. Muszą się przekonać, czy chcą być razem, na jakich warunkach, wytłumaczyć sobie żale i albo iść dalej, albo się rozstać. Ostatecznie. W zawieszeniu, tak jak teraz, nie da się żyć.

– Dobra, może i masz rację – zgodził się.

– Musimy znaleźć jakiś sposób, by doprowadzić do ich spotkania – ciągnęła. – Od razu ci mówię, że nie wchodzi w grę zaproszenie Paco do nas. To Ewę trzeba wysłać do niego. Chodzi o taką „sytuację bez wyjścia”. Żeby nie mogła uciec. Przez tę jedną chwilę. I nie wiem, jak to zrobić.

– Pomyślimy nad tym... – zaproponował. – Ale nie dzisiaj, dobrze? Miałem dziś ciężki dzień.

Przygarnął ją i pocałował. Zabrali się za szykowanie kolacji. Chwilę później na stole wylądowała tortilla z ziemniaków i cebuli, najprostsza z możliwych, taka, jaką lubili najbardziej. Otworzyli czerwone wino, niewiele mówili. Potem on poszedł do siebie, a Gośka została z myślami o Ewie i Paco.

Rano obudziła się z gotowym planem. Zakładał on kilka tygodni pracy nad uspianiem czujności Ewy. Żadnych rozmów o Paco, żadnych rozmów o Barcelonie, a nawet i o Hiszpanii jako takiej. Miały wrócić na lekcje flamenco, a Gośka przy okazji zacznie jej opowiadać o projekcie, jaki rozkręca w pracy. Projekcie hiszpańskim, rzecz jasna. Będzie w nim też miejsce dla Artura. Musi go do tego przygotować.

Od tego właśnie zaczęła ich ponowne spotkanie. Jego rola nie była zbyt znacząca: miał po prostu towarzyszyć jej w wyjeździe do Madrytu. Przynajmniej na tym etapie pracy nad pomysłem.

– Dlaczego do Madrytu? – zdziwił się.

– Bo do Madrytu – zachichotała – nie ma bezpośrednich lotów z Poznania. Będziemy musieli lecieć do Girony, stamtąd dostać się do Barcelony, i dopiero z Barcelony do Madrytu.

– I co, w przerwie między jednym a drugim lotem, na lotnisku, wepchniemy ich sobie w ramiona? – zażartował. – W godzinę załatwią to, czego nie zdołali zrobić w ciągu kilku miesięcy?

– Przede wszystkim nie wiem, czy polecisz z nami – zaczęła wyjaśniać. – Tego jeszcze nie przeżyłam do końca. Muszę znaleźć uzasadnienie dla obecności Ewy, a trójka to nie jest dobra liczba na wycieczki. No i, oczywiście, godzina to za mało. Masz jakiś pomysł? – zapytała.

– No tak... – przytaknął. – Od liczby osób ważniejszy jest czas, ta nieszczęsna godzina – stwierdził. – Trzeba by zrobić przerwę w podróży. Jakies spotkanie biznesowe? – zaproponował.

– Albo źle ułożone loty – zamyśliła się. – Muszę sprawdzić tę opcję. Ale na razie lecimy razem. Tylko we dwójkę. Ty i ja. O tym musisz już pamiętać – oświadczyła. – I żeby ci się nic nie wymknęło przy Ewie.

„Czasami tak jest – pomyślała, odprowadzając go wzrokiem po ulicy, kiedy się pożegnali – że nie szukając, znajdujesz najwłaściwszego człowieka, a starając się nie popełnić błędu, wpadasz w kłopoty po uszy”. Nie wierzyła w połówki jabłek czy pomarańczy, jak mówią Hiszpanie, ale była pewna, że Artur to właśnie ten mężczyzna, z którym pójdzie dalej przez życie. Nawet jeśli wcześniejsze doświadczenia kazały jej zachować daleko idącą ostrożność i nie wierzyć w to, że cokolwiek dane jest nam raz na zawsze. Może tym razem pewność wynikała z braku „gry wstępnej”? Tych wszystkich

podchodów, niepewności, jakie zwykle towarzyszą początkom każdego związku? Oni po prostu od razu wiedzieli, że chcą być razem, odkąd spotkali się w samolocie. Przecież inaczej nie kupiłaby mantylki, żeby przyozdobić nią podkoszulek, w którym wybierała się na lotnisko w Barcelonie, a on nie kupiłby szklanej kuli. I teraz byli. Razem. Bez pośpiechu. Poznawali się spokojnie, powoli zbliżali do siebie. Bez strachu, że coś może się nie udać. A gdyby rzeczywiście się nie udało? Chyba umiałyby – jak czasem nad tym się zastanawiała – nie przeklinać za to życia, chyba potrafiłyby się z tym pogodzić, byle tylko wiedziała, że jest szczęśliwy, nawet jeśli bez niej...

Rano zadzwoniła do Ewy. Co parę dni odzywały się do siebie. Właściwie była to ze strony Gośki forma delikatnej kontroli, zwłaszcza odkąd usłyszała o problemie przyjaciółki z depresją. Trudno powiedzieć, gdzie przebiega granica między smutkiem jako zwykłą rozpaczą a stanem chorobowym wymagającym pomocy specjalisty, ale uważała, że lepiej dmuchać na zimne i trzymać rękę na pulsie, niż coś przeoczyć i dopuścić do tragedii, więc dzwoniła, wyciągała ją na spacer lub na kawę w mieście.

– Co tam u ciebie? – zagaiła, gdy Ewa odebrała telefon.

– Właśnie przyjechał Janusz.

– Znowu? – zdziwiła się. – Chce się oświadczyć czy co? – zażartowała.

– Nie. Ciągłe mamy niezalutwioną sprawę kancelarii – wyjaśniła Ewa.

– A ty w ogóle bywasz sama? – dopytywała Gośka. – Ostatnio jak nie twoja siostra, to on. Jakby cię pilnowali.

– Trochę tak to wygląda. – Ewa przyznała jej rację. – Jestem tym już zmęczona – dodała ciszej.

– To może poproś, by dali ci spokój? Albo chociaż urwij się z domu na chwilę? – zaproponowała Gośka. – Pozwolą ci wyjść? Na przykład na kawę ze mną? – zapytała.

– Dzisiaj?

– A kiedy? Pewnie, że dzisiaj! Powiedzmy o szóstej. Na Starym Rynku.

Nie chciało jej się gotować obiadu, przebrała się więc i pojechała do centrum, by coś zjeść jeszcze przed spotkaniem z Ewą. Miała swoje ulubione miejsce przy Fredry, gdzie podawano proste pesto z ziołami oraz oliwą z oliwek. Potem krótki spacer i już ulicą Paderewskiego wkraczała na Stary Rynek. Zawsze spotykały się w tym samym miejscu, przy Ratuszu, od strony koziolków⁴², i wtedy decydowały, dokąd iść dalej.

⁴² Chodzi o koziolki umieszczone na wieży Ratusza, które pojawiają się codziennie w południe nad zegarem, od strony głównego wejścia.

Kawiarniane ogródki nadal były porozstawiane. O tym, że jest już październik przypominały jedynie plody rozłożone na oparciach krzeseł i foteli. Długo nie mogły się zdecydować, które miejsce wybrać; obeszły plac ze trzy razy, nim wreszcie postanowiły odwiedzić „Republikę Róż”, kawiarnię usytuowaną z dala od głównej płyty Rynku, kojarzącą im się z sierpniowymi warsztatami tańca. Kilka stolików ustawiono bezpośrednio na chodniku – tuż obok ludzie parkowali samochody, ale nikomu to nie przeszkadzało. Kiedy podchodziły, jakaś para akurat zwolniła miejsce. Szybko usiadły na jeszcze ciepłych poduszkach, zajrzały do karty dań, znalazły to, co zawsze wybierały latem: ciasto czekoladowe z gorącymi malinami i bitą śmietaną. Wtedy osładzało im prawdziwe i wymagające porażki na zajęciach. Do tego mały koniak i kawa. Ulubiony zestaw z wakacji.

Gośka dyskretnie obserwowała Ewę i uważnie jej słuchała. Chciała się zorientować, jak przyjaciółka przyjęłaby propozycję podróży do Hiszpanii. Jeśli plan miał wypalić, musiała wiedzieć, czy w ogóle warto o nim myśleć.

– To o co chodzi z tymi ciągłymi wizytami? – Gośka wróciła do ich porannej rozmowy, jak tylko kelnerka przyjęła od nich zamówienie.

– Marynia wbiła sobie do głowy, że bez niej sobie nie poradzę – zaczęła tłumaczyć Ewa. – Kiedy byłyśmy dziećmi, opiekowała się mną. Potem straciłyśmy kontakt, trochę przez Jacka, trochę przeze mnie. Byłam zła, że go nie akceptowała, że nie chciała zobaczyć go takim, jakim widziałam go ja. To znaczy, ona widziała go jak należy, to ja idealizowałam – dodała. – Ale czułam się urażona – kontynuowała – a że byłam pyskata, to powiedziałam o kilka słów za dużo i przez parę lat się nie widywałyśmy. Rozmawiać zaczęłyśmy dopiero, jak się u mnie posypało. Wiesz, że Jacek przed śmiercią planował spotkanie z Marią? – zapytała.

– Tak, mówiłaś – potwierdziła.

– No właśnie... Nie wiedziałam – Ewa mówiła dalej – że mieli jakieś wspólne interesy. Ona twierdzi, że tylko robiła wywiad w sprawie jednego faceta, który zgłosił się do Jacka, żeby ten go reprezentował...

– Masz podstawy, by w to wątpić?

– Nie, nie. Skądże! – Ewa gwałtownie zaprzeczyła. – Tylko to dziwne, bo Maria nie cierpiała Jacka. On jej zresztą też. A teraz okazało się, że się jej zwierzał, że u niej nocował... Rozumiesz coś z tego?

– Ale kiedy to właściwie było? – Gośka próbowała to wszystko jakoś poukładać.

– Krótko przed morderstwem – wyjaśniła Ewa.

– Kiedy byłaś w Barcelonie i nikt nie wiedział, czy wrócisz, tak? – doprecyzowała Gośka.

– Ale wtedy miał te swoje Kasie, Basie czy inne Agatki...

– Ale może nie były mu na tyle bliskie, by zwierzać się im z tego, co spędzało mu sen z oczu? – zauważyła.

– Ale Maria?! – Ewa nie mogła przestać się dziwić.

– No dobra, a o czym jej opowiadał?

– Podobno obawiał się, że nie wrócę. – Ewa nagle zaczęła się śmiać. – I chciał naprawić nasze małżeństwo – dodała już spokojniej.

– I o tym, według ciebie, miał rozmawiać ze swoimi panienkami? – Tym razem to Gośka wybuchnęła śmiechem. – Daruj, ale to kompletnie bez sensu!

– Ale co? – Ewa nie dawała za wygraną. – Maria miała zneutralizować jego strach? Wiedział, że nie byłyśmy blisko, nie mogła więc wiedzieć, co chcę zrobić.

– Rodzina to rodzina – podsumowała sentencjonalnie Gośka. – Jak trwoga, to do Boga. Klasyka. I co? Dlatego, że pogadała z Jackiem, teraz cię pilnuje?

– Może przestanie... – Ewa zamilkła na chwilę, nasypała sobie cukru do filiżanki, zamieszała łyżeczką. – Wiesz – ściszyła głos – ona dopiero teraz dowiedziała się o tym, że wcale nie płacze po Jacku, tylko po... Paco. Że szukam wytłumaczenia, dlaczego z nim nie jestem i dlaczego z nim nie będę. – Wypiła łyk zimnej już kawy. – A w końcu zaczęła mnie przekonywać, że jego łóżkowe przygody nie mają znaczenia i nie podchodzą pod paragraf „zdrada”.

– A co ty o tym myślisz?

– Kiedy poprzednio był u mnie Janusz, wylądowaliśmy w łóżku – powiedziała Ewa.

– Jak to? – Gośka nie umiała ukryć zdziwienia.

– Tak wyszło. Zwierzenia przy kolacji, za dużo wina. On kiedyś kochał się we mnie. Na studiach. Mówiłam ci, że byliśmy w jednej paczce. Jacek też do niej należał. Nie wiedziałam, że Janusz coś do mnie czuł, nie zauważyłam tego. Gdyby tydzień temu nie powiedział mi o tym, do dziś nic bym nie wiedziała.

– Ale co? Nadal cię kocha? – Gośka czuła się zdezorientowana.

– Chyba tak. A może już nie? – Ewa sama nie była pewna. – Może po tamtej nocy mu przeszło?

– Było aż tak źle?

– Wręcz przeciwnie, było cudownie – uśmiechnęła się.

– To już nic nie rozumiem. – Gośka bezradnie rozłożyła ręce.

– Wiesz, może mogłabym się w nim zakochać, gdybym nie spotkała wcześniej Paco – Ewa wyznała. – Jest delikatny, czuły, opiekuńczy, dobry. Byłby wspaniałym ojczymem dla dziewczynek, świetnie się dogadują...

– Ale...? – przerwała jej.

– Za bardzo przypomina Paco – stwierdziła ze smutkiem Ewa. – Tylko że nim nie jest – dodała po chwili.

– Przecież Paco już skreśliłaś! – Gośka jej przypominała. – Jego już nie ma w twoim życiu.

– Ale to nie znaczy, że zapomniałam i że przestałam go kochać.

– No dobrze, nie odpowiedziałas mi jednak na pytanie, czy nadal uważasz, że Paco cię zdradził...

– wróciła do tego, co najbardziej ją interesowało.

– Właśnie do tego zmierzam – zaczęła tłumaczyć Ewa. – Gdybym nie poszła z Januszem do łóżka, pewnie nadal myślałabym, że Paco mnie zdradził, ale teraz... Teraz już sama nie wiem – przyznała. – Być może moja siostra miała rację, sugerując, że coś sobie wmawiam i że wyolbrzymiam to, co ma tak naprawdę niewielkie znaczenie. Bo jeśli Ania i Marta były zdradami, to ja także zdradziłam. Jesteśmy więc kwita.

– Czy to znaczy – Gośka chciała się upewnić – że byś mu wybaczyła?

– Tego nie wiem – wyznała. – Ciągle nie wiem... Ale to nie ma już znaczenia. On tam, ja tutaj.

Nie zostawię dziewczynek samych, żeby do niego polecieć.

– A nie chciałabyś dokończyć tamtej przerwanej rozmowy? – dopytywała Gośka.

– Nie – stanowczo stwierdziła. – Ta rozmowa nie jest mi już potrzebna. Przekonałam się, jak łatwo znaleźć się w pozycji horyzontalnej, i że to nie musi zmieniać naszych uczuć. Przespałam się z Januszem, bo tak potoczył się wieczór, ale nadal Kocham Paco. Tak samo z poprzednimi. Trzeba o tym zapomnieć. Jeśli rozmawiać, to o zasadach, jakie miałyby obowiązywać w naszym związku. Ważne jest „teraz”. I ewentualnie to, co później. A nie to, co było... Wybaczyć i zapomnieć. Albo dać sobie spokój.

– To dlaczego mu o tym nie powiesz? Nie napiszesz?

– Nie wiem – przyznała Ewa. – Nie potrafię. Jakaś bariera. W sumie to nawet nie wiem, czy jemu jeszcze na tym zależy. Pisze maile o wszystkim. Że się przeprowadził, że koncertuje, że ma nowe klasy w szkole, ale słowem nie wspomina o nas – stwierdziła. – Pyta, jak się czuję, jak żyję, ale to takie... kurtuazyjne. Chyba zależy mu wyłącznie na przyjaźni, a ja nie wiem, czy tego chcę. Za wcześniej.

– A gdybyś zaprosiła go do siebie? – Gośka drażyła temat.

– Jako kogo? – Ewa się zdziwiła.

– Może sytuacja sprzyjałaby wyjaśnieniu tego wszystkiego? – Gośka udawała, że nie usłyszała pytania przyjaciółki.

– Gosiu, ale jak niby miałyby wyglądać to zaproszenie? Przyjedź, pokażę ci Poznań? – Ewa zaczęła drwić. – Może poznasz jakąś fajną dziewczynę? Powspominamy nasze dni w Barcelonie? Nie no, proszę cię – uśmiechnęła się – daj spokój! Jeśli mamy się jeszcze spotkać, to się spotkamy – oświadczyła z przekonaniem.

– Ale jeśli nadal nie będziesz odpowiadać na jego maile – zauważyła Gośka – to do takiego spo-

tkania może nigdy nie dojść.

– Jak zacznę odpowiadać, to zostaniemy kumplami, którzy opowiadają sobie o duperelach. Mnie na takiej relacji nie zależy. Chcę wszystko albo nic – oświadczyła niespodziewanie.

– A wiesz co? – Po chwili milczenia Gośka zmieniła temat. – Szykuje mi się roboczy wyjazd do Hiszpanii.

– Tak? Kiedy? Dokąd? Jak? – Ewa zareagowała entuzjastycznie.

– Jeszcze nie wiem kiedy. Przygotowania trochę potrważą, poza tym chcę, żeby Artur ze mną poleciał. Madryt. Tym razem Madryt. Cieszę się. Dawno tam nie byłam...

– Cudnie! Tego ci zazdroszczę w twojej pracy. Możesz jeździć po świecie. Nie to, co ja. Papiery, papiery, papiery. Wcale mi się nie spieszy z powrotem do firmy! Pozdrów ode mnie Artura. – Ewa nerwowo zerknęła na zegarek. – Przepraszam cię, ale muszę lecieć. Obiecałam być na kolacji, już jestem spóźniona. Dziewczynki szykują coś razem z Januszem.

– Z Januszem? No tak, zapomniałam, że znowu u ciebie jest. – Gośka się uśmiechnęła. – Na jak długo przyjechał tym razem?

– Na krótko. Jutro idziemy zobaczyć, jak duży remont trzeba przeprowadzić w kancelarii. Postanowiłam oddać ją komuś we władanie. Janusz ma znaleźć jakiegoś młodego prawnika – wyjaśniła Ewa.

– Pozbywasz się kancelarii?

– Nie, formalnie nadal będzie moja, ale nie chcę się nią zajmować.

Kiedy Ewa wyszła z kawiarni, Gośka zadzwoniła do Artura. Nie odbierał, zamówiła więc jeszcze jeden koniak. Musiała ochłonąć po rewelacjach, które dziś usłyszała. Myślała, że trzeba będzie wymyślać nie wiadomo jakie fortele, niemal siłą doprowadzić do spotkania Ewy z Paco, a okazuje się, że wystarczy podnieść belkę, jaką rzucili sobie pod nogi, by wszystko znów zadziało. Byle nie przedłużać w nieskończoność tego stanu zawieszenia. Jeszcze raz wybrała numer Artura.

– Słuchaj, wszystko jest prostsze, niż myśleliśmy – oświadczyła z radością. – Przynajmniej tak to dzisiaj wygląda. Powiedziałam Ewie, że wybieramy się do Madrytu. I tego się na razie trzymamy. Resztę opowiem ci później.

Rozdział VI

EWA

Wielkie drzwi otworzyły się z jękiem. Od razu uderzyło ją ciężkie powietrze. Zaduch. Mieszanka dymu z papierosów, starych papierów, dawno nieczyszczonych dywanów. Meble przykrył kurz. Od dawna nikt nie otwierał tutaj okien ani niczego nie sprzątał. Miało się wrażenie, jakby czas zamarł, zawiesił się wraz ze wskazówkami zegara na czwartej czterdzieści osiem.

„Ciekawe, kiedy to się stało? – pomyślała, przyglądając się nieruchomej tarczy cyferblatu. – Dziś, wczoraj, a może miesiąc temu?”. Rozejrzała się wokół, wzdrygnęła się.

– Jak tu ponuro. Trupio. Trzeba wszystko zmienić – odezwała się po chwili do Janusza, ciągle jeszcze stojącego w progu. – Te wylęgarnie roztoczy musimy wyrzucić. – Wskazała na dywan i zasłony. – Co za miejsce! Człowiek ma ochotę się powiesić. Jak on mógł tu pracować? – Otworzyła drzwi na taras i wróciła na środek gabinetu. – Czy tobie podobają się te meble? – Znow zwróciła się do Janusza, który nadal nie ruszał się z miejsca. – Generalny remont, nie ma innego wyjścia! – stwierdziła. – Chodź, musimy kupić kartony. Rano wszystko popakuję i umówię ekipę. – Podeszła do okien, by je zamknąć. – Dobrze, że chociaż ogrodnik przychodzi regularnie...

Janusz się nie odzywał. Wodził za nią oczyma i cieszył się, że nareszcie podjęła decyzję co do przyszłości kancelarii, że rozpiera ją energia, że nie ma śladu po załamaniu, którego świadkiem był kilka dni wcześniej. Wiedział, że nie zaczęła brać zapisanych leków i nie namawiał jej do tego; jeśli mogła sama dać sobie z tym radę, to dobrze. Starał się nie ingerować, pomagał tak, jak się umówili. A umówili się tylko na to, że znajdzie kogoś do poprowadzenia kancelarii.

Ewa działała szybko. Wizyta zajęła im nie więcej niż kwadrans. Prosto z biura pojechali do sklepu, a po kolejnych kilkunastu minutach pakowali już do bagażnika stertę pudeł i folię do przykrycia podłogi. Kiedy wrócili do domu, zajął się szukaniem współnika. Jeden telefon do znajomego, drugi, trzeci, w końcu miał kilku kandydatów umówionych na następny dzień.

Rano zostawił ją samą w kancelarii. Nie chciał przeszkadzać. Zastanawiał się, czy będzie mechanicznie wrzucać do kartonów wszystkie książki i segregatory, czy może zacznie je jednak przeglądać. Z własnego doświadczenia wiedział, jak trudno jest oddzielić sprawy służbowe od prywatnych, i że czasami w biurku lub na półkach zostawia się rzeczy zupełnie niezwiązane z pracą. Nie chciał być świadkiem ewentualnych niespodzianek.

Ewa, kiedy zamknęła za sobą drzwi, najpierw zaparzyła sobie kawę i z filiżanką wyszła na taras. Lubiła to miejsce. Kancelaria Jacka mieściła się na parterze przedwojennej willi, schody z gabinetu prowadziły do niewielkiego ogrodu; rosnące tu stare drzewa skutecznie zatrzymywały nadmiar słońca, dzięki czemu nawet największy upał wydawał się całkiem znośny. Teraz też gorące promienie ledwo przedzierały się przez wciąż gęste listowie, panował tu więc przyjemny chłód. Trawa była

świeżo przycięta, ciągle intensywnie zielona. Na rabacie astry, nawłocie i inne rośliny tworzyły kolorowe plamy. Dawniej jesienią ścinała niektóre z tutejszych kwiatów na suche bukiety, ale to było zanim podjęli decyzję o separacji. Potem przestała tutaj przychodzić, co oczywiste.

Z niechęcią podniosła się z ogrodowego fotela po wypiciu kawy i wróciła do gabinetu. Ścianę naprzeciw tarasu niemal w całości zakrywały półki z książkami, nie tylko prawniczymi. Sporo było tu literackiej klasyki, słowników i atlasów, Encyklopedia Britanniki w polskim wydaniu, trochę nowych, modnych autorów. Klasyka na wyeksponowanym miejscu, w seriach kolekcjonerskich oprawionych w półskórki, ze złożonymi napisami. Brązowa, wiśniowa, granatowa, zielona – wszystkie równiutko poustawiane, grzbiet przy grzbiecie, jak od linijki.

„Ciekawe, czy w ogóle to czytał? – pomyślała, odkładając pierwsze tomy do pudła. – Pewnie bał się brać je do ręki, żeby nie pobrudzić. – Zaczęła się śmiać. – Może w środku są jeszcze nieporozumiane strony? – ciągnęła złośliwie. – Tyle pieniędzy utopionych tylko po to, by wydawać się lepszym! Zawsze był snobem!

Szybko zapełniała kolejne kartony, odsuwała je na bok i sięgała po następne. Zdziwiło ją, bo kilka półek, mocno wystających poza front biblioteczki, o których dotąd myślała, że są specjalnie zaprojektowane na podwójne szeregi książek, okazało się węższymi od pozostałych. Ta osobliwość konstrukcyjna nie dość, że nie była funkcjonalna, to jeszcze wcale nie dodawała meblowi urody. Ponownie źle pomyślała o Jacku i jego guście.

Po literaturze przyszedł czas na segregatory. W pierwszym odruchu miała ochotę przejrzeć zgromadzone w nich papiery, sprawdzić, czy wiedziała o wszystkich sprawach, które Jacek prowadził, i nawet zaczęła to robić, ale po kilku stronach dała sobie spokój. Bo co niby dałaby jej teraz ta wiedza? Co najwyżej więcej zszarganych nerwów, gdyby się okazało, że ostatnia historia – ta tuż przed morderstwem, kiedy Maria robiła dla niego wywiad w sprawie Fripa, biznesmena o podejrzanych interesach – nie była wcale jedyną tego typu. Nie, zdecydowanie nie chciałaby się o tym teraz dowiedzieć... Nieco uciekając przed własną ciekawością, czym prędzej zamykała w kartonach sprawy kancelarii. Niech przegląda je sobie przyszły współnik, jeśli uzna to za konieczne – zadecydowała. Ona na pewno nie będzie się już do tego mieszać.

Wszystko zdejmowała pionami, w kolejności łatwej do ewentualnego odtworzenia. Jeden słupek literatury pięknej, drugi, potem dokumenty prawnicze i tak dalej. Właśnie sięgnęła po kolejne powieści, stojące na denerwującej ją, wysuniętej półce. Były mocno upchane, niemal zakleszczone. Musiała użyć siły, by wyciągnąć pierwszy tom. Mocując się z nim, zauważyła, że deska, na której stał, lekko przesuwają się w lewą stronę. Jakby była na szynach. Popchnęła bardziej zdecydowanie – półka odjechała w bok i odsłoniła wmurowany w ścianę sejf. Jak na filmach kryminalnych. Przez chwilę stała oniemiała z wrażenia, przyglądając się swojemu znalezisku i nie całkiem wierząc w to, co widzi. W końcu pociągnęła za uchwyt. Drzwiczki ani drgnęły. Nie wiedziała, co dalej robić.

Zadzwoiła do Janusza, ale nie odbierał. Wróciła więc do pakowania książek, ani przez chwilę nie przestając myśleć o dokonanym odkryciu. Nieuważnie wrzucała kolejne tomy do pudeł. Co parę minut wybierała numer Janusza. Wreszcie się odezwał. Niewiele tłumacząc, poprosiła, by przyjechał jak najszybciej. Godzinę później stał obok niej przed sejfem i podobnie jak ona nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Nie umiał odpowiedzieć na pytanie, co też Jacek mógł przechowywać w środku.

Spróbowali kilku kombinacji numerów, ale żadna nie otwierała zamka. Przejrzeli szuflady biurka, mając nadzieję, że może gdzieś, na jakiejś kartce, zapisał szyfr, niczego jednak nie znaleźli. Komputer zabezpieczało hasło; mogliby wprawdzie wezwać znajomego informatyka, ale przejrzanie plików i tak zajęłoby pewnie dwa, trzy dni, wykluczili więc to rozwiązanie. W końcu, nie mając

innych pomysłów, wpisali na jej smartfonie w przeglądarkę internetową hasło „otwieranie sejfów” i znaleźli pogotowie zamkowe. Mężczyzna, który przyjął zgłoszenie, obiecał pojawić się nazajutrz rano. Postanowili przygotowania do remontu dokończyć dopiero po jego wizycie. Sejf, na wszelki wypadek, zasłonili półką.

Tej nocy prawie nie spała. Czuła się tak, jakby niespodziewanie wylądowała na planie jakiegoś filmu. Sejf, Frip i morderstwo połączyły się w jedną historię; wyobraźnia budowała coraz bardziej nieprawdopodobne sceny, w których pojawiały się gangi, mafiozi, nielegalny handel, pościgi, strzelaniny. Chyba wszystkie filmy kryminalne, jakie w życiu widziała, i wszystkie przeczytane książki złożyły się na ten jeden scenariusz.

Rano odwiozła córki do szkoły i wróciła do kancelarii. Nie wzięła ze sobą Janusza, chciała być sama przy otwieraniu schowka. Czekając na umówioną wizytę, przesuwiała meble, zakrywała je folią malarzką, zwijała dywany, składała zasłony. Kiedy spec od sejfów się pojawił, całą uwagę skoncentrowała na nim. Szybko uporał się z zabezpieczeniami, zamek rozwalił z wielką wprawą. Zrobił swoje i poszedł. Denerwowała się. Przez jakiś czas przyglądała się otwartym drzwiczkom. Dokładnie, szczególnie, jakby były dziełem sztuki, albo jakimś cudem techniki. W końcu sięgnęła do środka. Wyjęła grubą kopertę z pieniędzmi, dysk zewnętrzny do komputera i czarne, aksamitne pudełeczko. W środku był pierścionek z białego złota ze sporym brylantem. Wzięła go do ręki, zaczęła uważnie oglądać. Klasyczny Tiffany, z wysoko ustawionym kamieniem ujętym w cztery łapki. Zaręczynowy. Nigdy takiego nie dostała. W środku obrączki wygrawerowane było jej imię i symbol serca. Ciężko opadła na fotel, ciągle trzymając pierścionek w dłoni. Przymierzyła. Pasował idealnie, więc chyba był dla niej. Nic z tego nie rozumiała. Po dłuższej chwili zadzwoniła do Janusza. Tak się właśnie umawiali – że wezwie go po wizycie eksperta od zamków. Kiedy się zjawił, pokazała mu pierścionek.

– Potrafisz to wytłumaczyć? – Zapytała.

– Mówiłem ci, że chciał do ciebie wrócić. Wiedziałem, że ma dla ciebie pierścionek – odparł. – Jakiś czas temu zauważyłem na twoim palcu brylant, myślałem, że to od niego.

– Nie. – Speszyła się. – To długa historia. Nie na teraz – uznała.

– W takim razie... nie zdążył ci go dać. – Wzruszył ramionami.

– Ale ja tego nie rozumiem – powtórzyła. – Tyle podłych słów, tyle obojętności, tyle zdrad i na koniec pierścionek z sercem w środku?

– Ewo, nie jestem psychologiem, nie wiem, co siedziało w jego głowie – zaczął tłumaczyć – ale może robił to wszystko... na złość tobie? Może w ten sposób chciał zwrócić twoją uwagę? Nie wiem... Nie obserwowałem waszego życia... Wiesz, że był zazdrosny o twoje flamenco? – zapytał.

– Nie cierpiał go! – stwierdziła z mocą.

– Tak jak nie cierpi się konkurenta. Tak myślę.

– Nigdy nie przyszedł zobaczyć, jak tańczę – obstawała przy swoim.

– Trochę go rozumiem. Flamenco to emocje. Kto wie, co zobaczyłby w twoich oczach? Może wtedy poczułby się zdradzony? Ale tego się już nie dowiemy. Wracajmy do domu – zaproponował.

Zajrzała jeszcze raz do sejfu, by sprawdzić, czy wszystko wyjęła. Schowała do torby kopertę, dysk i pudełko z pierścieniem, Janusz zabrał komputer z biurka. Następnego dnia mieli pojawić się malarze. Wszystko było już ustalone, znaleźli nawet chętnych na meble z gabinetu. Nie mieli tu już nic do roboty.

Wieczorem, kiedy dzieci poszły spać, a Janusz pojechał na kolejne spotkanie z kandydatem

na współnika, usiadła w salonie i sięgnęła do torby. Przeliczyła gotówkę – kwota była całkiem spora. Jeszcze raz sprawdziła, czy w kopercie nie ma jakiejś kartki z informacją, od kogo te pieniądze, albo chociaż na co są przeznaczone. Niczego nie znalazła. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że śmierć Jacka niekoniecznie była przypadkowa, jak uznano w trakcie śledztwa. Trochę bała się podłączyć dysk do swojego laptopa; skoro zamykał go w sejfie, musiał zawierać jakieś bardzo cenne informacje. Może właśnie o szemranych interesach? Czy chciała o nich wiedzieć? Dzisiaj? Teraz? Nie mogła się zdecydować. Sprawdziła tylko, czy wszystko działa. Informacji na dysku było sporo. „Jeśli mam je przeglądać – pomyślała – to ze spokojną głową”. Sięgnęła po pudełeczko. Otworzyła je i postawiła na oparciu fotela. Brylant zaśnił w świetle lampy.

„Co ja mam z tym teraz zrobić? – Zamyśliła się. – Tyle złego, tyle łez, by na koniec dostać taki prezent! Zazdrosny o flamenco? – przypomniała sobie słowa Janusza. – O muzykę? Jakiś absurd. Zresztą, tyle razy zapraszałam go na koncerty, tyle razy proponowałam, by uczestniczył w tym razem ze mną. Nie chciał! Nawet nie próbował. I zawsze umniejszał to, co robię. – Wzbierała w niej gorycz. – A powinien chociaż tyle zauważyć, że dzięki flamenco stałam się spokojniejsza, że przestałam się o wszystko wściekać... Gdzie popełniłam błąd? – rozmyślała. – Kiedy to wszystko się rozjechało? Początek był taki sobie – przyznała – ale potem? Potem, byłam pewna, kochał mnie! Za dużo pracy – skwitowała. – Tak, otwarcie kancelarii było początkiem końca, wtedy przestaliśmy się o siebie starać. Za dużo pracy – powtórzyła ze smutkiem. – A życia nie można odkładać na później... To nie książka.

Usłyszała parkujący na podjeździe samochód. Szybko schowała wszystko z powrotem do torby, wyszła do przedpokoju, by otworzyć drzwi. Janusz wracał zadowolony. Już od progu oświadczył, że znalazł młodego, zdolnego prawnika, który chętnie podejmie pracę w kancelarii na warunkach, jakie zaproponowali.

– Cieszę się, że tak szybko poszło – powiedział, kiedy z kieliszkami wina usiedli na tarasie, by uczcić ten sukces. – To dobra wróżba i dla mnie.

– Tak? – zainteresowała się Ewa.

– Tak – potwierdził radośnie. – Może i mnie poszczęści się tak jak tobie. – Nie spieszył się z wyjaśnieniami.

– To znaczy? – dopytywała.

– Wiesz... – Uśmiechnął się szeroko – zgłosiłem swoją posiadłość do agencji nieruchomości. Chcę ją sprzedać lub zamienić.

– Co?! – zdziwiła się. – Jak to?! Spędziłeś tam całe życie. Kochasz to miejsce!

– Tak, kocham – przyznał. – Ale ostatnio uświadomiłem sobie, że jeśli coś mi się stanie, to nikt mi nie pomoże. Jestem tam sam jak palec.

– Coś ci dolega? – zaniepokoiła się.

– Na razie nic. – Uśmiechnął się. – Ale przecież wiesz, że żeby coś się stało, nie trzeba być chorym. Nie jesteśmy coraz młodszy, niestety.

– Ale przecież masz dopiero czterdzieści lat! – Nie docierało do niej to, co mówi. – Kto w takim wieku myśli o śmierci?

– Nikt, masz rację – potwierdził. – Jacek też miał czterdzieści lat... No dobra, to inna historia – zmitygował się. – Zresztą, nie o śmierć chodzi, bo jak przyjdzie, to co mnie wtedy będzie obchodziło? – wyjaśnił. – Ale jeśli się rozchoruję? I to tak, że nie będę mógł ruszyć ani ręką, ani nogą? Nawet sięgnąć po telefon? Co wtedy? Mogę liczyć tylko na sąsiada. Tyle że on nie zagląda do mnie codziennie. I też nie jest najmłodszy. Pies z kulawą nogą się mną nie interesuje – oświadczył. – Taka prawda. Umrę z głodu i pragnienia.

– I co zamierzasz?

– Przenieść się do miasta.

– Do Poznania? – Poczowała się niepewnie.

– Nie, bez obaw – uspokoił ją. – Choć przyznaję, że przez moment myślałem o tym. – Spojrzał na nią rozbawiony. – Nie, chcę zamieszkać w moim miasteczku – wyjaśnił. – Tu musiałbym wszystko zaczynać od nowa. Chyba by mi się nie chciało. A tam... Tam wszystko mam na miejscu. Wiedziałem już coś dla siebie. Dlatego nie przyjechałem w poniedziałek, jak obiecałem. Teraz najważniejsze, by szybko znalazł się kupiec na tę moją chałupę...

– Duże to coś? – zapytała, nadal niedowierzając.

– Dwa pokoje. Salon i sypialnia. W sam raz dla mnie jednego.

– A jak będziesz chciał się z kimś związać, ożenić? Jesteś jeszcze młody...

– Jakoś w miłości kiepsko mi idzie – przyznał z uśmiechem. – Kiedyś szukałem, próbowałem – dodał poważnie. – Ale nie udało się. Może mam za duże wymagania? – Zamyślił się na chwilę. – Nie wiem... Wiem tylko, że nie warto być z kimś za wszelką cenę. Na siłę nic nie wyjdzie. Dwa pokoje wystarczą – stwierdził.

– Nie żal ci będzie jeziora? – Ciągle powątpiewała w usłyszane rewelacje.

– Basen jest bezpieczniejszy – zaśmiał się.

– Ale dwa pokoje? Ciasno... – analizowała.

– Mniej sprzątanina i wreszcie powód, by pozbyć się szpargałów, których przez lata nazbierało się tyle, że w domu brakuje już na nie miejsca – oświadczył. – Tak to jest, coś za coś. Ewuniu, daj już spokój – poprosił. – Decyzja podjęta.

– No tak, a ty decyzji nie zmieniasz... – podsumowała.

– Czasami zmieniam – zaprzeczył. – Kiedy ktoś umie mnie przekonać. Albo kiedy nie mam racji. Ale to żaden z tych przypadków. – Uśmiechnął się i wstał ze swojego miejsca. – Nie wiem jak ty, ale ja padam z nóg. Idę spać.

Ewa też się podniosła. Odnieśli kieliszki do kuchni i rozeszli się do swoich sypialni. Nie chciało jej się kłaść, ale sama siedzieć na dole też nie miała ochoty. Otworzyła szeroko okno w pokoju, chwilę w nim stała, wsłuchując się w ciszę ogrodu. Na niebie widać było wszystkie gwiazdy. Przyglądała się im z uśmiechem, szukając wzrokiem jakiejś spadającej. Miała przygotowane życzenie do szybkiego wypowiedzenia, ale wszystkie gwiazdy mocno trzymały się swoich miejsc.

„Ma rację – pomyślała, idąc do łazienki. – Nic na siłę. Życie w pojedynkę też ma sens. I jest możliwe, jak się okazuje. Chociaż wymaga odwagi. Tak, odwagi...”

Następnego dnia wpuściła do kancelarii ludzi z ekipy remontowej. Nie widziała się z nimi wcześniej, nie było takiej potrzeby, bo polecała ich dobra znajoma. I faktycznie, tak jak twierdziła, pierwsze wrażenie robili bardzo korzystne. Młodzi ludzie o mądrych oczach, rozumiejący, co się do nich mówi. Szybko opowiedziała o swoich oczekiwaniach, odpowiedziała na pytania, zaakceptowała odcień farby i spokojnie pojechała wybrać nowe meble do gabinetu. Zajęło jej to całe przedpołudnie.

Lubiła urządzać wnętrza, a zbyt często nie miała po temu okazji. Dom był już skończony, pozostawały tylko jakieś drobiazgi. Po niedawnym złym samopoczuciu nie było śladu, dobra forma się utrzymywała. Czy to rozmowa z Marią tak na nią podziałała, czy może wizyta u lekarza i świadomość posiadania „koła ratunkowego” w apteczce, czy po prostu trzeba było czasu, by wszystko się uspokoiło i akurat teraz nastąpił ten moment? Nie zastanawiała się nad tym za bardzo, liczył się efekt. A efekt był taki, że znowu żyła i działała. Miała też coraz większą ochotę wrócić do tańca,

do swojego flamenco. Zrozumiała, że tylko temu ma ochotę poświęcać swój czas. I dzieciom, oczywiście. Uznała, że wtedy na pewno byłaby szczęśliwa. Ta myśl nieco ją zaskoczyła. Była jednocześnie odkrywca i oczywista. Przyszła nagle. W drodze ze sklepu do kancelarii.

„Kancelaria, jeśli wszystko dobrze pójdzie, da nam zabezpieczenie finansowe – zaczęła się poważnie zastanawiać – może więc powinnam dać sobie spokój z robotą, której nigdy nie lubiłam, i rzeczywiście zając się tańcem? Flamenco? Tango? Chciałam się go nauczyć – przypomniała sobie. – A może flamenco-terapia? – przyszło jej na myśl. – Te zajęcia, które widziałam w Barcelonie, były absolutnie fascynujące! I tak pomocne dla kobiet. Kto wie? Może to jest droga dla mnie? Skoro wszystko jest po coś, to może moje flamenco jest właśnie po to? Bo przecież tancerką nie będę...”.

Znalazła wolne miejsce do zaparkowania przed willą i zatrzymała samochód. Z bagażnika wyciągnęła siatki pełne drobiazgów, które miały zmienić charakter gabinetu. Meble obiecano dostarczyć nazajutrz. Otworzyła drzwi kancelarii – ekipa sprawnie działała. Stara farba była już zeszkrobana, pozakładano nowe gniazdko, wygładzono ściany. Wiele wskazywało na to, że ze wszystkim uporają się do wieczora. Przygotowała kawę, ułożyła na talerzu jeszcze ciepłe drożdżówki, które kupiła po drodze; zaproponowała chwilę przerwy, porozmawiali o tym i o owym. Remonty nie były szczytem ich marzeń; dwóch skończyło studia licencjackie, trzeci szkołę pomaturalną, ale okazało się, że w swoich zawodach pracy nie mogą znaleźć, a jeśli już się zdarzyła, to nie za pieniądze, za które dałoby się normalnie żyć. Znali się od dawna, przyjaźnili, postanowili więc działać razem. Ich dewizą było: „Pracować szybko, dobrze i czysto”. Żeby nikt nie musiał po nich ani poprawiać, ani sprzątać. I faktycznie tak było – wszystko zabezpieczone przed pochłapaniem, nigdzie plam rozlanej farby czy gipsu. Dopili kawę, uzgodnili sposób rozliczenia i pojechała do domu. Jej obecność była całkowicie zbędna.

Dziewczynki jeszcze nie wróciły ze szkoły, Janusza też nie było. Pomysł z tańcem nie chciał dać o sobie zapomnieć. Zadzwoiła do Gośki.

– Gosiu? – zaczęła. – A nie myślałaś, żeby wrócić na flamenco?

– A co ci się przypomniało?

– A, zateśkniło się. – Zaśmiała się. – Wracamy?

– No pewnie! – Gośka szczerze się ucieszyła. – Sprawdziłaś rozkład zajęć?

– Nie, jeszcze nie. Najpierw chciałam się upewnić, czy to cię w ogóle interesuje. Wieczorem zadzwonię i wszystko obgadamy – zaproponowała.

– Lepiej jutro – poprosiła przyjaciółka. – Dziś wychodzimy z Arturem.

– Dokąd?

– Potańczyć. Nasza miesięcznica.

– Która? Trzecia?

– Tak – potwierdziła.

– To całuję was mocno. Szczęściarze.

Sięgnęła po laptopa. W zakładkach wyszukała szkołę tańca i otworzyła grafik zajęć. Decyzję podjęła od razu: *farruca*⁴³. Rytm prosty, taniec dostojny, nieco sztywny. Gdzieś w jego tle zawsze pojawia się opowieść o *corridzie* – nie jako o cierpieniu zwierząt i ludzkim okrucieństwie, ale jako metafora walki na śmierć i życie. Ruchy pełne gracji, wystudiowane. Każde wspięcie na palce i podniesienie ramion dokładnie przemyślane, w określonym tempie, w wielkim napięciu. Miała na to ochotę. Bo w wersji damskiej zawsze był to taniec silnych kobiet – a przynajmniej ona tak *farrucę* interpretowała. Kobiet, które walczą o siebie i swoje marzenia.

⁴³ *Farruca* – jeden ze stylów we flamenco; nazwa pochodzi od słowa „farruco” – tak Andaluzyjczycy nazywali mieszkańców Galicji. Za twórcę uważa się Francisca Mendozę Riosa, zwanego Faico. Typowo męski taniec, w rytmie na cztery. Kobiety tańczą najczęściej ubrane w spodnie.

Włączyła YouTube, wpisała „farruca” – pojawiło się mnóstwo zapisów. Zaczęła je przeglądać, klikać na nazwiska, które coś jej mówiły. Mercedes Ruiz, Sara Baras, Manolete, Antonio Gades, Concha Jareño... Na pasku wypowiedzi automatycznie odsłaniały się coraz to nowe filmy. Nagle zauważyła nazwisko Paco... Paco Bateo Pérez. Spojrzała na datę: nagranie sprzed kilku dni, a więc z nowego programu. Otworzyła. *Farruca* tańczona przez Paco...

Po plecach przeszły jej dreszcze, oddech stał się płytki. Patrzyła na zapis jak zahipnotyzowana. Po każdej serii stepów musiał czekać, aż uspokoją się oklaski. Jego *farruca* była magiczna. Precyzyjna i klarowna. Opowiadała historię kogoś, kto się nie poddał, kto walczy do końca. Czula jego ból i wolę zwycięstwa. Wiedziała, że wygra. Po ostatnim akordzie zastygł z wysoko uniesioną głową, spokojny, niepokonany, dumny.

– Paco, Paco... – zaczęła powtarzać w kółko. – Paco... Jak ja za tobą tęsknię, jak bardzo! Jeśli to prawda – pomyślała o filmie – to płacimy straszną cenę za te twoje błędy...–

Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Szybko wstała od stołu i podeszła do okna, próbując je powstrzymać. Musiała zająć czymś myśli, czymkolwiek, byle uciec od Paco. Popatrzyła na drzewa w ogrodzie, podniosła wzrok ponad ich korony. Niebo poraziło ją swoją jasnością. Jakby lato ciągle nie chciało ustąpić miejsca jesieni. Otworzyła drzwi na taras, usiadła na schodach wiodących do ogrodu. Często tak robiła. Lubiła przyglądać się stąd trawie, nieustannie zabieganym mrówkom, nerwowym i pozornie niezorganizowanym. Za każdym razem pytała wtedy siebie, dokąd ona sama tak pędzi i po co. Kiedy tak zastygała na schodach tarasu, zapominała niemal o wszystkim, miała nadzieję, że czas ją przez chwilę omija.

Właśnie tam zastał ją Janusz, kiedy wrócił do domu z dziećmi. Spojrzał na jej twarz, a przekonawszy się, że nie dzieje się nic złego, dał znać dziewczynkom, by nie przeszkadzały mamie, i sam też wycofał się do kuchni. Zawołał ją, kiedy obiad był już na stole.

– Po tej podróży chyba jesteś głodna? – zażartował, gdy zajęła swoje miejsce.

– Po jakiej podróży? – Nie zrozumiała.

– Uciekaś myślami gdzieś daleko. Nawet nie zauważyłaś, że wróciliśmy. – Uśmiechnął się do niej.

– Ach – westchnęła. – Oglądałam flamenco i strasznie zatęskniłam. Muszę wrócić do szkoły.

– To świetnie – stwierdził. – A wiesz, dzwoniли dziś z agencji nieruchomości – pochwalił się. – Jest chętny na tę moją pustelnię. Jutro ma się pojawić.

– Gratuluję! – Szczerze się ucieszyła. – Czyli jutro nas opuszczasz? – wydedukowała.

– Dzisiaj – oświadczył. – Jak tylko się spakuję. Dasz sobie radę beze mnie? – zapytał. – Maciej załatwiony. W przyszłym tygodniu ma się z tobą skontaktować. Tu jest jego numer, na wszelki wypadek. – Wyjął kartkę z kieszeni spodni i jej podał. – Maciej Guziewski. Tak się nazywa. Wygląda na takiego, i taką ma opinię, co wszystko zawsze ma pozapinane na ostatni guzik, zgodnie z nazwiskiem – zażartował. – Jeśli ci się nie spodoba – dodał – będziemy szukać dalej.

– Szkoda, że wyjeżdżasz – wyznała. – Przyzwyczaiłyśmy się do ciebie. Może jednak zostaniesz? – Puściła do niego oko.

– Bardzo was lubię, i chętnie znowu odwiedzę, ale chyba muszę na razie odpocząć od życia rodzinnego – przyznał szczerze. – Co za dużo, to niezdrowo...

Godzinę później już go nie było. Ola i Ania posmutniały, jej samej też zrobiło się jakoś ciężko na duszy. Janusz, co by o nim nie mówić, wprowadzał w domu pewien ład. I dobry nastrój. Dzięki niemu wszyscy czuli się „zaopiekowani”. Dla każdego miał dobre słowo, zawsze mnóstwo pomysłów na neutralizowanie humorków i energię, która je też pobudzała do życia.

Ewa czuła wobec niego wyrzuty sumienia. Nie mogła zapomnieć tamtej nieszczęsnej nocy. Bardzo żałowała tego, co się stało. Nie rozmawiali o tym, ale czuli się lekko niezręcznie w sytuacjach sam na sam. Peszyło ich każde przypadkowe dotknięcie ręki. Wiedziała, że był z nimi dlatego, że obiecał, a nie dlatego, że chciał. Pewnie prędko się nie zobaczą. Z całą pewnością nie pojawi się u nich bez wyraźnej potrzeby, bo... i po co? „Kolejna karta zapisana do końca” – pomyślała z żalem. Ale dostrzegła też i plusy tej zmiany: nadchodzący weekend zapowiadał się nareszcie bez nikogo obcego obok. Tylko ona i dzieci. Maria nie dzwoniła, Ewa też się do niej nie odzywała. Perspektywa uwolnienia się od czyjegokolwiek towarzystwa naprawdę ją ucieszyła.

Kiedy dom pogrążył się w wieczornej ciszy – zadania domowe zostały sprawdzone, a książka na dobranoc przeczytana – usiadła do komputera i jeszcze raz obejrzała *farrucę* tańczoną przez Paco. Spojrzała na brylant na swoim palcu, otworzyła też pudełeczko od Jacka.

– I co mam z tym teraz zrobić? – Przyglądała się pierścionkom. – Nie mogę nosić obu. Właściwie powinnam schować je gdzieś głęboko w szufladzie. Dwie bezsensowne historie. Może tak naprawdę nie kochałam żadnego, skoro będąc z jednym, czekałam na drugiego... – Zamyśliła się.

Zadzwoił telefon. Na wyświetlaczu pokazało się imię Marii. Odebrała.

– Słuchaj – zaczęła, nie czekając, aż siostra się odezwie. – Czy można kochać naraz dwóch facetów?

– Pewnie można – odpowiedziała niepewnie Maria. – Skąd to pytanie? Coś się stało?

– Nie, tak tylko się zastanawiam... – zaczęła wyjaśniać. – Gdyby Jacek żył i gdybym musiała wybierać między nim a Paco, chyba nie umiałabym podjąć decyzji. Tak mi przyszło do głowy. Wtedy byłam zła na Jacka, w końcu nieźle mnie skopał, ale teraz, kiedy go nie ma, trochę mi przeszło. W sumie, każdy z nich dawał mi to, czego ten drugi nie potrafił lub nie miał.

– Może źle do tego podchodzisz? – Maria wkręcała się w dyskusję. – Powiedziałaś „dawał”. To nie tak powinno być.

– A jak?

– Druga osoba nie powinna rekompensować nam własnych braków... – zaczęła wyjaśniać Maria.

– Nie o to mi chodzi – powstrzymała ją Ewa. – Według mnie życie polega na... wymianie. Dajemy i bierzemy. Tak się uzupełniamy. Wtedy jest pełnia. – W tej kwestii nie zgadzała się z siostrą.

– Ja uważam inaczej. Uważam, że musimy być samowystarczalni – stwierdziła Maria. – Nawet w związku.

– Przecież to niemożliwe. – Ewa obstawała przy swoim. – Choćby dlatego, że nikt nie jest alfą i omegą...

– Ale nikt też nie może służyć za podpórkę dla drugiej osoby. – Maria weszła jej w słowo.

– Widzę, że to temat na dłuższą rozmowę... – Uznała Ewa. – Ale zadzwoniłaś do mnie, bo...? – zapytała.

– Bo nie mogę przyjechać – padła odpowiedź.

– Znowu jakiś artykuł? – zainteresowała się Ewa.

– Nie, tym razem po prostu nie mam co zrobić z Borem. Koleżanka, która się nim zajmowała, wyjeżdża, a ja pociągami tłuc się z nim nie chcę. Za gorąco. Dasz sobie radę? Może Janusz przyjechałby do was?

– Janusz właśnie wyjechał.

– Och, to szkoda. A Gośka?

– Mario, ale o co ci właściwie chodzi? Jestem duża. Dam sobie radę sama. Naprawdę.

– Ewuniu, martwię się o ciebie – przyznała. – Ostatnio nie byłaś w najlepszej formie.

– Już mi przeszło. Właśnie kończę remont kancelarii, jutro ustawiam w niej nowe meble, Janusz

znalazł mi współnika, wracam do mojego flamenco i myślę intensywnie o tym, co zrobić ze swoim życiem.

– To znaczy? – zaniepokoiła się Maria.

– To znaczy, co zrobić, by nie wracać do tego, czym zajmowałam się przed wakacjami, a co przez całe lata było zwyczajną udręką.

– Nadal nie rozumiem.

– Trzymałam się swojej roboty, bo chciałam zachować choćby minimalną niezależność finansową od Jacka. Jak życie pokazało, była to słuszna decyzja. Ale teraz – tłumaczyła Ewa – Jacka nie ma. Jestem sama i takie zabezpieczenie nie jest mi już potrzebne. Sądzę, że to, co zostawił, i dochody z kancelarii zapewnią nam byt na całkiem przyzwoitym poziomie, więc może to dobry moment, by zmienić coś w swoim życiu? Robić nareszcie to, co sprawia radość?

– Czyli?

– Zastanawiam się nad czymś związanym z tańcem.

– Szkoła?

– Właśnie nie wiem – przyznała. – Mam o czym myśleć. Może za tydzień, jak przyjedziesz, będę już mądrzejsza. A teraz nie martw się, bo wszystko jest w porządku. Dobrze? Udanego weekendu – zakończyła.

– Skoro tak mówisz, muszę ci wierzyć – stwierdziła Maria. – Dobrze, zatem do usłyszenia. Miłego weekendu i wam.

Ewa odetchnęła z ulgą. Sama, naprawdę będzie sama przez kilka dni. Co za miła odmiana!

Rano odebrała klucze od malarzy, rozliczyła się z nimi, potem umyła okna, ustawiła nowe meble, zawiesiła zasłony – nie z ciężkiego aksamitu, jak poprzednie, a z cienkiego, przepuszczającego światło dzienne płótna. Porozstawiała bibeloty, które czekały na swój czas zapakowane w siatki, kupiła goździki do wazonów. Na półkach – też całkiem nowych, równych i jasnych – po krótkim namyśle poukładała książki wyłącznie prawnicze.

– To nie ma być garsoniera – orzekła. – To ma być budząca zaufanie kancelaria. Żadne zastępcze miejsce do życia.

Kartony z segregatorami na razie zostawiła nierozpakowane. Chciała wszystko spokojnie przejrzeć i dopiero wtedy podjąć decyzję, co z nimi zrobić – ustawić w biblioteczce czy znieść do piwnicy. Resztę książek zamierzała zabrać do domu. Koperta z sejfu ciągle pozostawała zagadką – miała nadzieję, że w dokumentach uda się znaleźć do niej klucz. Po kolei przeniosła pudła do samochodu, zastanawiając się, gdzie to wszystko zmieścić, zwłaszcza że podobny zestaw mieli już u siebie.

„Może sprzedam? – pomyślała. – W dobie internetu, na co komu tyle tomów nieaktualnej encyklopedii? I kto szuka czegokolwiek w papierowych słownikach? Nawet dzieci już z tego nie korzystają. Tak – postanowiła. – Sprzedam. I samochód też. Sobie zostawię ten Jacka – planowała – a pozbędę się mojego. Ktoś kiedyś chciał go kupić – próbowała sobie przypomnieć. – Czy nie pan Leszek?”

W drodze do domu podjechała do zakładu wulkanizacyjnego. Nie myliła się, pan Leszek potwierdził chęć kupna auta i bez targowania zgodził się na proponowaną przez nią cenę. Umówili się, że zaraz po weekendzie podpiszą umowę. Wszystko układało się tak, jak chciała. Uznała, że trzeba ten dzień wypełnić szczęściem po brzegi, prosto ze szkoły pojechała więc z córkami na obiad do ich ulubionej knajpki przy Starym Rynku, w której, kiedy jeszcze żył Jacek, od czasu do czasu pozwalali sobie na mule.

Zawsze zamawiali takie same, w winie. Do tego, obowiązkowo, frytki. Dzisiaj było podobnie,

na stole zabrakło jedynie białego wina dla niej. No cóż, jak jest się kierowcą i matką w jednej osobie, to nie na wszystko można sobie pozwolić. Na zdziwione spojrzenia dziewczynek, kiedy kelner postawił przed nią kielich gazowanej wody, odpowiedziała, że swoją porcję wypije w domu, bo akurat ma odpowiednie wino w lodówce. Śmiały się, gadały, zachlapały sosem ubrania – niczym się nie przejmowały.

W domu pojawiły się dopiero późnym popołudniem, w doskonałych humorach, syte i zmęczone. Ewa czuła się tak, jakby wróciła z dalekiej podróży. Kiedy Ola i Ania zamknęły się w łazience, by się umyć przed snem, poszła na grób Luni. Poglądziła kamień, powyrywała wyrastające wokół chwasty, zapaliła świeczkę. Po raz pierwszy nie płakała. Przypomniała sobie jak kiedyś, dawno temu, jeszcze jako szczeniak, Luna zakopywała ciasteczka w doniczkach, a potem je stamtąd wygrzebywała. Uśmiechnęła się. Nadal brakowało jej psa, ale ta nieobecność przestawała nareszcie boleć.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział VII

MARIA

W końcu pogoda się zmieniła. Po słońcu przyszedł czas deszczu i ciężkich chmur. W powietrzu utrzymywała się wilgoć. Oblepiała sobą wszystko, miało się wrażenie, że przez nią za chwilę cały świat pokryje się rdzą. Nie chciało się gadać, nie chciało się spotykać z innymi, ludzie pochowali się w domach, szukali wymówek, by z nich nie wychodzić. Maria, gdyby nie pies, pewnie zachowywałaby się jak większość jej znajomych: praca, dom, i to wszystko. Zapadający coraz szybciej zmierzch zniechęcał nawet do czytania. Zapanował czas jesiennego znieruchomienia, snującej się jak dym melancholii.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię w końcu złapałem! – usłyszała w słuchawce głos Jana, kiedy w końcu odebrała połączenie natarczywie dzwoniącego telefonu. – Jak było na wakacjach? – zapytał wyraźnie uradowany.

– Na czym? – Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Byłaś na urlopie – sprecyzował.

– Ach, tak. Rzeczywiście – przypomniała sobie kłamstwo, jakim uraczyła go miesiąc wcześniej. – Już zdążyłam zapomnieć – usprawiedliwiała swoje zdziwienie.

– Tyle pracy? – dopytywał, niczego nie podejrzewając.

– Wiesz, jak to jest w telewizji – brnęła dalej. – Albo nie masz nic do roboty, albo się kserujesz – zażartowała. – A co u ciebie? Jak żona? Zdrowieje? – Nie chciała dłużej rozmawiać o sobie.

– Tak, jest coraz lepiej – odpowiedział i na chwilę zamilkł. – Mario... – zaczął niepewnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie wracasz? – weszła mu w słowo.

– Wiesz, tych kilka miesięcy... – próbował wyjaśniać.

– Nie musisz się tłumaczyć! – ucięła. – Oszczędź mi tego. Zwłaszcza że... aby nie zrobić mi przykrości... będziesz musiał kłamać. Nie robisz mi przykrości tym, że ciągle tam jesteś i zamierzasz zostać – zapewniła. – Spodziewałam się tego. A słuchać, że byłam twoją miłością, tylko los złośliwie... i tak dalej, nie chcę. Niczego nie planowaliśmy. Nie wiem, czy pamiętasz. Więc wszystko jest okej, życzę ci szczęścia – zagadywała rozczarowanie.

– Ale to prawda! – Przerwał jej. – Naprawdę myślałem, że będziemy razem. Chciałem tego. Uwierz mi – poprosił. – I faktycznie, los był złośliwy. Gdyby nie choroba, szybko załatwiłbym swoje sprawy i wrócił.

– A przypadkiem nie rozwiedliście się jakiś czas temu? – zapytała.

– Tak, ale... – Zawiesił głos, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Dobrze, powiem to za ciebie – nie wytrzymała. – Ona zmieniła się nie do poznania – zaczęła wyliczać – choroba was zbliżyła, syn postanowił dać się odnaleźć i łaskawie sprowadzić do domu, ale szantażuje was, że znowu zniknie, jeśli odejdziesz, choć to już stary koń. Poza tym interesów w Polsce łatwo się nie prowadzi, przekonałeś się już o tym. Nie umiesz się tutaj odnaleźć, za długo

byłeś poza krajem. Coś pominęłam? – zapytała ze złością.

– Masz rację – stwierdził zrezygnowany. – Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy... Chciałbym, żebyś wiedziała – dodał – że nie jest mi łatwo, a w tobie naprawdę się zakochałem. I zabiegałbym o ciebie, gdyby... – Westchnął ciężko. – Po prostu doszedłem do wniosku, że nie mam prawa blokować ci życia, skoro nie wiem, ile czasu jeszcze tu spędzę – dokończył.

– Blokować?! – zachnęła się. – Daruj sobie. Między nami nic nie było! Spotkaliśmy się kilka razy, to wszystko! – podsumowała z goryczą.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał zaskoczony.

– Oczywiście – potwierdziła oziębło. – Kilka wieczorów. Fajnych, to prawda, ale nic więcej!

– To widocznie się pomyliłem – stwierdził ze smutkiem. – Oceniałem to inaczej. W każdym razie – dodał po chwili – dla mnie te spotkania były bardzo ważne i często je wspominam.

– To już twoja sprawa – burknęła.

– No dobrze – poddał się. – W takim razie nie zawracam ci więcej głowy. Mam nadzieję, że w pracy wszystko ułoży się po twojej myśli. – Próbował przybrać obojętny ton. – Mam też nadzieję, że kiedyś jeszcze się spotkamy. Może nawet zjemy razem kolację. Jak starzy znajomi. Uważaj na siebie, Mario – poprosił. – Gdybyś mnie potrzebowała, daj znać.

– Jasne, natychmiast przylecisz do mnie ze Stanów. – Zaśmiała się sarkastycznie. – Niech ci się dobrze wiedzie. Trzymaj się. – Rozłączyła się, nie czekając na ostatnie słowa pożegnania.

Poczuła żal, smutek, złość, gorycz, wszystko, co złe. Przez chwilę tkwiła nieruchomo na kanapie, analizując to, co usłyszała. Niby przeczuwała, że tak się stanie, ale jednocześnie przecież miała nadzieję, że intuicja ją zawiedzie.

Przez ostatni miesiąc odmawiała sobie prawa do myślenia o Janie. Oswajała się z jego całkowitą nieobecnością. Organizowała czas w taki sposób, by nieustannie być zajęta. Do domu wracała wykończona, mogła zajmować się tylko psem. Nawet z Ewą ograniczyła kontakty, by uniknąć pytań o niego. A jednak to, co się stało, zabolowało. Warstwa ochronna okazała się mało skuteczna. Czuli się zawiedziona, że żadnej przyszłości z nim nie będzie.

„No cóż, w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło – przekonywała teraz samą siebie. – Nadal jestem sama... Jak zawsze – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Tak długo broniłam się, by nie traktować Jana inaczej niż jedynie jako epizod. I w końcu, kiedy doszłam do wniosku, że czas na zmiany, że może fajnie wreszcie z kimś być, on po prostu odszedł! – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Co mi odbiło? Po tylu latach?! A teraz czuję się tak, jakby ktoś mi coś zabrał. – Dziwiła się. – Przecież nic nie miałam... – Podeszła do komody i wzięła do rąk obrazek Marii Wnęk. – To było jak ten las – stwierdziła. – Piękne, ale niemożliwe. Można popatrzeć, ale nie da się tego dotknąć, wejść do środka”. Odłożyła kartkę na miejsce, rewersem do góry.

Założyła kurtkę, zawołała psa, wyszła do ogrodu. Dzień wyglądał tak, jakby słońce wyczerpało już swój limit świecenia: siąpiło, szarzało, w każdej chwili mógł spaść śnieg. Cały listopad był taki. Ranki i wieczory stały się nieprzyjemnie chłodne. Z dnia na dzień drzewa straciły liście, a kwiaty zmarniały. Kilka zielonych iglaków i porastający wszystko bluszcz sprawiały ponure wrażenie. Willa z odpadającym tynkiem dopełniała obrazu. Cmentarz – to było słowo, które nieustannie przychodziło jej do głowy, kiedy przyglądała się swojemu otoczeniu. Coraz częściej miała ochotę stąd uciec. W firmie działo się coraz gorzej, nowa ramówka nie dawała jej gwarancji pracy, więc i zarobków. Nieustannie musiała zabiegać o dodatkowe zlecenia, a to oznaczało, że coraz mniej czasu miała dla siebie, że coraz bardziej była zmęczona. W grudniu zaplanowała urlop. Prawdziwy urlop, nie taki udawany. Planowała, że pojedzie do siostry, może wreszcie porozmawiają o sprzedaży domu. Raz jej o tym napomknęła, ale do tematu więcej nie wróciły.

Bor obwąchiwał wszystkie kąty ogrodu, był niespokojny, jakby odkrył ślady nieproszonego gościa. Pewnie któryś z okolicznych kotów przybłąkał się na chwilę jakiś czas temu. Przysiadła na skraju ławki, zapaliła papierosa, przez chwilę przyglądała się psu. Był tak skupiony na tropieniu, że nie reagował na jej głos. Spojrzała na ołowiane niebo.

„Ale się zgrało z moim nastrojem! – pomyślała zdumiona. – A mówiłam, że miłość to nie moja specjalność. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Jak mogłam uwierzyć, że tym razem będzie inaczej?”. Nieuważnie rozejrzała się wokół, zgasila papierosa w popielniczce, którą trzymała w ręce, przywołała psa i wróciła do domu.

Zaparzyła kawę, z kubkiem w dłoni usiadła przy komputerze. Chciała wrócić do książki, nad którą pracowała od kilku miesięcy. Do hiszpańskiej *story*, jak roboczo ją nazywała. Przeczytała kilka ostatnich stron, zastanowiła się, co dalej i... nie była w stanie napisać ani jednego sensownego zdania. Słowa nie układały się w żadną całość. Coś zapisywała, po chwili wymazywała, wymyślała od nowa i znowu likwidowała, coraz bardziej poirytowana nagłą bezradnością. W końcu odsunęła krzesło, przeszła się po pokoju raz i drugi, wreszcie sięgnęła po telefon.

– Cześć, Ewuniu. Co tam? – zapytała, kiedy usłyszała siostrę. – Wszystko w porządku?

– Cześć, Maryniu. Wszystko dobrze. A u ciebie? Masz smutny głos – zauważyła Ewa.

– To dlatego, że od rana z nikim nie gadałam – skłamała. – Dawno się nie odzywałam, martwiłam się.

– Bo nie dzieje się nic szczególnego – Ewa się usprawiedliwiała. – Szkoła, kancelaria, dom, flamenco. Nie ma o czym mówić.

– No właśnie... Jak radzi sobie ten twój młody człowiek? – Maria podchwyciła temat.

– Wiesz, mało mnie to obchodzi – przyznała się. – Nie wtrącam się. Rozlicza się skrupulatnie i na czas. To najważniejsze. Merytorycznie nie mogę go kontrolować. I nie chcę. Bo wtedy mogłabym sama prowadzić kancelarię.

– A nie korci cię? – Maria była ciekawa.

– Nieraz już o tym rozmawiałyśmy. Nic się nie zmieniło. Wręcz przeciwnie: teraz mogę powiedzieć, że natychmiast zlikwidowałabym kancelarię, gdybym nie znalazła współnika.

– Coś się stało?

– Kiedy ostatni raz rozmawiałyśmy? Tydzień temu? – Ewa usiłowała sobie przypomnieć. – Jakoś tak, prawda? Nazajutrz po twoim telefonie zabrałam się wreszcie za przeglądanie plików na dysku zewnętrznym. Tym z sejfu. Pamiętasz, mówiłam ci...

– Tak, mówiłaś. – Maria przytaknęła.

– No i to mi wystarczy na zawsze.

– Coś znalazłaś? – Nadstawiła uszu.

– Jeszcze nie, ale jestem coraz bardziej pewna, że znajdę. Jacek grzebał w niezłym szambie.

– I co teraz?

– Na razie nic. Muszę wszystko przejrzeć – oznajmiła. – Kiedy przyjeżdżasz? – Zmieniła temat.

– Za kilka dni.

– Świetnie! Dziewczynki już nie mogą się ciebie doczekać...

Maria straciła ochotę na rozmowę równie szybko, jak wcześniej jej nabrała. W tej jednej chwili uświadomiła sobie, że ma już dosyć zajmowania się cudzymi problemami. Ze złością pomyślała, że może czas, aby ktoś wreszcie pochylił się nad nią, zapytał, jak ona sobie radzi, i był tego autentycznie tego ciekaw. Rozłączyła się bez pożegnania.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się siódma. Przypomniała sobie, że za dwie godziny zaczyna się milonga w klubie, w którym kiedyś była razem z Janem. Trafili tam, bo chciała zatańczyć tango.

Oczywiście, nic z tego nie wyszło, nie znali kroków. Ale tamten wieczór, mimo że przesiedziany, wprowadził ją w dobry nastrój. A tego bardzo dziś potrzebowała. Wyciągnęła więc z szafy sukienkę, starannie się umalowała, pogłaskała psa i wyszła. Postanowiła pojechać tramwajem, a nie samochodem. Dzięki temu na miejscu wypije lampkę wina.

By dojść na przystanek przy ulicy Kościelnej, musiała pokonać pół Zakonnej. Jej dom mieścił się w samym jej środku, na dole tworzonej przez nią litery U, a od reszty świata odcinało go jeszcze kilka mniejszych zakrętów. Droga wiła się jak rzeka – „rzeczka jak błyszcząca wstążeczka”, jak często powtarzała, przypominając sobie wierszyk z dzieciństwa⁴⁴. Teraz też recytowała go w rytm stawianych kroków: „Płynie, wije się rzeczka / Jak błyszcząca wstążeczka, / Tu się srebrzy, tam ginie, / A tam znowu wypłynie”. Dokładnie tak wyglądała jej ulica. Tylko dziś się nie błyszczała, nie srebrzyła. Mimo włączonych latarni. Wszystko przez to listopadowe niebo.

⁴⁴ Chodzi o wiersz Juliana Tuwima pt. *Rzeczka*.

Na chodniku, poza nią, nie było nikogo. Zalegała martwa cisza. Gdy była młodsza, bała się takich wieczorów. Teraz nie czuła już strachu, ale i tak mimowolnie przyspieszyła. Na przystanku też nie było żywego ducha, na szczęście prawie natychmiast nadjechał tramwaj. Wsiadła kilka przystanków dalej. Stąd musiała przejść jeszcze kilkaset metrów do domu przy ulicy Kościuszki.

Klub mieścił się w starej kamienicy. Na piętrze znajdowała się duża sala z parkietem. Stoliki ustawiano pod ścianami, środek oddano tancerzom. W korytarzu, przed salą, urządzono mały bufet z przekąskami i napojami. Poprosiła o lampkę białego wina, usiadła przy stoliku. Ludzie dopiero się schodzili, sala powoli się zapełniała. Jakaś para w średnim wieku dosiadła się do niej, grzecznie przedtem pytając o zgodę. Muzyka grała zbyt głośno, by normalnie rozmawiać. Ledwo dosłyszała ich imiona. Zostawili swoje rzeczy i od razu poszli tańczyć.

Przyglądała się im uważnie. Najpierw twarzom, potem rękom, w końcu nogom. Nogi najbardziej ją fascynowały. Mężczyzna szedł pewnie, kobieta podążała za nim, próbując odgadnąć jego intencje, jej kroki były lekkie, ale jednocześnie mocne, stanowcze. Raz drobili, innym razem posuwicie przemieszczali się po sali. Czasami zatrzymywali się i wtedy kobieta przesuwiała stopę w górę po łydce mężczyzny, na moment opadała po jego prawej stronie, zakręcała, jakby nagle zrezygnowała z ucieczki i wracała na poprzednie miejsce, kiedy indziej znów wirowała wokół niego, a on obracał się tak, by nie zgubić jej spojrzenia.

Emocje malowały się na ich twarzach, ale relacje, które ich łączyły, łatwo było dostrzec też w objęciach – w tym, jak pozwalali sobie na bliskość i odległość, jak zagarniali siebie w tańcu, jak splatały się ich dłonie. On skupiony, ona łagodnie uśmiechnięta. Czas ich małego, prywatnego święta. A może dużego, kto wie?

Tango płynęło za tangiem. Nie zwracali uwagi na nic poza sobą i muzyką. W końcu wrócili do stolika. Szczęśliwi i nieco zmęczeni. Natychmiast sięgnęli po swoje kieliszki, by ugasić pragnienie. Kobieta wyjęła z torebki wachlarz, zaczęła się nim chłodzić. Mężczyzna spojrzał na Marię.

- Pani tańczy tango? – Zapytał.
- Niestety, nie umiem – przyznała. – Przyszłam popatrzeć. Bardzo chciałabym się nauczyć.
- Widzi pani tamtych ludzi? – Kobieta wskazała na parę stojącą przy stoliku ze sprzętem grającym. – To ich milonga, prowadzą szkołę. Proszę z nimi porozmawiać.
- Ale ja nie mam pary.
- Nie szkodzi. Na zajęcia czasami zgłaszają się też sami panowie. Poza tym może pani umówić się na lekcje indywidualne. – Kobieta uśmiechnęła się życzliwie.

Znowu zabrzmiało tango. Para skinęła jej głowami i wróciła na parkiet. Miejsce obok nich zajęli

wskazani przed chwilą nauczyciele. Ich tango zdobyły skomplikowane figury i ledwo zauważalne drobiazgi, potwierdzające wyższy stopień tanecznego wtajemniczenia. Jeśli jej noga przesuwała się po jego łydce, było to bardziej zmysłowe; jeśli okręcała się przed nim, to jednocześnie jej stopy wykonywały dziesiątki innych ruchów lub w nagłym impulsie wędrowały bardzo wysoko, jak wystrzelone z procy. Czasami coś działo się w kontrze do granej muzyki. Bywało, że ona zakreślała efektowne kręgi, nogą wyprostowaną jak ramię cyrkla, albo on okręcał ją jak porcelanową lalkę, krążąc wokół... Ich tango było pełne różnych barw i zmienne, niczego z góry nie dało się przewidzieć. Pomysłała, że to bardziej spektakl niż zwykły towarzyski taniec.

Kiedy skończyli, podeszła do nich, zapytała o możliwość nauki. Za miesiąc mieli ruszyć z nową grupą, dali jej wizytówkę szkoły, poprosili, by mailowo potwierdziła chęć uczestnictwa w zajęciach, obiecali też pamiętać o niej, jeśli pojawi się jakiś samotny uczeń.

Przesiedziała przy stoliku jeszcze godzinę, kilka razy przepraszając proszących ją mężczyzn i tłumacząc, że nie potrafi postawić ani jednego kroku. Próbowwała zapamiętać te najczęściej widziane, żeby potem, w domu, sprawdzić, czy będzie umiała je powtórzyć. Wypiła kolejną lampkę wina. Zapomniała o rozmowie z Janem. Uśmiechała się. Mogłaby przesiedzieć tak całą noc.

Rano wysłała maila w sprawie nauki tańca. Napisała też bez problemu tych kilka zdań, z którymi wcześniej nie mogła sobie poradzić. Historia o hiszpańskiej Cygance powiększyła się o nowe akapity. A potem odszukała na YouTube albumy z tangami i cały dom wypełnił się muzyką. Bor poczuł się nieco dezorientowany, dawno nie doświadczał tu takiego natężenia dźwięków.

Tango od razu wprawiło ją w dobry nastrój, nieco ckliwy i marzycielski. Usiadła wygodnie w fotelu, przymknęła oczy. Zobaczyła siebie na wytwornym przyjęciu. Była Jessicą Biel w *Wojnie domowej*⁴⁵, uwodzącą Colina Firtha i prowokującą innych. Biała jedwabna suknia opływała ciało, mężczyźni pożądliwie śledzili jej ruchy. A ona przemierzała salę wpatrzona wyłącznie w mężczyznę, któremu w tej jednej chwili oddawała wszystkie emocje, nadzieje i żale, jakich dotąd doświadczyła. W jednym tańcu powiedzieli sobie więcej niż przez tygodnie życia obok siebie... Nagle Bor tracił nosem jej rękę. Spojrzała na niego z uśmiechem i potargała go za uszy. Przeciągnęła się, jakby budziła się ze snu. Wróciła do komputera i powieści...

⁴⁵ Tytuł oryginalny *Easy Virtue*; brytyjski komedia obyczajowa z 2008 roku w reż. Stephana Elliotta.

Historia Cyganki była częściowo prawdziwa, częściowo zmyślona, ale tak naprawdę służyła jedynie jako pretekst do pisania o Hiszpanii. O przeszłości tego kraju i o jego dniu dzisiejszym, tak obecnie odległym od niedawnych wyłącznie sielankowych wspomnień. Plan był ambitny i jednocześnie prawie niemożliwy do wykonania. Bo jak połączyć zachwyty nad miejscem z nawoływaniem do ograniczenia podróży w tamte strony? Problem „zadeptywania” Hiszpanii nie był wcale z gatunku science fiction. W ostatnich latach liczba turystów odwiedzających Barcelonę wzrosła czterokrotnie. Rok przestał się dzielić na „sezon” i „po sezonie”; przyjeżdżających nie odstraszały ani wysokie temperatury w sierpniu, ani nieatrakcyjna pogoda w lutym. Hałas, chuligaństwo i śmieci wpisały się na stałe w krajobraz miasta. Zamiast zabawy był wrzask, zamiast gościnności – coraz większa niechęć. I zmęczenie wszystkich wszystkimi. Nie lepiej działo się i gdzie indziej. Latem na Balearach liczba ludności zwiększała się o połowę, a cała Iberia przyjmowała blisko o dwadzieścia milionów turystów więcej, niż sama liczyła mieszkańców. Hiszpanie coraz gorzej czuli się we własnych miastach. Nic dziwnego, że na ich domach zaczęły się pojawiać transparenty z mało przyjaznymi napisami: „Turyści, wracajcie do domów!”.

Turystyka miała ongiś podratować lokalny budżet, ale to wszystko jakoś wymknęło się spod kontroli. Faktycznie, była to jedna z najpotężniejszych gałęzi gospodarki, niemal co piąty pracujący

mieszkaniec Hiszpanii znajdował zatrudnienie w hotelu, pensjonacie lub knajpie, ale przy okazji kraj zaczął się zmieniać w jedną wielką cepelię, zgodnie z oczekiwaniami przyjeżdżających. Flamen- co też stało się „interesem” i w końcu zaczęto coraz głośniej się zastanawiać, co z tego wyniknie. Bo czy choreografie wymyślane pod turystów rozwijały taniec, czy raczej go niszczyły? Przypomina- ło to trochę historię najbardziej znanych polskich zespołów ludowych: niby chroniły rodzimy folk- lor przed zapomnieniem, ale przetwarzając go na wielkie widowiska, zgubiły gdzieś jego autentycz- ność, i dopiero teraz, po latach, nowi fascynaci kultury ludowej ponownie odkrywali prawdziwe brzmienie oberków, kujawiaków i mazurków, tancerzy po szkołach baletowych zastępowali na- turszczykami, a do zespołów muzycznych dopraszali panów Janów czy Kazimierzów, którzy skrzypce, akordeon lub baraban odziedziczyli, wraz z umiejętnościami grania na nich, po swoich dziadkach... Czy nie podobnie miała się sprawa z flamenco? A jeśli tak, to gdzie szukać go w tej wersji podstawowej, *puro*⁴⁶? Czy mekka tancerzy, Jerez⁴⁷, rzeczywiście gwarantowała dostęp do pierwotności? A może i tutaj ulegano regułom podaży i popytu? Być może powinna napisać o tym zwykły artykuł, ale książka stanowiła większe wyzwanie. A odtwarzając historię La Tormen- ty, swojej cygańskiej bohaterki, mogła wędrować wszędzie i myśleć o wszystkim. Czowała jednak, że tą powieścią raczej nie zniechęci czytelników do hiszpańskich wycieczek.

⁴⁶ *Puro* – czysty, nieskazitelny, autentyczny.

⁴⁷ Chodzi o Jerez de la Frontera (czyt. herez de la frontera), miasto w południowo-zachodniej Hiszpanii, a konkretnie w Andaluzji, w prowincji Kadyks. Co roku, na przełomie lutego i marca organizowany jest tam najważniejszy na świecie festiwal flamenco – El Festival de Jerez. Odbywa się on od 1996 roku. Koncertom towarzy- szą warsztaty prowadzone przez gwiazdy flamenco i to one są największym magnesem dla zajmujących się tą kulturą. Jerez słynie też z ogromnej liczby szkół flamen- co, kultywujących stare tradycje wykonawcze.

Nie spieszyła się z pracą, nie była umówiona z wydawcą na konkretny termin. Z jednej strony uważała, że to dobrze, bo mogła porządnie dokumentować każdy wątek, z drugiej jednak pisanie ciągle odkładała na później, wszystko spychało je na drugi plan. Teraz też, niby parę stron do przo- du, ale jeśli słuca się tanga, trudno pisać o flamenco, znowu więc zamknęła plik, poddała się ryt- mom z innych stron świata.

Akurat zabrzmiały pierwsze takty *Por una cabeza* Carlosa Gardela⁴⁸. Na skrzypcach grał Itzhak Perlman⁴⁹. Stała przed lustrem w przedpokoju, wspięła się na palce, pochyliła nieco do przodu, wyciągając prawe ramię w bok w taki sposób, jakby swoją dłoń chciała położyć na męskiej. Lewą rękę uniosła na wysokość barku. Ciężar ciała przeniosła na lewą nogę, ugięła ją w kolanie, czub- kiem prawej zakreśliła delikatnie kółko na podłodze. Jedno, drugie, trzecie. Widziała, że tak wła- śnie większość par rozpoczynała swój taniec na milondze. Szybko przesunęła nogę do tyłu, robiąc krok, potem następny. Ale... co dalej? Przecież nie chciała tylko chodzić! Zrobiła jeszcze krok w pra- wo, krok w lewo i zatrzymała się niezdecydowana. W wyobraźni odtwarzała kolejne ruchy, ale nie umiała ich powtórzyć.

⁴⁸ Jedno z najsłynniejszych i najbardziej rozpoznawalnych tang; skomponowane w 1935 roku; opowiada o nałogowym hazardziście, spędzającym czas na wyścigach kon- nych.

⁴⁹ Itzhak Perlman (ur. 1945 w Tel Awiwie) – skrzypek pochodzenia izraelskiego; mieszka w Nowym Jorku; syn polskich przedwojennych emigrantów.

– A wydawało się to takie proste! – Zaczęła się śmiać. – Nie ma co, prawdziwa ze mnie Jessica Biel – kpila z siebie. – No, na pewno uwiodłabym w ten sposób każdego.

Nie bardzo wiedziała, co dalej zrobić z czasem. O pisaniu nie było mowy. Muzyka się skończyła, ale tango nie przestawało brzmieć jej w głowie. Obudziło tęsknotę. Podeszła do półki, na której piętrzyły się płyty DVD, szybko odnalazła *Zapach kobiety*⁵⁰. Tam też była scena z tangiem. Znana. Po wielekroć przypominana przez znajomych na Facebooku. Włączyła film. Nieustannie wrzeszczą- cy, niewidomy pułkownik łagodniał tylko wtedy, kiedy wspominał kobiety, a właściwie uprawiany z nimi seks... Jak twierdził, intymność nadawała życiu jakikolwiek sens.

„Ma rację... – Zamyśliła się. – Tylko w łóżku człowiek jest prawdziwy. Tylko tam opadają te wszystkie nasze maski... Więc jeśli w życiu chodzi o prawdę, to seks może być do niej bramą. Przy najmniej w jakimś sensie. To ciekawe: związek z Janem – uświadomiła sobie – był inny przed łóżkiem niż po nim. Staliśmy się sobie bliżsi. Potrzebowaliśmy mniej słów... A teraz co? Komu chcę mówić, że nic się nie stało? Że jest mi dobrze samej? Przed Janem, owszem, było! – Maltretowała się nadal. – Wykreśliłam tę sferę ze swojego życia, zapomniałam o niej i jakoś się toczyło. Ale teraz? Niech to szlag!”

Rozpłakała się. Bezgłośnie. Z ukrytym w tych łzach żalem o wszystko, o każdy błąd, o każde niespełnienie. Z każdą minutą pretensje do siebie i świata olbrzymiały i przykrywały całe jej życie. Już nic nie wydawało się w nim dobre. Przegrała siebie, niczego nie doświadczyła, nikomu nic z siebie nie dała. Pustka, jałowe kręcenie się za własnym ogonem. Równie dobrze mogłoby jej nie być...

Tusz do rzęs się rozmazał, zaczęły ją szczytać oczy. Musiała pójść do łazienki, by zmyć makijaż. Spojrzała w lustro.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno! – przywołała się do porządku. – Jeden facet ma unieważnić twoje życie?! Czyś ty zwariowała?

Zimną wodą opłukała twarz, przetarła kark i dekolt, wygięła się do tyłu, rozprostowując kręgosłup.

„No dobrze, a czy to tango nie chodzi za mną z tego właśnie powodu? – Zastanowiła się. – Przez tę nagłą pustkę po Janie? Nauczę się kilku kroków i co dalej? – analizowała. – Będę sama biegać na milongi i czekać, aż ktoś do mnie podejdzie? A potem przeżywać, że więcej siedzę, niż tańczę? I że przegrywam... z młodszymi? – roztrząsała. – Po co mi takie doświadczenia?”

Wróciła do salonu. Bor nie odstępował jej ani na chwilę. Jakby czuł, że tylko on może zaradzić temu smutkowi, który tak nagle się pojawił. Podsuwał łeb do głaskania, kładł się na grzbiecie, przynosił jej w prezencie rozgryzioną kość i zostawiał przy fotelu, na którym siedziała. Jego gotowość do zabawy była tak wielka, że w końcu wyciągnął ją z domu. Czerwona piłeczka lądowała regularnie gdzieś w krzakach ogrodu, a po chwili wracała pod jej nogi. Bor, jak oszalały ze szczęścia, machał ogonem i szczekając, dyscyplinował ją, by nie ociągała się z kolejnymi rzutami. Biegał, dyszał, czekał w napięciu na każde jej poruszenie. A ona śmiała się z tej psiej bez troski. Tango, seks, Jan... choć przez parę minut przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Tymczasem zaczął sypać śnieg. Najpierw pojedyncze, mokre płatki, ale po chwili zgęstniał i wszystko wokół szybko się zabieliło. Bor próbował łapać śnieżynki, piłeczka przestała go już obchodzić. Ona sama patrzyła z zachwytem jak szaro-bury ogród zamienia się w bajkową krainę. Pierwsze dni zimy zawsze traktowała jak jakiś cud natury. Potem jednak miała ochotę uciekać na gorące plaże, byle dalej od tej białej powłoki i brei, którą potem tworzyła. Albo zapaść w długi sen, jak niedźwiedź. Ale początek niezmiennie wywoływał na jej twarzy uśmiech radości. Tak było, odkąd pamiętała.

Biały puch tężał, dzień szybko przechodził w wieczór, wieczór zamieniał się w noc. Poczula zimno. Wróciła do domu, wyłączyła komputer, odłożyła film na półkę. Sprawę tanga musi przemyśleć raz jeszcze, postanowiła. Jutro albo pojutrze, kiedy oderwie się od słów, które od kilku godzin powracały jak refren, od tego wszystkiego, co sprowokowała rozmowa z Janem. Powinna nareszcie skupić się na książce. I przekonać Ewę do pomysłu wynajęcia tej willi. Nadchodziły ciężkie zawodowo czasy, dom wymagał remontu, a nie miała skąd wziąć na to pieniędzy, nie miała też sił na pracę tak intensywną jak dotąd, by zarobić na utrzymanie.

Rano śniegu było jeszcze więcej. Zastanawiała się, czy już wyciągać łopatę do jego zgarniania sprzed wejścia, czy jeszcze poczekać. Bor załatwiał swoje potrzeby na trawniku w pobliżu najbliższego domu sosen, a ona dyskretnie rozglądała się po ulicy, sprawdzając, jakie decyzje podjęli sąsiedzi. Na szczęście nikt nie szuflował. Albo wszyscy jeszcze spali, albo cieszyli się urodą tego poranka, albo liczyli, że słońce załatwi za nich sprawę. Faktycznie, od rana ostro świeciło. Było całkiem prawdopodobne, że około południa śnieg będzie już tylko wspomnieniem. Niemniej, z całą mocą uświadamiał, że nieodwołalnie nadchodzi zima.

Po porannej kawie wyrzuciła więc z szafy wszystkie ubrania, pochowała do pudeł typowo letnie, odłożyła na bok te, w których już nie chodziła, powiesiła na wieszakach odpowiednie na nadchodzącą porę roku, sprawdziła stan butów, spisała na kartce konieczne zakupy. Nikt nie dzwonił, nikt się nie dobijał. Była sama. Bez łez, spokojna. Potem jeszcze wrzuciła do torby rzeczy na wyjazd do Ewy i dopiero wtedy, po przerwie na kolejną kawę i papierosa, usiadła do pisania.

Znalezienie La Pipy, którą podpowiedział mi José, – zaczęła – zajęło mi równo tydzień. Codziennie przeczesywałam uliczki Barcelonety. Ktoś gdzieś ją widział, ktoś słyszał, że się wyprowadziła, ktoś nawet stwierdził, że umarła. O La Tormentę nawet nie pytałam, żyli tu dzisiaj ludzie, którzy znać jej nie mogli. Dzielnica się zmieniła. Z czasem dawni mieszkańcy stąd się wynieśli, a ich miejsce zajęli przybysze z innych krajów lub innych rejonów Hiszpanii. Na balkonach wieszali swoje flagi, dumnie podkreślając własną odrębność.

Pukałam więc do tych drzwi bez wielkiej nadziei na sukces, bardziej dla spokoju sumienia, że zrobiłam wszystko, co tylko możliwe, by znaleźć kolejny trop w tej historii. Pewna byłam jedynie tego, że Manu, mąż La Tormenty, ciągle żyje; niedawno jeden z zaczepionych przeze mnie mężczyzn widział go w Maladze.

– To chyba był on – tłumaczył. – W każdym razie tak tego śpiewaka przedstawiano przed koncertem. Nie ma pani jego zdjęcia? – zapytał.

Nie miałam. Trzy fotografie La Tormenty od José to była moja cała dokumentacja. I pozółkła strona z gazety z opisem wypadku, w którym zginęła.

Ponownie zadzwoniłam do mojego przyjaciela, umówiliśmy się na kawę w małej knajpce w pobliżu plaży. Czekaając, aż przyjdzie, przyglądałam się młodym dziewczynom, które z wielką wprawą – bezpośrednio na chodniku, przed ciekawskimi spojrzeniami zasłaniając się tylko konstrukcją z ręczników kąpielowych i samochodowych drzwi – wciskały się w piankowe kombinezony, by iść popływać na deskach. José pojawił się akurat wtedy, kiedy skończyły się przebierać.

– Hola, Guapa!⁵¹ – przywitał się jak zawsze, całując mnie przy tym serdecznie w oba policzki. – Trochę znowu podzwoniłem tam i siam – zaczął, kiedy kelnerka postawiła przed nim filiżankę kawy – i wygląda na to, że La Pipa zapadła się pod ziemię – oznajmił. – Nikt nie był na jej pogrzebie, więc nie ma pewności, że umarła, ale nie mam też pojęcia, gdzie można jej szukać. Jest jeszcze gorzej – dobijał mnie dalej – nie przychodzi mi do głowy nikt inny poza nią, kto mógłby poprowadzić cię choć kawałek dalej w tym twoim śledztwie.

⁵¹ *Hola, Guapa!* (czyt. ola głapa) – Witaj, Piękna!; tradycyjne powitanie znajomej; może go używać zarówno mężczyzna zwracający się do kobiety, jak i kobieta mówiąca do kobiety.

– Kompletnie nikt? – Nie wierzyłam.

– Widzisz – tłumaczył – Barcelona się zmieniła. Ciągłe się zmienia. Niewielu nas, starych, już tu zostało. Dawne adresy nieaktualne, kontakty się pourywały. Czasami się widzimy na koncertach, ale to wszystko. Starość – westchnął. – Starość... Nie pijemy, nie śpiewamy, nie tańczymy jak kiedyś. Noce są już do spania, a nie do zabawy...

– I co ja mam teraz zrobić? – Poczulałam się bezradna.

– No właśnie nie wiem – przyznał szczerze. – Masz do wyboru dwa wyjścia – oznajmił po chwili. – Albo bę-

dziesz dalej rozpytywać o La Tormentę w Barcelonie, zaczepiając ludzi wiekowo do niej zbliżonych, albo wyruszysz do Malagi i tam poszukasz Manu. O ile jeszcze jest w Maladze – wyjaśnił z ponurą miną.

– To jak szukanie igły w stogu siana! – krzyknęłam.

– Prawda – zgodził się. – Dlatego lepiej zostać tutaj, na miejscu. Tu jednak masz szansę trafić na jakiś ślad... Ja też będę pytał – zaferował jak zawsze. – Bardzo mnie ta historia wciągnęła. A teraz, wybacz, muszę wracać do pracy. – Uśmiechnął się i poklepał mnie po ręce dla dodania otuchy.

Miał rację, nie było sensu jechać na południe Hiszpanii. Ale jeśli miałam dalej szukać Gitany⁵² w Barcelonie, potrzebowałam jakiegoś planu. Czas się kurczył, nie mogłam przeczesać każdej dzielnicy w taki sposób, jak zrobiłam to z Barcelonetą.

⁵² Gitana (czyt. hitana) – Cyganka.

Wróciłam do hotelu, na podłodze w pokoju rozłożyłam mapę. Postanowiłam w pierwszej kolejności obejść parki i targowiska, po drodze zaglądając do kościołów. Wszystkie te miejsca, które teoretycznie mogły interesować ludzi sześćdziesięcioletnich...

Co dalej? Utknęła. Na korkowej tablicy, wiszącej w pobliżu biurka, miała rozpiętą mapę Barcelony. Podeszła do niej, zastanawiając się, dokąd wysłać w pierwszej kolejności swoją Marię. Zaczęła wypisywać na kartce: Santa Caterina, La Ribera, Sant Pere, Sant Antoni, Sants-Montjuïc... Za dużo tego, stwierdziła. Maria ma niecałe trzy tygodnie! Podłączyła do komputera dysk ze swoimi filmami z Barcelony. Po kolei klikała w każdy plik. Na końcu stworzyła zapis z „Los Juanele”, najstarszego w mieście klubu flamenco.

– No przecież to oczywiste! – krzyknęła. – Gdzie ma szukać, jak nie tam? Właśnie w „Los Juanele” powinna spotkać kogoś, kto jej pomoże. Pytanie tylko – zastanawiała się – dlaczego José na to nie wpadł? Może być też tak – analizowała – że klub nie ma już nic wspólnego z tamtymi czasami... To teraz pytanie: poszukiwania mają pójść dalej czy utknąć w martwym punkcie? – Rozważała przez chwilę. – Ale tak czy inaczej, powinna się tam wybrać, powinna sprawdzić ten adres...

Z zamyślenia wyrwał ją telefon. Dzwoniła Ewa.

– Słuchaj – zaczęła bez zbędnych formalności – przypomnij mi, czym zajmuje się Frip? Frip, o którego przepytywałeś znajomych w związku z Jackiem. Pamiętasz?

– Pamiętam – przytaknęła zaskoczona Maria. – A co się stało?

– Nie, nic. – Ewa nie chciała wdawać się w wyjaśnienia. – Jakie interesy prowadził ten facet?

– Znalazłaś coś na dysku Jacka? – Maria dopytywała.

– I tak, i nie. Nie wiem. Powiesz mi? – Ewa wyraźnie się niecierpliwiła.

– Zajmował się wszystkim, co przynosiło zyski – zaczęła wyjaśniać, wyczuwając rozdrażnienie siostry. – Raz walutą, innym razem motorami. Niektórzy sugerowali, że miał też kilka burdeli.

– O, matko! – jęknęła Ewa.

– O co chodzi? Powiesz mi wreszcie? – Maria poważnie się zaniepokoiła.

– Pogadamy, jak przyjedziesz – stwierdziła krótko Ewa. – To nie jest rozmowa na telefon. Na razie! – Rozłączyła się.

„Czyżby jednak? Czy Frip byłby tak durny, żeby załatwić Jacka, wiedząc, że będzie pierwszym podejrzany? – Maria zaczęła się nad tym zastanawiać. – Niemożliwe. Ewa bardzo chce znaleźć winnego, to wszystko – przekonywała samą siebie. – Śledztwo potwierdziło zabójstwo na tle rabunkowym. I na pewno tak właśnie było. Jacek wyglądał jak «milion dolarów», nieustannie prowokował los – podsumowała. – Może i wdał się w jakieś mętne interesy, może nawet i z Fripem, ale zginął

przypadkiem. I tyle”.

Spojrzała na kartkę z notatkami do książki. Przez chwilę próbowała wrócić do przerwanej historii, ale nic z tego nie wyszło, zgubiła wątek. Nie znosiła, kiedy odrywano ją od pracy. To też był jeden z powodów, dla których ceniła swoją samotność. Oczywiście, ceniła ją głównie wtedy, kiedy akurat nie tęskniła za byciem z kimś, jak sarkastycznie zauważyła.

Po raz kolejny przeczytała to, co zdołała napisać, nim zadzwonił telefon, mając nadzieję, że bohaterowie w końcu sami podpowiedzą jej ciąg dalszy. Ponownie obejrzała też nagranie z wieczoru w klubie, uważnie przyglądając się starym zdjęciom, które wisiały na jego ścianach. Bardzo skrupulatnie wszystkie sfilmowała. Dokumentowały blisko stuletnią historię tego miejsca. Najważniejsi artyści flamenco, jacy odwiedzali Barcelonę, właśnie tu przychodzili po występach, by w swoim gronie bawić się do białego rana. Gospodarz dbał o ich podniebienia, strzegł prywatności, ale zawsze prosił też, by pozwolili się uwiecznić na fotografiach. Powstała imponująca i piękna galeria.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, nakazującemu kojarzyć flamenco wyłącznie z południem Hiszpanii, w Barcelonie sporo się działo w tej dziedzinie. Nie tylko koncertowały tu największe gwiazdy, ale powstawały też kluby i szkoły tańca. Wielu artystów opuściło Andaluzję i przeniosło się do stolicy Katalonii. Tutaj lepiej się żyło, a i bliżej było stąd do Europy, łatwiej wyjechać w świat. No i Barcelonę odwiedzało mnóstwo ludzi. To właśnie tutaj – i w Madrycie – eksperymentowano z muzyką, tu rozwijano flamenco-jazz. Jeśli ktoś szukał współczesnego flamenco, jego nowych form, wybierał niezmiennie jedno z tych dwóch miast.

„No dobrze, ale co dalej? – Maria nadal zastanawiała się nad swoją książką. – Przychodzi wieczorem do «Los Juanele», siada przy barze. Obsługuje ją właściciel. Ale on jest młody. Czy jego rodzice żyją? – głowiła się. – A jeśli tak, to czy bywają w klubie? Czy tego wieczoru też przyjdą? Załóżmy, że się pojawią... Skoro La Tormenta była tak rewelacyjną tancerką, jak mówił José, powinni ją pamiętać. Na ścianie może wisieć jej zdjęcie... Tak. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Niech coś opowiedzą... A José zapomniał o nich, bo rzadko gdziekolwiek bywali, odkąd klub przejął syn... – wytłumaczyła sobie. – Oczywiście, było to już dawno temu”.

Wyłączyła telefon, by nikt jej nie przeszkadzał, pochyliła się nad klawiaturą i szybko zaczęła pisać.

Rozdział VIII

EWA

O dłożyła telefon, wróciła do komputera, jeszcze raz spojrzała na notatkę Jacka.

– Waluta, motory, burdele... – powtarzała to, co powiedziała jej przed chwilą siostra. – Czy F. to Frip? – zastanawiała się głośno. – *F. chce mi podesłać K.* – przeczytała ponownie. – *Sugeruje, że może być jeszcze A. albo też M. Będzie próbował mnie uwikłać. W taki lub inny sposób. Na razie sprawdza. Wielkie gównno. Czuję smród. Za późno, żeby się wycofać. Co to wszystko może znaczyć?* – zachodziła w głowę.

Od tygodnia przeglądała pliki. Skany różnych spraw, już dawno zamkniętych i zapomnianych oraz nowych, których Jacek nie zdążył doprowadzić do końca. Trafiała też na jakieś rachunki, których nie umiała zidentyfikować, na jakieś szeregi liczb w osobnych plikach, które nie dawały się powiązać z niczym wcześniej zarchiwizowanym. Generalnie, na dysku panował niezły bajzel i była by zdziwiona, gdyby to z powodu tych właśnie danych przechowywał go w sejfie. Cały czas spodziewała się więc jakiegoś odkrycia, które pozwoliłoby nanizac na jedną nitkę wszystkie koraliki.

Żeby niczego nie pominąć, zachowywała określony porządek sprawdzania. Po kolei, od lewej do prawej, tak jak się czyta książki. Dziś otworzyła folder pod nazwą „bigshit”. W środku nie było niczego poza tym dziwnym zapisem. Z lipca. Czyli pojawił się na miesiąc przed jego śmiercią. Jacek się czegoś obawiał, to oczywiste. Domyślała się, że utworzył ten folder po to, by zapisywać w nim rozwój wydarzeń, za którymi stał ktoś ukrywający się pod literą F. Dlaczego więc tylko ta jedna notatka? I tak napisana, że trudno cokolwiek zrozumieć? Jakby szyfrem! Przecież jeśli zbiera się dowody, a te są przechowywane w miejscu niedostępnym dla osób niepowołanych, to pisze się je tak, by w razie czego ktoś mógł je bez kłopotu przeczytać i wyciągnąć odpowiednie wnioski... Dlaczego „za późno, żeby się wycofać”? I... co to za „smród”?

„W co on się wpakował?! – Łamała sobie nad tym głowę. – A te pieniądze, które znalazłam? Skąd i za co? Nie, nie... to nie był głupi napad!” – coraz bardziej była tego pewna.

Wyobraźnia zaczęła szaleć: fakty, o których wiedziała, połączyły się z przypuszczeniami. Może F. to Frip, może reszta to narkotyki, albo... prostytutki? Może jedno i drugie? Może był szantażowany? Może wpakował się w jakiś niebezpieczny interes, bo wcześniej nie sprawdził tego całego F.?

Zrobiło się późno, ale pracowała dalej. Jak w transie. Dokument za dokumentem. Dokładnie wczytywała się we wszystkie informacje. Tak długo, aż poczuła, że oczy same się jej zamykają. Rano, po odwiezieniu dzieci do szkoły, wróciła do poszukiwań. Już nie marnowała czasu na kopie spraw sprzed dwóch czy trzech lat, to zdąży zrobić kiedy indziej. Skupiła się na ostatnim roku. Szukała nazwisk i imion na F. Nie znalazła niczego. W każdym razie niczego, co pasowałoby do układanki. W ostatnim otwieranym folderze znalazła plik zatytułowany „174”. W środku był tylko jeden dokument i tylko dwa słowa: „jest nagranie”. Nic więcej...

Ze złością odsunęła się od komputera, odchyliła głowę, zwiesiła ręce. Przez chwilę siedziała nie-

ruchomo, wpatrując się w okno. Czuła się zmęczona i bezradna. Jeśli Jacek rzeczywiście czegoś się obawiał – powtarzała to sobie jak mantrę – dlaczego nie prowadził tych notatek systematycznie? Przecież nikt niepowołany by ich nie znalazł. Kto szukałby sejfów w kancelarii? A nawet gdyby, niełatwo było go otworzyć!

Spojrzała na zegarek, musiała się pospieszyć, jeśli nie chciała, by córki denerwowały się, czekając na nią przed szkołą. Szybko się przebrała, poprawiła makijaż, wybiegła przed dom. Nie zauważyła, że śnieg sypał całe przedpołudnie i teraz, nim wyjechała, musiała jeszcze usunąć biały zator z drogi prowadzącej na posesję. Lekko zgrzana wsiadła za kierownicę. Przypomniała sobie, że nie ma nic na obiad, znowu będzie musiała pojechać z dziewczynkami do jakiejś knajpy.

Dotarła do szkoły nieco spóźniona. Ania i Ola zdążyły stoczyć z koleżankami bitwę na śnieżki, wygraną, jak jej z dumą zakomunikowały. Zaproponowała im, by uczcić to zwycięstwo w pobliskiej pizzerii. Próbowwała nie myśleć o Jacku, skupić się na szkolnych sprawach córek. Jak zawsze. Bo przecież komuś musiały opowiedzieć o sukcesach i porażkach, swoich i koleżanek. Uśmiechała się, dopytywała o szczegóły. Do tego, co ją teraz zajmowało najbardziej, wróciła dopiero, kiedy dziewczynki zabrały się za odrabianie lekcji. Dedukcja jednak na nic się zdała.

„Co niby znaczy, że «jest nagranie»? – Zastanawiała się bezowocnie. – Dźwięk? Film? Nie podał żadnej daty, nie ma więc do czego tych słów odnieść. Dlaczego tak uparcie trzymam się tego, że ma to związek z poprzednią notatką? – roztrząsała. – I co dalej z tym zrobić? Iść na policję? Absurd! – Skarciła samą siebie. – Co powiem? «Panie komisarzu, przynoszę dysk, bo może powiąże to pan z Fripem? Mąż na pewno miał film z jakimś kompromitującym zachowaniem tego drania i dlatego ktoś poderżnął mu gardło... » – kpiła. – Jeśli założyć, że «174» to siedemnasty kwiecień – analizowała dalej – to może sprawa F. pojawiła się w papierach gdzieś wcześniej? Kiedy Frip zatrudnił Jacka? Albo kiedy po raz pierwszy rozmawiali? To jest kluczowe dla sprawy – zawyrokowała. – O ile F. to Frip, rzecz jasna – ostudziła własne emocje.

Postanowiła podjechać następnego dnia do kancelarii i przejrzeć segregatory leżące w pudłach. Nim przyjedzie Maria, może uda jej się dowiedzieć czegoś więcej, pomyślała. A może Henryk Frip wrócił jako klient, tym razem do Macieja Guziewskiego?

Rano, kiedy otworzyła drzwi gabinetu, zastała w nim swojego współnika. Na jej widok poderwał się z miejsca, pospiesznie założył marynarkę. Uśmiechnęła się, gestem poprosiła, by nie robił ceregieli. Akurat pił kawę, zapytał więc, czy może ją poczęstować. Był zaskoczony jej wizytą. Nic dziwnego, nieczęsto tu przychodziła.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia – zaczęła się tłumaczyć, siadając na fotelu – ale akurat znalazłam się w okolicy – skłamała – i pomyślałam, że najwyższy czas zrobić porządek z tymi kartonami. – Wskazała na pudła ustawione w rogu pokoju. – Zaglądał pan do nich?

– Nie, skąd! – zapewnił, lekko zaskoczony pytaniem.

– Tam są wyłącznie stare sprawy kancelaryjne. – Była pewna, że nie oparł się pokusie. – Jak sądzę, mają wartość wyłącznie antykwaryczną. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Chociaż, wie pan – tłumaczyła dalej – jeśli spędzało się w pracy tyle czasu, co mój mąż, łatwo można było zostawić w nich jakieś prywatne notatki... A jak tam pana sprawy? – zapytała.

– Pyta pani o kancelarię? – upewnił się, Ewa kiwnęła głową. – Jest paru nowych klientów. Nic skomplikowanego, na szczęście.

– Na szczęście? – zdziwiła się.

– W tym sensie, że bez ryzyka i długiej pracy – wyjaśnił wyraźnie speszony. – Pozwala mi to łagodnie osiąść w nowym miejscu – dodał.

– No tak, ma pan rację – przyznała. – A nie pojawiło się przypadkiem nazwisko Frip? Henryk Frip? Pytam, bo jego sprawę – tłumaczyła z udawanym spokojem – Jacek rozpoczął tuż przed śmiercią i ciekawa jestem, czy klient pozostał z nami, czy przeszedł do kogoś innego.

– Nie, na pewno nie spotkałem się z tym nazwiskiem – stwierdził.

– A pojawiło się może jakieś inne nazwisko na F? – drążyła.

– Jest Frąckowiak – powiedział.

– Czego dotyczy jego sprawa? – zainteresowała się.

– Spadku.

– Mogłabym spojrzeć?

– Oczywiście. – Podniósł się, by podać jej akta.

– Nie, nie – wstrzymała go. – Lepiej będzie, jeśli zrobi mi pan skany i prześle mailem.

– Jak pani sobie życzy – oświadczył.

Przyjrzała mu się uważnie. Dopiero teraz spostrzegła, że nie miał na sobie koszuli z krawatem, jak poprzednio, tylko biały podkoszulek. Zdziwiła ją ta zmiana, bo Macieja traktowała jak młodego służbistę, zawsze na posterunku i stosownie ubranego, oczywiście wedle własnego wyobrażenia tej stosowności. Był nieco staromodny, nad wyraz grzeczny, pilnujący swego miejsca w szeregu, jak to kiedyś sam określił. Nigdy też nie wdawał się z nią w żadną rozmowę, która nie dotyczyła spraw kancelarii, chociaż wiele razy próbowała wciągnąć go w dyskusję o literaturze, kinie czy choćby artykułach w prasie. Wykręcał się brakiem zainteresowań i wiedzy, twierdził, że czyta tylko to, co związane jest z prowadzonymi przez niego sprawami, ekonomią i polityką i że zawsze tylko tym się zajmował, chcąc być jak najlepiej przygotowanym do zawodu. Argumenty, że ludzie kultury też czasem potrzebują pomocy prawnej i choćby z tego powodu dobrze jest się orientować w ich świecie, kwitował przepraszającym uśmiechem. Tłumaczył, że to, czym się zajmuje, zabiera i tak mnóstwo czasu, a przecież trzeba jeszcze znaleźć go na sen czy spotkania z przyjaciółmi. O życiu prywatnym nie rozmawiał. Zmieniał temat, ilekroć próbowała go o nie podpytać.

– Pan dzisiaj mniej formalnie ubrany – zagadnęła, kiedy skończył skanować teczkę, o którą poprosiła. – Czyżby luźniejszy dzień?

– Faktycznie. – Uśmiechnął się nieco zakłopotany pytaniem. – Dziś dzień bez spotkań – wyjaśnił.

– Czyli nie będę panu przeszkadzać, jeśli usiądę w kącie i zacznę przeglądać te papiery? – Odwzajemniła się uśmiechem.

– Skądże! Jest pani u siebie – przypomniał jej.

– Dziękuję za kawę! – Wstała. – To w takim razie biorę się za robotę.

– Może pani pomóc? – zaproponował.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

Położyła poduszkę na podłodze, tuż przy pudłach, i odłożyła na bok wieko pierwszego. Sprawdziła przede wszystkim daty i nazwiska. Każdy segregator przeglądała jednak dosyć pobieżnie. Liczyła przede wszystkim na to, że skoro na dysku panował bałagan, to może i tu, między dokumentami, coś się przypadkiem zawieruszyło, jakaś kartka, która choćby w minimalny sposób rozjaśniałaby znalezione wcześniej notatki. Po trzech godzinach nie posunęła się w swoim śledztwie ani o milimetr. Wstała, rozprostowała zagniecienia na spódnicy, zaniosiła filiżankę po kawie do kuchni, dokładnie ją umyła. Przez chwilę zastanawiała się, co robić dalej. Zakładając płaszcz, poprosiła Macieję, aby w wolnej chwili zniósł pudła do piwnicy. Jeśli ma ochotę je przejrzeć, niech to zrobi – powiedziała – ale na pewno nie muszą zajmować miejsca na półkach w gabinecie.

„Chyba próbuję tworzyć teorie niemożliwe – uspokajała samą siebie po powrocie do domu. – Zginał i tyle. Widocznie komuś wydawał się łatwym łupem. Lubił świecić ludziom w oczy bogac-

twem. Drogie garnitury, zegarki, spinki... Niepotrzebnie łamię sobie nad tym głowę”.

Kiedy uspokoił się codzienny harmider, a po obiedzie i kolacji nie było już ani śladu, bo wszystko pomyła i pochowała, znowu usiadła do komputera. W skrzynce znalazła maila od Paco i papiery z kancelarii.

Paco, jak niemal codziennie, informował ją o tym, co dzieje się u niego i w Barcelonie. Dowiedziała się więc, że listopad przyniósł obniżenie temperatury o kilka stopni, ale nadal było ciepło i słonecznie, a jego koncerty świetnie się sprzedawały, pojawiły się nawet recenzje w prasie, bardzo pochlebne, a zespół został zaproszony do muzycznego programu w telewizji. Zwyczajowo pytał, co u niej. Zwyczajowo nie odpisała.

Jakoś nie umiała wyobrazić sobie początku listu, który powinna napisać, nie umiała przebrnąć przez powitanie, przez pierwsze zdania. Bo jak niby miałyby to wyglądać? *Querido Paco*⁵³, *Mi Amigo*⁵⁴ czy po prostu Paco? W żaden sposób nie oddawałoby i tak tego, jak o nim myślała. Nie chciała, by był jej znajomym czy przyjacielem, ale nie mogła też nazywać go tak, jak wtedy, gdy spędzali ze sobą dni i noce. A potem, co miałyby mu pisać? Że codziennie o nim myśli? Że żałuje tego, co się stało? Że chciałyby móc wymazać przeszłość? Nie znajdowała odpowiednich słów. Kilka razy próbowała i wszystko było nie takie, banalne, głupie, oschłe lub zbyt emocjonalne. Wolą więc milczeć. Może kiedyś nadejdzie taka chwila, że wszystko jeszcze naprawią.

⁵³ *Querido Paco* (czyt. klerido Pako) – drogi Paco, kochany Paco.

⁵⁴ *Mi Amigo* – mój przyjacielu.

Otworzyła skany z kancelarii. Niejaki Frąckowiak chciał unieważnić testament swojego ojca. Uznała, że to nie mogło mieć związku ze sprawą Jacka, to nie był ten F., którego szukała. Nie podrzyna się gardła prawnikowi z powodu testamentu.

Napuściła wody do wanny. Przypomniała sobie jedną z nocy z Paco, w El Raval, w ich Raju. Do dał wtedy do kąpieli płatków róż. Żółtych – takich, jakie zazwyczaj jej kupował. Płonęły świece, pili *cavę*, Pablo Alborán cicho śpiewał o miłości. Poprosiła, by do niej dołączył. Pierwszy raz tak się kochała – w miękkiej, pachnącej wodzie. Jego pieszczoty były delikatne jak ta unosząca się wokół nich piana, jak dźwięki, które ich otaczały... A zaraz potem powróciły do niej wspomnienia ich pierwszej wspólnej nocy. Kompletnie innej. W trakcie warsztatów, szalonej, kiedy uciekli z klubu i dała się zaprosić do jego hotelowego pokoju. Odkrywali siebie w rytmie tang śpiewanych przez Diega El Cigalę⁵⁵, gwałtownie próbowali nasycić nagle obudzoną tęsknotę. To jeszcze nie była miłość. Dziś myślała o tym jak o namiętności, która wybuchła wtedy niczym wulkan. Jedna noc na całe życie. Zachłanna, zbyt krótka... Ale były następne, już spokojniejsze. Jak pożegnanie rozpisane na kilka dni. Bo przecież nie planowała żadnego ciągu dalszego. Miały się skończyć warsztaty, miało się skończyć wszystko. To on, Paco, na to nie pozwolił. To on uruchomił całą tę lawinę...

⁵⁵ Diego El Cigala (czyt. diego el sigala) – właśc. Diego Ramón Jiménez Salazar (ur. 1968); jeden z najważniejszych współcześnie śpiewaków flamenco; karierę solową rozpoczął w 1994 roku. Międzynarodową sławę przyniosła mu płyta *Lágrimas negras* (Czarne łzy) z 2003 roku, która powstała przy współpracy z kubańskim pianistą Bebo Valdéssem. El Cigala chętnie łączy frazę flamenco z innymi stylami muzyki, na przykład z tangami.

„Jaka szkoda, że otworzyłam ten list. – Myślała teraz z żalem. – Błogosławieni nieświadomi... – Uśmiechnęła się smutno. – Ciągłe pamiętam smak jego pocałunków, jego dłonie na moich pierśsiach... – Pogładziła swoje ramię, jakby szukała dotyku Paco. Poczowała ucisk w gardle, zaszklily się jej oczy. – Nie, nie mogę tak – upomniała siebie ostro. – To już przeszłość. Nie mogę ciągle do tego wracać. Dość tego! – Potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć paprochów zaplątanych we włosy, przetarła dłońmi nasadę nosa, spojrziała uważnie na swoje odbicie w lustrze. – Koniec z tym – powtórzyła. – No dobrze. – Nagle zmieniła tok myślenia. – Ale co ja mam zrobić z tym dyskiem? Może jeszcze raz trzeba się przyjrzeć cyfrom i rachunkom, może coś mnie oświeci?”.

Tymczasem woda ostygła. W zimnej nie chciała się kąpać, wyciągnęła więc korek. Został jej, jak zwykle, szybki prysznic. Zdjęła z palca pierścionek od Paco, odłożyła na komodę. W pudełku obok leżał brylant od Jacka. Jakoś nie mogła się zmusić, by nosić go choćby przez chwilę. Wsuwała na palec i niemal natychmiast zsuwała. Jakby nie był na swoim miejscu, jakby parzył. Teraz też otworzyła pudełeczko, wyjęła pierścionek, popatrzyła na kamień i schowała z powrotem.

„Absurdalny, pośmiertny prezent – pomyślała ze złością. – Jak kula u nogi. Żebym nie zapomniała, że był. A przecież jego nie było. Nigdy... Cholerny drań”.

Za oknem śnieg rozjaśniał noc. Nie przestawał sypać, z każdą minutą gęstniał coraz bardziej. Ogród przypominał scenografię świątecznej opowieści dla dzieci. Wielkie, białe czapy przykrywały drzewa, gładka pierzyna rozpościerała się na tarasie i trawniku. Nastawiła budzik godzinę wcześniej niż zazwyczaj. Ranek zapowiadał się pracowicie: przed wyjazdem do szkoły będzie musiała zgarnąć to białe чудо z podjazdu...

„Ciekawe, co u Janusza? – pomyślała przed zaśnięciem. – Tak dawno się nie odzywał. I co u Marii i Pedra? Jutro muszę do nich napisać... – postanowiła.

Obudziła się uśmiechnięta. Całą noc wędrowała po śnieżnych polach razem z Paco. Nie pamiętała szczegółów, ale radość ją rozpierała, musiał to więc być piękny spacer. Kiedy zadzwonił budzik, akurat lepił wielkie kule, z dala od domów i ludzi, w szczerym polu, na horyzoncie majaczył las... Szybko wyskoczyła z łóżka, na piżamę wciągnęła dres i pobiegła odśnieżać dojazd do ulicy. Nim wstały dzieci, wypila jeszcze kawę. Mogła nie jeść śniadania, ale kawa z mlekiem była obowiązkowa. Wydawało jej się, że bez niej nie przebrnie przez żaden poranek.

Dziewczynki zdumiały się widokiem za oknem. Nie pamiętały już zimy sprzed roku, były przekonane, że tyle śniegu nigdy dotąd nie widziały. Dzień zapowiadał się piękny – mroźny i słoneczny, miały nadzieję, że po powrocie ze szkoły zdążą ulepić bałwana.

Kiedy je odwiozła, zadzwoniła do Janusza. Okazało się, że w jego życiu zaszły ogromne zmiany. Wydawać by się mogło, że półtora miesiąca to niewiele, a jednak zdążył sprzedać dom, przeprowadzić się do mieszkania, które wcześniej sobie upatrzył, i nawet kogoś poznać.

– Wiesz, ta jedna noc z tobą okazała się wyzwoleniem – wyznał. – Zrozumiałem, że wszystko ma swój czas. Nam może mogło się udać wtedy, na studiach, ale nie teraz. Uwolniłem się nareszcie od tego marzenia. No i uświadomiłem sobie, że samotność wcale mi się nie podoba. Spotkałem na swojej drodze wspaniałą kobietę. Bardzo chcę, byśmy byli razem do końca... Trzymaj kciuki, proszę.

Ucieszyła się. Pogratulowała mu. Ale chwilę później zrobiło jej się smutno. Trochę irracjonalnie. Bo na co liczyła? Że Janusz będzie adorował ją w nieskończoność, pomagał bez szemrania, czekał, aż zmieni zdanie? Potulnie i pokornie, nie myśląc o sobie? Bezwzględnie odrzuciła uczucie ofiarowane jej jak prezent. Odrzuciła człowieka, który chciał się nią opiekować. A teraz jej przykro, że znalazł sobie kogoś na jej miejsce? Że jednak nie była mu niezbędna do życia? I to ją zraniło? Przecież sama uznała, że mogą być tylko przyjaciółmi, nikim więcej! A przyjaźń to zdecydowanie za mało na związek, jak twierdziła... O co więc teraz ten żal?

Rozległo się pukanie do drzwi. Listonosz przyniósł paczkę. Serce zaczęło jej gwałtownie bić, kiedy podpisywała pokwitowanie odbioru. Prędko rozerwała zabezpieczenia i papier. W środku znalazła starannie zapakowane kastaniety. Bez sprawdzania adresata wiedziała, że to prezent od Paco. W środku nie znalazła ani jednego słowa. Jedynie te muszelki w pudełeczku. Ciężko usiadła na krześle przy kuchennym stole, zwiesiła głowę.

„Może czas wreszcie coś z tym zrobić? – pomyślała. – Żeby nie było jak z Januszem? Nic nie trwa

wiecznie, wszystko kiedyś się kończy...”.

Delikatnie wyjęła kastaniety z opakowania, zacisnęła sznurki na kciukach, poprawiła ich ułożenie w zagłębieniach dłoni, uderzyła. Prawa ręka, lewa, prawa, razem... Szło jej opornie, dawno już nie ćwiczyła, ale dźwięk był piękny, mocny i głęboki. Drewniane kastaniety, o jakich kiedyś marzyła. Raz jeden powiedziała o tym Paco, kiedy pozwolił jej skorzystać ze swoich. Grało się na nich trudniej niż na tych z fibry, wymagały większej siły uderzenia, ale ton, jaki się z nich wydobywał, był bez porównania piękniejszy. Z duszą, wibrujący, miękki. Ponownie spróbowała wystukać rytm – dźwięk poszybował daleko. Miała wrażenie, że słyszała go jeszcze długo po tym, jak odłożyła kastaniety na miejsce.

Patrzyła na nie przez chwilę, ponownie musnęła palcami ich gładką powierzchnię i zamknęła pudełko. Musiała jak najszybciej zająć się czymś innym, żeby znowu nie wybuchnąć płaczem. Wszystko zawiązało się w jakiś absurdalny węzeł. Niby można go rozwiązać, przeciąć, ale nie wiedziała, jak do tego się zabrać, każdy pomysł wydawał się niewłaściwy lub głupi.

Zajęła się obiadem, potem sprzątaniami, przez cały dzień nie włączała radia, żeby przypadkiem nie trafić na muzykę, która mogłaby skojarzyć się jej z Paco. Wieczorem postanowiła napisać do Marii, tej od Pedra. Nie kontaktowała się z nią od powrotu z Barcelony.

Przeprosiła za długie milczenie, opisała swoje kłopoty. Była ciekawa, gdzie teraz mieszkają, w Lizbonie, czy jednak wyfrunęli gdzieś daleko w świat, aby uczyć innych jak tańczyć tango. Ku jej zaskoczeniu po godzinie czytała maila od Marii. Pracowała znowu w szkole Diega Meneza w Barcelonie, zaraz po wakacyjnym kursie zaproponował jej całoroczny kontrakt. Z Pedrem się rozstała. Właściwie to on ją porzucił. Kilka dni po powrocie do Lizbony poznał na milondze pewną Angielkę; wykupiła u niego lekcje indywidualne i tak jej się spodobały, że zabrała go ze sobą do Londynu, by doskonalić swój taniec w warunkach bardziej sprzyjających nauce, jak relacjonowała to teraz Maria...

Zawsze chciał tam wyjechać – tłumaczyła w liście. – trafiła się okazja, więc skorzystał. Zawsze też mówiłam Ci – pisała dalej – że tyle nas, ile miłości między nami. Skoro stwierdził, że kocha inną, nie było sensu przekonywać go, by nie odchodził. Bolało. Jak jasna cholera, bolało...

Cieszę się, że mogłam szybko wyjechać z Lizbony. Cieszę się, że kiedy Diego zaproponował mi pracę i usłyszał, że jestem już bez pary, nawet słowem nie zapytał o Pedra. Powtarzał, że chciał, abym to ja uczyła, a czy będę to robić sama, czy z kimś – to go nie obchodzi. Potwierdził tym moją wartość. I za to jestem mu wdzięczna. Bo to oznacza, że będąc z Pedrem, nie zatraciłam siebie. A na tym, jak wiesz, zawsze zależało mi najbardziej... Mieszkam w pobliżu szkoły. Pokój z kuchnią. Jeśli chciałabyś mnie odwiedzić, zapraszam. Zmieścimy się. Choć będziesz musiała spać ze mną w jednym łóżku. Niczym to jednak ci nie grozi, zapewniam. Jesteś piękną kobietą, ale nadal wolę mężczyzn. To co, przyjedziesz?

– Barcelona, mój Boże, jak bardzo chciałabym znów się tam znaleźć – westchnęła. – Jeden dzień i tyle rewelacji! – Uprzytomniła sobie po chwili. – Ale już chyba nic więcej? Jeszcze tylko Maryni brakuje do kompletu. – Uśmiechnęła się, spojrzała na zegarek. – Nie. – Odetchnęła z ulgą. – To już godzina duchów. Wszyscy na pewno śpią.

Rozdział IX

GOŚKA

O d dwóch tygodni nie miała żadnych wieści od Ewy. Nie pojawiała się na zajęciach z flamenco, nie odbierała telefonów, nie reagowała na esemesy. Wiedziała, co prawda, że gdyby rzeczywiście działo się coś złego, zadzwoniłyby do niej Ola lub Ania – tak, jak się kiedyś umówiły – ale jednak ta martwa cisza nie dawała jej spokoju. Wiadomo: dzieci to dzieci, mogą źle oceniać sytuację. Już dawno powinna była znaleźć kilka godzin, by pojechać do nich na drugi kraniec miasta i sprawdzić, czy aby na pewno wszystko jest w porządku. Wyrzuty sumienia męczyły ją coraz bardziej. W końcu, po kolejnej bezowocnej próbie dodzwonienia się, klnąc pod nosem, bo ostatnio na wszystko jej brakowało czasu i zmęczenie niemal zwała ją z nóg, wsiadła do taksówki.

– Co się dzieje?! Chorujesz? Wydzwaniam do ciebie, a ty nic, zero reakcji! Nie było cię na zajęciach... – wyrzuciła z siebie, ledwo Ewa otworzyła drzwi.

– Przepraszam, byłam bardzo zajęta – usłyszała zdumioną tym wybuchem przyjaciółkę.

– Ale coś się stało? – Gośka próbowała opanować emocje.

– I tak, i nie.

– Możesz mówić jaśniej?

Weszły prosto do salonu. Gośka rzuciła kurtkę na kanapę, sama usiadła w fotelu. Nie spuszczała wzroku z Ewy. Czekala w napięciu, aż ta zacznie mówić. Ewa krążyła niespokojnie między oknem a kominkiem, zastanawiając się, jak opowiedzieć o wydarzeniach ostatnich dni.

– Jakiś czas temu – zaczęła w końcu – kiedy przygotowywałam kancelarię do remontu, za półkami znalazłam sejf...

– Co? – wyrwało się Goście. – Sejf? Jak w filmie?

– No, właśnie – podchwyciła Ewa – jak w filmie. A w środku, jeszcze bardziej jak w filmie, pierścionek z brylantem...

– Drugi brylant? – Gośka znów jej przerwała.

– Tak, drugi – potwierdziła. – I dysk do komputera – kontynuowała. – O dużej pojemności. A na nim, między innymi, dziwne notatki Jacka. – Na chwilę umilkła, szukając kolejnych słów, usiadła w fotelu. – Przez ostatnie dwa tygodnie próbowałam zrozumieć ich sens – tłumaczyła. – Pochlonoło mnie to bez reszty. Przekopywałam się przez wszystkie foldery, a było ich naprawdę dużo, grzebałam w starych papierach w kancelarii...

– I co? Udało się? Coś znalazłaś? – Gośka chciała jak najszybciej wszystkiego się dowiedzieć.

– Nie – stwierdziła krótko Ewa. – Zmarnowałam czas. Nic więcej.

– Ale... czego dotyczyły te notatki? – Gośka próbowała zrozumieć coś z tego, co usłyszała.

– No właśnie nie wiem – przyznała Ewa. – Wydawało mi się, że jedna jest groźbą... – Zawiesiła głos. – Wszystko jest takie enigmatyczne... Jacek napisał, że ktoś będzie go próbował w coś uwikłać,

że czuje smród i że za późno, by się wycofać. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Nie wiem, co kryje się pod trzema inicjałami, które pojawiły się w jego notatce, nie wiem nawet, czy litery oznaczają ludzi. W jednym miejscu wspomniał o nagraniu, że jest coś takiego. Ale jakie nagranie? Film czy dźwięk? Nie wiem! Znalazłam też jakieś cyfry. Bez opisu. Nie jestem w stanie złożyć tego wszystkiego do kupy. Nie wiem, czy w ogóle należą do jednej układanki, czy może są zupełnie niezwiązane z tą sprawą. Zasugerowałam się datą, bo pierwsza notatka, ta z groźbami, była utworzona na miesiąc przed śmiercią Jacka. A ten, który próbował go w coś wpakować, został nazwany F. Tą literą zaczynało się nazwisko faceta z ostatniej sprawy, jaką Jacek się zajmował... No i nie potrafię jakoś uwierzyć w ustalenia policji – dodała.

– I zupełnie na nic nie wpadłaś? – Gośka niedowierzała.

– Marynia powiedziała mi tylko, że Frip, ten ostatni klient, prowadził szemrane interesy, nawet burdele, i że ona Jackowi radziła, by trzymał się od niego z daleka... – Zamilkła. – Ech... – Wzruszyła lekceważąco ramionami. – Naoglądałam się chyba za dużo filmów.

– Ale może policja umiałaby coś z tym zrobić? – Gośka podrzuciła.

– Nie chcę już grzebać w tym wszystkim – oświadczyła stanowczo. – Kto wie, co przy okazji mogłoby wyjść na jaw? Prawdę mówiąc, bardziej od tego dysku dziwi mnie sejf. Czy robi się skrytkę dla skanów starych spraw?

– W filmach zwykle w sejfach trzyma się nielegalną gotówkę, broń i biżuterię. – Gośka się uśmiechnęła.

– No właśnie! – przytaknęła. – I z filmów wynika, że lepiej czasami wiedzieć mniej niż więcej... – Wstała, kończąc tym samym tę rozmowę. – To co, napijemy się czegoś? – zaproponowała.

– Po czymś takim nie mam ochoty na herbatę, tylko na wódkę lub wino! – Gośka nie mogła ochłonąć. – A co słyhać u Paco? – zapytała. – Ciągłe pisze?

– Pisze – potwierdziła Ewa. – A dziś przysłał mi nawet prezent...

Na stole pojawiły się butelka riojy i pudełko z kastanietami. Gośka uśmiechała się w duchu, słuchając kolejnych opowieści Ewy, bo jej plan miał coraz większe szanse na realizację. Wiedziała, że musi jeszcze chwilę poczekać, aż tęsknota zacznie przyjaciółce mocniej doskwierać – wtedy nie będzie zbyt wiele pytań, tylko zgoda na każdy pomysł, który zawiedzie je do Hiszpanii.

Wróciła do domu lekko wstawiona i szczęśliwa, że czeka na nią Artur. Oczywiście, opowiedziała mu o sejfie Jacka i o kastanietach od Paco. Był tego samego zdania co Ewa, że o wyjaśnieniu zagadki lepiej zapomnieć. Kastaniety uznał za dobry znak, poradził, by o wyjeździe zacząć myśleć bardziej konkretnie i na przykład ustalić jakąś datę.

Było stosunkowo wcześnie, wieczór dopiero się zaczynał. Nie chciało jej się siedzieć w domu. Zaproponowała spacer. Stary śnieg jeszcze nie stopniał, nowy właśnie zaczął prószyc, chodniki pokryła świeża warstwa puchu. Płatki wirowały, zakręcały, błyszczały w świetle ulicznych lamp, zachwycały swoimi kształtami. Opatuleni szalikami, wtuleni w siebie, niespiesznie pomaszrowali w stronę Starego Rynku. Gośka wynajmowała mieszkanie przy Kazimierza Wielkiego. Wystarczyło dojść do Garbar i już po paru minutach można było krążyć wokół Ratusza albo usiąść w którejś knajpce. Jak w każdą sobotę, spotkali kilku znajomych. Z dwójką dawno niewidzianych wybrali się na piwo do „Brovarii”. Rozmowa zeszła na tematy piłkarskie, które Gośkę zupełnie nie interesowały. Milcząc, przyglądała się Arturowi. Lubiła obserwować, jak zmienia się jego twarz w zależności od emocji, które próbował ukrywać. Śmiała się, że zawodowym kłamcą nigdy nie mógłby zostać, z jego mimiki dawało się wszystko wyczytać. A jeśli próbował nad nią zapanować, to komunikację przejmowały oczy, więc cały wysiłek i tak szedł na marne. Teraz, z uśmiechem, obserwowała, jak żywo gestykulując, opowiada o niedawno widzianej w telewizji sytuacji boiskowej i bawiła się w budowanie

własnej narracji, zupełnie oderwanej od toczącej się rozmowy.

Ludzi przybywało, gwar narastał. Siedzieli przy małym stoliku tuż przy wejściu do baru, co chwila ktoś nad ich głowami wykrzykiwał zamówienie, niechący szturchał albo opierał się o ich plecy. Stwierdzili, że łatwiej będzie rozmawiać na zewnątrz, zostawili więc niedopite piwa i wyszli. Tymczasem padający śnieg przypominał pierze wysypujące się z rozdartej poszewki, zakrywał świat jak firanka. Na ubraniach tworzył zwały, wpadał do oczu. Jednych cieszył, innych irytował. Pospiesznie pożegnali się ze znajomymi i wrócili do domu. Zima to nie był ich żywioł.

Rano słońce zmieniło śnieżną otulinę w brudne błoto. Zamiast białych śnieżynek na głowy kapąła woda z dachów. Ludzie szli po bułki i do kościołów, ostrożnie posuwając się w śliskiej brei. Dopiero koło południa dozorca oczyścił chodniki, a spychacze zepchnęły na pobocza udeptane i rozjechane pozostałości śniegu. Miasto zszarzało, zbrudniało, zbrzydło, mimo świecącego słońca. Nie chciało się wychodzić na zewnątrz. Postanowili spędzić ten dzień w piżamach. Artur zrobił śniadanie – najlepszą na świecie jajecznicę, jak zwykła mawiać Gośka. A potem wrócili do łóżka i... do książek. Na nic innego nie mieli ochoty. Czasami czytali na głos jakieś fragmenty swoich powieści, poza tym nic nie mąciło ciszy. Leniwy dzień bez spoglądania na zegarki.

Wstali dopiero, kiedy za oknem rozpostarł się wieczór. Nie było specjalnie późno. Wiadomo, w listopadzie ciemno robi dosyć wcześnie. Lodówka świeciła pustkami, musieli więc wyjść na dwór – w tę „rozmiękłą” pogodę, wymuszającą ostrożne stawianie kroków. Powolutku, szurając butami, wpatrzeni w chodnik, powędrowali w kierunku Placu Kolegiackiego. W „Republice Róż” zamówili sałatki z grillowanym kurczakiem i grecką fetą, uśmiechami odpowiedzieli na powitania kilkorga znajomych, ale bez zachęcania ich do tego, by dosiedli się do nich choćby na chwilę. Mieli ochotę na milczenie, na niedzielę bez wysiłku. I tak mijał im ten szaro-bury czas...

Pod koniec następnego dnia Gośka zadzwoniła do Paco. Chyba go obudziła, bo odezwał się lekko zaspanym głosem, ale twardo zaprzeczał jej podejrzaniom.

– O takiej godzinie w łóżku mogę być tylko z jednego powodu – tłumaczył z wymuszonym śmiechem. – Jak się jednak domyślasz, od jakiegoś czasu żyję niczym mnich, przestrzegam celibatu. Z kobietami co najwyżej pijam kawę.

– Kto cię tam wie? – Gośka zażartowała złośliwie. – Wtedy też zaklinałeś się, że kobiece wdzięki interesują cię tylko w jednym, konkretnym wydaniu.

– Dzwonisz, żeby robić mi wykład? – uciął.

– Nie, Boże uchwaj! – zastrzegła się. – Dzwonię, by się upewnić, czy nadal chcesz spotkania z Ewą – wyjaśniła. – Bo jeśli tak, to trzeba ustalić datę i zacząć konkretne przygotowania.

– Rozmawiałaś z nią? – zainteresował się.

– Tak, choć nie o tobie – przyznała. – Ale przedwczoraj pokazała mi prezent od ciebie. Kastaniety to było dobre posunięcie – pochwaliła. – I muszę ci powiedzieć, że coraz bardziej tęskni za Hiszpanią.

– Ale nie za mną – zauważył ponuro.

– Tego to nie wiem – stwierdziła. – Nadal ma jednak na palcu pierścione od ciebie. Gdyby chciała zapomnieć, nie nosiłaby go. Zresztą, ja nie obiecywałam być twoim adwokatem – przypomniała – tylko doprowadzić do waszej rozmowy. To na kiedy mam ją planować? – wróciła do właściwego tematu.

– Najlepsza byłaby pierwsza połowa stycznia – uznał po namyśle. – W szkole mam wtedy mało pracy i żadnych koncertów – wytłumaczył.

– Dobra. Spróbuję znaleźć tanie bilety.

Od razu usiadła do komputera. W ciągu pół godziny bilety do Girony były zabukowane. Miały tam wylądować w nocy, postanowiła więc, że przenocują w mieście i spędzą w nim następny dzień, bo jak dotąd nigdy nie miała okazji go zwiedzić, a wszyscy, którzy to zrobili, powtarzali, że warto, używając przy tym określeń typu: „cacuszko”, „bombonierka”, „niezwykłe”; dopiero nazajutrz pojedą pociągiem do Barcelony.

Wyszukanie noclegów było bardziej czasochłonne. Chodziło o korzystną cenę i możliwie najdogodniejszą lokalizację – w Gironie najlepiej blisko starówki, w Barcelonie zaś blisko centrum. Spędziła nad tym resztę wieczoru, ale znalazła to, czego szukała. Pierwszy hotel był usytuowany w połowie drogi między dworcem kolejowym a Dzielnicą Żydowską, drugi – tuż przy Operze. Dwie noce w Gironie, cztery w Barcelonie. Od razu też wysłała wiadomość Paco, by zarezerwował sobie czas od dwunastego stycznia.

„Sprawa jest prosta – pomyślała. – Spotkamy się na kolacji i... niech się dzieje wola nieba... – Zaśmiała się. – Najważniejsze, że wszystko już zarezerwowane”.

Ewa wróciła do dawnej aktywności, spotykały się więc znów regularnie, dwa razy w tygodniu, w szkole flamenco, a potem starym zwyczajem siadały w pobliskiej kawiarni. Rozmawiały o Arturze, o siostrze Ewy, która zjechała do niej na dłużej i nie kryła chęci zamieszkania z nią na stałe. Ewa z jednej strony obawiała się nadopiekuńczości Marii, z drugiej przyznawała jej rację, że pieniądze ze sprzedaży rodzinnego domu mogłyby zainwestować w coś, co przyniosłoby im radość i zapewniło niezależny byt. Maria miała wielką ochotę rozstać się z firmą, w której spędziła niemal całe swoje zawodowe życie... Gośka od czasu do czasu opowiadała o hiszpańskim projekcie, do którego rzekomo się przygotowywała. Uważnie obserwowała przy tym Ewę i widziała, że oszczędne dawkowanie informacji dobrze służyło planowanej intrydze. Słowo „Barcelona” niezmiennie wywoływało pożądaną reakcję: jej oczy nabierały specyficznego blasku.

Barcelona w opowieści snutej przez Goškę miała być jedynie miejscem przesiadkowym w drodze do Madrytu. Na zdziwione pytanie Ewy o to, dlaczego nie leci tam bezpośrednio, na przykład z Warszawy albo Berlina, odpowiadała – zgodnie z prawdą – że chce zahaczyć o Gironę, bo sporo o niej czytała i wie, że jest tam najlepiej zachowany w Europie El Call⁵⁶, a ją ten temat bardzo interesuje. W Madrycie miała spędzić kilka dni: przedpołudnia służbowe, popołudnia „lajtowe” – Artur opracowywał już plany wycieczek, nie mogli się doczekać wyjazdu. Ewa zaczęła powtarzać, jak bardzo im zazdrości, jak tęskni za Hiszpanią. Któregoś dnia wspomniała nawet o swojej znajomej z Lizbony, która zamieszkała w Barcelonie i zapraszała ją do siebie. Gośka uznała, że to dobry moment na wcielenie w życie drugiego etapu intrygi. W połowie grudnia zebrała się na odwagę.

⁵⁶ El Call (czyt. el kaj) – dosłownie: Dzielnicą Żydowską.

– Wiesz, Ewciu – zaczęła ze smutną miną, kiedy znowu usiadły w swojej ulubionej kawiarni po zajęciach z flamenco – Artur jednak nie może lecieć ze mną do Madrytu...

– Jak to? – Ewa się zmartwiła.

– Cofnęli mu urlop.

– I co teraz?

– Nie wiem. Biletów, co prawda, jeszcze nie wykupiłam... – skłamała. – Ale ten wyjazd miał sens dlatego, że sporo czasu pozostawało na zwiedzanie. Wiesz, Girona i tak dalej... – zarzucała przynętę. – W Madrycie wszystko mieliśmy już zaplanowane... – Zamilkła.

– Ale sama przecież też możesz zwiedzać. – Ewa próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

– Pewnie, tylko że to nie to samo! A może... – zwróciła się do Ewy, jakby nagle przyszła jej

do głowy genialna myśl – może ty byś poleciała zamiast niego? Pomyśl: ty i ja, jak za dawnych czasów! – Coraz bardziej zapalała się do tego pomysłu. – Sprawy służbowe zajmą mi tylko kilka godzin z rana – przekonywała – a potem cały Madryt dla nas...

– Sama nie wiem... – Ewa odpowiedziała niepewnie, ale widać było, że pomysł jej się spodobał. – Nie wiem co z dziećmi... Musiałabym jakoś to zorganizować. – Widać było, że myśli intensywnie. – Tydzień to długo... Do kiedy musisz znać odpowiedź? – zapytała w końcu.

– Najlepiej jeszcze dzisiaj. – Gośka kuła żelazo, póki gorące. – Samolot trzeba zarezerwować jak najszybciej.

Wiedziała, że ten etap zakończy się sukcesem. Ewa dała się skusić, to pewne. Dwie godziny później, kiedy siadała do kolacji z Arturem, miała – zgodnie z przewidywaniami – jej zgodę na zakup biletów lotniczych. Od razu zadzwoniła do Paco, by szykował się na spotkanie i rezerwował stolik w restauracji.

Nic więcej w tej sprawie nie mogła już zrobić: albo polecą gromy na jej głowę, albo usłyszy podziękowania. Rozlała wino do kieliszków.

– Niech się dzieje wola nieba... – powiedziała z uśmiechem i wzniosła toast za powodzenie misji.

Rozdział X

MARIA

Tym razem wyprawa do Poznania wymagała większych przygotowań. Jechała na miesiąc i zabierała ze sobą psa. Pociąg nie wchodził w grę, oddała więc samochód na przegląd do zaprzyjaźnionego mechanika. Pochłonęło to trochę oszczędności, bo wymienił wszystko, co mogło odmówić posłuszeństwa, ale miała pewność, że w najbliższym czasie z jej autem nie stanie się nic nieprzewidzianego. Zapakowała do bagażnika to, co mogło się przydać, na tylnym siedzeniu przygotowała miejsce dla Bora, z przodu umieściła transporter z lekko wystraszoną, popiskującą, szaroburą kulką, pozamykała wszystkie drzwi, zostawiła zapasowe klucze u najbliższych sąsiadów, włączyła alarm w domu i ruszyła w drogę.

Szczęśliwie śnieg zdążył już stopnieć, od kilku dni utrzymywała się plusowa temperatura, podróż zapowiadała się więc dobrze. Kociak w końcu usnął w kącie klatki, wtulony w zrulowany kocyk, Bor spokojnie drzemał na swoim miejscu. Jedyne, co się zmieniało, to muzyka z kompaktów – po kolei wrzucała do odtwarzacza płyty ze stosika ułożonego na przednim fotelu. Muzyka poważna mieszała się z jazzem, ten z rytmami latino, które pobudzały ją lepiej niż kawa.

– Żadnej polityki do końca roku – powtarzała co jakiś czas, jakby uczyła się tej frazy na pamięć. – Żadnego radia, żadnej telewizji. Książka i Ewa. I ewentualnie komedie w kinie. Nic więcej!

Jechała niespiesznie, z uśmiechem przepuszczała wszystkich, którym chciało się ją wyprzedzać, wzruszała ramionami, kiedy ktoś gestem pokazywał, co myśli o jej lekko spacerowym tempie. Trochę dziwiła się sobie samej, że zupełnie przestało ją obchodzić, co sądzą o niej inni. Ten miesiąc miał być czasem spokoju, dopieszczania siebie, relaksu na każdym możliwym poziomie. I wyglądało to tak, jakby przyjęte postanowienie uruchomiło jakiś wewnętrzny guziczek z napisem „0”: zero napięcia, zero stresu, zero zdenerwowania. Nawet wtedy, kiedy na stacji benzynowej jakiś krewki kowboj z audi, mający pretensje do wszystkich o wszystko, patrząc z pogardą na jej wysłużonego peugeota, nazwał ją „jeżdżącą biedą” i „starą cipką”. Uśmiechnęła się, spojrzała z ostentacyjnym zainteresowaniem na jego auto i poradziła, by umył koła, bo coś się do nich przykleiło, robiąc przy tym minę, jakby do jej nozdrzy dotarł niemiły zapach, po czym pojechała dalej.

– Ale cham! – mruknęła tylko pod nosem, kiedy włączyła się w normalny ruch na drodze. – Tak to jest, kiedy awans społeczny przychodzi zbyt nagle. Ciekawe, czy tak samo rozmawia z własną matką lub żoną? Pieprzyć to! – syknęła i gwałtownie podkreśliła głośność w odtwarzaczu.

Wiosna Vivaldiego dosłownie wybuchła w samochodzie, odrobinę ściszyła więc muzykę. Zerknęła w lusterko, by sprawdzić, co słyhać u Bora, pomyślała, że musi ponownie się zatrzymać, tym razem ze względu na niego. Po kilkunastu minutach zjechała na pusty, przydrożny parking. Pogoda nadal dopisywała. Założyła kurtkę, wyciągnęła psa z wozu i poszli ścieżką w głąb lasu na spacer. Resztki śniegu można było dostrzec w zagłębieniach ziemi i pod krzakami. Wyglądały jak porzucona wata cukrowa. Pachniało wilgocią. Spojrzała na komórkę. Wyświetlała się informacja o nieode-

brany połączeniu od Ewy. Oddzwoniła. Siostra chciała wiedzieć, czy zdąży do nich na obiad. Było to możliwe pod warunkiem, że nieco przyspieszy. Kiedy więc Bor ponownie ułożył się na swoim miejscu, wcisnęła mocniej pedał gazu.

Niestety, na drodze zrobiło się gęsto od TIR-ów i innych aut dostawczych, których nie dało się łatwo wyprzedzić i na obiad przyjechała mocno spóźniona. Nikomu jednak nie przyszło do głowy szybkie odgrzewanie jedzenia, bo powszechną uwagę skupił na sobie nastroszony prezent w transporterze. Wszyscy zakochali się w nim od pierwszego wejrzenia. Przez dobrą godzinę zastanawiali się nad imieniem, a w końcu zgodzili się, że Gata pasuje najlepiej. Maria obiad zjadła na kolację. Domowy harmider przedłużył się poza zwyczajowe granice. Kiedy wreszcie wszystko ustało i mogła usiąść sam na sam z Ewą w salonie, było już po dziesiątej i nie chciało się jej za bardzo gadać. Ale i tak padło pytanie, którego zresztą się spodziewała:

– Co z Janem?

– Nic – odpowiedziała, mając nadzieję, że ciągu dalszego nie będzie.

– Kiedy wraca? – Ewa najwyraźniej chciała więcej wiedzieć.

– Nie wraca – odparła lakonicznie.

– Jak to nie wraca? – Siostra się zdziwiła. – Musi być ci ciężko – stwierdziła po chwili.

– Ciężko? – Maria zastanowiła się przez chwilę. – Nie, raczej dziwnie – uznała. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że nie był gotowy na nasz związek, że cały czas czekał na jakiś sygnał od tej swojej ekszony...

– To po co zawracał ci głowę? – zapytała rozsądnie Ewa.

– To chyba była desperacja... – Maria zaśmiała się nerwowo. – Może miał nadzieję? – dodała poważnie. – Nie wiem, kto tam z kim zerwał i dlaczego – przyznała. – Nie pytałam. Uważałam, że nie wypada – tłumaczyła. – Zresztą, gdybym zapytała, on miałby prawo oczekiwać podobnych zwierzeń ode mnie, a ja zupełnie nie miałam na to ochoty. «Przyjdź do mnie bez przeszłości», zawsze to powtarzałam i nadal wierzę, że tylko tak można budować coś nowego, stare trzeba odciąć grubą kreską... – Zamyśliła się. – Uwierzyłam, że warto jeszcze raz spróbować – kontynuowała po chwili. – Myślę, że za krótko był sam. Że nie przeszedł przez czas żałoby. To było takie... – zastanowiła się – rozmyślnie zarzucanie zbyt lekkiej kotwicy. Jakby liczył, że mocniejszy wiatr bez trudu tę jego łódkę pociągnie z powrotem na głębszą wodę. No i tak się stało. A może – snuła dalej – po prostu potrzebował innej kobiety? Całkowicie mu podporządkowanej? Takiej do zaopiekowania? Choroba pomogła. Poczul się potrzebny, niezastąpiony... – zawyrokowała. – Kiedy się spotykaliśmy, często powtarzał, że ma problem z podjęciem decyzji, gdzie żyć. Tu, w kraju, czy gdzie indziej. Ja byłam tylko przystankiem na drodze – stwierdziła. – Miejscem na lekką kotwicę.

– Nie mów tak! – Ewa ostro zareagowała. – Nie deprecjonuj siebie!

– Ależ nie deprecjonuję! – Maria się uśmiechnęła. – Po prostu racjonalnie oceniam to, co się wydarzyło.

– A jeśli wróci?

– Chyba nie sądzisz, że pozwolę sobie na kolejną rewolucję? – powiedziała. – Poza tym... na pewno nie wróci.

– Skąd wiesz?

– Intuicja – stwierdziła, podnosząc się z fotela. – Tak mi podpowiada. I zwykle nie zawodzi. Poza tym, mam inny pomysł na życie. – Uśmiechnęła się. – Ale o tym kiedy indziej, dziś nie mam już siły.

Faktycznie, poczuła się bardzo zmęczona. Nie tyle podróżą, ile tym wszystkim, co wypełniało jej ostatnie miesiące, od nieoczekiwanej wizyty Jacka aż do teraz. Każde z tych zdarzeń było ogrom-

nym stresem i klęską. I to, że nie udało jej się odwieść szwagra od interesów z Fripem, i jego śmierć, i cała historia z Janem. Nawet przelotne związki Ewy, kompletnie nietrafione, o których dowiadywała się w międzyczasie, osadzały się na niej jak ołowiany nalot, coraz bardziej ciężąc. Miała poczucie winy, że jako starsza siostra nie uchroniła jej przed błędami. Ciągle czuła się za nią odpowiedzialna.

– No właśnie – przypomniała sobie. – Nie zapytałam Ewy o jej śledztwo! Ile spraw jest do obgadania, mój Boże... – westchnęła.

Sen nie przychodził. Zeszła na dół zobaczyć, jak pies miewa się w nowym miejscu. Cicho pochrapywał rozwalony na posłaniu, więc chyba było mu dobrze. Kociak wylądował w pokoju u jednej z dziewczynek, zapewne leżał teraz na łóżku wśród lalek i pluszowych misiów. Usiadła w salonie, naląła sobie lampkę koniaku. Na półce z płytami zauważyła czerwone pudełko z napisem „Jale. Castañuelas Profesionales”⁵⁷, otworzyła je. W środku leżały brązowe kastaniety. Wcześniej ich u Ewy nie widziała. Musiał być to całkiem świeży nabytek.

⁵⁷ *Jale. Castañuelas Profesionales* (czyt. Hale. Kastaniuelas Profesionales) – nazwa zakładu wytwarzającego profesjonalne kastaniety.

„Czyżby prezent od Paco? – pomyślała. – Ach, ta moja siostra... – Nagle wezbrała w niej fala współczucia. – Życie tak ją skopało! Przydałby się jej taki Janusz. Przewidywalny, spokojny, porządnym człowiek... A mnie? – przyszło jej do głowy. – Nie, ja już dziękuję.

Dopiła koniak i stanęła w oknie, by popatrzeć jeszcze na ogród i niebo. Księżyc przybrał się w „lisią czapę”. Wiedziała, że coś to znaczy, ale nie umiała sobie przypomnieć, czy to zapowiedź mrozu, czy czegoś wręcz odwrotnego. Z meteorologią zawsze była na bakier i chociaż zaprzyjaźnione pogodyńki wiele razy tłumaczyły jej sens różnych zjawisk, prądów i barów, kompletnie nie potrafiła tego zapamiętać. Twierdziła, że przynajmniej dzięki temu życie dostarcza jej niezbędnej porcji niespodzianek, a te dobrze wyrównują ciśnienie.

„Pierwsza noc w nowym miejscu – pomyślała, wracając do pokoju. – Zawsze do kitu”.

Sięgnęła po karafkę z wodą, wyjęła z walizki saszetkę z lekami, wysypała wszystkie na komodę, chwilę je przeglądała, w końcu wydlubiła z listka jedną pastylkę i połknęła ją.

„Może teraz uda się mi zasnąć... Adam... – Niespodziewanie przypomniała sobie swojego pierwszego chłopaka i poczuła się szczerze zaskoczona tym wspomnieniem. – Ile miałam wtedy lat? Siedemnaście? Zakochałam się w nim po uszy, a on – uśmiechnęła się smutno – spotykał się ze mną tylko po to, by być bliżej Iwony. Zawsze druga. Taka karma...

Kot okazał się doskonałym pomysłem. Ania i Ola miały zajęcie, a one w miarę spokojne popołudnia. Rano, na zmianę z Ewą, odwoziła dziewczynki do szkoły, poza tym robiła to, co zaplanowała. Codziennie więc siadała na kilka godzin do komputera i pisała. Książka regularnie powiększała się o kolejne strony. Tak dobrze dawno jej się nie pracowało. Cieszyła się, że ma pod ręką Ewę, bo jeśli trafiała na jakieś wątpliwości związane z flamenco, mogła liczyć na szybką pomoc; siostra była zdecydowanie lepszym ekspertem w tych sprawach. Przede wszystkim tańczyła. Bywało więc tak, że Maria prosiła ją o pokazanie jakichś kroków czy kawałka choreografii; miała nadzieję, że tak tworzone opisy będą wartością dodaną powstającej historii.

Po obiedzie gromadnie siadały do lekcji; szybko im to szło, bo zgodnie z umową, dopiero po odrobieniu zadań dziewczynki mogły bawić się z Gatą. Jeśli Ewa nie wychodziła na zajęcia z flamenco, spędzały czas przy lampce wina, rozmawiając o przeszłości i przyszłości. Przede wszystkim przeanalizowały jeszcze raz znalezisko z sejfu. Długo zastanawiały się nad tym, co mogą znaczyć litery, cyfry, wszystkie te tajemnicze sformułowania. Na myśl przychodziły im seksafery, narkotyki

i hazard. Tylko że żadna z tych rzeczy nie pasowała do Jacka. Był draniem, po rozstaniu z Ewą zmieniał kobiety jak rękawiczki, być może wcześniej także, ale jednak trudno byłoby im uwierzyć, że mógłby wplątać się w takie afery. Jasne, wiedziały, co działo się wszędzie wokół, media co chwila ujawniały skandale z powszechnie dotąd szanowanymi i – jak się wydawało – moralnie nieskazitelnymi ludźmi, ale Jacek zwyczajnie się w tym kręgu nie mieścił. Najbardziej prawdopodobnym motywem jego śmierci wciąż pozostawała kradzież portfela i zegarka. Choć z drugiej strony, czy żeby kogoś okraść, trzeba mu podźrynąć gardło? Jednego były pewne: te trzy notatki nie pojawiły się na dysku przypadkiem, musiały mieć jakieś znaczenie i sens, uznały jednak, że teraz mogą jedynie czekać, aż los sam rozwiąże tę zagadkę, pewnie kiedyś w końcu podrzuci im do niej klucz.

Do przedyskutowania pozostawał ważniejszy problem, pośrednio związany z Jackiem. Maria przyjechała przecież do Poznania nie tylko po to, by spędzić z Ewą miły miesiąc, ale i po to, by przekonać ją do sprzedaży, albo wynajęcia, rodzinnego domu, połączenia sił oraz środków, i stworzenia biznesu, który sprawiałby im obu radość. Pewnego dnia, przy porannej kawie, kiedy były same, zapytała Ewę wprost, co myśli o pozbyciu się spadku.

– Cały ten dom – tłumaczyła – jest na mojej głowie. Ciebie właściwie on nie obchodził, odkąd zamieszkałaś tutaj, w Poznaniu...

– Bo w tamtym domu – wtrąciła Ewa – dopadały mnie koszmary.

– Co takiego? – Maria była zaskoczona. – Jakie koszmary? O czym ty mówisz?

– Będziesz się śmiać – odparła. – Pamiętasz serial o Belfegorze⁵⁸?

⁵⁸ *Belfegor – upiór Luvru* w reż. Claude'a Barmy'ego – czteroodcinkowy serial z 1965 roku; swego czasu bił rekordy popularności; w obsadzie aktorskiej znaleźli się m.in.: Juliette Gréco, Christine Delaroche, Yves Rénier, René Dary.

– Jak przez mgłę.

– Ja też za dobrze go nie pamiętam. Pamiętam za to, że po nim bałam się zasnąć. Naciągałam na siebie pierzynę po czubek głowy. Wołałam się udusić, niż wystawić na zewnątrz choćby nos. Mama wtedy musiała mnie przebierać, bo byłam zlana potem.

– To dlaczego pozwalała ci to oglądać?

– Nie wiem – przyznała Ewa. – Ale nie o to chodzi, tylko o to, że od tego czasu potwornie bałam się naszego domu. Byłam przerażona, kiedy musiałam zostać w nim sama. Zaczął mi się kojarzyć z kryptą. Dotąd czasami powraca taki obraz: noc, nie ma nikogo, wszędzie palą się lampy, a ja nieruchomo siedzę wciśnięta w fotel ustawiony w rogu salonu, tak by widzieć i okna i drzwi... Horror!

– Cóż, ja się Belfegora nie bałam, a mam takie same skojarzenia z grobowcem... – Maria się zaśmiała. – Cała nasza ulica wygląda, jakby ktoś wytyczył ją na cmentarzu...

– Kiedy rodzice zapisali mi piętro – Ewa ponownie podjęła swoją opowieść – ucieszyłam się, że udało mi się ułożyć sobie życie gdzie indziej. Prędzej bym umarła, niż tam wróciła.

– Dlaczego nigdy o tym nie mówiłaś? – Maria zapytała zdziwiona.

– Kto by się przejmował strachami z dzieciństwa? – skwitowała.

– No dobrze, rozumiem twoje milczenie, kiedy rodzice żyli – przyznała Maria – ale później też nic nie mówiłaś. Nawet wtedy, kiedy pytałam, co zamierzasz zrobić ze swoją częścią.

– A co miałam powiedzieć? Sprzedaj piętro? Sprowadź sobie na głowę obcych? – zapytała Ewa. – Byłam przekonana, że tobie na tym domu zależy! Ale... miałam pewien plan – dodała po chwili z uśmiechem. – To miał być mój prezent ślubny, gdybyś ponownie wyszła za mąż. Chciałam przepisać piętro na ciebie.

– No, ładnie – Maria podsumowała pomysł Ewy i głęboko westchnęła. – Gdybym wiedziała o twoich planach – zaczęła się śmiać – wyszłabym za pierwszego, który okazałby się znośny. A tak – mówiła dalej – lata straciłam, zastanawiając się, czy mam prawo przewietrzyć górę... Ale mówiąc serio

– zmieniła ton – ten dom jest rzeczywiście straszny. Nie tylko dlatego, że przypomina grobowiec. Zbyt wiele złych wspomnień... Sama wiesz. I nie myślę tu o filmach w telewizji. A poza wszystkim – dodała – wymaga remontu, na który mnie nie stać. Za chwilę nie będę też miała siły, by w nim sprzątać i zajmować się ogrodem. Na zatrudnienie kogoś do pomocy, jak się domyślasz, nie mogę sobie pozwolić. Skoro więc obie tego domu nie chcemy – stwierdziła – to powinniśmy w końcu coś z nim zrobić...

– Sprzedać? – weszła jej w słowo Ewa. – To może długo potrwać. – Zastanawiała się przez chwilę. – Tu, w mojej okolicy, od kilku lat ludzie usiłują się pozbyć swoich domów i nic z tego nie wycho-
dzi. Nie dostaniemy też tyle, ile jest wart. To zły czas dla nieruchomości.

– Nawet nie ma co spodziewać się jakiejś sensownej oferty. Przypomnij sobie, w jakim jest sta-
nie – zauważyła Maria. – Widziałas go przecież w sierpniu.

– Ale ma świetną lokalizację! Przecież to prawie centrum. Sama działka warta jest mnóstwo pie-
niędzy.

– Co więc proponujesz? – zapytała.

– Wynająć.

– Ale... żeby wynająć – zgłosiła wątpliwości – trzeba by wyremontować...

– Niekoniecznie – sprzeciwiła się Ewa. – I najlepiej wynająć firmie. Wtedy umowa jest długoter-
minowa, a z czasem może nawet przejść w sprzedaż. Na pewno jednak taki najemca remont prze-
prowadzi porządnie – wyjaśniała – a nie metodą „złotych rączek” sąsiada, i na pewno nie zdemastu-
je domu w czasie jego używania. Moja kancelaria też mieści się w willi – przypomniała – i ostatnio
ją remontowałam. Najpierw umowę najmu podpisaliśmy na 10 lat, ale potem szybko odkupiliśmy
cały parter.

– Masz rację. Ale jest ciągnąć dalszy... – zauważyła Maria.

– To znaczy?

– Co dalej ze mną.

– Nie rozumiem – Ewa przyznała.

– No, muszę zmienić adres.

– To oczywiste.

– Jak wiesz, mam wielką ochotę rozstać się z telewizją... – zaczęła tłumaczyć.

– Mówisz o tym od dawna – przyznała Ewa.

– No, właśnie. Pomysł z pozbyciem się domu ma swoją część drugą. Nie musisz się na to godzić
– zaznaczyła. – Ale... Cholera, jak trudno mi o tym mówić! – zdenerwowała się.

– Weź, przestań! Dalej! Jesteś moją siostrą – ponaglała Ewa.

– Okej. Przyjeżdżam tu do ciebie od twojego powrotu z Barcelony. – Maria podjęła przerwany
wątek. – Myślę, że nie jestem kłopotliwym gościem. Staram się być pomocna – wyliczała. – Kocham
twoje córki jak swoje. Pomyślałam sobie, że mogłabym – przeszła do meritum – przeprowadzić się
do ciebie. Pomogłabym ci przy dzieciach – ciągnęła. – Ty miałabyś więcej czasu dla siebie. Nie mó-
wię, że miałaby to być sytuacja na stałe – zaznaczyła. – Domyślam się, że jeszcze chciałabyś ułożyć
sobie życie z jakimś mężczyzną. Ja może też kogoś spotkam. Na razie jednak obie jesteśmy same.
Może więc warto sobie pomóc? – Zerknęła na Ewę, która z kamienną twarzą słuchała jej wywodu. –
Pieniądze z wynajmu dołożyłabym do domowego budżetu. Mogłabym zająć się dziewczynkami
i w spokoju pisać książki, jak marzę o tym od dawna. Co ty na to? – zapytała wreszcie.

– Brzmi dobrze – odpowiedziała Ewa po dłuższej chwili milczenia. – Chociaż wymagałoby chyba
ustalenia szczegółowych zasad funkcjonowania. Co innego teraz, kiedy jesteś gościem, co innego,
jeśli miałybyśmy po prostu żyć razem pod jednym dachem.

– Jasne – przytaknęła. – Rozumiem twoje obawy. Ale nie martw się, nie mam ochoty być starszą siostrą jak w dzieciństwie. Myślałam o czymś jeszcze – dodała.

– Tak? – Siostra wydawała się zainteresowana.

– To nic konkretnego – zastrzegła Maria. – Od dawna tłucze mi się to po głowie... Ty masz hopla na punkcie flamenco, ja piszę książki o Hiszpanii, choć teraz chętniej przeniosłabym się do Argentyny...

– Do Argentyny? – Ewa była wyraźnie zaskoczona.

– Tak, z powodu tanga – wyjaśniła.

– Tańczysz?!

– Nie. – Maria się uśmiechnęła. – Ale bardzo bym chciała. Mimo wielu wątpliwości – zaznaczyła.

– Nawet zapisałam się na kurs.

– To dopiero! – Ewa od razu się ożywiła. – Mnie też tango ciągnie coraz bardziej! W Lizbonie, nie wiem, czy ci o tym mówiłam – zaczęła tłumaczyć – poznałam parę nauczycieli tanga. Dali mi kilka lekcji, byłam z nimi na milondze, nawet z kimś zatańczyłam...

– No widzisz! To tym bardziej – podjęła entuzjastycznie Maria – powinnyśmy się razem zastanowić nad moim pomysłem! Może, w oczekiwaniu na mężczyzn naszego życia – zażartowała – mogłybyśmy zająć głowy, na przykład tworząc coś na kształt centrum kultury iberyjskiej? Z flamenco, tangiem i czymś tam jeszcze, sama nie wiem z czym. To luźny pomysł. Co ty na to?

– Rewelacja! – Ewa od razu zapaliła się do tego projektu. – Wchodzę w to!

– Ale trzeba zacząć od sprawdzenia rynku. – Maria ostudziła nieco zapał siostry. – Czy w ogóle jest na takie coś zapotrzebowanie.

– Dobrze, zrobię to! – zadeklarowała Ewa. – To naprawdę doskonały pomysł! Dziękuję ci – dodała. – Zastanawiałam się, co ze sobą robić, bo przecież nie da się w nieskończoność żyć tak, jak teraz żyję.

– Dobrze, że sama do tego doszłaś – ucieszyła się Maria. – Ja też czuję ogromną potrzebę zmian.

– Nie będzie ci żal zostawiać przyjaciół? – zapytała Ewa.

– Przyjaciół? – zdziwiła się. – Kiedy pracuje się w telewizji, przyjaciół ma się całkowicie jednokierunkowych: są, kiedy ty jesteś im potrzebna – natomiast, kiedy sytuacja się odwraca, nie ma nikogo przy tobie. Jako człowiek znikasz w momencie, kiedy tylko „odspawasz” się od firmy – podsumowała. – Wiem o tym od dawna. Nie mam złudzeń. A jeśli kogoś źle oceniłam, to odległość nie będzie miała większego znaczenia.

Następnego dnia, zaraz po obiedzie, Ewa poprosiła Marię do salonu. Ustawiła na stoliku dwa kieliszki do wina i sięgnęła po butelkę.

– Za co pijemy? – zapytała Maria.

– Za kooperatywę! – Ewa uśmiechnęła się, robiąc przy tym tajemniczą minę.

– Rozumiem, że przeprowadzam się do ciebie, tak? – Maria podniosła swój kieliszek.

– Mało powiedziane. Ale najpierw wypijmy!

Kieliszki poszły w górę, tajemnica zawisła w powietrzu w sposób nieco teatralny, ale Maria nie ponaglała siostry, cierpliwie czekała na rozwój sytuacji.

– Maryniu – Ewa w końcu się odezwała. – Całą noc myślałam o twoim pomysłe – zaczęła. – Według mnie, to strzał w dziesiątkę. Nie ma w Poznaniu takiego miejsca. Sprawdziłam. Mam mnóstwo pomysłów. I od dawna marzyłam o knajpce z klimatem innym niż wszystkie. Takim... domowym. A gdyby tam można było jeszcze tańczyć, no to po prostu rewelacja! – Oczy błyszczały jej z podniecenia. – Warsztaty, lekcje tańca, flamenco, tango, projekcje filmowe i język hiszpański.

I jeszcze mnóstwo innych projektów. Ale wszystko związane z kulturą hiszpańskojęzyczną. Przy Jacku to było niemożliwe, nie wypadało, jak kiedyś powiedział... Kiedy odwiozłam dzieci do szkoły – przeszła do sedna sprawy – zajrzałam do mojej willi. – Zawiesiła głos, upiła łyk wina, jakby zaschło jej w gardle, spojrzała na Marię i uśmiechnęła się szerzej. – Weszłam na piętro. Tam samotnie mieszka starsza pani. Ten dom należał kiedyś w całości do niej. Pomagaliśmy jej z Jackiem... Zresztą, nie o tym teraz! – urwała. – Ważne jest to – oznajmiła triumfalnym tonem – że pani Lucyna odsprzedałaby mi swoją część, jeśli znajdę dla niej małe mieszkanie gdzieś w pobliżu.

– No i? – Maria nie spuszczała wzroku z siostry.

– No i... – Ewa zrobiła wymowną pauzę – mogłabym wtedy kancelarię przenieść na piętro, a na parterze urządzić to nasze centrum. Mało tego: strych da się przerobić na mieszkanie – oświadczyła radośnie. – Mogłybyśmy urządzić tam pokoje gościnne dla artystów, których będziemy sprowadzać z Hiszpanii lub Argentyny – zakończyła, dolewając wina do kieliszków.

– Albo mieszkanie dla mnie – podsunęła Maria. – To lepszy pomysł, niż mieszkać tutaj z tobą. Mniej krępujący. Ale to oznacza, że jednak lepiej sprzedać dom, niż go wynająć – stwierdziła.

– To nie jest konieczne – oznajmiła Ewa, wprawiając Marię w zdumienie. – Jacek zostawił wystarczająco duży kapitał. Na odkupienie góry mamy dosyć pieniędzy. Na resztę można wziąć kredyt. Spłacałybyśmy go właśnie z wynajmu. Sprzedać zawsze można, a lepiej mieć jakieś zabezpieczenie w nieruchomości. Sama wiesz, że różnie w życiu bywa. Poza tym ważny jest czas – przekonywała. – Szybciej znajdziesz najemcę niż kupca. Ja jeszcze dziś przygotuję umowę przedwstępną dla pani Lucyny, a od jutra zacznę szukać dla niej mieszkania.

– Pomogę ci – zadeklarowała Maria.

– Nie, ty pisz swoją książkę. – Ewa była stanowcza. – Mnie to dobrze robi. Lepiej niż jakakolwiek terapia...

– *À propos...* Bierzesz tabletki? – zainteresowała się Maria.

– Nie. Mam je w szufladzie – przyznała – ale na razie radzę sobie bez nich. Chyba wystarczająco uspokaja mnie świadomość, że w razie potrzeby mogę po prostu po nie sięgnąć. I tak jest dobrze.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział XI

EWA

Tuż po Bożym Narodzeniu Ewę i jej siostrę dopadła zimowa chandra. Gorsza od poprzednich, bo w jakimś sensie podwójna: obie przeżywały trudny okres i nie były w stanie pomóc sobie wzajemnie w pokonaniu tego kryzysu. Jan nie odzywał się do Marii od miesiąca i chociaż twierdziła, że jest to jej obojętne, bo ten związek wykreśliła już ze swojego życia, widać było, że mocno zabolął ją brak chociażby zdawkowych życzeń świątecznych. Ewa z kolei po raz pierwszy miała witać Nowy Rok inaczej niż zazwyczaj. Wcześniej chodziła na bale z mężem, potem zapraszała ją Basia i Jurek, którzy czuli się zobowiązani do opieki nad nią, kiedy została ekszoną, ale tym razem wyjechali na Wyspy Kanaryjskie, by sylwestrowego szampana wypić na plaży – jak o tym marzyli od dawna. Nie za bardzo podobała się jej perspektywa spędzenia tej nocy wyłącznie w towarzystwie zdołowanej siostry. W końcu więc uznała, że sprawy trzeba wziąć we własne ręce. Zadzwoiła przede wszystkim do Gośki, by dowiedzieć się, czy mają z Arturem jakieś plany, a kiedy okazało się, że nie, namówiła ją, by razem zorganizowały kolację z dziewczynami z barcelońskiej wyprawy. Dwadzieścia cztery godziny później lista gości była zamknięta.

– A co z Anią? – zapytała Gośka, kiedy telefonicznie podzieliły obowiązki. – Wiem, że nigdzie nie idzie. Na pewno dowie się o imprezie...

– Zaproś ją – zaproponowała Ewa. – Mnie byłoby trudno, sama rozumiesz, ale ty możesz.

– Jesteś pewna?

– Najzupełniej – potwierdziła. – Może wreszcie coś z tego zrozumiem.

– Ciągle mu nie wybaczyłaś?

– Nie o to chodzi. Chcę przyjrzeć się jej z bliska – wyjaśniła Ewa. – Wcześniej prawie jej nie zauważałam. Wydawała się osobą cichą, wycofaną, a sądząc po liście, jaki napisała do Paco, to dziewczyna dynamit! – Zaśmiała się. – Chcę wiedzieć, co zobaczył w niej Paco...

Kolacja miała być, oczywiście, hiszpańska. Na szczęście, w Poznaniu działało już kilka restauracji specjalizujących się w tamtejszej kuchni, więc większość dań po prostu zamówiła. Pozostały drobniaki, typu owoce czy produkty na tapas⁵⁹. Wina i desery mieli przynieść goście. Ku jej zaskoczeniu, zaproszenie przyjął też Maciej, jej współnik. Nie pytała, kogo przyprowadzi Gośka, wystarczyła jej informacja, ile osób będzie poza nią i Arturem, by przygotować odpowiednią liczbę nakryć. Reszta miała być niespodzianką. Pomyślała, że może dobrze byłoby zaprosić też Janusza, rzecz jasna z partnerką. Zadzwoiła, ale propozycja go nie ucieszyła.

⁵⁹ Tapas – przekąski, czy też przystawki, serwowane zazwyczaj do napojów, głównie alkoholowych, w hiszpańskich barach.

– Wiesz, my na razie bardzo chcemy być sami – wyznał. – Jeszcze się sobą nie nacieszyliśmy. Poza tym – dodał – jestem pewny, że nie byłby to dla mnie zbyt udany wieczór. Wybacz szczerłość. No i mogłaby ucierpieć na tym Elżbieta.

– Z jakiego powodu? Przecież nikt by jej tutaj nie skrzywdził! – Ewa poczuła się urażona.

– Nie w tym sensie. Jakby to powiedzieć? – Zastanawiał się przez chwilę. – Bardzo długo byłaś w moich myślach – zaczął wyjaśniać. – Za każdym razem, kiedy próbowałem ułożyć sobie życie z jakąś kobietą, porównywałem ją do ciebie. Albo do Halinki. To było silniejsze ode mnie, podświadome. Mój związek z Elżbietą jest na razie zbyt delikatny, by wystawiać go na takie próby. Nie umiem tego wytłumaczyć – stwierdził – ale czuję, że nim się spotkamy, to, co łączy mnie z Ela, musi okrzepnąć. Rozumiesz?

– Nie – przyznała. – Ale skoro uważasz, że tak będzie lepiej, nie ma sprawy. Życzę wam dobrego Nowego Roku.

Trochę ją to ubodło, trochę jej też pochlebilo. A jednak ciągle ją kochał, pomyślała. Choć próbował zapomnieć. Nie powinna była dzwonić, bo pewnie zmąciła ciszę, jakiej Janusz najwyraźniej potrzebował, by zanurzyć się w tej nowej miłości. No właśnie – analizowała – w miłości czy w przyjaźni? A może w postanowieniu? To wyglądało tak, jakby po prostu podjął decyzję o byciu z kimś i tego się trzymał... Ale – zastanawiała się – co właściwie stanowi najlepszy punkt wyjścia dla związku?

„Miłość to szaleństwo – myślała, szykując obiad. – Zaćmiona optyka. Nic nie jest takie, jak faktycznie, w rzeczywistości. Czy można budować realne życie na iluzji? Moja historia z Jackiem była właśnie czymś takim... – stwierdziła ze smutkiem. – Widziałam go lepszym, niż był, i nie przyjmowałam do wiadomości ani tego, co wiedziałam sama, ani tego, co wiedzieli inni. Przyjaźń to oddanie – rozważała dalej. – Pełna akceptacja, bez ulegania pokusie zmieniania drugiej strony. Wspieranie, rozwój. Takie było małżeństwo Janusza i Halinki. Idealne. Jedno ciągnęło drugie w górę, ku lepszemu – uprzytomniła sobie. – Jedno było ciekawe drugiego i chciało dotrzymać mu we wszystkim kroku. Obiecali sobie być razem i dotrzymali słowa. Bez tej szajby, jaka zazwyczaj towarzyszy początkom każdego związku... Janusz – rozmyślała – to taki dobry człowiek... Czy naprawdę nie moglibyśmy być razem? A Paco? – zapytała mimo woli. – Tu było to wszystko! – stwierdziła. – Podobne zainteresowania, plany, zaufanie... No właśnie, czy umiałabym ponownie mu zaufać? Dlaczego nie rozumiał, że bycie z kimś oznacza życie według określonych reguł? Że nie można myśleć tylko o sobie?” – zastanowiła się.

– Halo? Jesteś tu? – Maria pomachał jej ręką przed oczyma. – Dziewczynki pytają, czy na sylwestra mogą zaprosić swoją koleżankę.

– Co? – Ewa spojrzała na siostrę nieprzytomnym wzrokiem.

– Dziewczynki chcą mieć swojego sylwestra – powtórzyła Maria. – Pytają, czy zgodzisz się na Irminę.

– Jasne! – Uśmiechnęła się. – Nawet dostaną swojego szampana o północy.

– Okej, zaraz im to przekażę. Mam mały problem. – Maria wyraźnie się zawahała. – Nie wzięłam ze sobą żadnych ciuchów, które nadałyby się na jutro...

– Nie martw się. Mam przecież pełno rzeczy do flamenco. Wieczorem coś dopasujemy.

Szybko ustawiły talerze na stole, zawołały dzieci i przy obiedzie omówiły resztę szczegółów. Irmina miała przyjechać w sylwestra już o piątej, żeby jej rodzice mogli spokojnie wyszykować się na swoją zabawę. Ewa zadzwoniła do nich zaraz po skończonym posiłku i wszystko ustaliła. Także to, że dziewczynka zostanie u nich do wieczora dnia następnego. Ania i Ola obiecały pomóc w przygotowaniach, zarówno do „dorosłej kolacji” – jak nazwały planowane w domu spotkanie – jak i swojej własnej. Miały przywitać się z gośćmi, a potem urzędować wyłącznie na górze, w swoich pokojach, bez potrzeby nie zawracając nikomu sobą głowy, i zejść na dół tylko na noworoczny toast. Maria zadeklarowała pomoc w przygotowywaniu przekąsek, a potem miała pojechać z Ewą

po odbiór zamówionego jedzenia. Wszystko zostało omówione, pozostawało tylko sprzątanie i wybór strojów.

Ewa zdecydowała się na mocno wydekoltowaną i opiętą na biodrach suknię w wielkie zielone grochy, z tysiącem sterczących na wszystkie strony falbanek, do tego czerwono połyskujące kolczyki w kształcie elips, które podarował jej Paco. W jej włosach, świeżo ufarbowanych na rudo, miała znaleźć się biała róża. Maria wybrała czarną spódnicę z godetami i obcisłą bluzkę w kolorze wina, z rękawami zakrywającymi łokcie i przyozdobionymi szerokimi falbanami. Do tego czarne klipsy i żółty kwiat... Patrzyły na siebie z nieukrywaną przyjemnością. Żartowały, że gdyby tak ubrane poszły na bal, nie mogłyby się opędzić od mężczyzn. Flamenco zdecydowanie było pochwałą kobiecości.

Następnego dnia, późnym wieczorem, tak wystrojone czekały na gości. Najpierw przyszedł Maciej, któremu wystarczyła amarantowa szarfa w pasie i nisko rozpięta biała koszula, by upodobnić się do Hiszpana, a potem, razem z Goską i Arturem, pojawiła się reszta gości. Wśród nich Marta. Ta Marta, która polowała na Paco... Ewa z trudem ukryła zaskoczenie.

– Jak mogłaś ją zaprosić! – syknęła, kiedy zostały z Goską same. – Na Anię się zgodziłam, ale o Marcie nawet nie wspomniałaś! – Nie potrafiła pohamować pretensji.

– Wcale jej nie zapraszałam – wyjaśniła Gośka. – Musiała to zrobić któraś z dziewczyn. Wiesz, że jest w ciąży? – dodała.

– Z kim?! – przeraziła się Ewa.

– Spokojnie. – Gośka się uśmiechnęła. – Nie z Paco. Z tym facetem, z którym przyszła, z Andrzejem. Musiała wpaść zaraz po powrocie. Widocznie tak leczyła rany – stwierdziła złośliwie. – A tak bardzo chciała złapać Hiszpana! Dobrze, że ten chociaż uczy się flamenco. Mogą sobie razem zatańczyć *sevillanas*.

– Biedna dziewczyna... – Ewa dostroiła się do tonu Gośki. – Nie, poważnie biedna! – Westchnęła współczująco. – A Anka ciągle sama? – zdziwiła się.

– Jakoś nie mogę jej rozgryźć – Gośka oświadczyła. – Taki styl czy taki pech? – zapytała.

– A ja patrzę na nią i patrzę, i ciągle nie wiem, czym mogła zawrócić w głowie Paco – wyznała Ewa.

– Może wcale nie zawróciła? Może to był tylko taneczny impuls – zauważyła Gośka. – Tak, jak mówił Paco? Chwila i nic więcej.

– Ale z listu wynikało, że nie miałyby nic przeciwko ciągłemu dalszemu! – zauważyła.

– Bo może myślała, że Paco jest taki, jak opowiadały dziewczyny? Sam i mocno rozrywkowy. Nie zapominaj, że wasz związek był najlepiej strzeżoną tajemnicą w Europie! – przypominała.

– No tak – przytaknęła Ewa. – Dyskrecja, jak się okazuje, nie zawsze jest dobra.

– Otóż to! – potwierdziła Gośka.

Wróciły do gości, którzy zdążyli już podzielić się na małe grupki, w zależności od tematu rozmowy. Jedni omawiali polską rzeczywistość, inni dyskutowali o flamenco, jeszcze inni skupili się na dykteryjkach z ich barcelońskiej przygody. Maciej, z wdziękiem, o jaki go nie podejrzewała, zajmował się Marią i Anią, nieznacznie faworyzując tę ostatnią. Była śliczna – Ewa musiała to przyznać – choć o urodzie dyskretniej. Ona sama lawirowała między gośćmi i pilnowała, aby w odpowiednim czasie pojawiały się na stole kolejne dania. Przy paelli⁶⁰ postanowiła podzielić się ze wszystkimi nowiną.

⁶⁰ Paella (czyt. paeja) – tradycyjna potrawa hiszpańska występująca w różnych wariantach; jej podstawą jest ryż z curry, przyrządzany z owocami morza, czerwonym mięsem lub drobiem, coraz częściej pojawia się też w wersji wegetariańskiej.

– Halo! – zawołała, stukając nożem w kieliszek. – Chciałam coś ogłosić – zaczęła, kiedy spoczęły na niej spojrzenia obecnych przy stole. – Nowy rok przyniesie zmiany, mam nadzieję, że interesująca dla nas wszystkich. Razem z Marią, moją siostrą, mamy zamiar otworzyć coś w rodzaju centrum kultury hiszpańskojęzycznej, zaczęliśmy już nawet stosowne przygotowania. Proponuję więc toast za nowe miejsce. – Podniosła swój kieliszek, inni zrobili to samo i życząc im powodzenia, wypili po odrobinie wina. – Na razie nie umiem powiedzieć – kontynuowała – kiedy dokładnie będziemy oblewać otwarcie, ale na pewno jeszcze przed wakacjami. Miejsce w samym centrum Poznania – dodała z radosnym uśmiechem.

Posypały się pytania. Do północy rozmawiali właściwie już tylko o tym. Każda z dziewczyn dorzucała własne pomysły na temat tego, co w takim centrum powinno się znaleźć. Ewa żartowała, że gdyby wszystkie spróbować urzeczywistnić, zamiast knajpki z kulturą miałyby dom kultury z wyszynkiem, a nie o to tak do końca im chodziło. Obiecała jednak zastanowić się nad tym, co usłyszała. Dziewczyny deklarowały pomoc, chciały pracować jako kelnerki i barmanki, tańczyć flamenco, przyprowadzać do lokalu swoich znajomych i robić miejscu szeptaną reklamę jeszcze przed otwarciem. Maria milczała, śmiejąc się w duchu, że gdyby te deklaracje zostały zrealizowane, sukces miałyby zagwarantowany już na starcie, ale entuzjazm ma to do siebie – o czym dobrze wiedziała – że topnieje wraz z mijającym czasem...

Nowy Rok przywitali zgodnie z hiszpańskim obyczajem, w skupieniu sięgając do przygotowanych wcześniej miseczek i połykając dwanaście winogron w rytm uderzeń zegara. A kiedy *cava* zniknęła już z butelek, Gośka i Artur zaprosili wszystkich na swój ślub, który zaplanowali na marzec. Kolejna nowina tego wieczoru ponownie zjednoczyła wszystkich wokół jednego tematu. Gośka musiała opowiedzieć historię ich miłości, nie pomijając rozlanej kawy w samolocie i szczegółów związanych z próbą czyszczenia spodni Artura.

– Co się stało? Dlaczego tak nagle? Jesteś w ciąży? – Ewa zasypała Gośkę pytaniami, jak tylko odciągnęła ją od reszty gości. – Przecież zawsze mówiłaś, że małżeństwo to ostatnia rzecz, na jaką byś się zdecydowała!

– Bierzymy tylko cywilny – odpowiedziała tonem usprawiedliwiającym.

– Ale dlaczego? – Ewa była ciekawa.

– Bo w maju przenosimy się do Santander – w końcu wyjawiała powód. – Pobieramy się... na wszelki wypadek – dodała. – Rozumiesz, tak jest bezpieczniej.

– Do Santander?! – Ewa nie mogła w to uwierzyć. – Jak to?

– Artur dostał propozycję pracy. Trudno było jej nie przyjąć...

– Na jak długo?

– Na razie na trzy lata. A co dalej, zobaczymy. – Gośka naprawdę się cieszyła. – Santander to nie Barcelona ani nie Malaga, ale mam nadzieję, że nam się spodoba.

– A co z tobą?

– Rozglądam się. Przyjedziesz do nas, jak tylko się urządzimy – bardziej stwierdziła, niż proponowała. – A tymczasem za dziesięć dni lecimy do Madrytu – przypomniała.

Wyjęły z lodówki desery i zaniósły je do salonu. Ewa wróciła do kuchni, by przygotować kawę. Zerknęła na leżący na stole telefon. Dostała kilka esemesów. Paco przysłał życzenia „*Próspero Año Nuevo!*⁶¹”, na co odpowiedziała krótkim „*Igualmente!*⁶²”, co i tak było postępem, bo przecież od powrotu z Barcelony ignorowała wszystkie wiadomości od niego. Pomyślała jednak, że może początek nowego roku jest dobrym pretekstem do wszelkich zmian, że może teraz będzie jej łatwiej zacząć mu odpisywać i normalnie rozmawiać.

⁶¹ *Próspero Año Nuevo!* (czyt. prospero anio nlewo) – Szczęśliwego Nowego Roku!

⁶² *Igualmente* – nawzajem.

Następnego dnia, kiedy po sylwestrowej nocy nie było już ani śladu, usiadła do komputera, by napisać do Marii – tej Marii, która uczyła tańczyć tango w stolicy Katalonii. Zapytała, czy mogłyby się spotkać, kiedy zawita do Barcelony. Chciała zostawić jej pierścionek dla Paco. Doszła do wniosku, że w najbliższym czasie nie będzie okoliczności bardziej sprzyjających, aby oddać go właścicielowi. Nowy rok, nowe postanowienia, nowe życie. Może lepiej mieć w Paco przyjaciela niż kochankę? Może czas wszystko inaczej ułożyć?

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Maria zniosła swoje walizki. Oznajmiła, że musi skrócić swój pobyt w Poznaniu i jak najszybciej zabrać się za szukanie chętnych do wynajęcia domu, skoro już publicznie ogłoszono otwarcie ich rodzinnego biznesu, a Ewa jeszcze przed świętami wykupiła piętro wili. Rozstawały się aż do wakacji. Uporządkowania wymagały nie tylko sprawy majątkowe, ale i zawodowe. To drugie było nawet bardziej skomplikowane, jak przyznawała.

Kiedy jej samochód zniknął za zakrętem, w domu nagle zrobiło się cicho i pusto. Dziewczynki wolały zajmować się kotem, niż spędzać czas z matką. W sumie, nie dziwiła się im za bardzo. Pod koniec tygodnia wrzuciła do bagażnika torby z rzeczami córek i wyruszyły do dziadków. Rzecz jasna z kotem. Miały spędzić tam dwa tygodnie; nie mówiła im, że w tym czasie sama wybiera się do Madrytu. Po niedawnej rozmowie z Olą wolała nikogo nie informować o swoich wyjazdowych planach.

Nie pędziła na oślep, zatrzymywała się w przydrożnych barach pod byle pretekstem, swoją obecność w domu teściów chciała ograniczyć do minimum. Między nimi nigdy nie układało się najlepiej, a śmierć Jacka zdjęła z nich obowiązek utrzymywania choćby pozornie dobrych stosunków. Teściowie, jeśli dzwonili, to tylko po to, by dowiedzieć się, co słyhać u wnuczek. Nigdy nie zapytali, jak ona sobie radzi, albo... czy potrzebuje pomocy. Ale, w gruncie rzeczy, wcześniej też było tak samo. Ciekawiło ich wyłącznie życie Jacka, ją zawsze traktowali jak powietrze, zdecydowanie nie była ich wymarzoną synową. Kiedy więc zajechała na miejsce, z wdzięcznością przyjęła propozycję, by od razu, z marszu, odwiedzić grób Jacka.

– Masz tu znicz. – Teściowa wepchnęła jej do ręki ogromny lampion i zapalniczkę. – Kwiaty kupisz na miejscu – komenderowała. – Jeśli nie pamiętasz, gdzie leży, spytaj o kwaterę sto siedemdziesiąt cztery.

– Sto siedemdziesiąt cztery? – Ewa zamarła.

– Coś się stało? – Teściowa zaniepokoiła się jej nagle zmienionym wyglądem.

– Nie, nic – uspokoiła ją Ewa. – Zakręciło mi się w głowie – skłamała.

– To może usiądź na chwilę – zaproponowała. – Dam ci wody!

– Nie, dziękuję, nie trzeba, mam. Już wszystko dobrze. – Ewa chciała jak najszybciej wyjść z tego domu.

– Nie musisz się spieszyć. My tu sobie poradzimy bez ciebie – usłyszała na odchodnym.

– Sto siedemdziesiąt cztery – powtórzyła w samochodzie. Numer rodzinnej kwatery i nazwa pliku. Myślała, że to data, siedemnasty kwiecień. Ciekawe, dlaczego wybrał taką właśnie nazwę? „Jest nagranie”, przypomniała sobie, tylko to było w dokumencie. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

Cmentarz znajdował się przy drodze wylotowej i by się tam dostać, musiała przejechać przez całe miasto. Na przednim siedzeniu leżał ogromny niczym balon znicz. Jak czerwona latarnia w Zakazanym Mieście⁶³ – przyszło jej do głowy. Ze smutną satysfakcją pomyślała o tym, że teściowa niechcący trafiła w sedno. W kwaciarni, stojącej przy cmentarnej bramie, kupiła białe kalie. Na grób nie umiała trafić, nie pamiętała drogi z pogrzebu. Poszła więc do biura, gdzie wydrukowano jej

plan kwater i dopiero tak wyposażona ponownie zaczęła szukać miejsca spoczynku Jacka. Kiedy je odnalazła, zdziwiła się ilością kwiatów leżących na płycie.

⁶³ Zakazane Miasto to dawny kompleks pałacowy cesarzy z dynastii Ming i Qing, znajdujący się w centrum Pekinu. Wśród około 800 większych i mniejszych budynków znajdowały się również pałace cesarskich konkubin – zapalona czerwona latarnia informowała o tym, która z nich została wybrana przez cesarza na towarzyszkę nocy.

– Czyżby pielgrzymki kochanek? – zażartowała złośliwie. – Nie, teściowa nigdy nie dopuściłaby do tego, bo zbrukałyby pamięć jej syneczka – zakpiła. – Mamusia przynosi te kwiatki! Pewnie jest tu codziennie. – Poprzesuwała leżące wiązanki i położyła swoją na zwolnionym w ten sposób miejscu. – Jestem wredna – skarciła samą siebie. – Przecież to był jej jedyny syn. Nie miała pojęcia, na kogo wyrósł. Tak, Jacku – spojrzała na napis na pomniku – twoja matka nie wiedziała, kim byłeś. Niech nadal ma cię za świętego. – Usunęła wypalony lampion, postawiła nowy i zapaliła knot.

Ciepły płomień rozjaśnił litery na płycie, zatańczył na owalnym zdjęciu przyklejonym do kamienia. Jacek był przystojny, musiała to przyznać. Wysoki, szczupły, z oczami, w których można było utonąć – błyszczącymi jakby ciągle odbijało się w nich słońce. Kiedy na nią patrzył, płonęła... Poprawiła wstążkę na kaliach, delikatnie skinęła głowę na pożegnanie i wolnym krokiem wróciła do samochodu.

Zapadł zmierzch, zrobiło się sennie, po chwili w powietrzu zaczęły wirować pojedyncze płatki śniegu. Nigdy nie lubiła cmentarzy. A ta wizyta była jak gwałt na jej duszy. Nie chciała pamiętać o Jacku, chciała się od niego uwolnić. Także od poczucia żalu i winy. Teraz, przez jakiś czas, znowu będzie musiała walczyć z – wydawało się – ostatecznie przewyciężonym przygnębieniem, wiedziała, że dawne wspomnienia zaleją ją z nową siłą. Szybko przekierowała myśli na Lunę. Kochaną bezwarunkowo, bez oczekiwań, bez obietnic. Tym razem jednak pamięć łączyły oba obrazy: Luna wracała razem z Jackiem. Ich wspólne spacerowanie, ich wspólne zabawy w ogrodzie. On też kochał tego psa...

Zatrzymała się w centrum. Weszła do najbliższej kawiarni. Musiała przez chwilę posiedzieć gdzieś w samotności, strząsnąć z siebie ten cmentarny zapach i obraz, pomilczeć, spokojnie wypić kawę, uzbroić się w cierpliwość. I jak najpóźniej wrócić do teściów. Gdyby nie zmęczenie, od razu pojechałaby do Poznania, do domu.

Rozdział XII

MARIA

O d razu po powrocie do domu przygotowała ogłoszenie do prasy, że chce wynająć dom. Potem wyszła do ogrodu, by – korzystając z dziennego światła – zrobić kilka zdjęć. Bor obwąchiwał swoje ulubione zakamarki, a ona przyglądała się willi przez oko aparatu fotograficznego, bawiąc się detalami. Nagle bluszcz, którego nie cierpiała, wydał się piękny, a cmentarny nastrój otoczenia – niemal romantyczny. Potem przeszła się po pokojach. Miesięczny kurz zalegał grubą warstwą na meblach i podłogach. Ślizgające się po nim promienie słońca tworzyły malownicze smugi. Najmniejszy ruch wprawiał drobinki w taniec, jakby ktoś potrząsał magiczną kulą. Unosiły się i opadały, mieniając się w świetle sączącym się leniwie przez okna. Czuła się tak, jakby przygotowywała dokumentację filmową, a nie zdjęcia do ogłoszenia, pomyślała jednak, że może kogoś zainteresuje taka właśnie tajemnicza odmienność.

Dopiero po godzinie rozpakowała bagaże i włączyła komputer. Tak, jak się spodziewała, kierownik produkcji przypominał jej o najbliższych zdjęciach, prosił o uzupełnienie papierów związanych z ostatnim filmem i pytał o następne projekty. Znalazła też maila z propozycją napisania kolejnego reportażu o Boliwii. Znowu zostawiali jej wolną rękę w doborze tematu, sugerowali jednak, by dotyczył on obyczajów wywodzących się z dawnej tubylczej tradycji.

Odezwało się też wydawnictwo, w którym publikowała swoje książki. Pytano ją, czy może nad czymś pracuje, bo byliby zainteresowani... Powieść znacznie powiększyła swoją objętość. Maria oceniała, że miała ją napisaną mniej więcej w połowie. Na pewno mogła już wysłać pierwsze rozdziały i szkic całości oraz, ewentualnie, zacząć rozmowy na temat szczegółów licencji autorskiej.

Kiedy zmierzch zasłonił niebo, na ulicy zaczęły się żarzyć latarnie, a ona, wykąpana, w ciepłym szlafroku, popijając herbatę, przeglądała po raz kolejny zdjęcia z Boliwii i napawała się ciszą, zadzwonił Jan.

- Wracam do Polski, Mario – oświadczył.
- Czyżby przemiana eksmałżonki okazała się tylko chwilowa? – pozwoliła sobie na złośliwość.
- Zmarła zaraz po świętach – wyjaśnił krótko.
- Och... – Maria poczuła się głupio. – Przepraszam.
- Nic się nie stało – odpowiedział. – Przecież nie wiedziałaś.
- Bardzo ci współczuję. Jak to się stało? – zapytała, by zatrzeć złe wrażenie.
- Zapalenie płuc.
- Naprawdę mi przykro.
- Dasz się zaprosić na kolację w przyszłym tygodniu? – zmienił temat.
- Zaskoczyłeś mnie... – przyznała i na chwilę zamilkła. – Nie! – stwierdziła zdecydowanie. – Nie pójdę z tobą na kolację, Janie. Nasz czas minął.
- Bezwrotnie?

– Bezpowrotnie – potwierdziła.

Zrobiło jej się smutno, ale jednocześnie była pewna, że postąpiła słusznie. Dużo o tym myślała, będąc u Ewy. Zbyt łatwo z niej zrezygnował. Zresztą, po co jej tu jakieś związki, skoro za kilka miesięcy wyprowadzi się do Poznania? Musi wszystko pozamykać, a nie wikłać się w nowe układy. No i skończyć książkę. To priorytet.

Następnego dnia pojechała do miasta zamieścić w prasie ogłoszenie o domu, zawarła też umowę z polecanym biurem nieruchomości, uprzedzając ich jednocześnie, że ma zamiar szukać najemcy także na własną rękę. Wprawdzie niechętnie, ale przystali na taki układ. Maria uważała, że to wszystkich zmobilizuje do intensywniejszej pracy. Później kilka godzin spędziła, obdzwaniając potencjalnych zainteresowanych i znajomych, którzy mogli pomóc. A po powrocie do domu zaczęła się przyglądać temu, co nagromadziła przez ostatnie lata, pod kątem przydatności w nowym miejscu. W końcu doszła do wniosku, że zabierze ze sobą tylko meble z salonu i stare biurko, przy którym pracowała. Powinny dobrze odnaleźć się w nowej przestrzeni.

Strych w poznańskiej willi miał być zaadaptowany wedle jej pomysłu. Chciała mieć osobno wydzieloną sypialnię w części ozdobionej małym okienkiem na szczytowej ścianie, obok – łazienka i garderoba. Reszta będzie przestrzenią otwartą, z dużymi oknami w dachu, by jak najwięcej słońca wpadało do środka, a w nocy, by zaglądały przez nie gwiazdy. Kuchnia, jadalnia, salon, biblioteka i gabinet do pracy w jednym. I żadnego bluszczu w ogrodzie.

Przejrzała notes z adresami. Kiedyś robiła reportaż o architekcie wewnątrz, pomyślała, że może jego numer jest wciąż aktualny i da się namówić na przygotowanie projektu. Szczęście jej sprzyjało. Architekt – jak się wyraził – ma wobec niej dług wdzięczności, bo film przywiódł do jego pracowni nowych klientów, chętnie więc zajmie się jej sprawą. Musi tylko dostarczyć mu plany budowlane domu i opowiedzieć o swoich oczekiwaniach. Umówili się na spotkanie, jak tylko Maria skompletuje potrzebne dokumenty.

Przypomniała sobie o tangu. W styczniu miał się rozpocząć nowy kurs dla początkujących. Sprawdziła skrzynkę mailową, ale nie znalazła wiadomości ze szkoły tańca. Czyżby zajęcia miały ją ominąć? Sięgnęła po wizytówkę, by telefonicznie wyjaśnić to milczenie. Przywitał ją męski głos.

– Pan Łukasz? – zapytała. – Chciałam się dowiedzieć, czy pojawił się jakiś samotny mężczyzna na kursie, który dziś państwo rozpoczynają.

– Ach, to pani! – Najwyraźniej ją skojarzył. – Niestety nie, bardzo mi przykro.

– I co teraz? – Czuła się zawiedziona, bo mimo wcześniejszych wątpliwości co do tego, czy tango jest dla niej odpowiednim wyborem, chciała jednak przynajmniej spróbować. – Nie mam czasu czekać na następną okazję, bo za kilka miesięcy już mnie tutaj nie będzie. – Próbowała nadać swojemu głosowi przyjacielski ton.

– To rzeczywiście mamy kłopot... – mężczyzna przyznał.

– Nie ma pan żadnego pomysłu? – nie odpuszczała.

– Mogę pani jedynie zaproponować opcję niepełną – odezwał się po chwili. – W drodze wyjątku – zaznaczył.

– Czyli?

– Że sam będę pani partnerem.

– To raczej opcja wyjątkowa, a nie niepełna – zaśmiała się.

– Niezupełnie – zaprzeczył. – Bo muszę też zajmować się innymi uczniami, więc będzie pani miała mniej czasu na ćwiczenie w parze – wyjaśnił.

– Nie ma sprawy – zgodziła się. – Bardzo mi zależy na tym kursie.

– W takim razie widzimy się o dziewiętnastej – podsumował. – Proszę wziąć obuwie sportowe.

Do rozpoczęcia pierwszych zajęć nie zostało dużo czasu. Do torby zapakowała tenisówki i butelkę wody. Z szafy wyciągnęła rozkloszowaną spódnicę. Wrzuciła rzeczy do samochodu i pojechała. Na miejsce dotarła jednak sporo za wcześnie, wyjęła więc telefon i zadzwoniła do Ewy, by poprosić ją o plany budowlane willi.

– Jeśli zdążę, wyślę ci je jeszcze w tym tygodniu. Albo dopiero po osiemnastym stycznia – usłyszała w słuchawce.

– A skąd to ograniczenie? – zdziwiła się.

– Bo dziesiątego wylatuję z Goską do Madrytu – odpowiedziała Ewa.

– Nic wcześniej nie mówiłaś.

– To sprawa z wczoraj – skłamała. – Artur nie może i Gośka mnie poprosiła.

– A co z dziewczynkami? – Maria zapytała.

– Akurat są u teściów.

– Wiedzą o Madrycie?

– Nie – przyznała Ewa. – I lepiej, żeby tak zostało.

– Ciekawe...

– Trochę alergicznie reagują na Hiszpanię – wyjaśniła.

– No dobrze. Skoro uważasz, że tak będzie lepiej – zgodziła się Maria. – Czekam zatem na dokumenty. I trzymam kciuki za podróż... – Rozłączyła się od razu. – „Hiszpania... dlaczego mnie to nie dziwi? – pomyślała, chowając telefon do etui. – Ciekawe, czy mówi prawdę, czy ukrywa faktyczny cel tej wycieczki? Coś mi to pachnie Paco! Ale dobra, jest dorosła” – skwitowała.

Spojrzała na zegarek – trzeba było iść na zajęcia. Podeszła do drzwi z tabliczką „Dom Tanga”, nacisnęła dzwonek, blokada natychmiast puściła. W środku było przyjemnie ciepło. Dziewczyna siedząca w recepcji skierowała ją do szatni. Zmieniła buty i poczuła ucisk w żołądku. Taki, jaki towarzyszył jej zawsze, gdy wstępowała na nieznane terytorium. Wzięła głęboki oddech i poszła tam, skąd do jej uszu dobiegało rzewne tango. Pod ścianami stali tacy sami nowicjusze jak ona, z takim samym przerażeniem w oczach. Niektórzy popijali wodę, inni nerwowo wycierali dłonie. Ten widok dodał jej otuchy.

Muzyka się skończyła, na środku sali stanął Łukasz ze swoją żoną, Magdą. On w szerokich, ciemnych spodniach i białej koszuli, ona w zwiewnej sukience do kolan i sandałach na cienkiej szpilce. Obydwoje młodzi, piękni, elegancko wyprostowani. Maria odruchowo ściągnęła łopatki i uniosła wyżej głowę.

– Tango to nie tylko taniec. – Łukasz odezwał się jako pierwszy. – To także ciekawa historia i określony sposób bycia. Cały obszar kultury. Na naszych lekcjach uczymy kroków, ale i opowiadamy o tangu – wyjaśnił. – Nie przerażajcie się – dodał z uśmiechem. – Nie będziemy za bardzo przynudzać. Za każdym razem zaledwie kilka zdań. Uważamy, że jeśli wstępuje się w środowisko związane z tangiem, wypada znać niektóre nazwiska i fakty. – Zrobił pauzę, jakby zbierał myśli. – Przyjęło się, że początki tego tańca sięgają roku 1880 – zaczął. – Jako miejsce narodzin tanga podaje się urugwajskie Montevideo i argentyńskie Buenos Aires. Tańczono je w podejrzanych spelunkach portowych i traktowano jako „w najwyższym stopniu nieprzyzwoite”. Zapewne ta zła sława – kontynuował z uśmiechem – przyczyniła się do jego triumfalnego marszu po świecie. Z Ameryki Południowej trafiło do Stanów Zjednoczonych, a już w 1907 roku widziano je w Paryżu.

– Pięć lat później – przejęła opowieść Magda – w 1913 roku zawitało do Polski. Jako pierwsi, tak przynajmniej podają kroniki – wyjaśniła – zatańczyli je Lucyna Messal i Józef Redo w spektaklu *Targ na dziewczęta*⁶⁴. W Warszawie.

– W tym samym czasie w Anglii – ciągnął Łukasz – został wydany pierwszy podręcznik tanga: *Tango i jak je tańczyć*. I to właśnie tam spisano zasady obowiązujące do dziś, tangowy savoir-vivre – tłumaczył. – Między innymi zasadę, że na milongach poruszamy się po kole, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – dopowiedział. – I tego będziemy się trzymać, poczynawszy od dzisiejszej, pierwszej lekcji.

– A teraz czas na taniec. – Ku żalowi Marii, Magda zakończyła miniwykład, obróciła się do Łukasza, przytuliła i pozwoliła przez chwilę poprowadzić siebie, do przodu i do tyłu, bez żadnych figur, po prostu szli w parze przed siebie. – Tak wygląda krok podstawowy – wyjaśniała, tańcząc. – Nasze zadanie na dziś.

Na pierwszy rzut oka zwykle chodzenie, ale okazało się nie takie proste, bo wcale nie jest łatwo utrzymać przez dłuższy czas wszystkie mięśnie w odpowiednim napięciu i znaleźć punkt wybiecia dla kolejnego przesunięcia nogi czy energię, która będzie napędzać kolejne ruchy. Do przodu, do tyłu. Z palców i z pięty. Noga, która jako pierwsza ma być odstawiana, musi mieć wyprostowane kolano, za każdym razem kostkę trzeba dołączyć do kostki, a stopy na wysokości palców utrzymywać nieco rozsunięte na boki, jak tancerki po szkole baletowej...

Najpierw chodzili po kole, potem to samo powtarzali w parach, zmieniając partnerów, zachowując dystans, by po chwili stykać się ciałami, pierś do piersi, czoło do czoła – tak, że czuli oddech partnera na twarzy. Maria co chwila traciła równowagę, przydeptywała cudze nogi lub przydeptywano jej własne. Nie mogła się nadziwić, że tyle to przysparza wszystkim kłopotów. Śmieszyła ją ta niespodziewana nieporadność. Na koniec spróbowali zatańczyć swoje pierwsze tango, właśnie chodząc. Szybciej i wolniej, do przodu, do tyłu i w bok – w prawo lub w lewo. Wyszła z zajęć zmęczona i szczęśliwa.

„Jessica Biel! – Ze śmiechem przypominała sobie siebie sprzed miesiąca. – No, ale może nie jest to całkiem poza moim zasięgiem, jak jeszcze niedawno myślałam – pocieszała się. – Może też trafi mi się jakiś Colin Firth... Kto wie?” – zamarzyła.

Zmęczenie minęło, nim dojechała do domu, zostało za to poczucie lekkości. Lubiła ten stan. Zawsze pojawiał się wtedy, kiedy tańczyła. Starła się robić to jak najczęściej, nie przepuszczała żadnej okazji.

Taniec był jej niespełnionym marzeniem z dzieciństwa. Jak czasami, nieco kpiąc z siebie, mówiła: „jedynym prawdziwym sposobem wyrażania jej artystycznej ekspresji”. Ale prawda była taka, iż czasami żałowała, że pozwoliła rodzicom przekonać siebie do bardziej racjonalnych wyborów w życiu i w końcu została dziennikarką, a nie tancerką. Dziennikarką czasami zajmującą się tańcem...

W domu wyciągnęła pudło ze zdjęciami. Jako dziecko chodziła na zajęcia z baletu. Z kilku fotografii uśmiechała się do niej teraz mała dziewczynka ubrana w paczkę i pointy. Pamiętała, że były białe i różowe... Na włosach wianek ze sztucznych stokrotek. To był *Walc kwiatów z Dziadka do orzechów* Piotra Czajkowskiego. Ile miała lat? Osiem? Dziewięć? Była wtedy najszczęśliwszą dziewczynką na świecie.

Przypomniała sobie artykuł, jaki nie tak dawno temu opublikowała w prasie. Koleżanka ją namówiła, potrzebowała czegoś na granicy prawdy i fikcji, do świątecznego wydania magazynu, w którym chcieli zamieścić teksty o muzyce i tańcu, najbardziej czarownych sztukach, jak twierdzili. Odzukała go w komputerze.

Kiedy byłam mała, marzyłam, jak niemal wszystkie dziewczynki, by zostać księżniczką lub baletnicą – tak zaczęła się to jej quasi-opowiadanie. – Chciałam mieć piękne sukienki i buciki. Tańczyć na wielkiej sali wśród kryształowych luster. W baśniach, które mama czytała mi na dobranoc, zawsze był jakiś bal. I o tym potem się śniło.

Moi koledzy zakochani byli w mundurach. Bawili się szablami, karabinami, czołgami, a pytani, kim chcą zostać w dorosłym życiu, zgodnie odpowiadali, że żołnierzami, milicjantami lub strażakami. Marzyło im się bohaterstwo.

Wśród ulubionych baśni pierwsze miejsce zajmowała jednak nie ckliwa historia Kopciuszka, a opowieść Andersena o dziewczynce w czerwonych bucikach. Nie chciałam pamiętać o całym splocie wydarzeń, które prowadziły do tragicznego finału. Ważne było, że główna bohaterka tańcem opowiadała swoje życie.

Potem zaczęłam, z wypiekami na policzkach, oglądać w telewizji musicale. Marzyłam, by być jak Ginger Rogers i spotkać Freda Astaire'a. Po każdym filmie gdzieś w kąci pokoju próbowałam stepować tak jak oni. Nie wiedziałam, że potrzebne są specjalne, podbite blaszkami buty, by każdy ruch stopy był słyszalny...

Nie zostałam baletnicą. Szkoła, która mogła spełnić marzenia o tańcu, znajdowała się o pięć godzin jazdy pociągiem od mojego miasta. Internat nie wchodził w grę. Większość chłopców też nie została bohaterami. Zagarnęło nas życie, które z dziecięcymi marzeniami niewiele miało wspólnego.

Jest rok 2005. Pracuję w telewizji. Zajmuję się zawodowo tym, co kocham. Teatry, galerie, muzea, koncerty, książki... Poprzez kamerę podglądam warsztaty taneczne. Biegam od sali do sali. Raz broadway jazz, innym razem contemporary dance albo afro. Kiedy widzę zajęcia ze stepu amerykańskiego, takiego jak u Freda Astaire'a, tupię, stojąc na swoim miejscu obserwatora. Całe ciało się wyrzywa, by dołączyć do grupy. Nic z tego, trzeba pracować nad reportażem. Tak mi żal tego czasu beze mnie...

I teraz, nareszcie, miała wrócić do tańczenia. Pomyślała, że historia zatoczyła koło. A jeśli uda się stworzyć centrum w Poznaniu, o jakim rozmawiały z Ewą, może końcówkę życia przeżyje nareszcie szczęśliwa, spełniona, a przynajmniej nie żałując tego, że nawet nie spróbowała spełnić dawnych marzeń. Sięgnęła po telefon.

– O, Maria! – Mężczyzna, który odezwał się po drugiej stronie, był wyraźnie zaskoczony. – Coś się stało?

– Przepraszam, że cię niepokoję o tej porze, ale jutro muszę z tobą pilnie porozmawiać – wyjaśniła. – Znajdziesz dla mnie chwilę?

– Mam bardzo zapchany dzień – przyznał. – Ale jeśli to rzeczywiście pilne, bądź o ósmej rano – zaproponował po namyśle.

– Dziękuję – ucieszyła się. – Będę.

Spojrzała na zegar, było już późno. Narzuciła na ramiona kurtkę i wyszła z Borem do ogrodu. Owiało ją zimowe powietrze. Zrobiła kilka głębokich wdechów. Stwierdziła, że szybko nie zaśnie. Energia ją rozpierała. To był efekt uboczny tańca. Zawsze po nim mogła góry przenosić bez zmęczenia. Wróciwszy do domu, usiadła więc do komputera i przez kolejnych kilka godzin pisała kolejny rozdział książki.

W pracy pojawiła się wczesnym rankiem. Nim weszła do szefa, zdążyła wypić kawę i uzupełnić dokumentację, o którą prosił ją kierownik produkcji.

– Pawle, jest jak jest – odezwała się, ledwo zamknęły się za nią drzwi gabinetu. – Pieniądzy coraz mniej na to, czym się zajmuję. Nie da się już z tego wyżyć...

– Możesz robić felietony dla innych, newsy do dziennika – przerwał jej naczelny.

– Ale nie chcę – oświadczyła. – Szkoda mi na to zdrowia i energii. Niech zajmują się tym młodzi – dodała. – Jak wiesz, ciężko pracowałam na to, by zajmować się wyłącznie filmem – przypomniała. – Mam inną propozycję...

– Zamieniam się w słuch! – Był zaintrygowany.

– Ty mi zagwarantujesz jeden dokument na dwa miesiące, a ja zrezygnuję z połowy etatu.

– A co się za tym kryje? – zapytał.

– Przeprowadzam się do Poznania – odpowiedziała. – Muszę pomóc siostrze.

– W Poznaniu też jest telewizja – zauważył. – Nie prościej przenieść się do nich? Mogę zadzwonić – zaoferował.

– Nie chcę zabierać nikomu pracy – wyjaśniła. – Poza tym, tam też pewnie za często nie produkuje większych form. No i nie znam wystarczająco dobrze miasta. Nie ma problemu z tym, żebym tu czasem przyjeżdżała. Mam wiele pomysłów. Jutro zaczynam zdjęcia do kolejnego dokumentu. Za chwilę złożę ci następną eksplikację... Moja propozycja jest dobra! – stwierdziła. – Nie tracisz, tylko zyskujesz.

– Nie do końca jest tak, jak mówisz – zaproponował. – Przystajesz być dyspozycyjna.

– Jakoś dotąd nikt z tego nie korzystał – przypomniała. – Jeśli będę potrzebna, przyjadę – zapewniła. – Gdybym po cichu zrobiła to, o czym ci mówię, nawet nie zauważyłbyś mojej nieobecności. A ja chcę załatwić wszystko oficjalnie. W sumie nic się nie zmienia – powtórzyła – a ty możesz przyjąć kogoś na pół etatu, które ci zwolnię.

– Dobrze – zgodził się po namyśle. – Ale dopiero od jesiennej ramówki – dodał. – Niech to zostanie między nami – poprosił.

Wyszła zadowolona. Szybko dokończyła papierkową robotę, a później upewniła się, że wszystko jest przygotowane do jutrzejszych zdjęć, zgodnie z ustalonym harmonogramem. Emocje odpuściły, nagle poczuła się senna. Postanowiła wracać do domu. Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik, ruszyła. Kilka metrów dalej zobaczyła swojego kierownika produkcji, stanęła więc, by zapytać go, czy załatwił kamerę, o jaką prosiła.

Kiedy podjeżdżała pod szlaban parkingowy, usłyszała z prawej strony dziwne dudnienie. Natychmiast się zatrzymała i wysiadła, by sprawdzić, co się stało. Powoli obeszła samochód, uważnie przyglądając mu się z każdej strony. Tarcza hamulcowa przedniego prawego koła była pęknięta. Wyglądała, jakby ktoś przeciął ją palnikiem. Idealnie równy krąg wokół osi. Zadzwoniła po pomoc drogową i do znajomego mechanika. Kierowca lawety zdziwił się, widząc uszkodzenie. Mechanik stwierdził, że powinna zgłosić to na policję. Nigdy wcześniej nie widział, by tarcza pękła w taki sposób...

„Albo przypadek, albo ma to związek z Jackiem – przemknęło jej przez głowę. – Bzdura! – zaprzeczyła samej sobie. – Przecież nikt nie chciałby mnie zabić! Bo i po co?”.

Rozdział XIII

GOŚKA

- Powiedziałałam Ewie o naszej przewodniczce – Gośka oświadczyła, kiedy wrócili z sylwestra do domu.
- No to nie ma już niespodzianki – zwrócił jej uwagę Artur. – A chciałaś ją zaskoczyć!
 - Taka ze mnie papla. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Jak ja cię Kocham! – wyrwało jej się niespodziewanie.
 - Potrzebujesz czegoś? – zażartował. – Możemy pogadać o tym, jak wstaniemy? Dzisiaj już nie myślę. Mogę cię tylko przytulić.
 - To szybko idź umyć się jako pierwszy – zaproponowała i położyła się na brzegu łóżka.

Kiedy otworzyła oczy, okazało się, że resztę nocy spędziła kompletnie ubrana, w pełnym makijażu, ale przykryta kołdrą. Artur spał obok, zwinięty w kłębek, pod kocem i narzutą. Cicho przeszła do łazienki i napuściła wody do wanny. Miała ochotę poleżeć w ciepłej pianie.

„Jeszcze osiem dni do wyjazdu – uprzytomniła sobie. – Ale skoro Ewa otwiera knajpę, to raczej nie bierze pod uwagę Paco... – pomyślała. – Czy cały ten mój wysiłek logistyczny ma jakikolwiek sens? – zapytała samą siebie. – No dobra, nie powinnam się dalej wtrącać. Jeśli się Kochają, znajdą sposób na to, by być razem. A co ja będę robić przez te wszystkie dni? – Zastanowiła się. – Może by tak polecieć do Santander? Nie, bez sensu – zawyrokowała. – Zdążę się nim nacieszyć przez trzy lata... Jeśli między Ewą a Paco zaskoczy, polecę tam, gdzie mnie jeszcze nie było. – postanowiła. – A jeśli nie, razem będziemy zbierać lzy do kieliszków...

Otworzyły się drzwi łazienki i stanął w nich zaspany Artur. Uśmiechnął się, przetarł dłońmi twarz i podszedł, by sprawdzić ręką temperaturę kąpieli. Nic nie mówiąc, odkręcił kurek z gorącą wodą, pospiesznie zdjął z siebie wszystko i wsunął się pod pianę. Chwilę przyglądał się Goście, a potem przysunął się do niej i ją pocałował.

– Nawet nie wiesz, jak cię Kocham – wyszeptał.

Wtulił się w nią jeszcze mocniej, opierając ręce o brzeg wanny. Delikatnie dotknął ustami płatka jej ucha, szyję tuż za nim... Jej piersi muskały jego tors, czuł, jak coraz bardziej unoszą się do góry.

– Chodź – poprosił. – Wracajmy do łóżka. Tak mi ciebie brakowało, kiedy się obudziłem...

Cały dzień spędzili odgradzeni od świata, z wyłączonymi telefonami. Tylko dla siebie i tylko ze sobą. Jak kiedyś, na samym początku, zaraz po powrocie z Barcelony.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwała się Gośka, kiedy głód wygnał ich wreszcie z pościeli i usiedli do stołu do naprędce przygotowanej kolacji.

– Coś ważnego? – zaniepokoił się. – Koniecznie dzisiaj?

– Tak. Koniecznie dzisiaj. Pierwszy stycznia to dobra na to data. – Wbiła w niego wzrok. – Chyba jestem w ciąży – powiedziała przyciszonym głosem.

– Też mi się tak wydaje. – Uśmiechnął się lekko.

– Jak to? Skąd wiesz? – zdziwiła się.

– Dawno nie miałaś miesięczki – stwierdził.

– Zauważyłeś? – Była zaskoczona.

– Gosiu, przecież jesteśmy razem. – Chwycił jej dłoń i ją ucałował. – I powiem ci, że bardzo bym chciał, by była to prawda.

– Ale... to nie jest dobry czas! – zaproponowała.

– A kiedy jest dobry? – zapytał.

– Ale... Santander?

– Zniknie? – Zaśmiał się. – Nasze dziecko urodzi się w Hiszpanii. Możemy mu tylko zazdrościć!

Nie martw się – dodał po chwili – wyżyjemy z mojej pensji. I to całkiem znośnie. Dobrze wiesz.

– A ślub? – zapytała.

– Nie chcesz za mnie wyjść? – zdziwił się.

– Nie, nie o to chodzi! Będę w czwartym miesiącu...

– I komu to przeszkadza? Gosiu – zaczął tłumaczyć – ten ślub to nie jest jakaś formalność związana z wyjazdem, ja naprawdę chcę, byś została moją żoną. Chcę tego – dodał – od samego początku. Odkąd się poznaliśmy, wiem, że chcę dzielić się z tobą radościami i smutkami, nudą i szaleństwem, być z tobą dzień po dniu aż do końca. Rozumiesz? Dziecko jest naturalną konsekwencją. Cieszę się, że możemy je mieć. Będę je kochał tak, jak kocham ciebie – zapewnił. – A może – puścił do niej oko – nawet bardziej. I oby się potwierdziło to, co dziś przypuszczamy. Ale – oznajmił – alkohol znika z naszego menu. – Wstał i ostentacyjnie wylał wino do zlewu. – Woda i soki – podsumował. – I bardzo dobrze! Umrzemy zdrowsi... To kiedy oznajmimy nowinę światu? – zapytał ze śmiechem.

– Jak będziemy mieć pewność – zaproponowała. – Jak zrobię testy – dodała. – Jeszcze przed Barceloną. Muszę wiedzieć, czy mogę tam pić coś więcej niż tylko wodę – oświadczyła.

Następnego dnia zrobiła test ciążowy. Wynik był pozytywny. Powtórzyła go jeszcze dwa razy. Piersi bolały ją jak przed miesięczką. Nie miała wątpliwości. Artur obsypał ją kwiatami, kiedy potwierdziła nowinę, a potem się oświadczył. Poprosił ją o rękę podczas kolacji w „La Rambli”, ich ulubionej hiszpańskiej knajpce. Spotkali się tam z najbliższymi przyjaciółmi, by powiedzieć im o ciąży, a on nagle przyklęknął i wsunął Goście na palec pierścienek zaręczynowy. Z czarnym niewielkim kamieniem – brylantem. Dziewczyny się popłakały, mężczyźni poklepywali Artura po plecach. Ewa zażartowała, że Madryt bez wina może być trudny do przeżycia, ale obiecała sama solidarnie nie sięgać po mocniejsze trunki, a Goškę chronić przed pokusami.

– A kiedy powiemy o tym rodzicom? – zapytał Artur, kiedy wrócili do domu.

– Nie wiem – przyznała. – Mojej mamie najchętniej w ogóle bym nie mówiła.

– Nigdy nie pytałem, dlaczego jest tak kiepsko między wami – odezwał się po dłuższej chwili – bo to nie moja sprawa. Nie wtrącam się. Zresztą, sam też nie chciałbym, by ktoś, nawet ty, roztrząsał moje rodzinne problemy. Żenię się z tobą, a nie z twoją matką. Ale chyba nie chcesz zataić przed nią istnienia wnuka?

– Najchętniej właśnie tak bym zrobiła... – stwierdziła smutno.

– Okej, zrobisz, jak uznasz za stosowne – poddał się. – To zapytam inaczej: kiedy powiemy moim rodzicom?

– Może po Barcelonie? – zaproponowała niepewnie.

– Boisz się? – zapytał zdziwiony.

– A ty nie?

– Czego? Nasze życie – nasze decyzje. Nawet jeśli mają zastrzeżenia, muszą to zaakceptować – stwierdził.

– Muszą?! Jesteś pewien, że muszą? – wątpiła.

– A co im pozostaje? Wybór jest jasny: albo są z nami, albo nas nie mają – oświadczył.

– Moja matka najchętniej skreśliłaby mnie na amen – przyznała.

– Jestem pewien, że się mylisz.

Przygarnął ją, przytulił. Nie było sensu dalej ciągnąć tej rozmowy. Gośka była pewna swego. Nie rozumiała, co działo się między nią a matką, nie wiedziała, kiedy się to zaczęło i dlaczego, zawsze jednak czuła, że jest dla niej ciężarem. Dobrze pamiętała ulgę na jej twarzy, kiedy jeszcze na studiach oświadczyła, że nie wraca do domu, że zostaje w Poznaniu. Padło wtedy tylko jedno pytanie: czy będzie na tyle dorosła, by utrzymywać się samodzielnie po dyplomie. Niczego nie dostała od niej na tę nową drogę. Nawet garnka do gotowania mleka. To babcia zadbała o jej „posazny kufel”, jak żartowała... Prosto z akademika przeprowadziła się do pokoju wynajmowanego z koleżanką. A potem do mieszkania – jednego, drugiego... To było piąte.

Od tamtej rozmowy nie widziała się z matką. Kiedy po raz pierwszy nie przyjechała na Boże Narodzenie, ta nawet do niej nie zadzwoniła, by zapytać, czy coś się nie stało. Akurat wtedy chorowała, nie była w stanie wstać z łóżka. Gdyby nie rodzice Wojtka, jej chłopaka, święta spędziłaby całkiem sama. Przewieźli ją do siebie, okutaną w śpiwór, ułożyli na kanapie w salonie, nakarmili. Nawet prezent dostała. Wełniane skarpety i gruby szalik, które służą jej do dziś.

Matka przypomniała sobie o niej kilka miesięcy później, w dniu jej urodzin. I tak już zostało. Ponieważ święta nie były dla niej ważne i zasadniczo ich nie obchodziła, kontaktowały się tylko w swoje prywatne rocznice. Zdawkowe: „wszystkiego najlepszego”, „co słyhać”, „dziękuję, dobrze”, „uważaj na siebie”. Nie padało nawet: „daj znać, jakbyś czegoś potrzebowała”. Żadnej czułości. Zresztą, nigdy jej między nimi nie było. Tak jakby odejście ojca zabrało całą miłość...

I teraz miałyby do niej jechać i mówić: „Mamo, wychodzę za mąż, będę miała dziecko”?! Łatwiej byłoby powiedzieć to komuś obcemu. Bo po obcym nie spodziewasz się żadnej reakcji. A tu pewnie spotkałaby ją tylko obojętność, która boli. Więc... po co? Przyglądając się śpiącemu obok Arturowi, zastanawiała się, jak ma to mu wytłumaczyć.

„A jeśli ja będę taka sama dla swojego dziecka? – przyszło jej nagle do głowy. – Może, jak moja matka, umiem kochać tylko jednego człowieka?” – panikowała. – Artur! – Dotknęła jego ramienia. – Artur! – Potrząsała nim, aż otworzył oczy. – A co będzie, jak mnie przestaniesz kochać? – zapytała przerażona.

– Jak to, co będzie? – Uśmiechnął się. – Będiesz mogła pokochać kogoś innego – stwierdził. – Bo wcześniej ci na to nie pozwolę. Koniec, klamka zapadła. Biorę cię w jasyr. A teraz już śpij – poprosił. – Rano idziemy do pracy, nikt nie dał nam wolnego. – Pocałował ją i odwrócił się plecami.

Chwilę leżała, patrząc w sufit, potem przeniosła wzrok na kulę z barcelońskim bykiem, jaką dostała kiedyś od Artura; księżyc oświecał ją, jakby był latarnią, jaśniał od niego cały parapet. W końcu wstała i na palcach przeszła do kuchni. Z szafki wyjęła papeterię, sięgnęła po długopis. Zaczęła pisać.

Droga Mamo!

Chciałam Ci powiedzieć, że wiele się w moim życiu zmieniło. W marcu wychodzę za mąż, w maju przeprowadzamy się do Hiszpanii, w sierpniu – w Santander – urodzi się nasze dziecko. Chętnie Ci o wszystkim opowiem i przedstawię Artura, jeśli tylko zechcesz. Daj znać. Kocham Cię.

Rano poprosiła Artura, aby wracając z pracy, wysłał jej list. Pocztę miał naprzeciwko biura; nie wymagało to specjalnej fatygi. O nic nie pytał, ale i tak powiedziała mu, że właśnie dała kolejną szansę sobie i matce, reszta zależy od niej. Kiwnął głową ze zrozumieniem.

Nieuchronnie zbliżał się czas wyjazdu. Po południu posprawdzała wszystkie opcje kolejowe oraz lotnicze na wypadek, gdyby sprawy Ewy i Paco potoczyły się na tyle dobrze, że będzie musiała jakoś się ulotnić, by nie zawadzać im swoją obecnością. Wiedziała, że w Barcelonie mają spotkać się z Marią, dziewczyną poznaną przez Ewę w Lizbonie, w grę wchodziły więc różne rozwiązania: dni z nową koleżanką, Madryt albo krótki wypad do Malagi. Zadzwoiła do Paco. Była ciekawa, jak się czuje, ale wyraźnie nie miał ochoty na zwierzenia, więc szybko przeszła do ustalania szczegółów spotkania.

– Z Ewą pójdziemy na kolację do knajpki na Plaża Reial – instruowała. – Nie pamiętam, jak się nazywa, byliśmy tam na dzień przed powrotem do Polski. Stojąc w kierunku morza – tłumaczyła – po prawej stronie, w rogu, za bocznym przejściem do La Rambl. Znajdziesz. Dobrze by było, gdybyś pojawił się tam przypadkiem – radziła. – Może szukając kogoś? Powiedzmy o dziewiątej. Pasuje?

– Tak, jasne – odpowiedział, nie kryjąc narastającego zdenerwowania. – To już za kilka dni – przypomniał.

– Zgadza się – potwierdziła. – Mam nadzieję, że wiesz, co robić?

– Czy ona się domyśla? Mówi o mnie? – chciał wiedzieć.

– Nie, nie mówi, ale... – zawiesiła głos, szukając właściwych słów – chyba nieco łagodniej ocenia to, co się stało – dokończyła. – I raczej niczego się nie domyśla, bo planuje spotkanie z koleżanką, która jakiś czas temu zamieszkała w Barcelonie – próbowała go uspokoić.

– Okej, rozumiem. Mam nadzieję, że nie ucieknie, jak mnie zobaczy...

– Paco, to nie jest płochliwa dziewczynka. – Gośka zaczęła się śmiać.

– Wiem. Ale różnie może być...

– Wszystko zależy od ciebie – przypomniała mu. – Moja rola kończy się w momencie, kiedy usiądziemy przy stoliku.

– Tak, wiem – potwierdził. – Gosiu...

– Tak?

– Dziękuję ci.

– Nie spieprz tego! – Poprosiła. – Do zobaczenia.

Rozdział XIV

PACO

—Sześć dni, sześć dni do przyjazdu Ewy – powtarzał, chodząc po mieszkaniu. – A jeśli się nie uda? – Nerwowo przeczesywał włosy palcami obu rąk. – Jak ją zobaczę – doszedł do wniosku – będę wiedział, czy mam szansę, czy tylko się łudzę.

La Gata wodziła za nim oczami z charakterystycznym dla niej spokojem, gotowa jednak w każdej chwili podjąć zabawę, gdyby okazało się, że to właśnie jej początek. Czasami tak się to właśnie odbywało: krążył i nagle wyciągał z kieszeni jakiś sznurek, a ona za nim biegała, udając, że poluje. Teraz więc nie spuszczała z niego wzroku, dopóki nie usiadł na krześle. Ale i wtedy przyglądała mu się uważnie. Bo nigdy nic nie wiadomo. Zabawa polega przecież na zaskakiwaniu.

Jednak tym razem Paco nie zwracał uwagi na kota. Przyglądał się ścianom, notował coś na kartce, a potem wyszedł i wrócił dopiero, kiedy na zewnątrz było już ciemno. Za nim jacyś ludzie wnosili paczki i meble. Wszystko złożyli w salonie i poszli. La Gata obwąchała kartony, otarła pyszczek o ich krawędzie, po czym wskoczyła na fotel w pobliżu drzwi na taras, gdzie – udając całkowity brak zainteresowania – czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

Paco podwinął rękawy koszuli i zaczął przesuwac zastawioną na środku kanapę. Żółtą. Jak słoneczniki albo jak róże, które kupował dla Ewy. Najpierw ustawił ją przodem do lustrzanej ściany, potem tyłem. Uznał, że tak będzie lepiej. Z kartonu wydobył blat ze szkła i drewna, dokręcił nogi – stolik zajął miejsce tuż przy fotelu z kotem. Obok rzucił dwa worki do siedzenia, fioletowy i szary. Pod ścianę zaciągnął niską, długą komodę – czarną z aluminiowymi listwami. Na niej ustawił wysokie wazon w kolorze piaskowym i ażurową, popielatą misę na owoce. Związał puste kartony i zszedł na dół, by zostawić je przed wejściem do domu – tak, jak wszyscy to robili w Barcelonie. W sklepiu obok kupił pomarańcze. Dobrze uzupełniły kolorystykę salonu. Nalał sobie kieliszek wina, sięgnął po czystą kartkę i znowu zaczął notować.

Przyjazd Ewy zmobilizował go do uzupełnienia braków w mieszkaniu. Ciągłe to przekładał, nie lubił zakupów, ale też i nie czuł wewnętrznej potrzeby, by jakoś szczególnie zadbać o to miejsce. W salonie ćwiczył, w kuchni jadł śniadania, w sypialni najważniejsze było wygodne łóżko. Reszta nie miała znaczenia, nikogo do siebie nie zapraszał i nie przesiadywał tu dłużej, niż musiał. Teraz jednak chciał, by Ewa – jeśli pozwoli się zaprosić – poczuła się tutaj jak najlepiej. Z salonu był zadowolony. Kolory zrobiły swoje: nie trzeba było zagracać przestrzeni, by uczynić ją przytulną. No i nadal mógł być salą prób – wystarczyło przesunąć stolik i siedziska. Na przyjazd Ewy powinien zakryć lustro, w tej chwili nie było jednak na to czasu; wymyślił przesuwane ściany, a to wymagało remontu. Teraz potrzebował jeszcze tylko paru drobiazgów do kuchni i sypialni. Wszystko spisał, żeby skrócić do minimum wizytę w sklepie.

„Może nie będzie tak źle? – pomyślał. – Przecież w sylwestra mi odpisała. Po raz pierwszy od wyjazdu!” – pocieszał się.

Przypomniał sobie, jak dźwigali do domu stary angielski fotel klubowy. Kupili go na pchlim targu. Ich pierwsze wspólne zakupy. Ewa była zaskoczona, że to fotel do jej gabinetu. Ba, że w ogóle ma mieć swój własny pokój do pracy! Trochę złościła się z tego powodu, bo nie wiedziała, czym chce się tutaj zajmować ani czy w ogóle czymkolwiek może. Ángel zwymyślał go, że podarował jej mebel zamiast biżuterii. Jak się nad tym lepiej zastanowił, przyznał mu rację i zaraz potem kupił też kolczyki – okazało się, że dokładnie takie, jakie sama wcześniej wypatrzyła. Podobnych zdarzeń było więcej. Co chwila łapali się na tym, że lubią to samo, że myślą o czymś identycznie. „To jawny znak, że powinniśmy być razem – przekonywał teraz samego siebie. – Owszem, popełniłem błąd, ale ile można pokutować? Ile mam bić się w piersi i kajać? Poza tym zmieniłem się przez te miesiące, stałem się innym człowiekiem. Tylko jak mam ją o tym przekonać? Słowa są jak zaklęcie deszczu, a na czyny cztery dni nie wystarczą”.

Siedział i dumał nad tym. Kot wskoczył mu na kolana, ledwo się ułożył, zamruczał z radości. Podstawiał mu łepkę pod rękę, trącał nosem, szturchał łapką, byle tylko go głaskać. Kot, który wyczuwał dobrych ludzi, jak często opowiadał o nim innym... Kiedy przywiózł do domu Ewę, La Gata od razu się do niej przykleiła. Nie odstępowała jej nawet na chwilę. Musieli zamykać drzwi od sypialni, jeśli chcieli się kochać, bo inaczej ładowała się im do łóżka i nie pozwalała się z niego się wygonić.

Jak to rozegrać? Jak uprosić Ewę, by dała mu jeszcze jedną szansę? Nagle go olśniło: zrozumiał, że w ogóle nie powinien wracać do przeszłości.

„Muszę zacząć wszystko od początku – pomyślał. – Tak, jakbym zobaczył ją pierwszy raz w życiu”.

Trochę się uspokoił. Minęło pięć miesięcy od ich ostatniego spotkania – zachwycić się Ewą nie będzie trudno. A teraz lepiej już nie zastanawiać się nad tym dłużej. Kupi to, co kupić postanowił, przygotuje dom i spróbuje nie zwariować, czekając na jej przyjazd. Na szczęście, ma czym zająć głowę. Lekcje, wieczór kawalerski Ángela, spokojnie da radę, wytrzyma. Następnego dnia poprosił tylko Marizę, by trzymała za niego kciuki.

– *Cruzo mis dedos, cariño! Como siempre*⁶⁵! – krzyknęła do słuchawki. – Potrzebujesz pomocy? Coś ci ugotować?

⁶⁵ *Cruzo mis dedos, cariño! Como siempre!* (czyt. kruzo mis dedos, karinio! Komo siempre!) – Trzymam kciuki, kochanie! Jak zawsze!

– Nie, nie! – odpowiedział. – Z gotowaniem dam radę, jeśli będzie trzeba.

– Jak byście mieli ochotę, wpadnijcie do mnie – zaproponowała.

– Marizo, przecież ona będzie tu tylko cztery dni – przypomniał. – I nie wiem, czy ze mną – dodał.

– *Vale, vale*⁶⁶! Ja tylko mówię, że drzwi zawsze otwarte.

⁶⁶ *Vale!* (czyt. bale) – dobrze, w porządku.

– Słuchaj... a jeśli ona ucieknie? – zapytał jak wystraszone dziecko.

– Pewnie nie ucieknie, ale to nie znaczy, że zostanie... – odpowiedziała trzeźwo. – O ile dobrze pamiętam, ma dzieci, a przylatuje tu sama, tak?

– Tak. Tylko z Goską – potwierdził.

– Czyli będzie musiała wrócić do Polski – oświadczyła, drażniąc się z Paco. – Ale mówiąc serio, nie wiem, co ci odpowiedzieć. Bo nie wiem, jak myślą dziewczyny z tamtej strony świata – zaczęła tłumaczyć. – Ty znasz je lepiej, ładnych parę lat spędziłeś z Anną. Już o tym kiedyś rozmawialiśmy. Mam wrażenie, że mają mniej luzu, że życie widzą dość ponuro. I szczęścia – zaśmiała się – oczę-

kują dopiero w niebie... A to wiele tłumaczy.

– Anna była inna – stwierdził. – Ona nie nosiła tego polskiego gorsetu...

– No widzisz! – weszła mu w słowo. – Sam najlepiej wiesz, czego się spodziewać. Lekko nie będzie, to na pewno. Według mnie, jeśli Ewa sama ci nie wybaczy, nie przekonasz jej – uznała. – I nie przekonałbyś jej nawet, gdyby nie była Polką – dodała. – To powinieneś wiedzieć beze mnie. Mam nadzieję, że wasza miłość była prawdziwa. I że Ewa woli śmiać się, niż płakać. Chociaż Polki, jak mi się wydaje, uwielbiają pokutować. Także za grzechy niepopelnione – zażartowała. – Widziałam kiedyś w telewizji dokument o ich życiu religijnym.

– Może masz rację... Coś w tym jest, rzeczywiście. – Zasepił się, rozmowa z Marizą wcale nie podniosła go na duchu.

Wyjrzał przez okno, by sprawdzić, jaka pogoda. O dziwo, zaczął padać śnieg. Zdarzało się to czasem także w Barcelonie, ale na tyle rzadko, że zawsze wszyscy byli tym mocno zaskoczeni. Kaloryfery, które znał z Polski, tutaj w ogóle nie znajdowały zastosowania, bo co ogrzewać, jeśli temperatura zimą rzadko kiedy spada poniżej czternastu stopni? Chyba że zacznie padać śnieg – jak teraz. Wyjął z kieszeni kartkę i dopisał na niej „grzejnik”. Miał nadzieję, że gdzieś uda mu się go kupić. Wciągnął na siebie jeszcze jeden sweter, postawił kołnierz od kurtki i wyszedł. Zakupy same się nie zrobią.

Płatki śniegu przylepiały się do ubrania i natychmiast topniały. Pod nogami chlupało, jakby ktoś rozlał tony zmiksowanego lodu. Otworzył parasol, choć utrudniał chodzenie po wąskich uliczkach, bo musiał nieustannie uważać, by kogoś idącego obok nim nie zahaczyć. Ciągle więc podnosił go wyżej i opuszczał, przechylał w jedną lub drugą stronę, wyginał się, omijając innych ludzi. Wyglądało to jak slalom na nartach.

Kiedy dotarł do sklepu z akcesoriami domowymi, czuł się zwyczajnie zmęczony, w dodatku bolało go ramię. Wyciągnął kartkę, poprosił ekspedientkę o pomoc. Po godzinie stał już w kolejce do kasy. Nie wszystko było takie, jak sobie zamarzył, ale pogoda skutecznie zniechęciła go do dalszych poszukiwań. Nierozwiązana pozostawała kwestia grzejnika. Na szczęście, miał na to jeszcze kilka dni. Z trudem doniósł siatki do mieszkania. Tym razem parasol musiał pozostać zamknięty. Wrócił kompletnie przemoczony. Śnieg zdążył już przejść w deszcz, siąpiło.

Zapalił wszystkie palniki na kuchence, żeby chociaż trochę ogrzać jedno pomieszczenie, wrzucił ubrania do suszarki, sam wszedł pod gorący prysznic i stał pod wodą tak długo, aż poczuł, że jest mu znowu ciepło. Wzdrygnął się na myśl o tym, że dziś jeszcze raz będzie musiał wyjść z domu. Nie miał jednak wyboru, wieczorem prowadził lekcje.

Dzisiaj czekały na niego dwie grupy. Bardziej zaawansowana z *tangosa* i początkująca z *sevillanas*. Przebierając się w strój do ćwiczeń, uśmiechnął się do wspomnień. Przypominał sobie zajęcia z Ewą, jej minę, kiedy złamała wachlarz, chcąc go energicznie otworzyć. Miała wtedy, wraz z całą grupą, zatańczyć *guajirę*⁶⁷. Gwałtownie uniosła rękę ponad głowę, machnęła i pióro⁶⁸ trzasnęło jak zapałka... Była tym tak zaskoczona, że tylko się roześmiała. Miała piękny uśmiech. Zawsze śmiała się całą sobą, oczy zwężały jej się wtedy w szparki, na twarzy pojawiały się urocze zmarszczki, usta rozchylały się, pokazując idealnie białe zęby, ramiona lekko się unosiły. Po chwili wszyscy jej wtórowali. A ona wycierała łzy, które płynęły po policzkach. Jej śmiech był jak fala – zagarniał innych, niezależnie od tego, czy mieli na to ochotę.

⁶⁷ *Guajira* (czyt. guahira) – taniec o kubańskich korzeniach, prosty w rytmie, uwodzicielski; najczęściej tańczony z wachlarzem.

⁶⁸ Pióro – część konstrukcyjna wachlarza, najczęściej drewniana; na piórach rozciągnięty jest materiał; długość pióra określa rozmiar wachlarza; we flamenco najczęściej używa się wachlarzy o długości pióra 28 lub 32 cm.

Wszedł na salę. Grupa kończyła właśnie rozgrzewkę. Nie było dużo osób. Pogoda zniechęciła nie-

których do przyjścia. Przywitał się ze wszystkimi, włączył muzykę i stanął na środku. Kiedy zabrzmiała *letra*⁶⁹, zaczął tańczyć. Grupa przyłączyła się do niego. Nie pamiętali jeszcze zbyt dobrze choreografii. Mylili stopy, które uparcie nie chciały zabrzmieć równo i jednym głosem. Ruch był chropawy – jak dopiero narysowany szkic przyszłego obrazu. Skupiali się na krokach, próbowali przypomnieć sobie ich kolejność, z rzadka udawało im się oderwać wzrok od Paco. A on tańczył i obserwował w lustrze to, co robią. Dobrnęli do końca, wyłączył muzykę.

⁶⁹ *Letra* – tekst, zwrotka.

– *Tenemos que aprender zapateo. Vamos*⁷⁰! – odezwał się po chwili.

⁷⁰ *Tenemos que aprender zapateo. Vamos!* (czyt. Tenemos ke aprender sapateo. Bamos!) – Musimy nauczyć się stepów. Dalej!

W ciszy zaczął powoli pokazywać stopy. Po kolei każdą sekwencję. Powtarzali ją sami i z nim, wolniej i szybciej, niektórzy prosili o wytłumaczenie jakiegoś pojedynczego elementu. Zamykali oczy, próbowali zapamiętać melodię kroków, zgodnie z zasadą, że jeśli się ją zaśpiewa, to i potem bez trudu także zatańczy. Tra-ta-ta, tra-ta-ta, tam, tra-ta-ta, tra-ta-ta, tam, szur, szur i *marcaje*⁷¹... Skandowali razem. Po godzinie było już lepiej, nie mogli tylko jeszcze wejść w odpowiedni rytm. Ale Paco ich uspokajał – zawsze powtarzał im, że „*flamenco necesito una paciencia, poco a poco y todo va bien*⁷²”. Do koncertu finałowego mieli jeszcze pięć miesięcy, zdążą się nauczyć.

⁷¹ *Marcaje* (czyt. markahe) – zestaw kroków oddzielających sekwencje stepów; inny dla każdej grupy tańców.

⁷² *Flamenco necesito una paciencia, poco a poco y todo va bien* (czyt. Falmenko nesesito una paciencia, poko a poko todo ba bien) – Flamenco wymaga cierpliwości, krok po kroku i wszystko będzie dobrze.

Po lekcjach, kiedy wszyscy już poszli, jak zwykle sprawdził rachunki, przejrzał szkolne maile, odpisał na te, które wymagały odpowiedzi. Potem mopem przetrął podłogi, sprawdził stan toalet, uzupełnił mydło w pojemnikach i papier toaletowy, schował do skrzyni w korytarzu zapomniane worki z butami, zostawione podkoszulki... Lubił tę szkołę. Jej kolorowe szafy i krzesła ze sznurkowymi siedzeniami, niebieskie filary na środku głównej sali, plakaty szczelnie zakrywające ściany – stare, z czasów świetności Luisa Duarte, jego promotora i przyjaciela, przypominające także inne wielkie postaci z historii flamenco, bo Luis spotkał się na scenie chyba ze wszystkimi gwiazdami.

„Co bym robił, gdybym nie tańczył? – Zamyślił się na chwilę. – Może dalej grałbym na saksofonie? Czy to wszystko był zwykły przypadek? Dlaczego flamenco przyszło do mnie tak późno?”

W jego rodzinie nikt nie tańczył. Kilku starszych kuzynów grało. Ale nie flamenco – ich pasjonował jazz. Zresztą, jego także i to do tego stopnia, że zaczął się uczyć gry na instrumencie. Stopniowo odkrywał też inną muzykę. Pamiętał dobrze wyjazd z rodzicami do pobliskiego Kadyksu. Wieczorem zabrali go na kolację do restauracji, na miejscu okazało się, że ma się tu odbyć także koncert. W pewnym momencie wyszło dwóch gitarzystów z *cajonista*⁷³ i zaczęli grać. Ale nie to zrobiło na nim największe wrażenie, tylko tancerz, który chwilę później do nich dołączył: to, jak dopełnił muzykę, wystukując rytm stopami i to, z jakim żarem poruszał się na scenie. Mocny, dumny, wspaniały. Mężczyzna, jakim on sam wtedy bardzo chciał zostać.

⁷³ *Cajonista* (czyt. kahonista) – muzyk grający na cajonie (*cajón*), instrumencie perkusyjnym przypominającym skrzynkę.

Kiedy wrócili do domu, próbował podobnie wystukiwać różne rytmy stopami. Potem znalazł nauczyciela, zaczął chodzić na lekcje. I zakochał się. Od jedenastego roku życia, przez ładnych parę lat, każdą wolną chwilę poświęcał na poznawanie flamenco. Wkrótce doszedł do tego też balet, bo jego nauczyciel twierdził, że i on jest niezbędny. Cztery lata później wyjechał do Madrytu; spotkał tam wspaniałych ludzi, dzięki którym mógł nadrobić braki i ukończyć konserwatorium. Najważniejsza z nich była Inés, a właściwie Agnieszka, tancerka z Polski.

– Ciągłe prześladowają mnie Polki. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Wdrukowanie z dzieciństwa,

czy co?

Miał piętnaście lat, kiedy poznał Inés. Do niej, jako dyrektorki konserwatorium, należało ostatecznie słowo przy naborze do szkoły. Uparła się, by go przyjąć. Mimo że właściwie był już na to za stary. Opracowała mu indywidualny tok nauczania, pilnowała go, prowadziła. Dzięki niej, trzy lata później, zadebiutował w Narodowym Baletcie Hiszpańskim. To, kim się stał, zawdzięczał przede wszystkim właśnie jej...

Zamknął drzwi frontowe do szkoły, wyszedł na ulicę. Była spokojna, ciepła noc. Śnieg przestał sypać, błoto spłynęło do kanalizacji, nic już nie chlupało pod nogami. Na dworze ludzi prawie nie było. Siedzieli w domach lub pubach. Zajrzał do najbliższego, rozejrzał się po sali, nie zauważył nikogo znajomego, szybko więc wypił przy barze małe piwo i poszedł dalej, bocznymi ulicami, na skróty.

Rzadko wybierał tę drogę, bo musiał przecinać La Ramblę del Raval, a ona przypominała mu czas spędzony z Ewą, teraz jednak bardzo chciał zobaczyć Kota. Tego Kota z Raval⁷⁴, na którego próbowała kiedyś przy nim się wdrapać. Nie powiedział jej wtedy, że w Barcelonie wierzy się, iż temu, kto się dostanie na jego grzbiet bez niczyjej pomocy, zawsze będzie sprzyjać szczęście. Nie było to łatwe zadanie – Kot był obły i idealnie gładki.

⁷⁴ Rzeźba Fernanda Botera, stojąca w Barcelonie od 1987 roku, obecnie przy La Rambla del Raval.

Teraz postanowił sam na niego się wspiąć.

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział XV

GOŚKA

— Popatrz tylko na te prognozy pogody! – Gośka złościła się, siedząc przy komputerze. – Muszę zapakować do spania narciarską bieliznę – stwierdziła nagle.

– Nie przesadzasz? – Artur zapytał, nie podnosząc wzroku znad książki, którą czytał, leżąc na kanapie.

– Nie przesadzam. W dzień jakoś będzie, ale w nocy? Siedem stopni powyżej zera! – Pokazała na ekran. – I jeszcze możliwy deszcz. Masakra!

– No to macie pecha – skwitował ze śmiechem.

– Co mi w ogóle strzeliło do głowy, żeby tam lecieć zimą?

– Naprawdę nie pamiętasz? – zadrwił.

– Pamiętam, pamiętam... – wymamrotała. – Jasne, że pamiętam.

– Ja to się dziwię, że nie wycofałaś się z tego pomysłu, kiedy okazało się, że jesteś w ciąży – stwierdził.

– Uważasz, że przez dziewięć miesięcy powinnam siedzieć i nic nie robić? – zdziwiła się. – To nie choroba!

– Dobrze, już dobrze – wycofał się. – Dopakuj, co trzeba, i lepiej się pospiesz – spojrział na zegarek – bo za chwilę chyba będzie tu Ewa.

Gośka podeszła do Artura, pocałowała go w czoło, jakby był dzieckiem, pogłaskała po włosach i wskazała na pawlacz w przedpokoju.

– Musisz mi pomóc – powiedziała z przesłodzonym uśmiechem. – Pudło z tyłu, po prawej stronie.

Przyciągnął krzesło, stanął na nim, przez chwilę przesuwając rzeczy, które, Gośka tam przechowywała, w końcu podał jej karton. Szybko wyciągnęła z niego legginsy i podkoszulek termoizolacyjny, a pudło z powrotem powędrowało na górę.

– Na pewno nie chcesz, żebym jechał z wami na lotnisko? – Artur zapytał, ponownie siadając na kanapie.

– No pewno – potwierdziła. – Wystarczy, jeśli odbierzesz nas za tydzień.

W tym momencie dobiegł do niego z ulicy dźwięk klaksonu. Gośka wyjrzała przez okno: na dole czekała na nią taksówka. Artur podał jej kurtkę, sam założył swoją, wrzucił do plecaka czytana książkę, chwycił jej walizkę i wyszli.

– Uważaj na siebie i tego pasażera na gapę. – Przytulił ją mocno przy samochodzie.

– Zostajesz tutaj? – zapytała, poprawiając mu szalik.

– Nie, wracam do siebie – odpowiedział. – Głupio czułbym się tutaj sam... Przyślij esemesa, jak doleciecie – poprosił.

– Jasne. Trzymaj kciuki za plan! – Pocałowała go na pożegnanie.

Otworzył drzwi, zatrzasnął je, gdy wsiadła, taksówka natychmiast ruszyła. Gośka przywitała się z Ewą dopiero wtedy, kiedy Artur zniknął jej z oczu. Zapytała, czy wie o czekającym je chłodzie, i więcej się nie odzywała. Ewa też milczała. Gośka wyczuwała w niej jakieś podenerwowanie. Może to strach przed lataniem, tłumaczyła sobie.

Na lotnisku pojawiły się, kiedy trwała już kontrola bagaży. Ustawily się karnie w kolejce. Ku zaskoczeniu Gośki, do Girony wybierało się sporo osób, wyglądało na to, że samolot będzie zapelniony.

Wyciągając komórkę, laptopa, zdejmując zegarek, kurtkę i buty, zawsze czuła się trochę niepewnie. Może o czymś zapomniała, może włożyła do walizki coś, co jest zabronione? Kiedyś już tak się zdarzyło i straciła maleńki scyzoryk ozdobiony masą perłową, pamiątkę z Langwedocji. Na nic się zdały prośby i łzy, że to prezent od narzeczonego, wylądował w kubie z przedmiotami do utylizacji i tyle. Od tamtego czasu wszystko sprawdzała po kilka razy, ale i tak podczas kontroli żołądek zawsze zawiązywał się jej w supełek.

Na bramce, oczywiście, zawył alarm, bo nie zdjęła bransoletek pozwiązywanych nitkami, by nagle nie spadły jej z ręki, i pierścionka od Artura. Celnik uśmiechnął się do niej z wyrozumiałością, przejechał po ubraniach wykrywaczem metalu i – radząc, by następnym razem biżuterię też położyła w koszyku – pozwolił iść dalej.

Ledwo znalazły się w hali odlotów, otworzono ich bramkę. Kolejka przesuwala się szybko, już na pół godziny przed startem siedziały na swoich miejscach w samolocie. Ewa przy oknie, Gośka obok. Rozmowy wchodzących na pokład pasażerów zamieniły się w jednostajny szum. Ewa otworzyła czytnik i uśmiechnąwszy się przepaszając do Gośki, próbowała skupić się na książce. Gośka otworzyła teczkę, w której trzymała powycinane z czasopism artykuły. Jednak hałas przeszkadzał jej na tyle, że nie mogła się na nich skupić, przyglądała się więc wchodzącym. Zastanawiała się, ilu z nich spotkają nazajutrz w Gironie, a ilu od razu pobiegnie na autobus, by jak najszybciej dotrzeć do Barcelony.

Kiedy samolot wystartował, Ewa zamknęła swojego Kindle'a⁷⁵ i spojrzala na teczkę, którą Gośka położyła na stoliku przed sobą.

75 Najpopularniejszy obecnie czytnik książek dostępnych w wersji elektronicznej.

- Czyli... jutro Girona? – upewniła się.
- Tak. Jutro szwendamy się po El Call – potwierdziła Gośka. – Jak wylądujemy, będziemy miały pół godziny na to, by znaleźć autobus do miasta. Masz drobne? – zapytała.
- Tak, jakieś dziesięć euro w bilonie.
- To dobrze. Bilet powinien kosztować około trzech euro, ale może mam stare dane – tłumaczyła dalej. – Wsiadamy w Gironie na dworcu autobusowym, stamtąd idziemy jakieś pół kilometra i jesteśmy w hotelu. Na zdjęciach wyglądał dobrze, ma też dobre oceny u gości. Zresztą, to tylko dwie noce. – Uśmiechnęła się na wszelki wypadek.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła! – Ewa westchnęła.
- To samo, co ze mną! – odpowiedziała żartobliwie.
- Słuchaj, a co ty będziesz robić w Santander? – nagle Ewa zainteresowała się Gośki przyszłością.
- Przecież do pracy nikt cię nie przyjmie na trzy miesiące przed porodem...
- Postanowiłam wykorzystać ten czas na doktorat – oświadczyła.
- Na co? – zapytała zdumiona Ewa.
- Na doktorat – powtórzyła głośniej. – To chyba najlepszy pomysł. Już rozmawiałam o tym na uczelni. I nawet mam promotora.

– A o czym chcesz pisać? – Ewa nadal nie dowierzała.

– O związkach między postnowoczesnością a odradzającymi się w Europie nacjonalizmami – wyjaśniła. – To na razie roboczy tytuł, bo temat jest ogromny i pewnie będę musiała go jakoś zawęzić. Zobaczymy. Na razie szukam. – Ręką wskazała na swoją teczkę. – Na szczęście od dawna mnie to interesowało i zbierałam materiały. Wstępną kwerendę chcę zakończyć przed wyjazdem. I może sprecyzowaną tezę – dodała.

– O rany! Aleś mnie zaskoczyła! – Ewa była pod wrażeniem.

– A wiesz co? – Gośka sięgnęła do teczek. – Mam tu fajną rozmowę z Zygmuntem Baumanem⁷⁶. Może cię to zainteresować. Przeczytaj – poprosiła. – Zwróć uwagę na ostatnią część, mnie dała sporo do myślenia... – Podała Ewie kilka spiętych zszywaczem kartek. – Pamiętasz, że po Gironie spędzamy dzień w Barcelonie? – zapytała, zmieniając temat. – Co będzie, jeśli przypadkiem spotkamy Paco?

⁷⁶ Prof. Zygmunt Bauman – ur. 19.11.1925 roku w Poznaniu; obecnie mieszka w Leeds w Wielkiej Brytanii; polski socjolog, filozof, eseista; specjalizuje się w teorii kultury; jest jednym z twórców koncepcji postmodernizmu (postnowoczesności, płynnej nowoczesności, późnej nowoczesności); emerytowany profesor Uniwersytetu w Leeds.

– Nic – odpowiedziała Ewa.

– Kompletnie nic? – Gośka dopytywała. – Przejdziesz obok, nawet go nie zauważając?

– To zależy... – Ewa się zawahała. – Może nie będzie nas zatrzymywał... – Wyraźnie nie chciała kontynuować tej rozmowy.

– A ty nie chciałabyś z nim pogadać? – Gośka nie zauważała jej powściągliwości.

– Myślałam o tym – przyznała w końcu Ewa. – Ale co ma być, to będzie – stwierdziła. – Będzie chciał porozmawiać, to porozmawiamy. Odpuściłam mu już. Prawdę mówiąc, przez chwilę korciło mnie, żeby się z nim umówić, ale dałam sobie z tym spokój. Postanowiłam zdać się na los.

– No tak... – Gośka nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale uśmiechnęła się pod nosem.

– To spójrzmy, o czym mówi Bauman... – Ewa, chcąc ostatecznie zakończyć rozmowę, ostentacyjnie sięgnęła po kartki z artykułem.

Ten wywiad⁷⁷ Gośka zabrała specjalnie dla Ewy. Bauman, po śmierci pierwszej żony, z którą przeżył 62 lata, ponownie związał się z kobietą i teraz mówił o istocie miłości – o tym, że w społeczeństwie konsumentów traktuje się ją jak towar podlegający natychmiastowej ocenie i reklamacji, gdy tymczasem ona wymaga zwyczajnie codziennych starań i zabiegów; trzeba podchodzić do niej jak do dzieła sztuki – cieszyć się nią, ale i dbać, by nie uległa degradacji. Miłość to nie shopping, podkreślał.

⁷⁷ Chodzi o wywiad *Nadzieja, miłość i papierosy* Doroty Wodeckiej zamieszczony w „Gazecie Wyborczej” (16.07.2016 r.).

Niby to wszystko wiemy, powtarzamy sobie od stuleci, ale jednocześnie tak łatwo wyrzucamy z pamięci, myślała o tym teraz, czekając na reakcję przyjaciółki. Szczególnie chodziło jej o fragment jakby bezpośrednio odnoszący się do tego, co Ewa zrobiła, kiedy została w Barcelonie „na próbę”, jak później sama to nazywała. A Bauman w wywiadzie mówił wprost, a przynajmniej tak to zapamiętała, że jeśli związek ma być testem na wygodne życie, to najdrobniejszy zgrzyt, zamiast dać asumpt do pracy, urasta do rangi ostatecznego dowodu na wzajemne niedopasowanie. I to właśnie był przypadek Ewy. Przy tym tak bardzo bała się zranienia, że nie potraktowała tego, co wydarzyło się między nią a Paco, jako szansy na wspólne przeżycie reszty dni, tylko przy pierwszej okazji zwyczajnie uciekła, jakby na wszelki wypadek.

Gośka chciała, by Ewa zastanowiła się nad tym, nim znajdą się w Barcelonie. Może te filozoficzne rozważania człowieka doświadczonego przez życie bardziej ją poruszą niż dyskusje z koleżanką myślała. Miała też nadzieję, że dzięki temu łatwiej zgodzi się na rozmowę, kiedy dojdzie do spo-

tkania z Paco. Bo jaki ma wybór? Albo być z nim szczęśliwą, albo zapomnieć o miłości i oddać pierścionek błyszczący na jej palcu.

Kątem oka obserwowała Ewę. Widziała, że wywiad przeczytała już kilka razy, coś nawet zanotowała w zeszycie. Tuż przed końcem lotu oddała Goście kartki i powiedziała tylko: „Dziękuję, to bardzo ciekawy artykuł”. Ziarenko zostało zasiane, tego była pewna.

Bez problemu znalazły autobus 607, który miał je zawieźć do miasta i parę minut po północy zameldowały się w hotelu. W pokoju włączyły klimatyzację na maksymalne grzanie, po czym zeszły do automatu, by kupić gorącą herbatę. Noc była chłodna jak w Polsce. Zgodnie z prognozami pogody. Przydały się ciepłe piżamy i grube skarpety.

Rano szybko się ubrały i wyszły. Najpierw na śniadanie do pobliskiej knajpki; od kanapki z iberyjską szynką, do której wzdychały, będąc w Poznaniu, ważniejsza była mocna kawa, by szerzej otworzyć zaspane oczy. Pół godziny później przyglądały się ulicznym tabliczkom kierującym je w stronę starej części miasta. Czekwały na nie katedra i Dzielnica Żydowska – powód do dumy dla całej Hiszpanii. Przynajmniej tak pisano w przewodnikach.

W parę minut trafiły nad Onyar, słynną rzekę w Gironie. Zastanawiały się nad powodem owej sławy. Koryto było szerokie, nad nim znajdowało się kilka pięknych mostów, ale środkiem płynął raczej mały strumyk niż wielka woda. A przecież to nie był czas suszy. Może więc chodziło nie tyle o to, co pod mostami, ale o to, co obok nich? A obok nich, tuż nad brzegiem, wisały dziesiątki domów. Kolorowych, małych i mniejszych – jak klocki dla dzieci. Ewie natychmiast skojarzyły się z Florencją, choć nie kryły w sobie zapewne tajemnic jubilerskich jak te na Ponte Vecchio.

Przeszły na drugą stronę rzeki, po chwili dotarły na Plaça de Catalunya, który był właściwie bulwarem. W wielkich kamiennych donicach kwitły żółte i fioletowe bratki, a nad nimi wisały ozdoby świąteczne, czekające na wieczorną iluminację. Na balkonach wisały flagi Katalonii: cała ulica w czerwono-żółte pasy i niebieskie trójkąty z białymi, pięcioramiennymi gwiazdami. Miały wrażenie, że za chwilę przyjdzie im uczestniczyć w jakiejś manifestacji, choć ludzi wokół nie było za wiele.

– Wysłałaś do Girony informację o swoim doktoracie? – Ewa zażartowała.

– Może w samolocie ktoś nas podsłuchał? – Gośka zaśmiała się cicho. – Ale, jak widzisz – dodała – temat wcale nie jest wyspany z palca.

Wiedziały, w którą stronę iść, ale postanowiły zboczyć z głównego szlaku. Odtąd dawały się oczarowywać uliczkom i zaułkom, szły wiedzione swoim zachwytem, przyglądając się kamieniom, schodom, których nagle pojawiło się całe mnóstwo, kołatkom na drzwiach i okiennym kratownicom, zagłądając przez uchylone bramy na podwórka pamiętające czasy sprzed kilku wieków. Były w El Call. Tam, gdzie realizowano zdjęcia do *Pachnidła*⁷⁸ – w miejscach tajemniczych i mrocznych, jakby specjalnie stworzonych dla potrzeb autorów kryminałów. Poczły się trochę nieswojo. Wokół żywego ducha, pochmurne niebo i dojmujące poczucie opuszczenia. Zastanawiały się przez moment, czy ktoś tu w ogóle mieszka, ale akurat wtedy dotarły do uliczki, na której parkował całkiem nowy samochód. Zagadką pozostawało, jak wjechał na górę. One widziały wyłącznie wąskie, wznoszące się ścieżki, za ciasne dla czterokołowych pojazdów.

⁷⁸ Tytuł oryginalny *Perfume: The Story of a Murderer* – francusko-hiszpańsko-niemiecki film fabularny z 2006 roku w reż. Toma Tykwera; zrealizowany na podstawie powieści *Pachnidło. Historia pewnego mordercy* Patricka Süskinda z 1985 r. Jest to opowieść o perfumiarzu, który w pogoni za idealnym zapachem popełnia szereg morderstw.

Klucząc, krążąc, zawracając, niespodziewanie znalazły się na La Pujada de Sant Domènec, i onie miały z zachwytem. Niczego piękniejszego nie widziały w całej starej części Girony. I chyba w innych miastach też nie. Piaskowy w kolorze trakt zbudowany z mnóstwa schodów, z ustawionymi co kilka metrów niewielkimi balustradami zwieńczonymi kamiennymi kulami; w połowie swojej wyso-

kości, na małym tarasie z kawiarnianymi stolikami, rozwidła się i – jeśli poszło się prosto w górę – doprowadzał do pałacu z zielonymi metalowymi drzwiami, zdobionymi ćwiekami przypominającymi ucięte brzeszczoty strzał. Wyglądały jak postawione na sztorc madejowe łoża, przewrotnie wkomponowane w barokowy portal... Jeśli jednak wybrało się inną drogę, skręcającą w lewo od stolików, przechodziło się pod kolebkowym sklepieniem będącym częścią łącznika między budynkami, a potem pokonywało się kolejnych kilkanaście schodów wiodących do następnego łuku i nowej ulicy. Przeszły Pujadę kilka razy. W jedną i w drugą stronę, nie mogąc oderwać oczu od lamp, tralek, balkonów i okien. A potem wróciły do wcześniejszego planu zwiedzania: z zadartymi głowami wędrowały, gdzie wzrok poniesie, pilnując się jednak, by droga ciągle wiodła w górę.

W pewnym momencie zza murów wyłonił się stosunkowo duży, wąski plac. Jakby ktoś bez uprzedzenia przerzucił strony w albumie! Prawdziwe zaskoczenie, biorąc pod uwagę lokalizację. Po kilku kolejnych krokach, kiedy zbliżyły się do niego na tyle, by docenić jego piękno i dobrze mu się przyjrzeć, okazało się, że stanowi coś w rodzaju podwórka, na którym wybudowano... katedrę. Stała na samym wierzchołku wzgórza, wciśnięta między domy. To do niej wiodły te różne strome uliczki i tysiące schodów. Z dołu, z perspektywy placu, na którym stały, wydawała się jeszcze bardziej monumentalna, niż w była rzeczywistości. Ale nie dominowała nad otoczeniem. Pewnie przez te budynki obrastające ją niczym winorośl. Trudno było znaleźć miejsce, z którego dałoby się sfotografować katedrę samotną, bez towarzystwa innych budowli, oddaloną od codziennego świata, uwzniośloną. Właściwie stawało się to możliwe dopiero z ogrodu rozpościerającego się na jej tyłach. Dopiero stamtąd widać było prawdziwe rozmiary kościoła, jego masywność. I wysokość wzgórza. Bo przez okna i szczeliny strzelnicze w murze okalającym tę okolicę, Girona jawiła się jak miasto dla krasnoludków, a przecież żyli tu normalni ludzie. Stare Miasto miała dobre usytuowanie – podczas wojen było praktycznie nie do zdobycia. Pewnie dlatego zachowało się bez większych zniszczeń.

Nieopodal katedry znalazły jeszcze jeden ogród – założony w ruinach, pełen miejsc odosobnionych, mocno działających na wyobraźnię, zwłaszcza w tak ponury dzień. Myślały o tym, że takie „świątynie dumania” mogły kryć niejedną tajemnicę – zapewne były świadkami i potajemnych schadzek, i pokątnych interesów, a może nawet i morderstw. Po ogrodzie kręciło się parę osób, jedni rozmawiali między sobą, inni przez telefony, zauważyły jednak, że do nich samych nie docierają żadne odgłosy. Jakby ogród miał ściany akustyczne; idealnie tłumił wszystkie dźwięki, panowała tu cisza. Czyja to była zasługa? Ludzi czy natury? W jednym z wyłomów dostrzegły małą salę koncertową. W równych rzędach ustawiono mocno rozłożyste parkowe ławki dla mniej więcej trzydziestu osób, a przed nimi stworzono scenę, na środku której zostawiono drzewo wyrosłe tu przed latami. Ogrody Franceski, jak przeczytały na tabliczce przy wejściu... Nie miały pojęcia, kim była, ale widocznie lubiła mieszać naturę z kulturą...

Zaczęły schodzić ze wzgórza. Trafiły na ulice, gdzie właściciele posesji łączyli fragmenty osiemnastowiecznych zabudowań z bardziej współczesnymi rozwiązaniami. Stary kamień, szkło i metal dialogowały ze sobą o historii świata...

Ponownie znalazły się na La Pujada de Sant Domènec. Usiadły przy tarasowym stoliku „Restauració de Metalls” – musiały dać odpocząć nogom. Gośka zamówiła kawę, Ewa natomiast małe piwo. Po chwili dał o sobie znać głód. Pamiętając z barcelońskiej wyprawy wielkości dań serwowanych w porze lunchu, zamówiły tylko jedną paellę, zgodnie wybierając wersję wegetariańską. Kilkanaście minut później, kiedy chłód przegonił je z dworu do wnętrza knajpki, między nimi stanęła ogromna, gorąca patelnia pełna żółtego ryżu wymieszanego z kukurydzą, marchewką i brokułami. Wy-

starczająca porcja dla nich obu.

Żałowały, że na Gironę przeznaczyły tylko jeden dzień, i to zimowy, bo był zbyt krótki na odwiedzenie wszystkich miejsc tego warty. Musiały chociażby zrezygnować z Muzeum Kina⁷⁹, które miały po drodze, mimo że można tam było zobaczyć między innymi oryginalną kamerę braci Lumière i to wszystko, co służyło rejestracji obrazu wcześniej oraz później; aby je zwiedzić, musiałyby mieć w zapasie co najmniej kilka godzin. Nie miały. I były już bardzo zmęczone. Z trudem podniosły się ze swoich miejsc. Do hotelu dotarły ulicą Santa Clara, pełną markowych sklepów. Sklepów w Gironie w ogóle było sporo, handel musiał być tu ważnym źródłem utrzymania. Tylko – zastanawiały się – jeśli większość sprzedawała, to kim była ta kupująca mniejszość? Bo ceny zdecydowanie nie należały do najniższych...

⁷⁹ Museo del Cine (Museu del Cinema) mieści się przy ulicy de la Sèquia 1.

Kiedy się ściemniło, postanowiły wybrać się na jeszcze jeden spacer. Brakowało im spotkań z ludźmi. Chciały więc wejść do jakiegoś pubu, zanurzyć się w tłumie i gwarze. W obwieszonej flagami Gironie spodziewały się rozmów w języku katalońskim, były ciekawe jego brzmienia... Doszły do Czerwonego Mostu⁸⁰, bodaj najśłynniejszego w Gironie, zbudowanego przez samego Gustawa Eiffela – tego od wieży w Paryżu – przeszły nim na drugą stronę rzeki, znowu do starej części miasta, ale chociaż stoliki ustawiono na chodnikach i kelnerzy zachęcali gości, by przy nich usiedli, wokół panowała markotna pustka. Zrobiło im się smutno i zimno. Świąteczne dekoracje rozwieszane między domami, mimo że migotały tęczo i rozjaśniały ciemność nocy, nie były w stanie poprawić im nastrojów. Po godzinie więc bezskutecznego szukania przejawów „fiestowego” życia w Gironie – tak bardzo kojarzącego im się z Hiszpanią, zrezygnowane wróciły do hotelu. Nazajutrz czekała na nie Barcelona. Miały nadzieję, że bardziej wesoła.

⁸⁰ Pont de les Peixateries Velles (czyt. pescaderias viejas), zwany Czerwonym Mostem, został wybudowany w 1876 roku i niemal od razu stał się ikoną miasta.

Rozdział XVI

EWA

Pociąg turlał się powoli, zatrzymując się na każdej stacji. Ludzie wsiadali, wysiadali, jakaś para jechała na gapę i wyskakiwała na peron za każdym razem, kiedy tylko otwierały się drzwi. Ewa zauważyła, że stojący na końcu wagonu konduktor – lekko zgarbiony starszy pan z brodą i dobrotliwym wyrazem twarzy – starał się tego nie widzieć. Bilety na pociąg nie były tanie, a para wyglądała na taką, która każdy grosz wielokrotnie ogląda, nim go wyda. Nie jechali daleko, zniknęli na czwartym przystanku.

Wagon był bez przedziałów, po drugiej stronie przejścia siedział, w towarzystwie trzech kobiet, nieco posunięty w latach, postawny mężczyzna. Przystojny, ubrany z elegancką nonszalancją w brąz i czerwienie. Przez całą drogę coś opowiadał. Chyba interesująco, bo panie reagowały na jego słowa wyraźnym zachwytem. Ale może to nie opowieść, a on sam był przedmiotem owego żywego zapatrzenia. Nie mówił po hiszpańsku, to musiał być kataloński, pobrzmiewający od czasu do czasu z francuska. Nareszcie miały możliwość posłuchania tego, czego nadaremno szukały wieczór wcześniej. Chłoneły każde słowo, choć nic nie rozumiały. Patrzyły na tę grupę z niekłamaną przyjemnością. W relacjach między nimi było coś z długiego sąsiedztwa. Być może tylko pociągowego, ale na pewno byli sobie jakoś bliscy.

Pejzaż za oknem nie wyzwalał emocji takich, jakie pamiętały sprzed kilku miesięcy, kiedy jechały autobusem z lotniska w Gironie. Wtedy trasa wiodła nadbrzeżem, w tle co jakiś czas połyskiwało morze, pachniało latem, a teraz mijaly pola, lasy, nad którymi wisiały stalowe chmury, i czuły się trochę jak w Polsce. Z dużą więc ulgą wysiadły na dworcu w Barcelonie. Szybko odszukały linię metra i wkrótce były już na stacji Liceu, w samym środku La Rambli.

Kiedy wyszły na ulicę, świeciło słońce. Pochmurne niebo Girony odplynęło wraz ze wspomnieniami. Poczują się, jakby ktoś pstryknął palcami i przeniósł je do innego świata. Buzie rozpromieniły się w nagłym przyplwywie szczęścia. Przez chwilę stały, głęboko wdychając powietrze i przyglądając się temu, co wokół: ludziom, zwierzętom, baśniowym postaciom z ruchomych obrazów, niewzruszenie czekającym na brzdęk monet w pudełku. Ewie chciało się śpiewać i tańczyć, to było jej miejsce na ziemi.

Ich hotel znajdował się o rzut beretem od metra. Nic szczególnego, ale czysty i w dobrej lokalizacji, tuż przy Operze, a co ważniejsze – parę kroków od La Boquerii⁸¹. Zostawiły bagaże i szybko tam właśnie pobiegły. Choć styczeń kojarzył się z ubóstwem owoców, targowisko skutecznie opierało się naturze. Jakby był środek lata, można było tu kupić miseczki świeżych truskawek, malin, kawalków melonów, papai i co jeszcze przyszło komu do głowy. Kolorowe piramidy przyciągały wzrok, budziły radość. Próbując różnych lokalnych smakołyków – od wędlin i serów po słodczyce, między straganami spędziły czas obiadu. Nawet wypily po kieliszku *cavy*, za powrót do ukochanego miasta.

⁸¹ El Mercat de la Boqueria (czyt. el merkat de la bokerija) – najśłynniejsze w Barcelonie targowisko, usytuowane przy La Rambl. Jego historia sięga XIII wieku, ale obecnego kształtu zaczęło nabierać dopiero w 1840 r. Wybudowano je na zgłiszczach klasztoru San José.

Wieczorem miały się spotkać się z Marią, tą uczącą tanga w Barcelonie tanga. Ewa chciała pogadać i przekazać jej pierścionek dla Paco, Gośka bardzo była ciekawa tej dziewczyny; wiele słyszała o niej od Ewy. Czas do kolacji postanowiły spędzić, szukając własnych śladów na dawnych szlakach.

Wychodząc z targowiska, przecięły La Ramblę, pełną turystów, jakby to był środek wakacyjnego sezonu. Musiały zwolnić nieco i wejść w boczne uliczki, by we własnym tempie dotrzeć na plac przed Katedrą⁸². Nic tu się nie zmieniło. Ludzie nadal siedzieli na schodach prowadzących do głównego wejścia, a obok, w galerii, urządzano wystawy. Tym razem wielkie rzeźby z metalu zajęły miejsce na trawniku łączącym obie budowle. Rzuciły na nie okiem i wróciły do świątyni. Omięły wychodzące i wchodzące wycieczki, bocznymi drzwiami dostały się na dziedziniec⁸³. Ponieważ najbardziej zależało im na tym, by sprawdzić, jak mają się słynne katalońskie gęsi, zostawiły w spokoju, obleganą przez ciekawski tłum, żywą, bożonarodzeniową szopkę. Święty Jerzy nadal strzegł fontanny w centralnej części dziedzińca, a ptaki pozowały do zdjęć jak profesjonalne modelki.

⁸² Katedra Krzyża Świętego i św. Eulalii – jej początki sięgają 1298 roku, kiedy to wyburzono stojącą tu romańską świątynię, by na jej miejscu wzniesić nowy, większy kościół. Prace wstrzymano w XV wieku; wznowiono je dopiero blisko czterysta lat później.

⁸³ Dziedziniec katedralny powstał na przełomie XIV i XV wieku; otoczony jest trzema kaplicami bocznymi – w jednej z nich znajduje się katedralny skarbiec.

Zajrzały jeszcze na Plac del Rei⁸⁴, przyklejony do katedralnej wieży. Kiedyś był tu pałac królewski, dziś to po prostu urokliwy zakątek, z gotyckimi oknami, w których wiszą zdjęcia reklamujące wystawy Muzeum Historii Barcelony. Na placu spotykają się artyści, by grać, śpiewać i tańczyć. Albo wystawiać spektakle. Tym razem jakiś mężczyzna grał na saksofonie repertuar Stana Getza. Dźwięk niósł się fantastycznie. Plac miał w sobie magię, a standardy jazzowe brzmiały tu jasno i pięknie. Usiadły na chwilę na kamiennej ławie. Gośka robiła zdjęcia, Ewa zamknęła oczy. Była tu kiedyś z Paco. Zapadła już noc, plac oświetlało kilka lamp, wszystko tonęło w półmroku. Na miejscu saksofonisty siedział człowiek z gitarą. Najpierw trącił struny jakby od niechcienia, a potem zagrał *Entre Dos Aguas* Paco de Lucía⁸⁵. Pamiętała, jak nią to wstrząsnęło. Jak Paco przytulił ją do siebie, dotykał jej dłoni. A potem musnął wargami jej policzek. Zadrżała wtedy na całym ciele... Co by było, gdyby tu teraz przed nią stanął? Pomyślała, że poszłaby za nim wszędzie. Saksofon zawodził, wdzierał się w duszę, wyzwalał w niej tkliwość, jakiej dawno nie czuła. Muzyka i Barcelona. I słońce na twarzy. Nic, tylko kochać... Uśmiechnęła się do siebie.

⁸⁴ Plac del Rei (Plac Króla) – powstał na rzymskich ruinach. Wybudowana na nim rezydencja służyła królom po połączeniu Aragonii z Katalonią na początku XII wieku. Około 200 lat później dobudowano do pałacu kaplicę św. Agaty, a w 1370 roku budynek Saló del Tinell, dziś służący Muzeum Historii Barcelony.

⁸⁵ Paco de Lucía – właściwie Francisco Sánchez Gómez (1947–2014); wirtuoz gitary, kompozytor i odnowiciel nurtu flamenco XX wieku – dzięki niemu flamenco zaczęło się znowu rozwijać, czerpiąc z innych gatunków muzycznych; był twórcą flamenco nuevo.

Poszły dalej, oczywiście musiały przejść pod mauretańskim łącznikiem przy Katedrze, obowiązkowym miejscem zdjęć każdego szanującego się turysty. Rzadko zdają sobie sprawę z tego, że przekraczają tu niewidzialną granicę dawnej Dzielnicy Żydowskiej, w średniowieczu zamieszkiwanej także przez Arabów. Społeczność innowierców nazywano *aljama*⁸⁶, dzielnicę – El Call, od „małej uliczki”. Przez lata ludzie żyli tu w zgodzie. Aż do IV soboru laterańskiego⁸⁷. Przesady, odwieczna potrzeba znalezienia wroga, który usprawiedliwiłby własne niedociągnięcia, doprowadziły najpierw do pogromu, a potem do zamknięcia dzielnicy. Ewa pomyślała ze smutkiem, że nic się nie zmienia, że ciągle jest tak samo, choć wieki minęły – człowiek niczego się nie uczy, bo być może nie chce...

⁸⁶ *Aljama* (czyt. Alhama) – określenie społeczności żydowskiej i arabskiej, która miała swój własny rząd, kalendarz i prawa.

⁸⁷ Odbył się w roku 1215 i doprowadził do stygmatyzacji społeczności żydowskiej; jej konsekwencją było obarczanie Żydów odpowiedzialnością za wszelkie kataklizmy tamtych czasów, m.in. za epidemię czarnej ospy. Dzielnicę Żydowską zlikwidowano na początku XV wieku.

Przyglądając się gargulcom⁸⁸ i kolumnom okiennym budynków za arabskim łukiem, doszły do Plac de Sant Jaume, na którym mieści się Ratusz. W niedziele można tu zobaczyć Katalończyków tańczących swój narodowy taniec – sardanę. Dla Ewy plac był jednak ważny z innego powodu: otwierał El Call Major, czyli dawne centrum Dzielnicy Żydowskiej. Chciała się znaleźć na ulicy de Sant Honorat, odchodzącej właśnie z tego miejsca, bo tylko stąd potrafiła dojść do kościoła św. Filipa Neri⁸⁹. Odnalazła go dopiero wtedy, kiedy włóczyła się po mieście już bez Paco, po powrocie z Lizbony.

⁸⁸ Gargulec (inaczej: rzygacz, garlacz, pluwacz) – dekoracyjne, wystające poza fasadę muru zakończenie rynny dachowej.

⁸⁹ Kościół św. Filipa Neri wybudowany został w XVIII wieku przez zakon filipiński; w średniowieczu na tym terenie znajdował się cmentarz, zwany Żydowską Górą Biskupią. Do kościoła przylega dom cechu kotlarzy z XVI wieku, w którym dziś mieści się szkoła.

Kościół krył się w plątaninie uliczek, przed nim znajdował się niewielki plac, a obok – szkoła. Akurat dzieciaki wybiegły na przerwę. Gwar, śmiech, kopanie piłki, jakby czas po wielokroć cofnął swoje wskazówki i usunął bolesną historię. Ewa chciała przyjść tutaj właśnie ze względu na nią. Poczuliła nagłą potrzebę martyrologicznej zadumy. To miejsce było związane nie tylko z prześladowaniami Żydów, o czym nikt od dawna nie pamiętał, ale i z tragedią sięgającą czasów generała Franco: podczas wojny domowej od samolotowych bomb zginęło tu blisko pięćdziesiąt osób, w większości dzieci. Do tej pory na kamieniach widać ślady pocisków. Pomyślała, że to dzisiejsze, beztroskie życie tutaj jest jak zabawa na cmentarzu, dziwne...

Obeszła nieczynną fontannę, podniosła turlającą się pod jej stopy piłkę i odrzuciła ją grupce bawiących się dzieci. Zadzwoił dzwonek, otworzyły się drzwi, uczniowie wrócili na lekcje. Nagle zapanała cisza. Tym głębsza, że po tak wielkim hałasie. Miała wrażenie, że jej własny oddech wraca echem odbitym od kamiennych budynków wokół. Błękitny skrawek nieba zaglądał na podwórko. Wzdrygnęła się.

– Wiesz co? – odezwała się z rezygnacją w głosie. – Mam już chyba dosyć żydowskich dzielnic i związanych z nimi historii. Po wczorajszej, ta dzisiejsza mnie dobiła. Nie po to przyjechałam do Hiszpanii, by ciągle zastanawiać się nad ludzkim okrucieństwem i podłością. Mam tego wystarczająco dużo u siebie na miejscu – stwierdziła. – Niedobry kierunek przyjęliśmy na tę sentymentalną wycieczkę. Oczywiście – dodała – jeśli chcesz, zostań. Ja idę na plażę – postanowiła. – Potrzebuję szumu morza. Możemy się spotkać w hotelu.

– Nie, pójdę z tobą – odpowiedziała Gośka. – Mnie też to przygnębiło, choć Barri Gòtic uwielbiam i mogłabym tu mieszkać, gdyby zamiast do Santander skierowano Artura do Barcelony. Ale masz rację: za dużo duchów. Chodźmy!

Wróciły pod Ratusz i idąc uliczką biegnącą lekko w górę, starym zwyczajem zaglądając po drodze w każdą bramę, każde okno, każdy przesmyk, po kilku minutach znalazły się przed budynkiem poczty. Właściwie... Pałacem Poczty, gdyby oceniać rzecz po architekturze. Po drugiej stronie, za skwerem, puszczała do nich oko Głowa Barcelony⁹⁰, a za nią wznosiły się maszty jachtów cumujących w Port Vell⁹¹.

⁹⁰ Cabeza de Barcelona – rzeźba wykonana przez Diega Prim Rajado według projektu Roya Lichtensteina, jednego z czołowych artystów pop-artu; powstała w latach 1991-1992, przed olimpiadą. Dziś symbolizuje przemiany, jakie zaszły w stolicy Katalonii, czyniąc z Barcelony miasto kolorowe, nowoczesne, otwarte, tolerancyjne.

⁹¹ Port Vell (Stary Port) – niegdyś główny port handlowy Barcelony; obecnie (częściowo za sprawą zmian przeprowadzonych z myślą o olimpiadzie, która odbyła się w Barcelonie w 1992 roku) rozległe centrum rozrywkowo-handlowe; w porcie znajduje się przystań jachtowa oraz m.in. oceanarium i Muzeum Historii Katalonii.

Ewa zaczęła znowu uśmiechać się do siebie. Powrócił spokój, zwolniła kroku. Barcelona pachniała starymi kamieniami i morzem. Tak jak ją pamiętała przez te wszystkie miesiące. W pobliżu portu, na szlaku restauracyjnym, jakiś zespół grał jazz, kawałek dalej inny zachęcał do tańczenia salsy –

na tyle skutecznie, że kilka par zaczęło się kręcić w rytm rozbrzmiewającej muzyki, bawiąc tym siebie i innych. Szły szerokim deptakiem prosto na plażę. Choć był styczeń, nad ich głowami wrzeszczały ukryte w palmach papugi. Słońce mocno świeciło i gdyby nie puchowe kurtki, nikt by nie pomyślał, że to zima.

Nad brzegiem spacerowało sporo ludzi. Windsurferzy korzystali z pogody i próbowali swych sił na falach. Wyglądali jak pisklaki na pierwszej lekcji latania. Jeszcze niezdarne, ale już radujące przyszłym pięknem. Ewa stała zapatrzona i pewnie mogłoby to trwać długo, gdyby Gośka nie pociągnęła jej za rękaw, dając znak, by poszły dalej. Schyliła się, wzięła do ręki kamyczek. Przez chwilę mu się przyglądała, potem oczyściła z piasku i schowała do kieszeni. „Na szczęście – pomyślała – żeby tu jeszcze wrócić”.

Skierowały się, jak dawniej, ku Złotej Rybie⁹², po drodze usiadły na betonowej ławce w pobliżu siłowni urządzonej na piasku. To była nowość, wcześniej jej nie widziały. Ustawione tam przyrządy do ćwiczeń okupowane były zarówno przez młodych, jak i starszych ludzi – widać było, że mocno dbających o swoją kondycję. W milczeniu podziwiała ich sprawność.

⁹² Chodzi o dzieło architekta Franka Owena Gehry'ego stojące w pobliżu Portu Olimpijskiego.

– Co myślisz o tym wywiadzie, który dałam ci do przeczytania w samolocie? – niespodziewanie odezwała się Gośka.

– Bardzo mnie poruszył – Ewa cicho przyznała. – Bauman ma rację. Ludziom się wydaje, że ślub jest jakimś zamknięciem, nagrodą, a nie początkiem ciężkiej pracy. – Zamyśliła się na chwilę. – My z Jackiem chyba tak właśnie myśleliśmy. Że to będzie się toczyć samo. No i umarło – dodała. – Bardzo szybko było po wszystkim... Znacznie wcześniej, niż zaczął mnie zdradzać. Wiesz – przypominało jej się nagle – kiedyś śmiałam się, jak znajomi opowiadali o różnych rodzinnych rytuałach. Że trzeba się do siebie zwracać w określony sposób, nie zapominać o codziennych miłych gestach... na przykład pisali do siebie liściki. A nawet, że trzeba regularnie uprawiać seks! Nie tylko wtedy, kiedy najdzie nas ochota, ale wręcz według harmonogramu, z całym ceremoniałem. Przychodzi, powiedzmy, sobota, to idziemy na randkę, odświeżnie ubrani, z kolacją, winem i tak dalej... Uważałam to za dziecinadę... A to jest właśnie ta praca nad związkiem – stwierdziła. – Między innymi. My prawie nigdy nie wychodziliśmy. Albo były te nieszczęsne kolacje biznesowe, których nie cierpiałam, albo kanapa i kapie. Zabiła nas nuda. I pewność siebie.

– Myślę, że każdy chociaż raz popełnił taki błąd – zauważyła Gośka. – Rzadko kiedy przecież pierwszy związek jest udany. Znasz kogoś, kto wyszedł za pierwszego chłopaka? Poza tym chyba po prostu brakuje nam cierpliwości – oświadczyła. – A może za bardzo boimy się ryzyka? – zastanawiała się. – Ponieważ nikt nie daje gwarancji, że związek będzie udany, więc na wszelki wypadek, żeby nie bolało za mocno, jeśli nam nie wyjdzie, nie chcemy się angażować na sto procent. Nie wiem – przyznała. – Ale przeraża mnie, ilu moich znajomych jest samych – stwierdziła. – Bez sensu! Jeden błąd i już skreślenie. Bez próby wyjaśnienia czegokolwiek. Wiesz, patrzę z zazdrością na starszych ludzi – wyznała. – Żyją ze sobą po sześćdziesiąt lat i dłużej. Czyli... można, da się! Czy nigdy nie popełniali błędów, nie kłócili się, nie zdradzali? Przecież to normalny element życia. W czym więc tkwi sekret tego ich bycia razem?

– W czym? – Ewa zastanawiała się przez dłuższą chwilę. – Powiem ci: w odpowiedzialności. I w lojalności wobec siebie. Bo jak się coś komuś obiecało, to trzeba słowa dotrzymać. I tyle. – Schyliła się i nabrała w dłoń piasku, który zaczęła przesypywać między palcami.

– To za mało! – uznała Gośka.

– A ja myślę, że właśnie z tego bierze się cała reszta – z mocą stwierdziła Ewa. – Bo jeśli wiesz,

że musisz z tą drugą osobą dotrzeć do śmierci – tłumaczyła – to robisz wszystko, by to bycie było dobre, przyjemne. I wtedy starasz się nieco bardziej. Nie masz w odwodzie rozwodu. Życie to nie piaskownica. – Ze złością strząsnęła drobiny z dłoni. – Choć niektórzy tak właśnie myślą. Nie podobają mi się, to zabieram zabawki i idę. – Wytarła ręce o spodnie. – Przecież o tym właśnie mówił Bauman. Tylko innymi słowami. Ale dokładnie o tym samym. O wysiłku bycia z kimś, o decyzji.

– A dlaczego ty z Paco byłaś na próbę? – zapytała Gośka, zaskakując tym Ewę.

– Bo nie wierzyłam – odparła. – Bo bałam się. Bo czekałam na powrót Jacka. Z wielu powodów – przyznała.

– A gdybyś miała jeszcze jedną szansę?

– Skorzystałabym z niej. Na pewno.

– I wybaczyłabyś mu wszystko?

– Już ci mówiłam. Wiem, że sama byłam temu winna.

– Nie przesadzaj! – Gośka się uniosła.

– Przecież wtedy nie wiedział, na czym stoi – oświadczyła ze spokojem Ewa. – Nie wiedział, czy traktuję nasz związek poważnie. Pamiętasz, kiedy to się stało? – zapytała. – Nim zamieszkałam u niego... Dajmy już temu spokój. – Wstała, otrzepując spodnie. – Życie rzadko daje nam drugą szansę. Prawie nigdy. Wracajmy do hotelu.

Prosto z plaży weszły schodami na bulwar La Barceloneta i skierowały się w stronę La Rambl. Wybrały drogę przez ulubioną dzielnicę Ewy, La Ribera. A skoro tak, to na ich szlaku musiała się pojawić Passeig del Born – aleja, z którą wiązało się wiele wspomnień. Marzyła, by właśnie tu znaleźć mieszkanie, kiedy namawiała Paco na powrót do centrum...

Jeśli jest się w tym miejscu, zawsze się trafi do bazyliki Santa Maria del Mar⁹³. Nie mogła nie zajrzeć do środka. To był jedyny kościół, w którym słowa mimowolnie układały się jej w modlitwę. Jakby tradycja upominała się o siebie, bo w tych kategoriach rozpatrywała religię. Nic nie rozpraszało jej uwagi. Była tylko ona i figura Matki Bożej przy ołtarzu. I światło wpadające do środka przez witrażową rozetę. Tak wymyślił to architekt. Światło miało zalewać świątynię, być jej główną ozdobą. Kiedy jasnymi smugami wdzierało się do środka i otaczało główną nawę, trudno było nie popaść w stan uniesienia, nie uwierzyć, że wszystko dzieje się za czyimś przyzwoleniem i tylko pozornie przypadkiem...

⁹³ Bazylika Santa Maria del Mar (świętej Marii Morskiej), zwana katedrą la Ribera – perła katalońskiego gotyku; jej budowę rozpoczęto w 1329 roku; stała się bohaterką powieści Ildefonsa *Katedra w Barcelonie*.

Usiadła blisko ołtarza, nie uklękła. Ręce spokojnie leżały na kolanach, zniknęło gdzieś całe napięcie, jakie towarzyszyło jej podczas rozmowy z Gośką.

– Jeśli jesteś – wyszeptała – pozwól mi być szczęśliwą. Nie umiem żyć sama. Nie chcę. Pozwól mi kochać, daj mi szansę bycia kochaną. Daj mi dobre życie, proszę...

Omiotła wzrokiem wysokie ściany, popatrzyła na ludzi zapalających świece, obesła boczne ołtarze, z zazdrością patrząc na tych, którzy modlili się przy nich gorliwie. Poruszył ją widok młodego mężczyzny ze łzami w oczach całującego figurę Chrystusa. Wielu musiało to robić i przed nim, bo stopy rzeźby były mocno wytarte. Modlitwa... Pomyślała, że może ma ona sens, jeśli dodaje siły.

W hotelu miały czas tylko na to, by się wykąpać i przebrać. Umówiły się z Marią o ósmej na Plaża Reial⁹⁴. W ciągu pięciu minut były na miejscu. Barcelona w świetle lamp stawała się zupełnie innym miastem. Magicznym. Takim, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Częściej ożywały ludzkie rzeźby, salsę i jazz zastępowało flamenco, więcej ludzi spacerowało nie w poszukiwaniu zabytków

i tła dla pamiątkowych zdjęć z wakacji, a dla spokojnego delektowania się życiem. Świat jakby zwalniał swoje obroty.

⁹⁴ Plaża Reial (Plac Królewski) – znajduje się tuż przy La Ramblí; niegdyś mieścił się tu klasztor Kapucynów. Plac powstał w drugiej połowie XIX wieku wedle projektu Francesca Daniela Moliny, który zainspirował się stylem epoki napoleońskiej. Na środku znajduje się fontanna Trzech Gracji; warto zwrócić uwagę na latarnie, które zaprojektował Antoni Gaudí.

Na placu kawiarniane stoliki powoli się zapełniały. Także te na tarasach. Środek płyty, jak zwykle, zarezerwowany był dla artystów. Akurat kiedy weszły, swoje umiejętności prezentowali akrobaci. Na czerwonym chodniku żonglowali świecącymi maczugami, które zostawiały za sobą poświatę jak komety. W ogródkach rozstawiono kosze z żarzącymi się węglami. Postanowiły usiąść w pobliżu jednego z nich. „Los Tarantos” – ta sama restauracja, w której w lipcu, po dwóch tygodniach warsztatów z Paco, żegnały się z tym miastem. To wtedy – jak przypomniawsza Gośka – Ewa powiedziała im, że zostaje, bo rzekomo dostała zaproszenie do Andaluzji od małżeństwa poznanego w hotelu.

– I co z tą Andaluzją? – Gośka się zaśmiała. – Nie żał ci, że nigdy do niej nie dotarłaś?

– Może jeszcze się zdarzy? Przecież nie umieram! Chciałabym pojechać tam z plecakiem – Ewa się rozmarzyła. – Spać, gdzie Bóg pozwoli, na plaży, u ludzi... I wędrować od miasta do miasta. Tylko widzisz – spojrzała wymownie na Gośkę – jedyną osobą, z którą dziś mogłabym to zrobić, jesteś ty, a ty na parę lat odpadasz.

– No, fakt – przyznała. – Piesza wycieczka wykluczona. Ale... nie jestem nie do zastąpienia, nie przesadzajmy.

– To musiałby być ktoś bliski, kogo dobrze znam i wiem, czego się po nim spodziewać – Ewa wyjaśniła – więc pole poszukiwań mocno ograniczone.

– Nie chcę być niemila, ale prawdę mówiąc – Gośka się uśmiechnęła – najlepiej by ci było na takiej wędrownicy z Paco.

– Ewuniu, to ty? – Nad stolikiem pochyliła się młoda dziewczyna. – Jak się zmieniłaś! Pięknie ci w tych rudych włosach. Przepraszam za spóźnienie.

– Gosiu, to Maria – Ewa przedstawiła koleżankę. – To co? Zostajemy tu czy idziemy dalej? – zapytała.

– Zostańmy! – pospiesznie zaproponowała Gośka. – Mieli tu kiedyś całkiem dobre jedzenie. No i jest ładnie – dodała.

Kelner pojawił się, jakby czekał tylko na przyjście Marii, zebrał zamówienia, a po chwili rozstawił talerzyki z tapasami i piwo. Ewa opowiadała Marii o swoich planach związanych z centrum kultury oraz warsztatami z flamenco i tanga, na które próbowała ją namówić. Chciała, by były to cykle dwutygodniowe, intensywne, z codziennymi milongami i opowieściami o hiszpańskich miastach, planowała też zajęcia z flamenco-terapii, które chciała sama poprowadzić...

Gośka dyskretnie rozglądała się wokół, sprawdzając, czy gdzieś na horyzoncie nie pojawił się już Paco. Bardzo powoli rozprawiała się z przystawkami, by nie znaleźć się niechcący w sytuacji zmuszającej ją do pozostania tu na resztę wieczoru. Plan był jasny: kolację miała zjeść później, z Marią, a stąd zniknąć, jak tylko pojawi się Paco. W końcu go dojrzała. Szedł wolno po drugiej stronie placu, przyglądając się ludziom przy stolikach. Odwróciła się do dziewczyn, z uwagą zaczęła znowu przysłuchiwać się ich rozmowie. Zdążyły się już umówić na wspólną pracę w Poznaniu i teraz dogadywały szczegóły.

– *Hola, Guapas! Que casualidad*⁹⁵! – zawołał ktoś nad ich głowami. – Kto by pomyślał, że spotkam dziś akurat ciebie – głos zwrócił się wprost do Ewy. – To jakieś czary.

⁹⁵ *Hola, Guapas! Que casualidad!* (czyt. ola g!apas! Ke kasualidad!) – Cześć dziewczyny (dosł. piękne)! Co za przypadek!

Ewa zbladła, otworzyła szeroko oczy i nie mogła wydobyć z siebie głosu. W końcu podniosła się z miejsca i pochyliła nad stolikiem.

– Paco? To ty? – wyszeptała. – Niemożliwe! – Dotknęła ręką jego twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy nie jest zjawą. – Siadaj, proszę. – Pokazała mu wolne krzesło. – To Maria, Gosię znasz – przedstawiła koleżanki, nie odrywając od niego wzroku.

– Cieszę się, że was widzę. – Paco zwrócił się do dziewczyn. – Nie napisałaś, że będziesz w Barcelonie. – Spojrzał na Ewę. – Jak ci do twarzy w tych rudych włosach! Na długo przyjechałaś? Może zjemy jutro kolację? – zaproponował.

– My lecimy jutro do Madrytu – wyjaśniła Ewa.

– To akurat nie do końca prawda – wtrąciła się Gośka. – Będziesz pewnie na mnie zła – przeknęła głośno ślinę – ale Madrytu w ogóle w planach nie było.

– Jak to? – Ewa zapytała zdziwiona.

– Chciałam cię dowieźć do Barcelony – zaczęła tłumaczyć. – Żebyś mogła dokończyć rozmowę z lata. Podejrzywałam, że bez Madrytu nie namówiłabym cię na tę wyprawę. – Zawiesiła głos. – Możesz mnie skreślić z listy znajomych – oświadczyła desperacko. – Ale przedtem, proszę, porozmawiaj z Paco... I nie uciekaj! Mario, na nas czas – zakomenderowała – zjemy kolację gdzie indziej. Wiem, że wam obojgu – dodała na odchodnym – nie jest dobrze na świecie z powodu tego głupiego stanu zawieszenia, w jaki się wpakowaliście, więc nareszcie wyjaśnijcie sobie wszystko – poradziła. – Życie może być piękne. – Uśmiechnęła się. – Samolot odlatuje za cztery dni...

Spis treści

Karta tytułowa
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Karta redakcyjna